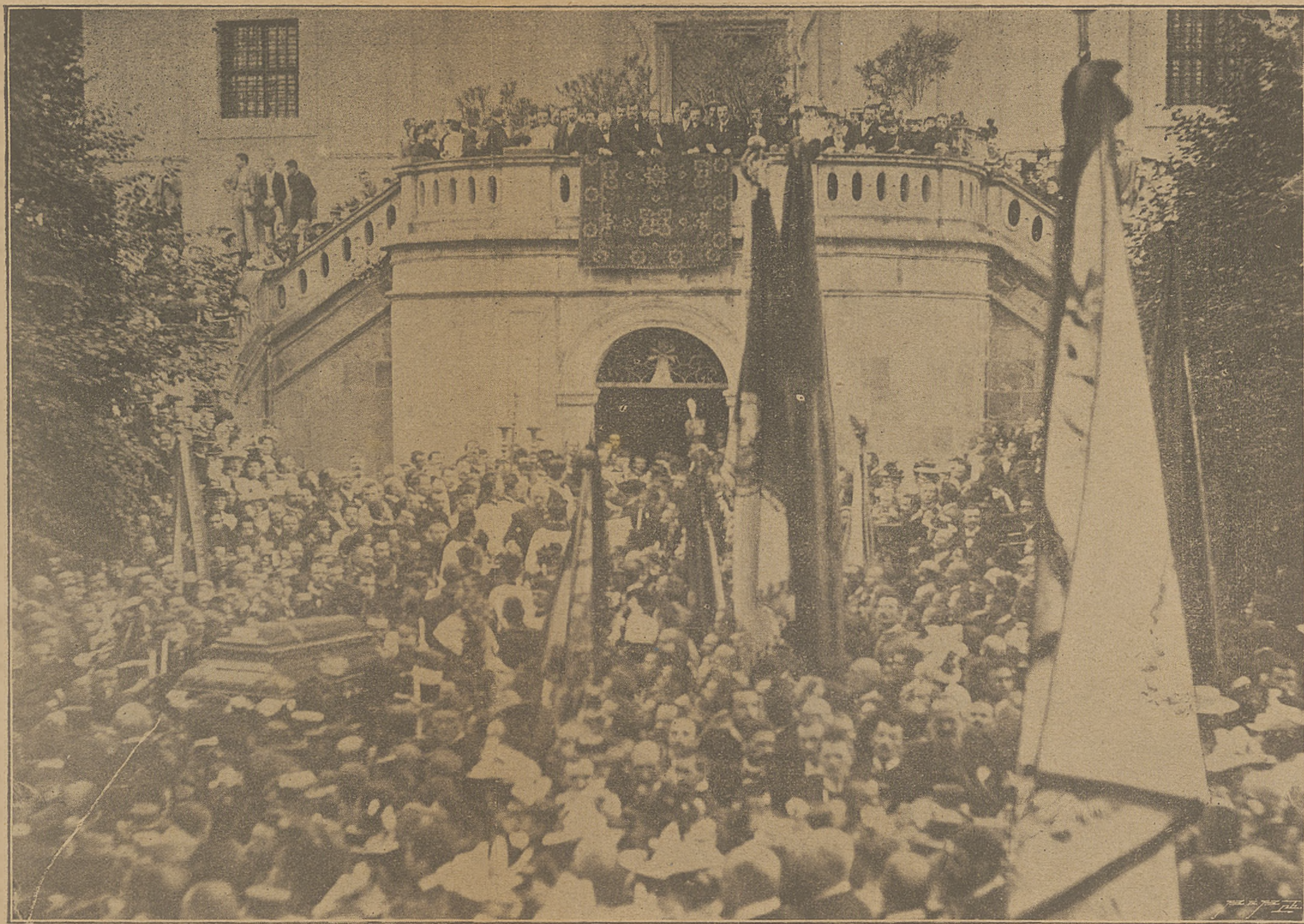


Złożenie zwłok śp. **Adama Asnyka** do grobu zasłużonych na Skałce w Krakowie 6. Sierpnia 1897.
(*Według fotografii Edwarda Pierzchalskiego w Krakowie.*)

Wydawnictwo

na cele dobroczynne samborskie.

XXI. ROCZNIK.

NOWA SERJA ILLUSTROWANA,

wydawana

nakładem i staraniem

G. Kohna.

(Z zastrzeżeniem praw wydawcy i współpracowników.)

Ceny zwyczajne, nie kładąc tamy dobroczynności.

SAMBOR.
1897—1898.

W Samborze.
Czcionkami Schwarza i Trojana.

Cieniom Adama Asnyka,

(z ryciną tytułową.)



Czarne chorągwie wieją z wież szczytu,
Echo bolesną roznosi wieść:
Uległa znowu postać z granitu,
Dla której naród — to życia treść.
On mocarz wielki myśli i ducha,
Co w imię Polski lud wysłał w bój,
Ustąpił z pola a cisza głucha
Roztacza całun śmiertelny swój.
Ustąpił z pola ów hetman dzielny,
Co nam hetmanił w praojców myśl;

Zamarło ciało, lecz nieśmiertelny
Duch jego z nami, z nami i dziś.
Nie próżno po nim nam rąk zakładać,
Ni — chociaż słuszny — wygłaszać żal;
Nam trzeba walczyć, ale nie biadać,
A myśl zwycięzką zapuszczać w dal!
„Oświata ludu“ — to święte hasło,
Pod którem walczył i boje wiódł;
Z miłością wielką i niezagasłą
Zwyciężył wrogów, pokonał trud;
On na wyłomie, — gdy już nadzieje
Umknęły w czarną rozpaczy toń,
Zapatrzon w światło, co nam dziś dnieje,
W niem widział tryumf, w niem ludu broń.
Po bohaterze, poległym w boju,
Została broń się zwycięzka nam,
We krwi skąpana i w ciężkim znoju,
A przecież wolna od skaz i plam.
Nie gnuśnieć hufcom bez przewodnika,
Lecz w jego wieniec laur świeży wpleść,
Nam trzeba spełnić myśli Asnyka,
Dla Polski walczyć i boje wieść.
A wtedy z grobu czarnej otchłani
Przyszłości lepszej zabłyśnie świt,
I duch, co tłumom ludu hetmani,
Nadziei da nam osięgnąć szczyt,
I będzie światło i jasność błoga:
Bo lud się zbudził i zmartwychwstał.
Imieniem Polski zwyciężym wroga,
Co rozdwojenia w nas ziarno siał!

Rawa ruska, 10. Sierpnia 1897.

G. Kohn.



Nad grobem Kornela Ujejskiego,

(z winietą.)

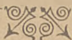


Cisza zalega smętne o-
[kolice
I dworek wieszcza w Pa-
[włowie,
Nad głową trupa goreją
[gromnice;
Któż boleść kraju wypo-
[wie?
Olbrzyma słowa i ol-
[brzyma czynu
Śmierć nam zazdrośna
[wydarła;
Napróżno po nim o liście wawrzynu
Dłoń się niegodna rwie karła!
On u kolebki stał nadziei ludu,
On stał nad trumną nadziei,
I wzmacniał mocą natchnienia i cudu
Skrę boską wpośród zawiei.
„Bóg był i jest“ — takiemi to słowy
Wśród gromów zdrad, łun pożogi
On wzbudził promień nadziei nowy,
By błędne rozświecić drogi.
I stał się wieszczem i jak Jeremi,
Co przyszłość widział na jawie —
Tak on obwieścił ją słowy swemi
Ku swego narodu sławie!
Jeden z ostatnich, ale nie ostatni,
W zimnej pochowan dziś trumnie —
Na jego zwłoki z bolem w duszy bratniej
Spogląda naród dziś dumnie!
Tu wasza duma niechaj się ukorzy,
Niesyci krwi ulubieńce,

U stóp, u których naród dzisiaj złoży
Kwiat uczuć i myśli wieńce!
    Jeremi polski syt życia i chwały,
    Do zimnej skrył się mogiły;
    Lecz z grobu jego ptak wybuja biały,
    To godło narodu siły.
Chorałem swoim, gromem swej wymowy
W uśpionych obudził echo;
Dziś wysechł zdrój ten srebrny, narodowy,
Dźwięczący pod polską strzechą.
    Pomroka czarna spadła na tę duszę,
    Co wielkim zadrgała bolem,
    Że widzi ludu bole i katusze,
    Wiekową widzi niewolę;
I gorsze jeszcze upodlenie ducha,
Co na wybryki się sili,
W błocie się kala, pieśń miłości grucha,
Upojon szałem złej chwili.
    Jedna po drugiej gasną pochodnie,
    Co narodowi świeciły;
    Lecz jedna jeszcze przetrwa wszelkie zbrodnie,
    U wieszcza lśniąc się mogiły;
To blask historyi, to ojczyste dzieje,
W których się postać lśni wieszcza;
Ta postać ziemskie przetrwała koleje,
W niej ludu życie się streszcza!

Łańcut, 21. Września 1897.

G. Kohn.





ADAM MICKIEWICZ

MICKIEWICZ
w literaturze niemieckiej.
(z ryciną.)

Rozmaite istnieją sposoby, rozmaite probierze, aby ocenić doniosłość tego lub owego autora, krytyka, poety. Jeśli zwykłej miary to człowiek, swoi nie dużo, obcy mało nim zajmować się będą; jeśli większy, jeśli to zwłaszcza autor — jak to mówią — modny, wtedy obcy, dla mody więcej nierównie miejsca mu poświęcą, ale skoro się moda zestarzeje, i o nim niebawem zapomną; jeśli autor światowy, wtedy należeć będzie do literatury światowej a pamięć jego nie zgaśnie nigdy.

Takim to światowym autorem był Adam Mickiewicz, i żaden chyba z polskich autorów tylu tłumaczów w literaturze niemieckiej się nie doczekał, co on. Jednych zajmowała klasyczna prostota i męzkość „Grażyny“; drudzy zachwycali się naiwnością i wdziękiem „Ballad“; innych czarował „Farys“ śmiałością języka i obrazów fantastycznych, z dalekiego Wschodu zapożyczonych; nawet „Dziady“ nie odstraszały mglistością obrazów i alluzyj, nie każdemu zrozumiałych, a „Pan Tadeusz“, ta szlachecka epopeja z czasów Napoleońskich, znalazła tłumacza w osobie Lipinera. Jednem słowem! poezja Mickiewiczowska — to był ów ogród zaczarowany, w którym uszczknęli po kwiateczku wszyscy obcy poszukiwacze piękności poetycznych.

Dziwić nas atoli musi, że więcej nierównie o Mickiewiczu wspominają niemieccy tłumacze, aniżeli niemieccy autorowie oryginalni. Wydałem dwa tomy „Polski w świetle niemieckiej poezji“ i cóż tam zna-

lazłem? Tuziny wierszów, poświęconych pamięci Kościuszki, liczne wiersze, poświęcone Sobieskiemu, obok nich także pochwały dla Jagiełły, dla Kołłątaja, dla Łukasińskiego, Małachowskiego, Zbigniewa Oleśnickiego, Rejtana i innych; pochwały nawet dla podrzędnych i nieznanych prawie figur, z powodu waleczności osobistej im udzielone, a o wieszczu naszym zaledwie w trzech miejscach skromne wspomnienie, w jednem nawet w dodatku tylko nawiasowe.*)

I wtedy pytałem sam siebie: czy moi niemieccy ziomkowie li tylko waleczność osobistą cenią i nic więcej? Albo czy ludzkość zbłąkana li tylko wielkim niszczycielom, wielkim intrygantom ołtarze stawiać będzie, na których jako godło umieści napis: „siła przed prawem?“ A przecież — kiedy się już mówi o wielkich wojownikach i bohaterach, to i Adam Mickiewicz był takim wojownikiem, bohaterem takim. On jeden miał odwagę, obalić ołtarze przeżytego klasycyzmu; on jeden miał bohaterstwo opinii swojej, którą i słowem i czynem na każdym kroku wyrażał; on z rozpromienionem czołem poszedł na wygnanie gwoli idei swoich i „deptał — jak Dant mówi — ścieżki obce“; więc mimo goryczy, która przepełniała jego serce, mniej dotkliwie może od innych uczuwał boleść wygnania tam, gdzie mu się rozchodziło o to, ani joty nie opuścić z tego, co uważał za niezbędny aksiomat życia.

Mimoto w porównaniu do tłumaczeń, mało zajmuje miejsca w literaturze oryginalnej Niemiec. Że mu Göthe daje złote pióro, jako następcy swemu po piórze (anegdotka przez zwolenników Mickiewicza cokolwiek przesadzona), to nie wywołuje zbyt wielkiego u mnie wrażenia. Göthe był ministrem u dworu wejmarskiego, Göthe był dworzaninem i światowcem; mógłże się jako człowiek z dobrem wychowaniem, jako światowiec inaczej znaleźć wobec osoby autora „Grażyny“ i „Wallenroda“, wobec osoby Mickiewicza, używającego już wtenczas sławy europejskiej? — Inni autorowie niemieccy milczą prawie o nim: jeden z nich, Robert Prutz usiłuje jeszcze „Powrót taty“ nie już przetłuma-

*) W Gustawa Kaczkowskiego „Rapsodzie“, stronica 111.

czyć, ale naśladować i przerobić dla ziomków swoich. Proba udała się jednak fatalnie Drugi Uhland w oryginalnym wierszu „Do Mickiewicza“, napisanym 1833 pod wpływem powstania listopadowego, przypomina sobie naszego wieszcza osobę, łącząc ją z temże powstaniem i z Polską. Trzeci Vierordt opisuje złożenie zwłok naszego wieszcza w ziemi ojczystej, w grobach królewskich (1890.) I tyleż wszystkiego!

Tem jaśniej, wyraziściej i częściej lśni się jego imię w zbiorach tłumaczów niemieckich. Jaka ich moc, jaka też rozmaitość tłumaczów i tłumaczeń! Z wielkiej powodzi imion przytoczę tylko niektóre: Konrad v. Blankensee, Franz Frhr. Gaudy, Poll v. Pollenburg, Gustaw Schwab, O. R. Spazier, Peter v. Cornelius (sonety), Heinrich Nitschmann, Dr. Albert Weis, A. E. Bolek (1860); z nowszych zaś G. Kohn, (1880—1884), Siegfried Lipiner, Dr. Alexander Pechnik, Hans Max, Dr. Albert Zipper.

Nie wszystkie te tłumaczenia są jednak dobre, większa ich część nawet zupełnie nieodpowiedna; bo trudno też żądać, aby niemiecki autor, który duchem nie uchwycił piękności ducha i języka polskiego, tak po niemiecku pisał, jak Mickiewicz po polsku.

Z tych, które miałem sposobność czytać, jedno zaledwie tłumaczenie Corneliusa zadowoliło mnie całkowicie tak dalece nawet, że uznać je musiałem za znakomite; Poll von Pollenburg i Gaudy tłumaczyli także dobrze, ale mało; Blankensee tłumaczył nieszczególnie a Weiss zupełnie nie wydołał swemu zadaniu, tłumacząc „Ballady i romanse“ Mickiewicza.

Niemiec jako pedant lubi dokładność, prawie dosłowność; ale dokładność i dosłowność w tłumaczeniu, szczególnie poetycznem — to rzecz bardzo zdradliwa. Gaudy i Chamisso, lekko lekkim tonem naśladując piękności obcych poetów, tłumaczyli znakomicie — nie tłumaczyli jednak dosłownie.

Bohaterem w dosłownem wykoszlawieniu piękności obcych poezyj, jest Bolek, tak zarozumiały w swojej dosłowności, iż w przedmowie do swego dziełka formalnie się chlubi „dosłownem“ tłumaczeniem wielkiego naszego Adama. Dobrze choć, że śpiewak „Grażyny“

już nie żył wówczas, kiedy „Grażyna“ Bolka w druku się okazała. Ale on się zapewne w grobie obrócić będzie musiał, skoro jeden z jego zwolenników, jeden z członków tej licznej gminy Mickiewiczowskiej, nad grobem wieszcza zarecytuje kilka ustępów nieśmiertelnej muzy pana Bolka.

Dzisiaj każdy pragnie błyszczeć, a jeśli już nie swojemi, to bodaj zapożyczonemi od innych piórami. Takiem błyszczeniem obcemi piórami nazwałbym każde dosłowne tłumaczenie poetyczne obcych autorów, i nie ma dotąd innego sposobu, tych świętokradców ośmieszyć, aniżeli powtórnem tłumaczeniem ich tłumaszenia na język oryginalny i zestawieniem ich pracy z oryginałem.

Według tego sposobu spróbuję też bodaj pobieżnie zanalizować pracę pisarską p. Bolka.

W tym celu przytoczę tu trzy ustępy z wiekopomnego dzieła muzy Bolkowskiej, z których jeden wzięty z „Grażyny“ a dwa z „Farysa.“

Bolek pisze:

„Lecz com ja zyskał za znoje i rany,
Lub jaką korzyść miałem ja też z tego,
Żem w spiż żelazny z pieluch obwiązany,
Książę się żywił z mleka kobylego.“

„Mickiewicz pojmuje to cokolwiek odmiennie, pisząc:

„A ja com zyskał za rany i znoje?
Com zyskał, że od maleńkiego wieku,
Z pieluchów zaraz przewiniony w zbroje.
Książę, jak Tatar, żył o końskiem mleku?“

U Bolka jest Samum, ów wielki niszczyaiel puszczy afrykańskiej, pułkownikiem; bo wyraża się o nim w sposób następny:

„Samum, pułkownik afrykańskich burz,
Ogląda na zwirze baszty obok tuż.“

Prawda, to piękne, to zachwycające! Cóż, kiedy się na te piękności nic a nic połapać nie dał Mickiewicz, bo pisze:

„Huragan z afrykańskich pierwszy wichrzycieli
Przechadzał się samotny po żwiru topieli.“

Jeden ustęp w tłumaczeniu p. Bolka pozwolimy sobie jeszcze przytoczyć dla zaokrąglenia tego artykułu

poświęconego zarówno uczonym, jak i półgłówkom, jednym ku nauce a drugim ku upamiętaniu.

Rzeczony ustęp brzmi:

„Przez dołek w oczach głęboki,
Przez bezmięsne szczęki obie,
Męczą się piasku potoki,
Tak grożąc mojej osobie:
Beduinie bez rozumu!
Czy nie lękasz się Samumu?"

Obróć się w grobie, wielki Adamie i oświadcz twemu oprawcy, jak to tekst oryginalny wygląda:

„Przez jamy, gdzie były oczy,
Przez odarte z ciała szczęki,
Piasek strumieniem się toczy
I złowrogie szemrze jęki:
Beduinie opętany!
Gdzie lecisz? tam huragany!"

Ale lećmy! może to właśnie, żem leciał, żem się uniósł w wyższe sfery, potwarcom moim i uczciwej mojej sprawy, broń podało do ręki. A człowiek żyje nietylko dla nieba, ale także dla ziemi!

Mniejsza o to: nasz Mickiewicz nietylko dla jednego Bolka pisał; ale pisał, czuł, kochał dla miljonów i za miljony, sam wśród rozlicznych zer miljonem będąc, a jeśli do kogo, to do niego zastosowywać powinno się słowa wielkiego poety niemieckiego:

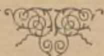
„Dziecko polskie, polskiej syn wygnanki,
Wolność wyssie w mleku swojej niańki.

. . . .

Skargi nasze pójdą pod niebiosy,
Wieszczów w kraju rozszerzą je głosy."

Sambor, 22. Lutego 1898.

G. Kohn.



Hej dziewczyno...

Hej dziewczyno jasnowłosa!
 Popatrz tylko, jak w dolinie
Srebrzy się wśród trawy rosa
I strumyczek chyżo płynie.
  Popatrz, popatrz dziewczę moje!
  — Nie zakrywaj ócz sukienką —
  Jak na niebie ptasząt roje
  Cieszą człeka swą piosenką.
Bocian zlata na poddasze,
By powitać swoje dziatki,
A dokoła góry nasze,
A dokoła nasze chatki.
  Czemu oczka spuszczasz skromnie,
  Czemu płoniesz się jak chusta?
  Przytul złotą główkę do mnie,
  Pozwól złączyć nasze usta.
Nie chcesz? no to daj mi dłonie
I pójdź ze mną w połoniny:
Tam wiaterek ciepły wionie,
Tam są kwiatki i maliny.
  Cóż ci winna złota kosa,
  Że tak targasz ją okrutnie?
  Pójdź dziewczyno jasnowłosa,
  Bo bez ciebie w duszy smutnie!
— „Janku złoty! Janku miły!
Jabym poszła z tobą rada,
Choćby nawet do mogiły —
Ale... jakoś nie wypada!“ —

Henryk Wyrwicz.



Męczennica czysta, biała
Z niedźwiedziem północy
Szła w zapasy, próżno ciała
Broniąc od przemocy.

G. Kohn. Na 50-cioletni jubileusz działalności literackiej Seweryny Duchińskiej.
(*Według fotografii Edwarda Pierzchalskiego w Krakowie.*)

NA 50-CIOLETNI JUBILEUSZ

działalności literackiej

SEWERYNY DUCHIŃSKIEJ,

(z ryciną.)

Kraczą kruki nad mogiłą,
  Szarpiąc Polski łono,
Kraczą, kraczą całą siłą
Nad nią, nad zgnębioną.
Męczennica czysta, biała
Z niedźwiedziem północy
Szła w zapasy, próżno ciała
Broniąc od przemocy.
Niedźwiedź chwilkę tracił siły;
Noc Listopadowa
Pobudziła lud z mogiły,
Błysła gwiazda nowa.
U kolebki walk narodu
Stałaś, Seweryno!
Przypatrzyłaś się za młodu,
Jak ziomkowie giną!
I uczułaś w serca głębi
To, co oni sami;
Hartu nabrał duch gołębi
Do walki z wrogami!
I do boju znów wezwała
Matka-Polska córy;
Wtedyś znów na czele stała,
Walcząc po raz wtóry.
Na wygnaniu, na obczyznie, —
Tak jak pod domową
Strzechą, niosłaś hołd Ojczyznie,

Niosłaś polskie słowo.
Jubileusz Twojej pracy
Święcą dziś ziomkowie;
Przemówili już rodacy.
Wielbiąc Ciebie w słowie.
Przemówili starzy, młodzi;
Cóż mi pozostało,
By Cię wielbić, jak się godzi,
Myślą, duszą całą?
Żyj nam, żyj nam Seweryno!
Witaj Polskę nową!
Niechaj dzieła twe zasłyną,
Niech zasłynie słowo!
Niech uśpionych budzi we śnie,
Niech zwątpiałych budzi:
Żyć bez życia — to boleśnie!
Nam potrzeba ludzi!
Ty ich oświeć Twym przykładem,
Wskaż im Polskę w dali,
A za Twoim pójdą śladem
Wszyscy ci, co spali!

Sambor, 23. Grudnia 1897.

G. Kohn.



DWA ŚWIATY.

NOWELA.

I.

Czcigodnej Elizie Orzeszkowej poświęcam.

Prawie najmniej popularną osobą między żydami ...skimi był Aron Berger. Wiedziano o nim tylko tyle, że utrzymuje przepisy Mojżeszowego Zakonu według tradycji po przodkach przekazanej i nie dba o resztę, jaką tam nakazali sławni talmudyści i cadykowie.

Od czasu, kiedy się ożenił, a było to przed dwudziestu pięciu laty, Aron Berger prowadził handel ze zbożem; dorobił się majątku, żył dostatnio, dawał dzieciom staranne wychowanie i uzbierał skromne posagi dla córek.

Uczciwą pracą zarobiony majątek postawił przecież Arona Bergera w rzędzie porządnych obywateli i niejeden bogacz radby był skoligacić się z nim, już to dla jego majątku, już to w części ze względów na jego stosunki w świecie handlowym.

W tym celu posłano swatów do Arona Bergera, aby zapytali, jaki posag zamyśla dać najstarszej córce Julii i czy przy sposobności nie chciałby także pomyśleć o synowej.

Aron Berger przyjmował swatów bardzo grzecznie, lecz oferty co do synowej odrzucił, mówiąc, że syn powinien wpierw zdobyć stanowisko, zanim pomyśli o żonie; dla córki zaś prosił, by szukali między młodzieżą izraelicką młodzieńca wykształconego, niezależnego od rodziców, wolnego od poboru, mogącego w danym razie pracować na utrzymanie rodziny; a gdyby taki mło-

dzieniec, pozyskał serce jego córki, wtedy zobowiązałby się on, złożyć dla niej tytułem posagu pięć tysięcy i swatom dać jeden procent z kapitału za ich trudy.

Swaci, zachęceni tą nagrodą, rozbiegli i rozjechali się na wszystkie strony, aby szukać męża dla Julii Bergerównej. I stało się, że w krótkim czasie znalazło się aż sześciu kandydatów, oczekujących kolejno przedstawienia.

Do tego przecież nie doszło. W chwili największego oczekiwania, kiedy swaci uszczęśliwieni, „że znaleźli dobry, stosowny towar“, z rozkołysaną wyobraźnią liczyli już w myśli zarobione pieniądze, gruchnęła po mieście wiadomość, że Julia Bergerówna uciekła z rodzicielskiego domu, aby się połączyć z chrześcijańskim młodzieńcem, Arturem Saweckim, przyjacielem i starszym kolegą jej brata.

Skutkiem tego wypadku, stanowisko Arona Bergera w gronie współwyznawców zostało mocno zachwiane. Dom jego zawsze gościnny nawiedzali teraz ludzie nieproszeni. Na twarzach tych gości, tryumf z nieszczęścia wyżej w hierarchii społecznej postawionego bliźniego, mieszał się z wyrazem grozy. Byli i tacy, którzy mieli postacie zgięte, a twarze ponure, głos twardy lub syczący. Obstawali oni usilnie przy tem, aby odebrać uwodzicielowi dziewczynę i żadną miarą nie dopuścić do chrztu. Nie zważając na Arona, sami poczynili byli potrzebne ku temu kroki, licząc na to, że sam Bóg zabiegi ich wynagrodzi sowicie.

Lecz starania prawowiernych spełzły na niczem, a dalsze poszukiwania musiano przerwać w obec nadchodzącego święta sądnego dnia, zwanego także świętem pojednania.

W licznej gromadzie świąt żydowskich, to jedno całkowicie poświęcone jest Bogu. Obchodzonem też bywa z całą surowością przepisów starego zakonu i budzi poważnym swym nastrojem skruchę w sercu takich nawet żydów, którzy dawno zerwali przymierze z Izraelem.

Już wilja „sądnego dnia“ uroczystym jest wstępem tego święta „przebaczenia“, ofiarowanego modlitwie — skrusze — miłosierdziu. Wcześniej, niż w inną

wilję świąt, zamykają żydzi swoje handle i spieszą do domu, na łono rodziny. Tu gospodyni przygotowała już była wczesną wieczerzę, do której zasiada cała rodzina, aby się posilić na dzień następny, dzień postu aż do zachodu słońca. Po wieczerzy, ojciec rodziny przywdziewa białą, śmiertelną koszulę, a matka zapala świece; następuje potem rozrzewniająca scena, kiedy wszyscy społem przebaczają sobie winy i krzywdy, mówiąc: „przebaczcie, aby i Bóg przebaczył“. Gospodyni upokarza się przed służbą, mąż przed żoną, bogaty przed nędzarzem. Ostatnim aktem przed nabożeństwem w synagodze, jest: błogosławieństwo, jakie rodzice udzielają swoim dzieciom.

U Arona Bergera poczyniono do wilji „sądnego“ dnia wszelkie potrzebne przygotowania. Wieczerza została spożytą w milczeniu: cała rodzina była bowiem przygnębiona odstępstwem Julii. Kiedy Aron wstał od stołu i zarzucił na chałat śmiertelną koszulę, ręce jego zatrzęsły się i prawie szeptem rzekł do żony:

— Malciu, zapal świece, bo już późno.

Dzieci zakrzątnęły się około stołu, zabrały talerze i nakrycie, przyniosły lichtarze i świece, potem stanęły dookoła i zapatrzyły się na matkę, która zapaliwszy świece, odmawiać zaczęła rytuałem przepisaną modlitwę, powtarzając słowo za słowem wśród spazmatycznego płaczu.

W tejże chwili wszedł do pokoju pierworodny syn Bergerów, Władysław. Był to młodzieniec dwudziestodwuletni; brunet, o smagłej cerze, regularnych rysach twarzy i pięknych, czarnych oczach. Wzrostu więcej, niż średniego, smukły, gibki, ruchy miał energiczne i namiętne, co stanowiło zagadkową sprzeczność z marzycielskim uśmiechem i spojrzeniem pięknego młodzieńca. Na pierwszy rzut oka poznać w nim było można namiętną, wrażliwą naturę, nie pozbawioną marzycielstwa i melancholii, tak często spotykanej u ludów wschodnich. Obdarzony wielką do nauk zdolnością, obrał był zawód prawnika; ponadto był także współpracownikiem wielu pism postępowych.

Wchodząc do pokoju w uroczystej chwili, Władysław przystanął w progu, jakby chciał zaczekać, aż matka odmówi modlitwę.

Kiedy Aron zobaczył swego pierworodnego syna, przywołał go do siebie, głowę jego w obie dłonie ujął, w czoło pocałował, poczem jedną dłoń nad głową syna trzymając, szepnął:

— Błogosławię cię imieniem Boga Abrahamów, Izaaków i Jakubów.

Władysław przyjął błogosławieństwo ojca z pokorą, lecz nie ustąpił miejsca rodzeństwu, które właśnie zbliżyło się do ojca, aby je tenże pobłogosławił. Odsunął młodszą siostrę Manię i szepnął, rękę ojca do ust podnosząc:

— Ojcze, przebacz Julci!

— Nie mogę — odparł Aron drżącym głosem.

— Ojcze, przebacz jej! Wyprosisz u Boga dobry rok; przebacz Julci.

Stary Aron milczał; okrutna boleść zgarbiła mu plecy i drżące wykrzywiła usta; znać było, że cierpiał i chciał coś powiedzieć; lecz wargi jego poruszyły się tylko; ściśnięte bolem gardło nie wydało żadnego dźwięku.

— Ojcze, przebacz! — błagał po raz trzeci młodzieniec.

Aron jakby się ocknął; spojrzał na syna i kiwnął głową.

— Przebaczam, — wyszeptał — i niech jej Bóg przebaczy!

Zbliżył się do gromadki dzieci, pobłogosławił je, poczem do żony przystąpił.

— Czy już pobłogosławiłaś dzieci? — spytał.

— Już — odparła, chustką łzy ocierając.

— A do sąsiadów i służby poszłaś prosić przebaczenia?

— Byłam u nich; przebaczyli mi.

— A więc niechże nam i Bóg przebaczy. Módlcie się dzieci, wyproście sobie „dobry rok“. A ty Malciu przebacz mi krzywdy wszelakie i wyproś sobie dobry los u Boga.

Aron podał żonie rękę, uścisnęli się i pocałowali, szepcąc słowa przebaczenia i pobożnych życzeń.

Za chwilę ucichło w mieszkaniu. Bergerowie poszli na wieczorne nabożeństwo do synagogi.

II.

Przy bezludnej, mało zabudowanej ulicy przedmiejskiej, wciśnięta między dwa nowe domy piętrowe, stała parterowa kamieniczka, której ciemno-szare mury tu i ówdzie ząb czasu nadwerężył.

Parterowa ta kamieniczka była realnością Wojciechowskiej, wdowy po oficjaliście, pozostałym w służbie u rodziców Artura Saweckiego.

Po swoim nieboszczyku mężu, Wojciechowska czciła najwięcej pamięć zmarłego ojca Artura; dla młodego zaś panicza „miała pewną słabość“, jak lubiła się wyrażać. To też, kiedy Artur przyjechał był na uniwersytet do... i Wojciechowska dowiedziała się o tem, przychodziła do niego często, wypytując go o zdrowie i powodzenie, lub też o minionych czasach z nim gwarząc.

Do tej to kobiety sprowadził Artur swoją narzeczonę, by zamieszkała tu aż do ślubu. Czem upozorował położenie narzeczonej — niewiadomo; dość, że Wojciechowska przyjęła Julię Bergerównę serdecznie i obiecała być dla niej troskliwą opiekunką.

Zaledwie Julia rozgościła się w nowem mieszkaniu, Artur Sawecki odjechał do matki po błogosławieństwo. Miał powrócić za dni kilka.

Lecz minął tydzień jeden i drugi, Artur w listach do Julii pisanych, dnia przyjazdu nie oznaczał. Listy były pisane z pośpiechem i pod wpływem rozdrażnienia. Pomimo zapewnień, że jest szczęśliwy i wkrótce połączy się z ukochaną, ani słowem nie wspomniał, jaki był skutek jego podróży i jak zapatruje się na to małżeństwo jego matka.

Julia przebyła dwa tygodnie w dręczącem oczekiwaniu. Dopiero w wilję „sądnego dnia“ otrzymała telegram od Artura z uwiadomieniem, że nazajutrz przyjedzie.

Artur dotrzymał słowa, a musiał i on tęsknić za ukochaną, chociaż dłużej, niż oznaczył pierwotnie, bawił zdala od Julii, skoro ledwie przyjechał, wprost z kolei

wybrał się do mieszkania narzeczonej. W tym pośpiechu zapomniał, że to pora zbyt wczesna a spotkawszy na ulicy kolegów, przystąpił do nich i poszedł z nimi do najbliższego handelku na śniadanie.

Koledzy w wyśmienitym humorze; Artur ani się spostrzegł, kiedy śniadanie przeszło w sutą libację; udawał przecież, że bierze w niej udział i ukradkiem spozierał na zegarek. Począł już żałować, że z nimi tu zaszedł, a przekonany, że to się tak prędko nie skończy, zawołał kelnera i mimo protestu kolegów, zapłacił rachunek. Chciał, nie pożegnawszy się z nimi, odejść, ale oni zatrzymali go prawie gwałtem.

— Założę się — wołał jeden z kolegów, że Artur spieszy się do swej żydówki. Czy doprawdy chcesz się z nią ożenić? — spytał, wprost do niego z tem pytaniem się zwracając, a gdy Artur je potwierdził, zawołał:

— Wiesz, że robisz kolosalne głupstwo, żeniąc się z żydówką! Ależ to niepodobna!

— Otóż pokażę wam, że to nie jest niepodobnem — odparł Artur. — A teraz pozwólcie, że was pożegnam. Za poważny jestem dla waszego towarzystwa i mógłbym wam zepsuć humor . . .

— Alež Arturze — przerwał pierwszy kolega.

— Puść go! — wołał drugi — Spieszno mu do . . .

— Do mojej narzeczonej! — przerwał Artur — Nie zapominajcie, że mówicie o mojej przyszłej małżonce.

Ukłonił się, włożył kapelusz i wyszedł.

Szedł powoli i ani się spostrzegł, jak otoczył go rój wspomnień.

Bliskie sąsiedztwo i koleżeństwo z Władysławem ułatwiły mu były wstęp do domu Bergerów. Powoli zaprzyjaźnił się i z Julią, pożyczał jej książki, przyczem nie trudno mu było. ciaśniej zadzierzgnąć węzeł przyjaźni.

Czy podejrzywali coś Bergerowie, czy też matka Julii z obawy o następstwa chciała córkę odsunąć od towarzystwa chrześcijańskiego młodzieńca, dość, że może w pół roku po bliższem poznaniu Julii. dowiedział się Artur, że „jego ukochane dziewczę“ (teraz dopiero przyznał się, że ją kocha) zamierzają rodzice wysłać

do Wiednia, gdzie u krewnych mogłaby przepędzić jesień całą aż do karnawału.

To przyśpieszyło wyznanie. Okazało się przytem, że Artur nie może otrzymać Julii dobrowolnie. Należało coś poświęcić ze zwyczajów i kodeksu światowego....

Stało się więc, że Julia opuściła pokryjomu dom rodzicielski i poszła za ukochanym.

Potężna fala wspomnień uderzyła o sumienie Artura. Poświęcenie Julii obowiązywało go do wdzięczności; cofnąć się już nie mógł, bo toby znaczyło zdradzić zaufanie kobiety, którą bądź co bądź kochał szczerze i bezinteresownie.

Zbliżył się już do szarej kamieniczki i nie zauważył, idąc w zamyśleniu, że z przeciwnej strony szedł ku niemu Władysław.

— Artur!

— Władysław?!

Artur był zmieszany. Niespodziewanego spotkania pojąć nie mógł; przytem czuł, że stał jak winowajca w obec brata ukochanej. Mógłże z nim mówić otwarcie? Wszak nie wiedział, czy ma przed sobą wroga, czy też spodziewać się w nim powinien sprzymierzeńca. — Nie, nie zdradzę was! — przemówił Władysław. — Czytam w waszem spojrzeniu i widzę, że mi nie dowierzacie. Daję wam słowo akademickie, że was nie zdradzę.

— Chcecie widzieć się z siostrą? — spytał Artur.

— Nie teraz! Arturze, jak o łaskę was proszę, przejdźmy na tę ścieżkę; uspokoję się, i dopiero wtedy odwiedzimy Julię. Wracam z synagogi. Teraz przerwa w nabożeństwie. Mam dwie godziny wolne. Opowiecie mi wszystko; dobrze?

Zboczyli na ścieżkę, w pole zamiejskie.

Z początku milczeli obaj; lecz po chwili zniknął cień niedowierzania i Artur wyspowiadał się przed Władysławem ze wszystkiego, nawet przyszłych zamiarów nie tając.

W półgodzinę później Władysław powitał siostrę i oznajmił jej o przebaczeniu ojcowskiem. — Przebaczyli — powtórzyła Julia za bratem — Dobrzy, cnotliwi! Niech im Bóg da szczęście i powetuje stokrotnie

to, co utracili. Władziu, ty nas nie potępiasz, nieprawda? — spytała, nieśmiało patrząc mu w oczy.

Nie! Władysław nie mógł ich potępić. Nie miałże Artur prawa pozyskać miłości jego siostry i nazwać ją swoją żoną dla tego, że był chrześcijaninem? Chociaż nielegalnie postąpił z jego rodzicami, to przecież Julii wszelkie prawa żony przyznać zamierzał. Chciał być szczęśliwym i uszczęśliwić umiłowaną przez siebie kobietę; a ponieważ prostą drogą otrzymać jej niemógł, zboczył więc z wydeptanej staremi prawidłami ścieżki, nie zważając na uświęcony wiekami zwyczaj, który nakazuje, li tylko z rąk rodziców lub opiekunów wziąć oblubienicę i powieść ją do ołtarza. Czyż dla tego jedynie powinien go już potępić i nie podać mu ręki, nazywając szwagrem?

Nie uczynił tego do tej chwili, chociaż nim tu weszli, Artur ze szczerością, właściwą jego naturze, przed nim się był wyspowiadał. Dopiero teraz, w obec siostry, zapomniał o krzywdzie, jaką Artur wyrządził jego rodzicom i wyciągnął dłoń ku niemu.

— Dzięki ci za to! — zawołała Julia. — Przychodzisz jak anioł pokoju i zgody. Bądź błogosławiony!

I dłoń swą złożywszy w dłoni brata, otoczyła drugiem ramieniem szyję ukochanego.

Była to piękna grupa: tych troje, złączonych w niemym uścisku. Ona, tuląca głowę na ramieniu mężczyzny, schylonego ku niej z miłością, a obok młodszy brat, który z rzewnem wzruszeniem ku nim spoglądał. — — — — — — — — — — — — —

W godzinę później powrócił Władysław do synagogi. Gdy zajął swoje miejsce, zebrana gmina śpiewała za kantorem ustęp, zaczynający się od słów: „A teraz opiewajmy świętość dnia dzisiejszego.“

Myślami gdzieindziej zajęty, wodził Władysław wzrokiem po modlących się postaciach.

Na ziemi, rozesłanej sianem, stali żydzi w śmiertelnych koszulach pokutnych i kornie ku ziemi chyląc czoła pomarszczone w trosce o chleb codzienny, prosili Pana nad Pany o przebaczenie. Modlili się głośno, żarliwie; a z kątów, gdzie najbiedniejsi, dochodziły

płacze i jęki. Oni prosili nietylko o zmiłowanie i odpuszczenie grzechów, ale o promyk nadziei, o trochę szczęścia, o chleb powszedni.

Wtem ozwał się głos kantora:

„Niestety! Jesteśmy zbłąkani, których nikt nie odszukuje! Okuci w więzy, których nikt rozerwać nie chce! Głodni, którym nikt okruszyny nie poda. Na targ wyprowadzeni, niewolnicy, których kupić wzdragają się. Znienawidzeni, współczucia nie znaleźliśmy dotychczas u wrogów naszych. Wydziedziczonych nikt gościnnie przyjąć nie chce. W niewoli bez wyjścia, osieroceni przez proroków, opuszczeni przez sędziów i królów, jesteśmy pośmiewiskiem narodów szczęśliwych. Popychani z miejsca na miejsce bez litości, jesteśmy natrętnymi przybyszami i każdy nam urąga, pytając: gdzie wasz Bóg? Ażali On nie słyszy waszych jęków? Nikt nas nie uszanuje. Zawsze podobni nieszczęsnym bez pociechy, żyjemy z dnia na dzień w ciągłej walce o chleb powszedni!

Lecz Ty, o Boże, odbudujesz napowrót Syon i stanie znowu świątynia Twoja i składać Ci będziem wonne ofiary. Dziś świątynia Salamona w gruzach i tylko w sercu naszem jest świątynia Twoja. Zmiłuj się nad dziećmi Twemi! Tyś nasz Bóg Potężny, Wielki, Jedyny!“.....

Zadrżał młodzieniec. Szukał prawdy, a echo w odpowiedzi na słowa modlitwy, ozwało się w jego duszy.

— „Oto przyczyna, dla której ten nieszczęsny naród z piętnem parjasa na czole nie zlał się jeszcze dotychczas w zupełności z żadnym innym narodem, nie ukochał szczerze obcej ziemi i wiecznie tęskniąc, marzy o odbudowaniu Syonu.

Niestartemi zgłoskami wypisana w historyi nieszczęsna wędrówka Izraela od jego upadku. Czarne to karty i dziw wielki, że krwawą łuną nie błyskają nam w oczy ich zgłoski. Oto naród, który pierwszy był odczuł i pojął wiarę w jedynego Boga, naród, z którego łona wyszli Mojżesz i Chrystus, daremnie po utracie ojczyzny pukał do wrót obcych. Ci, co dali żydom przytułek, stworzyli zarazem dla nich okropne, ohydne ghetto. W sobie więc zasklepić się musieli wyznawcy

starego zakonu i wtedy to powstał zakaz łączenia się w małżeństwa z obcymi. Zapomnieć kazano, że Samson ożenił się z Filistynką, że król Salamon pojął za żonę egipską królewnę; słowa Pisma św.: „I pójdziesz za mężem twoim, a jego Bóg twoim będzie Bogiem; jego naród, twoim narodem“, słowa te były teraz wymazane i zastąpione surowym zakazem łączenia się w małżeństwa mieszane.

Dzieciom Izraela przekazano w spuściznie nieszczęsną ich wędrówkę po Hiszpanii, Francji, Niemczech — i zaklęto, aby w imię okrutnej tej przeszłości nie wyzuli się z tradycyi po przodkach przekazanej. — —

Aron Berger, sam czując wzgardzone położenie galicyjskiego żyda, któremu na każdym kroku urągano, nie mógł nazwać zięciem chrześcijańskiego młodzieńca. Dla niego chrześcijanie byli potomkami wrogów, którzy gnali jego przodków po ziemi niegościnnej. Nie był świadom owych wzniosłych porywów, kiedy jedni i drudzy mówili: „wspólna nas żywi matka, bądźmy jej dobrymi synami“.

Do niego żaden chrześcijanin nie przystąpił z wyciągniętą dłonią przyjaźni, by przemówić te słowa.

— „Aronie, jakże tam kurs zboża?“ — pytała szlachta — „Aronie, kupicie zboże? — pytali chłopi“.

Nic więcej.

Przyszło z czasem samo, nieproszone, przeświadczenie to smutne, że nie ma i być nie może tej nici serdecznej, wiążącej dwa światy.

Szczerze przywiązany do tradycyj swoich przodków, chociaż czuł, że jego dzieci w innej, niźli on, sferze, żyć będą, nie pozwolił, aby one potępiły to, w co sam gorąco wierzył.

Stało się przecież mimo jego woli i wiedzy, że syn odrzucił z wiary przodków prawie wszystko, prócz imienia Boga i imienia Izraelowego.

A Julia?

Urodzeniem, typem była semitką; zresztą kobietą fin de siécl'u, z której wykształcenie otarło fanatyczne przywiązanie do wiary ojców, a filozoficzna lektura Szpinozy i Szlegla tak obałamuciły, że już we wszystkie dogmaty wątpić poczynała.

Kiedy Aron Berger zajrzał w głąb duszy swoich dzieci, przeląkł się tego, co tam znalazł. Chciał je ratować, lecz spostrzegł, że to zapóźno. Rozdarł więc tylko szaty swe na piersiach i pokutował za żyjącą córką, jak za umarłą.

III.

Matka Artura była jeszcze bardzo młodą, kiedy owdowiała i po żałobie wyszła powtórnie za mąż. Wybór jej padł na bliskiego sąsiada pana Klorka.

Powtórne małżeństwo pani Saweckiej nie mało wpłynęło na późniejsze ukształtowanie się charakteru Artura. Jeszcze za życia ojca oddano młodzieńca do krewnych w mieście i odtąd przyjeżdżał tylko do rodziców na wakacje. Mimo to jednakże, bacznemu oku chłopca nie uszedł był dziwny stosunek, jaki panował między jego ojcem a matką. Wyrachowanie bowiem złączyło niedobrane wiekiem pierwsze małżeństwo pani Saweckiej. Pani Sawecka spełniała obowiązki żony i matki z zasady surowo pojętej moralności, ale nie obdarzyła męża uczuciem; nie kochała; była tylko sumiennie wierną. Dziecko staje najczęściej po stronie pokrzywdzonego. Artur pokochał ojca serdecznie i chętniej z nim, niż z matką, przebywał. Śmierć rodzica, kiedy zaledwie miał lat czternaście, była dla niego ciężkim ciosem; uczuł bowiem, że nić wiążąca go z domem rodzicielskim, przerwała się przy śmierci ojca.

Po spłaceniu długów zostało się ze sprzedaży rodzinnej wioski Saweckich, Górnej Wsi, trzydzieści tysięcy. Temi za życia jeszcze rozrządził był ojciec Artura. Czując, że śmierć się zbliża, wiedząc, że nie ma komu zostawić gospodarstwa, — bo żona nigdy o niem pojęcia nie miała, a syn był małoletnim, — z chęcią przystał był na ofertę swego kuzyna i sprzedał mu Górną Wieś. Wolał już zostawić swojego na tem miejscu, gdzie się urodził, wychował i gdzie miał spocząć po śmierci, aniželi umrzeć w obawie, że wieś rodzinna wskutek złej administracyi przejdzie kiedyś w obce ręce.

Po śmierci starego Saweckiego okazało się, że piętnaście tysięcy ulokowanych było w depozycie dla Artura; dziesięć tysięcy miała otrzymać wdowa, a pięć tysięcy zapisanych było na legaty.

Po ostatnich ceremonjach pogrzebu Artur powrócił do miasta, by skończyć przerwane nauki. Gdy po kilku latach zdał maturę, zapisał się na kurs prawa. Matkę ledwie raz do roku odwiedzał, a gdy z powtórnego jej małżeństwa przyszła na świat córeczka, Artur mimo wysiłku woli niechętnie zdobywał się na dłuższe u matki odwiedziny; zrażała go teraz w dodatku siostrzyczka źle chowana, krnąbrna i niegrzeczna.

Mijały lata.

Teraz, kiedy Artur przyjechał do matki i oświadczył jej, że ma zamiar poślubić Julię Bergerównę i prosi o błogosławieństwo, poznał dopiero, jak słabe dla niego żywiła uczucie.

— Pojmujesz — rzekła do niego — że w takim razie już nic wspólnego z sobą mieć nie możemy. Nie robię ci wyrzutów, te czasy już minęły, kiedy czyniono rodziców odpowiedzialnymi za postępki dzieci. Jesteś pełnoletnim i sam odpowiadasz za swoje czyny.

Ta obojętność bardziej jeszcze zadrasnęła dumę Artura, niżby to były uczyniły sceny oburzenia i gniewu. Opuścił matkę z mocnem postanowieniem, nie podać jej już ręki do zgody.

Spalił więc mosty za sobą, jak to była uczyniła Julia i zdawać się mogło, że oboje zapomną o przeszłości.

Artur może nie bardzo zastanawiał się nad tem, co zaszło między nim a matką; ostatecznie, nigdy nie był przez nią gorąco kochany. Ale w sercu Julii pozostał cierń wyrzutu.

Doszło już bowiem do tego, że postanowiła bądź co bądź widzieć się z rodzicami i prosić ich o przebaczenie za to, że pokryjomu opuściła ich dach gościnny.

Niespostrzeżona przez Wojciechowską, wymknęła się raz nad wieczorem ze swego mieszkania, przeszła szybko przedmieście i skręciła do dzielnicy miasta, która stanowiła centrum siedziby postępowych żydów.

Od południa pogoda zmieniła się była; na niebie zgromadziły się chmury, niepozorne wprawdzie i małe, lecz wkrótce przykry, drobny deszcz zwilgotnił bruk miejski, a gęsta mgła, niby szarym płaszczem, oblekłszy firmament, cieniem padała na ziemię, gęstszym jeszcze czyniąc mrok wieczorny.

Julia stanęła wreszcie w bramie przeciwległego domu, gdzie mieszkali jej rodzice i, sama jak cień, śledziła cienie w oświeconych oknach rodzicielskiego mieszkania.

Nagle posłyszała obok głosy rodziców; widocznie wracali do domu.

„Czy wyjść z ukrycia i stanąć im na drodze jak widmo bolesnego przypomnienia?“ — spytała.

Nie mogąc sobie zdać sprawy, jak i kiedy to się stało, przypadła do rodziców i rzuciła się w objęcia matki.

— Julia!

Bergerowa przygarnęła ją do piersi i drżącemi ze wzruszenia dłońmi podniosła w górę schyloną główkę córki, by się przypatrzyć jej twarzy.

Aron nie przywitał jej z pieszczotą; oczy wzniósł w górę ku szarej atmosferze, pod której osłoną Boga szukać się zdawał, aby Mu dziękować, że marnotrawna córka wróciła. Usta jego coś szeptały, zapewnie modlitwę; dopiero kiedy z Bogiem się rozmówił, podszedł do Julii i w czoło ją pocałował.

— Chodź z nami! — rzekł — Bóg nas wysłuchał! On, który był powiedział prorokom swoim, że zapomni o grzechach Izraela, gdy wejdzie w siebie i nawróci się do wiary Jedynego, On Wszechmocny nauczył i mnie przebaczyć i zapomnieć. Z dniem dzisiejszym minęła smutna przeszłość i nie chcę, aby nawet we wspomnieniu wrócić miała. Chodź!

Ujął rękę córki, żona szła z drugiej strony; nie pytali już o nic i w milczeniu zaszli do mieszkania. Gdy weszli do kuchni, Mania wraz z młodszem rodzeństwem pośpieszyła przywitać rodziców. Spostrzegłszy Julię, z okrzykiem radości rzuciła się w jej objęcia.

— Julia! Nasza Julcia! Kochana siostra nasza! — powtarzało rodzeństwo, cisnąc się do powracającej w progi rodzinne.

Scena ta zwabiła Władysława do kuchni. Wszedł prędko, lecz spostrzegłszy Julię, przystanął zdziwiony.

— Julio, co tu robisz?! — zawołał głosem przytłumionym.

Nie odpowiedziała, bo rodzice, dawszy znak dzieciom, aby nie szły za nimi, pociągnęli ją do pokoju Władzia.

Wchodząc tu z bratem i rodzicami, Julia mimowoli wspomniała chwile, spędzone w tym pokoju. Tu, wespół z Arturem i bratem najchętniej przesiadywała; tu rozmawiali o żywotnych kwestjach czasu; mówili z zapałem o tej idei miłości ludzkiej, która ma świat zbawić; tutaj nauczyła się kochać.

Aron Berger usiadł na kanapie; naprzeciwko zajęły miejsca żona i Julcia; Władysław stanął przy oknie.

— Powiedz mi Julciu droga, czy życie między katolikami było ci ciężarem? — spytała Bergerowa po krótkiej rozmowie. — Lecz nie smuć się! — dodała łagodnie. — Chociaż opuścił cię chrześcijański młodzieniec, rodzice cię nie opuszczą. Czas wszystko zagoi, wydamy cię za jakiego porządnego współwyznawcę....

— Matko!... O... matko... nie!... Nie mów tego!...

— Co ci to, moje dziecko?

— Nic! Przypomniałaś mi tylko, że jestem szaloną!...

Władysław odwrócił się, aby ukryć wzburzenie, które go opanowało, kiedy słuchał słów matki. Nie chciał się teraz wmieszać do rozmowy, nie wiedząc, co sądzić o Julii i o jej powrocie do rodziców. Spostrzegł bowiem w jej oczach coś takiego, co nie licowało z wygłoszoną przez rodziców radosną nowiną, że na zawsze do nich powraca. Obawiał się raczej egzaltacji z jej strony, do czego, jak ją znał, była bardzo skłonną, aniżeli niestałości w zamiarach. Nie chciał także w to uwierzyć, aby Artur ją był opuścił, lub że ona zechciałaby dobrowolnie opuścić Artura.

Nie dalekim był od źródła prawdy.

Julia poszła za rodzicami w nadziei, że ich przebłaga i przekonać potrafi, iż musi i powinna zostać żoną Artura. Chciała ich widzieć, dowiedzieć się, czy zdrowi, czy ją kochają; lecz ochłonąwszy z tej egzaltacyi, poznała, że źle zrobiła, pozwoliwszy łudzić się rodzicom, iż do nich wraca na zawsze. Nie mogła tu zostać; wszakże matka obiecywała ją wydać za jakiegoś współwyznawcę.

— Czy to mnie czeka, gdybym poświęciła rodzicom moją miłość do Artura? — zapytywała się nie bez goryczy.

— Nie, ja z wami żyć nie mogę! — zawołała prawie głośno.

Uścisnęła rodziców i Władysława i wybiegła z pokoju.

To wszystko odbyło się tak niespodzianie prędko, że ci, co pozostali w pokoju, nie ruszyli się z miejsca; słuchali i nie pojmowali, co się stało; zda się, że czekali powrotu Julii; nie dowierzając, że ten jej nagły wybuch, któremu towarzyszył nerwowy uścisk, poprzedził tylko jej ucieczkę; uciekła bowiem poraz drugi, a teraz zapewne na zawsze.

Julia nie wróciła. Biegła już z powrotem do szarej kamieniczki, wciśniętej między dwa nowe domy piętrowe na dalekiem przedmieściu.

Deszcz padał teraz większy, niźli nad wieczorem; gdzieniegdzie tylko blask oświeconej latarni padał smugą światła na ciemny bruk miejski; zresztą było pusto i głucho dokoła.

Julia biegła bez wytchnienia po bezludnych ulicach zamiejskich. Z nadmiaru wrażeń, doznanych w tym dniu, czuła chaos w głowie, a to, co bezpośrednio w tej chwili oddziaływało na jej duszę, skupiało się w poczuciu bolesnego osamotnienia.

Nie lękała się widoku ponurej, deszczowej nocy; była odważna i dość energiczna, aby w danym razie módz sobie poradzić. Uczucie grozy budziło w niej własne szaleństwo, które wypchnęło ją z domu w tę noc ciemną, by rozdrażnić bardziej ból rodziców i po-

stawić po sobie żal wielki, straszny, bo podwójnie druzgocący ich nadzieje.

Nareszcie powróciła do swego mieszkania. Wojciechowskiej wytłómaczyła swoją nieobecność jak mogła i poprosiła o samowar. Czuła, że musi być zdrową i zatrzeć powinna ślady tej nieszczęsnej przechadzki. Prędko zmieniła odzienie i rzuciła się znużona na kozetkę.

„Jestem szaloną, egzaltowaną marzycielką, która nie wie, czego chce! — chłostała się myślami. — Jeśli raz opuściłam była rodziców, aby zostać żoną Artura, powinnam była całą duszą przylgnąć do tej myśli. Artur mnie kocha; dla czegóż nie miałby mi on starczyć za wszystkich? Wszak powołaniem kobiety jest wyjść za mąż; wyrasta więc z tą myślą, że kiedyś opuści rodziców, by pójść za mężem swoim.

.... Lecz ona wychodzi z domu rodzicielskiego, unosząc ztamtąd błogosławieństwo na nowe życie. Mnie nikt nie pobłogosławił.

Bieg jej myśli zawadził o najświeższe wspomnienie:

„Czy rzeczywiście byłam u rodziców? A może to urojenie?... Myślałam o nich ciągle i znalazłam się w ich mieszkaniu wbrew woli i rozumu.

I cóż ztamtąd wyniosłam? Idealizując wszystko, co odnosiło się do rodziców i rodzeństwa, musiałam się rozczarować. Zapomniałam, jak bywało; zapomniałam, że odkąd poznałam Artura, czułam sie nie jak na właściwym gruncie, w domu rodzicielskim i, dla tego że tak było, poszłam za Arturem.

Cóż zatem znaczy ta niestałość? Czemu ciągle żądam czegoś, czego sama określić nie mogę? Samotną będąc, zwracam się myślą do rodzicielskiego domu, gdy tam byłam, szukałam daremnie tego wszystkiego, co znaleść obiecywała sobie tęskniąca dusza.

Przy Arturze nie znam tego rozdwojenia, zapominam o niepokoju duszy, gdy wsłuchana w jego opowiadania, gonię myślą po tych przestrzeniach, po których jego duch szybuje. Czemu wtedy dusza moja spokojna?

Lecz kiedy zostaję sama i echo słów jego przebrzmi, wtedy na duszę moją pada znowu cień niewiary i powątpiewania.

Czym już wiary pozbawiona?

O tak! Brakuje mi tej ślepej wiary, niezamąconej żadnemi sofizmatami. Potrzeba mi wiary, abym kosztując życia, nie czuła goryczy, na dnie jego się mieszczącej. Wiara byłaby mi bussolą i strzegła by mnie od fałszywych kroków. Czego chciałam od rodziców? Czy oni mogą mnie teraz pojąć? Dobry, szlachetny ojciec! On mi przebaczył i chciał zapomnieć o wszystkiem! Dla niego i tylko dla niego byłabym została. Matko... czy dobrze zrobiłaś, budząc mnie z tego snu serdecznego?... „Za jakiś czas wydamy cię za jakiego porządnego współwyznawcę.“... O... te słowa! Zawierciły one w moim mózgu, ukłuły w serce w sam czas, aby zerwać się i uciec. Ja niczyją żoną być nie mogę, tylko Artura. Czy mają nas odgraniczyć różnice wiary? Zobaczmy, co dotychczas było moją religją.

Spełniałam przepisy starego zakonu mechanicznie, bo mnie do tego naganiano; czyż mogę teraz przejąć się etyką chrystjanizmu? Nie mogę zostać chrześcijanką z przekonania, bo cóż widzę? Chrześcijanie nie są wyznawcami Chrystusa i oddawna już potworzyli sobie bożków samolubstwa, pychy, żądzy i ciemności.

Mam-że zostać taką chrześcijanką, jaką byłam żydówką? Czy wolno mi nie uszanować boskiego przykazania, które opiewa: „Czcij ojca i matkę?“ Mamże plunąć na to, co oni czczą?

Przechrzcianka!... Słowo to brzmi w moich uszach, jak przezwisko ohydne. Tem słowem napiętnują mnie, jak galernika piętnem jego zbrodni.“

Ten przegląd myśli, to sondowanie duszy, wyczerpały siły Julii. Tyle znaków zapytania migotało przed wzrokiem jej ducha i na żadne potęga rozumu, przed którą się korzyła, nie miała odpowiedzi. Potem przypomniała sobie, że w takiej właśnie chwili Artur radził jej zawsze szukać w modlitwie ulgi i pociechy, oraz oświecenia.

Uklękła więc, poraz pierwszy przed ideą Stwórcy, błagając Go o stałość i wiarę głęboką, któreby ją ustrzegły od pomyłek w dalszem życiu.

IV.

Artur wybierał się do Julii, kiedy zapukano do jego mieszkania i wszedł Władysław.

— Cóż przynosicie Władysławie? — spytał Artur, gdy się przywitali.

— Przychodzę od ojca; prosi on was do siebie na poufną rozmowę.

— Zdradziliście nas, Władysławie i powiedzieli ojcu, gdzie mieszkamy . . . . .

— Niecierpliwość czyni was niesprawiedliwym!... Lecz siądźmy. Trzeba mi odpocząć po nużącej drodze. Za daleko mieszkacie teraz.

— Zmieniłem był mieszkanie, aby wam zejść z oczu — odparł Artur.

— Julia była u nas — rzekł Władysław, puszczając mimo uszu uwagę Artura.

— Wiem! — przerwał Artur. — Lecz czegóż chce wasz ojciec?

Pytanie to, tak było postawione i takim wyrzeczone głosem, że zdradziło aż nazbyt jawnie niechęć chrześcijanina do poufnej konferencji z żydem, którego jak obcego traktować nie mógł, a do poufałości ochoty nie czuł, nie znając go bliżej.

Władysław czy odczuć nie chciał, czy też rzeczywiście nie odczuł tej niechęci, bo rzekł po chwili:

— Ojciec mój pragnie, aby Julia została wam poślubioną urzędownie, to jest w drodze cywilnej. Zaczekajcie!... Wszak wiem, że to wielkiej nie zrobi różnicy. Wszak żenią się chrześcijanie z protestantkami; czemużby między wami różnice wiary miały wpłynąć na pożycie małżeńskie?...

— I protestanci wierzą w Chrystusa — przerwał Artur.

Po twarzy Władysława przemknął cień niezadowolenia.

— I to wasza wolnomyślność, Arturze?! — spytał. — Macie żydom za złe, że zasklepiają się w sobie i są kosmopolitami. Ale co zrobiliście, aby działo się inaczej? Zburzono gmach, który z takim mozołem szla-

chetni postawić chcieli, a teraz się dziwią, zkąd tyle śmiecia się nazbierało. Czyż zawsze będziecie ślepi? Zawsze odrzucać będziecie dłonie silne, aby potem żałować tej niewczesnej pogardy? Pamiętajcie, że przyjdzie chwila, kiedy powtórzy się z nami to, co było podczas rozstrzygnięcia kwestyi ruskiej. Nie w taki sposób przecina się gordyjskie węzły! Przyjdzie żal, ale już będzie poniewczasie . . . . : . .

Władysław zapalał się coraz bardziej i zapomniał, że odbiegł od właściwego przedmiotu.

Artur słuchał go uważnie. Młody Berger odzywał się do najświętszych jego uczuć. Wymówki Władysława zawierały prawdziwe oskarżenie; upokorzył go ten młodzieniec; był winnym, a teraz należało odpokutować winę żądanem ustępstwem.

Zastanowił się nad niem.

Żądanie Bergerów na ich poglądach się opierające było racjonalnem; lecz on nie mógł się na nie zgodzić bez zastrzeżeń; myślał o swojem przyszłem potomstwie i objawił skrupuły Władysławowi.

— Warunku tego w obec rodziców nie poruszymy — odparł Władysław — wy zaś, jeśli wam Bóg pobłogosławi, zrobicie to, co uznacie za stosowne i dobre.

— Czy pójdziemy teraz do waszych rodziców?

— Chodźmy!

Wyszli.

Długą chwilę szli w milczeniu. Artur myślał o następstwach, mogących wyniknąć z tego, co uczynić zamierzał, oburzając się na wspomnienie o żądanem przez Bergerów ustępstwie. Uspokoił się dopiero, gdy wspomniał, że Julię zadowolni tą ofiarą. Przedtem bowiem, nim miłość sobie wyznali, mówiła mu była Julia poruszając inną jakąś kwestję społeczną, że uregulowanie kwestji małżeństw mieszanych, dałoby się tylko w ten sposób załatwić, gdyby rząd wprowadził w życie poruczoną ustawę lutową z roku 1870-go.

Cierpiał przecież moralnie pod naciskiem myśli, że będzie musiał usprawiedliwić się przed tymi, którym zabrał był córkę, nie czekając ich zezwolenia. Wszakże nie bardzo przyjemna to rzecz, stanąć przed kimś, jako

winowajca, słabą w pogotowiu mając obronę na usprawiedliwienie popełnionej winy.

Lecz obawa Artura, że konferencja ze starym Bergerem będzie dla niego ofiarą podwójną, okazała się przedwczesną. Poszedł niechętnie, a wyszedł od starego Arona wzruszony do głębi, unosząc z sobą szacunek dla zasad tego żyda, który choć pokrzywdzony, umiał przebaczyć.

Bergerowa przy konferencji tej nie była obecną. Nie chciała się spotkać z człowiekiem, który pozyskał miłość jej córki, chociaż należał do tych, o których tylko z politowaniem, lub niechęcią mówiła, starając się zaszczepić w dzieciach te same zapatrywania. Zamknięta w dużej jadalni, przesiedziała tam czas cały, wpatrzona w fotografię córki. Kiedy posłyszała kroki odchodzącego Artura, cisnęła fotografię i spazmatycznie płakać zaczęła.

Artur po tej wizycie nie poszedł do Julii. Chciał raz jeszcze wszystko, co się stało, rozważyć, a na to potrzebował samotności. Skierował więc kroki w ulicę, gdzie mieszkał, nie przeczuwając niespodzianki, jaka go tam czekała.

Nie upłynęło bowiem pół godziny od chwili, kiedy Artur wyszedł w towarzystwie Władysława, gdy jakaś elegancka pani, na którą czekała przed bramą dorożka, kazała się zaprowadzić do jego mieszkania. Wszedłszy do pokoju Artura, odprawiła stróżkę i przystąpiła do lustra, by poprawić coś u swojej toalety, przyczem uśmiechnęła się do zwierciadła.

A było jej z tym uśmiechem dobrze i dodawało jej uroku pierwszej młodości, chociaż liczyła już lat trzydzieści dwa. Miała nadzwyczaj zgrabną figurę, małą główkę i regularne, drobne rysy. Mała, zgrabna, olśniewała jasną, różową płcią i złotawemi splotami obfitych włosów. Wyglądała na szczęśliwą, pieszczoną kobietę, która zna życie z najpiękniejszej strony.

Była w istocie szczęśliwą.

Natura obdarzyła ją zdrowiem i urodą; los umieścił u szlachetnych, bogatych rodziców, zamąż wyszła ze skłonności serca i trafiła jak najlepiej. Była dzieckiem szczęścia; zadowolenie raz zagościwszy do jej serca, nie

opuszczało jej w najkrytyczniejszej nawet chwili. Była zadowoloną z życia, z ludzi, z ustroju społecznego; nie pojmowała, jak można sobie życzyć, aby działo się inaczej.

Zazdrościli jej też wszyscy tego miłego usposobienia i dobrego na świat poglądu, a ona, nie rozumiejąc ich pesymizmu, pytała:

— Nie pojmuję was! Jedna niezadowolona z męża, druga z krawczyni i modniarki, trzecia ze służącej, czwarta z mieszkania, piąta z dzieci. Nie pojmuję tego! Wszak mój mąż o wiele starszy odemnie i z pewnością mniej piękny, a ja go kocham i jestem z nim szczęśliwa. Krawczyni ani razu nie zepsuła mi jeszcze sukni, modniarka zrobi mi zawsze kapelusz tak, że od razu trafi mi do gustu. Co zaś do służby i mieszkania, zawsze z obojga jestem rada. Wszędzie mi wygodnie, swobodnie i wesoło. No, to jedno! Dzieci wprawdzie nie mam, ale zdaje mi się, że gdyby Bóg był pobłogosławił, byłabym tem ucieszona, szczęśliwa, rada jak zawsze.

Wzdychały piękne panie, słuchając takich uwag; lecz chociaż jej zazdroszczono, lubiano ją, bo wszędzie, gdzie zaszła, wnosiła z sobą pogodę i wesele. Nazywano ją „złotą Herminą“ dla jasnych włosów i prawdziwie „złotego humoru.“

Hermina i do pokoju Artura wniosła z sobą ruch i życie. Fruwała po niem jak ptaszę, wypuszczone z klatki; co usiadła, to zerwała się znowu, by temu lepiej się przyjrzeć lub tamto poprawić; zdawała się być zupełnie zadowoloną z roli, jaką tu grała.

— Gdyby mój mąż wiedział o tem, że znajduję się w kawalerskiem mieszkaniu! — pomyślała, usiadłszy przy biórku.

Za chwilę zerwała się z miejsca; widocznie niecierpliwiło ją długie oczekiwanie.

„A przyjdźże Arturze! — zawołała prawie głośno — nie jestem przyzwyczajoną czekać tak długo na urzeczywistnienie moich pragnień.“

Hermina musiała mieć wszystkie dobre wróżki na usługach, bo ledwie wyrzekła te słowa, słyszeć się dały

w kurytarzu czyjeś kroki, poczem odezwało się lekkie pukanie do drzwi.

— Proszę! — zawołała w przypuszczeniu, że to Artur być musi.

Artur wszedł prędko. Wstąpiwszy po klucz u stróżki, dowiedział się, że w jego mieszkaniu czeka jakaś dama; zaintrygowany tem, udał się na górę.

— Przepraszam — mówił Artur wchodząc — powiedziano mi, że pani na mnie czekasz. Jakiejże okoliczności zawdzięczam ten zaszczyt? . . .

— Czy żądasz pan, abym się przedstawiła? Więc mnie nie poznajesz, Arturze?

— Doprawdy, że nie mogę sobie przypomnieć.

Nagle, przypatrzywszy się jej lepiej, uchwycił jej rękę i całując ją, zawołał radośnie:

— Czyżby kuzynka Hermina? . . .

— Nareszcie mój panie Zapominalski! A teraz podziękuj, że zamiast przysłać ci bilet z oznajmieniem, iż bawimy tu w przejeździe i stanęliśmy w tym a tym hotelu, przyszłam ci to sama oświadczyć.

— O dziękuję! Za wiele, za wiele dobroci! . . .

Artur ucałował drobne rączki Herminy i z wyrazem serdeczności popatrzył w jej niebieskie oczy.

— Mąż dobrodziej zdrów? Nie stracił jeszcze ochoty do podróżowania? — pytał, prowadząc ją ku kanapie, na której oboje usiedli.

— Taki z niego Ahaswer, jak przed dziesięciu laty, kiedyś nas po raz ostatni spotkał we Lwowie — odparła. — A propos! Czy wiesz, że wracamy od twojej matki? Zabawiliśmy tam dwa dni. Jaka ona sztywna, jaki chłód od niej wieje! Gdybym tam dłużej była została, zmieniłabym się była w soplę lodu. Nie żałuję przecież tych odwiedzin, bo pięknych o tobie dowiedziałam się rzeczy! Mój kuzynek bawi się w romansowego bohatera, zamyśla żenić się z żydówką! . . .

— Hermino!

— Czy cię dotknęłam? . . . Ależ to owszem chluba twoja!

— Więc nie bierzesz mi tego za złe?

— Ja? Ależ ty urosłeś po prostu w oczach mojego męża, odkąd usłyszał tę historję z ust twojej ma-

tki. A ja, wiesz przecież, że nie mam wyrobionego sądu i zdaję się ze wszystkiem na męża. Powiadam ci, że z niecierpliwością oczekuje on twojej wizyty. Przyjechaliśmy dopiero dzisiaj o szóstej i za dni kilka wracamy do * * . . , gdzie teraz stale mieszkamy.

— Do * * . . ? — zawołał Artur. — Jeśli wszystko gładko pójdzie, osiedlę się i ja w tem mieście.

— Z twoją żoną?

— Tak jest. Staram się o posadę w tamtejszym banku hipotecznym. Z pensyi, jaką otrzymać się spodziewam, możemy wyżyć, licząc w to dochody z mojego kapitaliku.

— Czy ślub już naznaczony? Gdzież się odbędzie?

— Gdzie? Boję ci się powiedzieć. Nie zrozumiesz mnie i potępisz . . . .

— Więc tak mało masz do mnie zaufania? Moja matka była twoją stryjeczną siostrą, wychowałeś się prawie u nas, a kochaliśmy się jako dzieci, pamiętasz? Jestem starszą od ciebie; nie masz teraz bliższych krewnych, bo twoja matka . . . no widzisz . . . marszczysz się! . . . Dla czego kryjesz się przedemną? Ten brak zaufania zdradza twoją oziębłość dla uczuć i związków rodzinnych. Opowiedz wszystko!

Artur zaczął opowiadać historję swojej miłości. Hermina słuchała go z uwagą, godną i tem bardziej podziwu, że miała usposobienie trzpiotowate i żywsze.

— Wiesz Arturze — rzekła w końcu — że zupełnie jak mój mąż, zapatrujesz się na stosunki społeczne! Z jakiegoż gniazda twoja Julia?

— Jej rodzice należą do postępowych ludzi, a ona sama jest nadzwyczaj wykształcona, rozumna i piękna. Rodzina jej cnotliwa i dobra. Starego Bergera nauczyłem się szanować i kochać.

Umilkł, by po chwili spytać:

— Pewno ci matka powiedziała, gdzie mieszkam? Wyjeżdzając, zostawiłem jej mój adres w nadziei, że przecież się namyśli i więcej dla mnie okaże uczucia.

— Nie masz się czego spodziewać! — odparła Hermina. — Przyjechaliśmy do niej z mężem na czas dłuższy, ale nawet nie kazałam rozpakować kufrów. Mówiła o tobie wiele. Jak? Możesz się domyśleć. Nie

chciała słuchać perswazyj mego męża; ofuknęła nas, że zmilczeliśmy oboje, nie chcąc jej drażnić. Lecz nie smuć się Arturze! Jeśli osiądziesz w * * . . , a powiem mojemu mężowi, aby poparł twoje zabiegi o tę posadę, wtedy znajdziesz u nas to wszystko, coby ci matka zgotować potrzebowała.

Artur z wdzięcznością ucałował ręce Herminy i byłby pewnie słowami dziękował, gdyby nie był wszedł stróż z oznajmieniem, że czekający przed bramą dorożkarz zaczyna się już niecierpliwić i zapytuje, kiedy „jaśnie pani“ pojedzie.

— Boże! Jak ja mogłam o tem zapomnieć! — zawołała Hermina. — Zaraz! Zaraz! Mój człowieku, powiedźcież dorożkarzowi, że zaraz zejdę; niech nie odjeżdża, bo mam w dorożce swoje pakunki.

Stróż wyszedł, by spełnić zlecenie.

— A to dopiero trzpiot ze mnie! — mówiła Hermina wesoło. — Wyobraź sobie: zakupuję różne gałganki, wsiadam z niemi do dorożki i zamiast jechać z niemi do hotelu, gdzie zapewne niecierpliwi się już mój mąż, każę się zawieść do ciebie i rozgościwszy się tutaj, zapominam o dorożkarzu i pakunkach. W sam czas przypomniano mi, że muszę wracać. Do widzenia zatem! Oczekuję cię w „hotelu europejskim“. Naturalnie, przyjdziesz z twoją narzeczoną. Mój mąż pierwszy zawita do niej w odwiedziny, aby dopełnić ceremonji. Pomówimy wtedy o wszystkiem i ułożymy sobie plan, w jaki sposób macie się osiedlić w * * . . . Lepiejby było, abyście razem z nami jechali. Tam łatwiej ślub cywilny otrzymacie. O posadę troszczyć się nie potrzebujesz; tę, jakbyś już miał. Dyrektorem banku jest kuzyn mojego męża. Już oni przeforsują twoją kandydaturę.

— A mieszkanie?

— Z tem ja się już uporam. Zamieszkasz tymczasem w hotelu, a Julia u mnie; mam obszerne mieszkanie. Jakież jeszcze trudności wynajdziesz? Czy ci na tem niezależy, abyś jak najprędzej połączył się z Julią?

— I ty pytasz? Z serca wdzięczny ci jestem za te objawy współczucia, za radę i przyrzeczoną pomoc, z której nie omieszkam skorzystać.

— Tak, to mi się podobasz! Ucałuj Julię odemnie i powiedz jej, że z największą radością uważam ją już teraz za przyjaciółkę.

— Dziękuję za to ostatnie z całej duszy — mówił Artur, sprowadzając Herminę do czekającej przed bramą dorożki. — Nie zapomnę dzisiejszych twoich odwiedzin. Bóg zapłać za radosną niespodziankę, jaką mi sprawiłaś.

Ucałował raz jeszcze rękę odjeżdżającej i powrócił do pokoju, aby się przebrać i uskutecznić wreszcie zamiar odłożonej poprzednio wizyty.

V.

Wiktor Csaky, mąż Herminy, był z pochodzenia Węgrem, chociaż w jego żyłach płynęła także krew polska; matka jego była bowiem Polką. Po rodzicach oddziedziczył Wiktor Csaky krew gorącą, miłość ojczyzny, wielki idealizm i nadzwyczajną rzutkość umysłu.

Rodzice jego mieszkali w Peszcie i dopiero kiedy matka chorować zaczęła, przenieśli się do Lwowa, gdzie krewni otoczyli ją staranną opieką. Po śmierci matki dwudziestodwuletni wtedy Wiktor, odbył podróże po Europie i dopiero po kilku latach do Lwowa powrócił. Z miastem tem wiązały go święte wspomnienia. Tutaj miał życzliwych krewnych, którzy osłodzili byli ostatnie chwile życia jego matki i pamiętali potem o jej grobie. Tęsknił też do tego miasta smutnych wspomnień, bo ostatniemi czasy zostawił tu był małą, jasnowłosą kuzynkę Herminę.

Miał lat trzydzieści, Hermina ośmnaście, kiedy wrócił do Lwowa. Jego poważny zawsze wyraz twarzy, dawał mu wygląd starszy; trzpiotowatość Herminy przy długiej nawet sukience, robiła wrażenie niedojrzałości podlotka.

Lecz mimo tej różnicy, a może dla niej właśnie upodobali się sobie i ku zdziwieniu wszystkich znajomych, oznajmili, że się kochają. Rodzice Herminy byli temu bardzo radzi, bo trzpiotowatość jedynaczki wymagała wyrozumiałości statecznego męża. Gdy przekonali się o istotnej skłonności swojej pieszczotki, dali im swe błogosławieństwo, ale pod warunkiem, aby Wiktor nie zabierał im córki do Węgier, gdzie mieszkał teraz jego ojciec, lecz został w Galicji i przystąpił jako wspólnik do przedsiębiorstw swego teścia.

Wiktor Csaky dopełnił tego warunku, czego żałować nie potrzebował, bo dzięki wskazówkom teścia i własnemu wykształceniu technicznemu kierował wielkiemi przedsiębiorstwami, a po śmierci ojca, z powiększonym przez spadek kapitałem, stanął na czele przedsiębiorstwa kolejowego.

W krótkim też czasie pozyskał imię szlachetnego dobrodzieja ludzkości, człowieka ze wszechmiar godnego i tylko konserwatyści zarzucali mu, „żydowski liberalizm".

Takim był mąż Herminy i takim kochała go szczerze, choć po swojemu, wiedząc, że mimo wszystkich jej wybryków, ubóstwia on swoją żonusię. Wprawdzie rzadko kiedy robiła co bez jego wiedzy; owszem, radziła się go we wszystkiem, jak nieletnie dziecko. Popełniwszy zaś co, bez pierwotnego zasięgnięcia pozwolenia, wyznawała to potem z całą skruchą dobrze wychowanej pensjonarki.

Ranną swoją wizytę u Artura opowiedziała też zaraz, ledwie przeszła przez próg hotelowego pokoju. W kapeluszu i zarzutce, jak była, rzuciwszy tylko pakunki na stół, zawołała:

— Nie zgadniesz, co znowu zrobiłam!

Opowiedziała mu swoją wizytę u Artura.

— O, trzpiocie ty, trzpiocie! — strofował ją mąż łagodnym głosem — czy ty nie wiesz, co wypada, a co nie? Czy nie byłoby piękniej, gdybyś mu była znać dała, aby nas w hotelu odwiedził? . . . .

— Mój mężusiu, tylko nie marudź! — przerwała mu. — On taki biedny; matka go się wyrzekła, krewni opuścili! Toż to naszym najświętszym obowiązkiem,

okazać mu jaknajwięcej życzliwości i przyjaźni. Wszak sam, dopiero dzisiaj rano, mówiłeś o nich obojgu z takim entuzjazmem!

— Nie przeczę. Zyskali oni moją sympatję, bo zrozumieli dobrze ducha czasu! . . . .

Pan Csaky byłby długo rozmawiał na ten temat; ale Hermina przypomniała mu, że to pora obiadowa i że po obiedzie powinien złożyć wizytę Julii Bergerównej.

Wieczorem przybył do nich Artur z narzeczoną. Csakowie przyjęli ich tak serdecznie, że Julia, oczarowana ich dobrocią, myślała, że wszyscy krewni i znajomi Artura prędzej, czy później, otworzą jej swe serca i wrota.

Wynurzyła też te myśli Arturowi, gdy ją po wizycie u kuzynostwa odprowadził do domu.

— Bez optymizmu, moja Juleczko, sądzić powinnaś ludzi i wypadki! — odparł na to Artur. — Wiktorowie okazali nam, co prawda, wiele życzliwości, lecz łudzić się nie powinnaś, że i drudzy będą dla nas tak przychylni. Czeka nas wiele przykrości od ludzi, nie złej woli, ale bezmyślnych; a prześladowania takich, aczkolwiek zdradzają tylko płaskość umysłu, ranią przecież serce. Lękam się o ciebie, bo jesteś wrażliwą, a chciałbym cię uprzedzić o tem, co cię czeka, abyś się uzbroiła w wytrwałość i nie łudziła daremnie.

Czy mówił to Artur z przekonania? W każdym razie już sam od kolegów był doświadczył, jak oni ocenili jego miłość do Julii.

— Nie będę goniła za towarzyskiemi uciechami; — odpowiedziała Julia na jego słowa — stworzę sobie świat własny; twoja miłość starczy mi za kłamliwą życzliwość ludzi.

— Cieszy mnie to, że tak dobrze zrozumiałaś nasze położenie. Ten Csaky, szlachetny bezprzecznie człowiek; lecz to jego propagowanie kwestji żydowskiej, wypływa z dziwnej manii, która pozwala mu sądzić, że galicyjskie stosunki dadzą się ułożyć według prototypu węgierskiego ustroju państwowego.

— Nie wiele z nim rozmawiałam; — przyznała się Julia — lecz, o ile wnosić mogę z tego, co mówił, pragnie on gorąco dobra swojej drugiej ojczyzny.

— Tego mu też nie odnawiam! Jakże ci się Hermina podobała?

— O, ta, ta zniewala każdego do kochania jej.

— Czy mówiła ci, że razem wyjedziemy?

— Tak jest; mówiła mi o tem.

— I zgadzasz się? . . .

— Zdaję się ze wszystkiem na ciebie. Lecz o jedno cię poproszę: czy pozwolisz, abym przed wyjazdem napisała list do Władzia?

— I owszem! Ja sam postaram się o to, abym mógł się jeszcze z nim widzieć i pożegnać.

W mieszkaniu oczekiwała Julię przyjemna niespodzianka. Był to list od Władysława; zapewniając ją o przebaczeniu rodzicielskiem i swej braterskiej miłości, dodał, że wszystko, co zaszło, czas zatrze, bo „duch czasu skrzydłem zapomnienia trąci o wypadki minione i one ustąpią świeższemu zdarzeniu“.

Poniżej był dopisek młodszej siostry, Mani:

„Bądź szczęśliwą, jak dobrą byłaś dla nas!“

Na list ten odpisała Julia natychmiast:

„Drogi Władziu! Serdeczne przyjm dzięki za sło-„wa w liście twoim zawarte; nie zapomnę ich ni-„gdy i oby Wam Bóg błogosławił za tę radość, jaką „sprawiliście Waszej siostrze. Wśród takich, czy innych „warunków, nastąpiłoby kiedyś podobne rozstanie. „Trzeba przezwyciężyć ból rozłąki i żyć nadzieją, że „nastąpi szczęśliwe widzenie się.

„Nie chcę Ci mówić „bądź zdrów“, choć pojutrze „wyjeżdżam. Mam bowiem nadzieję, że mi nie odmó-„wisz i czekać nas będziesz pojutrze, o dziesiątej z rana, „na dworcu kolei.

„Przybądź, bym Cię raz jeszcze mogła widzieć, „uściskać i pozdrowienia przesłała dla „rodziców i re-„szty rodzeństwa“. Odpisz natychmiast, czy zrobisz mi „tę łaskę. Julia.“

List ten odesłała służąca Wojciechowskiej i otrzymała bilet następującej treści:

„Będę w oznaczonej godzinie na dworcu kolei.
Władysław.“

. . . .

W grudniu, tego samego roku, przyjaciel Artura Bolek Kularski, który nawiasem mówiąc, uważał sobie za święty obowiązek „zasilać swemi artykułami“ miejscowe pismo konserwatywne, umieścił w kronice dziennej następującą notatkę:

„*Śluby cywilne* zdaje się, że i u nas wchodzą w modę. W * * . . skim magistracie, odbył się temi dniami ślub cywilny Artura Saweckiego z Julią Bergerówną. Ciekawy to doprawdy objaw u nas w Galicji i dziwi nas bardzo, czemu kościół katolicki pozwala na podobne szerzenie się bezwyznaniowości między najlepszą częścią naszego społeczeństwa, wszakże niedawno stała ona wytrwale przy chorągwi Chrystusowej i świeciła przykładem cnót obywatelskich.“

VI.

Małżeństwo Artura Saweckiego narobiło z początku wiele hałasu. Miano też za złe Wiktorowi Csaky'emu i Herminie, że otaczają tę parę „ostentacyjną przyjaźnią.“

— Coś w tem być musi! — mawiali antagoniści Wiktora — Przysiądz na to można, że to córka miljonera i Csaky siedzi w długach po uszy u jej ojca.

— O, nic dziwnego! — dodawali drudzy. — Wszak wiemy, że Csaky należy do partji „żydowsko-liberalnej“.

Mniej bogaty, aniżeli Csaky, byłby się naraził na złośliwość „towarzystwa“ za to, że ośmielił się rozciągnąć opiekę nad małżeństwem takiem. Lecz Wiktorowi wszystko uchodziło, bogactwo zasłaniało go też od brutalności poczciwych bliźnich i postawiło wyżej od opinii popularnych w mieście kumoszek.

W braku atoli innych plotek, zajmowano się młodem małżeństwem dłużej i goręcej, niż każdą inną nowością a trwało to kilka miesięcy, zanim mieszkańcy

w * * . . , oswoili się z myślą, że można żyć w zdrowej zgodzie małżeńskiej, choć po ślubie cywilnym.

Państwo Csaky, zamierzywszy zimę spędzić w Peszcie i Wiedniu naprzemian, mieli wrócić do * * . . w Czerwcu, z czego żartując, cieszył się Artur, mówił bowiem, że Hermina z uszczerbkiem jego władzy, zanadto opiekowała się Julią.

Minęło kilka miesięcy. Julia zżyła się już z swojem otoczeniem; jej samej zdawało się, że w sposobie myślenia zbliżyła się zupełnie do wyobrażeń męża.

Gdyby Artur był gorliwym katolikiem. to wyznanie wiary jego żony z pewnością by mu nie wystarczyło. Jako wolnomyślny i kochający mąż, był jednak dla niej pobłażliwym; liczył bowiem na to, że Julia podda się ostatecznej ceremonji chrztu, gdy zostanie matką. Życząc, aby wychowanie dziecka nie było narażone na dwuznaczności, pragnął on zupełnego szczęścia niezakłóconego żadnemi formalnościami, mogącemi tylko wzbudzić wspomnienie nieprzyjemne. To, co odczuł w chwili, kiedy Władysław oznajmił mu żądanie Bergerów, by cywilnie poślubił Julię, skrupuły, jakie się wówczas w nim odezwały a które chwilowo zagłuszył sofizmatami, podyktowanemi przez miłość, to wszystko w obecnem położeniu, powtórzyło się tem silniej, bo już nie marzył jak kochanek, ale zastanawiał się, jak kochający i dbający o przyszłość mąż i ojciec, pan rodziny.

Tymczasem rok upłynął, a Julia o chrzcie ani nie wspomniała. Artur czekał cierpliwie; nie śmiał nalegać.

Wśród tego oczekiwania, Julia powiła syna.

Stary Berger przyjął wieść o wnuku obojętnie; zdawać się mogło, że wiadomośc ta nie czyni na nim żadnego wrażenia. Lecz kiedy sam na sam został ze swemi myślami, zapłakał rzewnie, potem o coś gorąco modlić się począł.

Miałżeby był prosić o błogosławieństwo dla drugiego pokolenia? A może też przepraszał i błagał Boga o przebaczenie?

„Boże! — szeptały przy końcu modlitwy usta jego — bez Twej woli nic się nie dzieje! Jeśli pokolenie pokoleniom nierówne, któż winien? Kto tak silny,

by oparł się duchowi czasu? Przebacz Jehowo dzieciom moim i na mnie niechaj spadnie karząca Twa ręka, bo ja to winien, że posłałem ich pić u źrodła obcej wiedzy“...

. . . .

Upłynęły znowu dwa lata. Władysław Berger otrzymał dyplom doktora praw i dostał od rodziców pieniądze „aby przedsięwziąć małą podróż po Europie“, co już od dawna było jego gorącem pragnieniem.

Odwiedziwszy Tyrol, Styrją, Salcburg i Austryą, doniósł rodzicom, że wybiera się do Czech, a ztamtąd do Bawarji. Zapomniał tylko, lub może nie chciał dodać, że za powrotem do domu wstąpi u Julii. Postanowił bowiem zrobić siostrze niespodziankę i w czwartym tygodniu swojej podróży był już w drodze do * * . .

Przybył tam nad wieczorem i wprost z kolei udał się do mieszkania Arturów. Niecierpliwość czyniła go przewidującym. Rwał się do ukochanej siostry, myśląc o tem, w jakich ją znajdzie warunkach. Chciał ją widzieć jak najprędzej i z oczu wyczytać, czy jest szczęśliwa, rozumując, że zaskoczona przez niego tak znienacka, niczego przed nim ukryć nie zdoła i życie jej objawi mu się takiem, jakiem ono jest w rzeczywistości.

Otworzyła mu służąca, z salonu doleciał go gwar obcych głosów, zrozumiał, że są goście u siostry. Chciał się cofnąć, ale w tej chwili zobaczył go Artur i zawołał radośnie:

— Brawo doktorze! A to dopiero niespodzianka!

Ponieważ wchodząc, zostawił Artur drzwi od salonu uchylone, słowa jego usłyszała Julia i przeprosiwszy pośpiesznie gości, weszła za mężem do przedpokoju.

— Władku! — zawołała, rzucając się bratu w objęcia.

Władysław odwzajemnił ich uściski i niezdolny czułości ich się oprzeć, pozwolił siostrze, by go wprowadziła między obcych, choć byłby teraz wolał uciec ztąd jak najprędzej i przybyć dopiero wtedy, gdy z gości nikt już tu nie będzie.

Spotkał w salonie kilka osób: Wiktora Csaky'ego, Herminę, panią Laskońską, daleką kuzynkę Artura,

pannę Kozłowską, pupilkę Wiktora i jakiegoś jegomości, którego zapomniano mu przedstawić. Lecz ten zwrócił się właśnie do Władysława.

— Ja na ostatku sam się przedstawię; — przemówił. — Jestem kolegą pana Saweckiego, biedny urzędniczyna bankowy, który przyszedł objeść kolegę, a który nawet na przyjaciela domu przestał być niebezpiecznym, tak dalece pokrzywdziły go: los zawistny i przyroda. Nazywam się Rosenstein, kochany doktorze, a z góry znajdziesz u mnie same ciernie; kamień zaś utworzył się z licznych kamyków potępienia, któremi obrzucono moich przodków.

Powstał śmiech; Hermina zaczęła głośno żartować z Rosensteina; rozmowa znowu potoczyła się ożywiona i swobodna.

Ukazanie się Władysława nie sprawiło żadnego zamieszania; powitano go jako gościa, którego się wprawdzie nie spodziewali, ale którego zjawienie sprawia przyjemność wielką i nie krępuje swobody pierwotnej.

Tylko jeden Władysław nie mógł trafić na ton swobodny. Pragnął rozmowy w kółku rodzinnem i nie mógł towarzyszyć myślą gimnastycznym zwrotom retorycznym zebranego w salonie siostry towarzystwa.

W tej chwili przeklinał w duszy myśli o wszelkich niespodziankach, bo spostrzegł, jak na wymarzonej przezeń niespodziance sam wyszedł najgorzej.

— Szkoda, że mały Tadzio spi; — rzekła Hermina, do Władysława się zwracając — zabrałbyś pan na miejscu znajomość ze swoim siostrzeńcem. Ach, co to za rozkoszny dzieciak, powiadam panu! Julio, pozwalamy uprowadzić ci brata, by zobaczył twoje „bobo“.

Julia zrozumiała ją doskonale i dziękując jej cicho za tę przysługę, skinęła równocześnie na brata i przeszła z nim do dziecinnego pokoju.

Panował tu półcień z różowym odblaskiem, bijącym od czerwonego abażuru, którym lampa była przysłonięta. Władysław zbliżył się z siostrą do łóżeczka dzieciny. Tadzio spał i zdawał się przez sen uśmiechać; młoda matka wpatrzyła się z miłością w swój skarb drogi, ukochany.

— To pierwszy wnuk moich rodziców — szepnęła Julia. — O, ja się nie łudzę! — mówiła dalej ze smutkiem. — Między mną a rodzicami utworzył się mur, stworzony z silnych przekonań, które chyba jeden czas obali. Wiem, że nie wprost z domu zawitałeś do mnie; nie potrzebujesz mi o tem mówić; wiele rzeczy niedopowiedzianych potrafię odgadnąć sercem, które z wami tam w domu współczuło gorąco mimo całej różnicy zapatrywań. Twoje listy uspokoić mnie nie mogły; wiem, że wam wszystkim wielką wyrządziłam krzywdę. Czy i ty mnie potępisz za to, że przyjęłam wiarę mojego męża i syna?

— Potępić cię? Nie, Julio! Tak przyjść by musiało! Teraz, czy później byłabyś zmuszoną to uczynić. Nie wiem, jak na Węgrzech ukształtują się stosunki między małżeństwami mieszanemi; ale to wiem, że u nas śluby cywilne okazują się w praktyce anomalją. „Tylko katolik jest dobrym synem ojczyzny". Utarty ten aksjomat nadto głębokie zapuścił w naszym kraju korzenie, aby tchnienie ducha czasu bez walki zniweczyć go mogło. Przyjdą jednakże wielkie burze, a po nich porządek świata inaczej się ukształtuje. Czy sądzisz, Julio, że ta walka, jaka wrzała na Węgrzech, pozostawiła mnie obojętnym? że nie śledziłem bacznie każdego ruchu tej burzliwej fali, czekając, co ona na brzeg wyrzuci? Nadto boleśnie odczułem niszczącą siłę starych uprzedzeń, które odnawiają ciągle: głupota i zawiść, bym mógł cię potępić. Nie pochwalam twego odszczepieństwa, a jeśli wyznanie twoje przyjąłem tak spokojnie, złóż to na karb mego sposobu myślenia i widzenia rzeczy. W mojem przekonaniu byłaś straconą dla judaizmu z chwilą, kiedy opuściłaś dom rodzicielski.

Umilkł i po chwili dopiero spytał:

— Czy jesteś szczęśliwą?

— Jestem nią, i gdyby rodzice . . . . . .

Władysław niecierpliwie machnął ręką.

— Zostaw to! — przerwał — wiem ja, że nie tak często myślisz ty o nich, jak oni o tobie! . . .

— Władziu, oni myślą o mnie, wspominają? Więc mogłabym ich odwiedzić?! . . .

— Jak ty się gorączkujesz! — rzekł Władysław z uśmiechem. — Miej cierpliwość, a i to twoje życzenie spełni się z pewnością. Tylko dla rodziców powinnaś być zawsze . . . żydówką. Oni nie powinni wiedzieć o tem, że zmieniłaś wiarę.

Julia schyliła głowę.

— Dwa światy — szepnęła.

— Tak, stanowimy dwa światy — odparł Władysław. — Wspólność interesów popycha nas ku sobie, a rasowa nienawiść odpycha. Jak ja cierpię, że tak jest, a nie inaczej. Jak ja cierpię! . . . Wiem, że w oczach ludzi trzeźwo myślących, jestem głupcem, ideologiem! Ale cóż robić, kiedy ile razy wezmę pióro do ręki, aby coś napisać, miłość ziemi . . . i pragnienie jedności są mi zawsze ową nicią przewodnią, na którą nanizać mam słowa moich myśli. Ci, co są ze mną i obok mnie, tracą cierpliwość i z gniewnym błyskiem w oczach patrzą na tych, którzy za miłość odpłacają nienawiścią i wzgardą. Jesteśmy zapaleńcami i chcemy gwiazdki z nieba! Lecz obawiam się, by pogarda od braci doznana, nie zmroziła nam tego zapału, z jakim rwiemy się do ideałów i byśmy nie powiększyli liczby tych, którzy zasklepiwszy się w sobie, jak żółw w swej skorupie, hołdują tylko filozofii Epikura! . . . . . . Lecz co ja ci o tem wszystkiem mówię! Zasmuciłem cię tylko. Przebacz mi i . . . wracajmy do gości.

Złożył na usteczkach śpiącego Tadzia łagodny pocałunek i wrócił z siostrą do salonu.

VII.

Pobyt Władysława w * * . . . zaintrygował znajomych Saweckiego. Ci, co ubiegają się za miejskiemi ploteczkami i szperają w tajemnicach rodzinnych, z przyjemnością wyczekiwali tu jakiegoś skandaliku, intryżki, czegoś . . . .

Dla czego z niejaką pewnością na to liczyli, trudno powiedzieć; zbierano komentarze, sztukowano je

znanemi z przeszłości szczegółami i na tak utworzonej podstawie piętrzono gmach, składający się z najdziwaczniejszych przypuszczeń.

Jedni mówili, że młody Berger wyzwie szwagra na pojedynek; drudzy, że uciekł od rodziców, aby się przechrzcić i zaślubić siostrzenicę Laskońskiej, Wandę Kozłowską.

Władysław nie wiedział, że jest przedmiotem ogólnej uwagi; sądził, że miasto * * . . dość jest duże, aby osoba tak mało znacząca jak jego nie zakłóciła spokoju poczciwych mieszkańców. Gdyby mu kto o tych wszystkich plotkach doniósł, jakie na jego rachunek krążyły po bruku, z pewnością spakowałby rzeczy i odjechałby co tchu. Lecz w błogiej nieświadomości tego wszystkiego żyjąc, dał się owładnąć czarowi chwilowemu, z dnia na dzień z wyjazdem zwlekając.

Było mu dobrze u siostry; Artur puścić go od siebie nie chciał; napierać się więc, że koniecznie wyjechać musi, nie widział potrzeby. Lgnął do tego świata tak mało mu znanego; podobało mu się otoczenie siostry, bo znalazł tu swobodę w myślach i czynach; w domu był krępowany.

Z Wandą Kozłowską widywał się czasem na ślizgawce, której jak się zdaje, oboje gorącymi byli zwolennikami. Zdarzało się też, że ślizgając się razem, rozmawiali bardzo poważnie. Raz nawet spytała go Wanda, jak zapatruje się on na asymilację żydów.

— Lękam się być szczerym — odparł jej wtedy Władysław.

— Dla czego?

— Aby nie być posądzonym, że zbyt sentymentalnie zapatruję się na te rzeczy.

— Owszem, mów pan!

— Muszę więc. Otóż, jeśli się nie mylę, chodzi tu o kwestję, czy żydzi, którzy tyle wieków dotrwali w odrębnej tradycji i starodawnym kulcie religijnym, mimo napływu obcej cywilizacji, tworząc zawsze i wszędzie odrębny naród, teraz zechcą się zaasymilować zupełnie. Czy tak?

— Tak, nie inaczej!

Władysław pomyślał chwilę, zanim mówił dalej:

— Nie będę pani nudził statystycznemi wywodami, jak i kiedy i w jakiej liczbie, w jakim kraju, żydzi zostali wreszcie obdarzeni łaską konstytucji, jak daleko sięgały jej prawa i gdzie je zacieśniano, lub stanowiły one martwą tylko literę. Przejdźmy odrazu do obecnej doby. Cóż widzimy? Już prawa państwowe wkładają na żydów obowiązek obywatelstwa. W Austrji maszeruje żyd w szeregach wojska austrjackiego i w danym razie zmuszony jest walczyć w interesie tego państwa. Podobne stosunki panują także gdzieindziej. Gdziekolwiek żydzi rozbili namioty swoje i osiedlili się, to z czasem przyjęli język mieszkańców tego kraju. Co ich odróżnia od reszty mieszkańców, to jest znamię boże, spoczywające widocznie na pierwszych czcicielach Boga. Żydzi mimo zewnętrznych cech asymilacji, nie przestaną być zawsze i wszędzie odrębnym narodem. Tam, gdzie uderzą na żydów jako żydów choćby to było na antypodach, odezwie się wnet echo na tej półkuli. Na całej szerokości geograficznej żydzi nieść będą pomoc zagrożonym współwyznawcom . . . .

Władysław byłby z pewnością nie na tem skończył, ale nadbiegł właśnie Rosenstein i zrównawszy się z nimi w biegu, zawołał:

— Domyślam się, że przerwałem bardzo ważną rozmowę.

— Kontynuowaliśmy przerwaną wczoraj dysputę.

— I panią ona zajęła?

— Czemużby nie? Dziwi to pana?

— I jak jeszcze! Zawsze mi się ckliwo robi, ilekroć słyszę, jak kobiety roztrząsają żywotne kwestje czasu z taką samą swobodą, z jaką mówią o najnowszego fasonu kapeluszach, sukniach i okrywkach.

— Twierdzisz pan zatem, że kobiety nie potrafią zastanowić się głębiej nad życiem i zawsze muskają je tylko po wierzchu?

— Wprost o pani nie śmiałbym tego twierdzić.

Wanda nic na to nie odrzekła; zwróciła się natomiast do Władysława i spytała:

— Czy powrócimy na brzeg? Widzę tam Herminę.

Rosenstein nie obraził się tem wcale; uśmiechnął się tylko złośliwie i szepnął Władysławowi na ucho:

— Winszuję do zdobytego szturmem serduszka panny Wandy.

Ukłonił się, posunął naprzód i wnet zniknął mu z oczu.

— Nieznośny człowiek, ten Rosenstein — rzekła Wanda — szkoda, że przyszedł tak nie w porę. Powiedziałeś mi pan coś takiego, nad czem głęboko zastanowić się muszę, zanim odpowiem. Teraz dziękuję . . . .

Podała mu rękę i spojrzała w oczy z wyrazem szczerej sympatji, on stał zdziwiony, zmieszany jej wzrokiem, zastanawiając się nad ostatniemi słowami Rosensteina.

Nieznacznie rzucona uwaga jego wzbudziła w duszy Władysława śpiące dotąd myśli o miłości i szczęściu, jakie ona daje wybranym. Nie kochał się dotychczas w żadnej kobiecie, posiadał serce niezużyte i nieświadome charakteru kobiet, uwierzył, że Wanda zajęła się nim żywo a uwaga Rosensteina poczynioną została na podstawie pewnych danych.

Nie kochał jeszcze Wandy, ani spodziewał się czego, bawił się tylko przyjemnemi myślami. Było to już niebezpieczne i prowadziło do żywszego zajęcia się osobą Wandy tembardziej, że nie stronił już od niej jak dotychczas; owszem od dnia dzisiejszego wyszukiwał ją, co już i najbliższym dało wiele do myślenia. Poczęto zwracać na nich baczniejszą uwagę.

Najbardziej zatrwożyła się tym objawem ciotka Wandy, pani Laskońska. Opiekując się młodą dziewczyną, liczyła ona na bogate zamęźcie pupilki bezdzietnego Wiktora. Taki obrót rzeczy mógł pokrzyżować jej nadzieje; nie dziw więc, że ją to źle usposobiło dla Władysława.

Z początku nic nie mówiła; śledziła tylko młodą parę i szukała sposobności, aby dokuczyć Wiktorowi za jego przyjaźń z Bergerem.

Sposobność taka nadarzyła się wkrótce. Odwiedziwszy notarjuszową N., swoją przyjaciółkę, tyle od niej usłyszała plotek o rzekomym stosunku Władysława z Wandą, że nie otrząsnąwszy się jeszcze z przykrego wrażenia, wprost z tej wizyty poszła do mieszkania Wiktorów.

Csaky wybierał się właśnie na poobiednią przechadzkę, lecz spostrzegłszy Laskońską, przysunął jej fotel i spytał grzecznie:

— Cóż to łaskawą panią do mnie sprowadza?

— Pragnęłabym niektórych wskazówek od opiekuna mojej siostrzenicy, jak postąpić mi wypada, bo trudno, żeby dalej tak być miało! — przemówiła Laskońska ostro. — Widzisz pan, jak jestem wzburzoną; wracam od notarjuszowej. mojej przyjaciółki i ta była tak łaskawą i szczerą, że otworzyła mi oczy. Byłam ślepą dotychczas, bo inaczej jak mi Bóg miły, nie patrzyłabym na to wszystko tak spokojnie.

— Ależ o co chodzi? Nie rozumiem wymówek pani i nie wiem, kogo się one tyczą.

— Nie rozumiesz mnie pan, bo nie chcesz zrozumieć! Do czegóż to bowiem było podobne, tak ostentacyjnie przyjmować tego tam Bergera? Jeśli jego siostrze wybacza się żydowskie pochodzenie, to jeszcze nie powód, aby popierać śmiałe zamiary brata. Bo w to nigdy nie uwierzę, aby Wanda ze swej strony dawała mu jaką nadzieję . . .

Wiktor zaczynał pojmować.

— Moja pani! — rzekł — zaczepiasz młodego człowieka, nie mając do tego najmniejszego prawa. Władysław Berger jest zanadto rozsądnym człowiekiem, aby nie wiedział, jaka głęboka przepaść go dzieli od Wandy. Widziałem, że prócz szacunku i sympatji, nic więcej Wandzie nie okazywał. Nie myśli on wcale o tem, aby ją zbałamucić. I ja miałbym pani dawać wskazówki potrzebne ci? Wszak Wanda mieszka u pani, a zresztą i sama nie jest już podlotkiem. Wanda to istota myśląca i rychło zastanowi się nad tem, co jej uczynić wypada, skoro, jak słyszę, od notarjuszowej przynosisz pani te ploteczki. Jeśli notarjuszowa o tem mówi, już to dosyć, aby Wandzie otworzyło oczy; bo co do mnie, chodzę zawsze z otwartemi oczami i widzę dobrze. Radzę też pani, nie zapomnieć o względach, jakie każda dobrze wychowana osoba winna swoim znajomym. Przypuszczam, że pani posiadasz jeszcze tyle taktu, aby nie popełnić czego niestosownego, dając tem samem odczuć

panu Bergerowi, co panią dotknęło i gniewa. Cenię bowiem tego młodego człowieka i nie chciałbym, aby stała mu się u nas jakakolwiek krzywda. Z Wandą, jeśli sobie pani tego życzysz, pomówię później o tem — dodał po chwili.

— Nie, nie! — przerwała Laskońska. — Nie potrzeba! Jeszczebyś ją pan namówił, aby oddała swą rękę żydowi.

Wiktor zmarszczył brwi, chciał wybuchnąć gniewem, ale Laskońska, nie czekając, aż przemówi, kiwnęła głową na pożegnanie i prędko wyszła z gabinetu.

Za chwilę wszedł Rosenstein.

— Widzę źle ukryte wzburzenie, które chciałoby gwałtem na kimś lub na czemś się skrupić — rzekł, witając gospodarza.

— Zgadłeś, panie Rosensteinie — odparł Csaky. — Lecz dajmy temu spokój i mówmy o czem innem. Powiedzno mi mój panie, czemu to dla żydówek jakoś więcej okazujemy względów, niż dla najinteligentniejszych nawet żydów?

— Znowu potrącasz pan o kwestję żydowską!.....

— Więc odmawiasz mi odpowiedzi?

— Ciekawe pan dobrodziej zadałeś mi pytanie; nie mogę na nie wprost odpowiedzieć i powtórzę tylko to, co usłyszałem raz przy podobnej interpelacji. Otóż powiedziano mi wtedy, że kobiety żydowskie, jeśli są wykształcone, przyjmują bezwiednie etykę chrystjanizmu, gdy tymczasem mężczyźni, skoro zrzucają znamiona „żydowskości“, stają się bezwyznaniowcami i kosmopolitami. Tak, łaskawco mój! Tylko nasze kobiety są szlachetne i dobre, rozumie się samo przez się, że młode i ładne!

— Znowu złośliwie żartujesz, panie Rosensteinie!

— Bynajmniej! Żal mi tylko tego młodego Bergera, że wierzy w swoje ideały i myśli, iż gwiazdy można siłą ducha ściągnąć na ziemię. Ha . . . . każdy z nas ćma taki, dopóki nie opali sobie skrzydeł. I ja takim byłem, a dziś, mógłbym à la Heine powiedzieć: „Chcę zostać Japończykiem!“

— Złe wystawiasz sobie świadectwo, panie Rosensteinie i psujesz nam opinię, jaką mamy o żydach.

— Kiedyż ta opinia się poprawi?
— To od nich samych tylko zależy.
— Sądzisz pan na serjo?
Csaky popatrzył na niego z ukosa, poklepał go po ramieniu i rzekł z uśmiechem:
— Wiesz o tem więcej, ale z tem się zdradzić nie chcesz; co, czy prawda?

VIII.

Za upokorzenie, jakie u Csaky'ego doznała Laskońska, musiała Wanda odpokutować i widząc wracającą z tej wizyty ciotkę, wybiegła do przedpokoju, troskliwie wypytując, jak się u notarjuszowej bawiła. Ciotka nie zwróciła uwagi na jej troskliwość; przeszła szybko do pokoju i opowiedziała Wandzie, na jakie lekceważenie napotkała u Wiktora, a trzeba dodać, że udramatyzowała wszystko po mistrzowsku.

Wanda nie przerywała jej mowy ani razu; dopiero, kiedy ciotka umilkła i popatrzyła na nią z oczekiwaniem, rzekła, z trudnością wzruszenie ukrywając:

— Dziękuję cioci, że raczyła mi to wszystko oznajmić. Jutro oświadczę, jakie powzięłam postanowienie. aby uniknąć obmowy naszych poczciwych kumoszek. Żałuję jednak mocno, że opiekun dał cioci odczuć, iż jesteśmy na jego łasce. Z chęcią odmówię sobie wielu rzeczy, abyśmy tylko mogły wyżyć z własnych naszych funduszów.

— Ależ co mówisz, Wandziu! Na co znowu wspominasz o jakiemś życiu na suchym chlebie i ziemniakach! Nie stworzonaś ty do takiego życia i nie powinnaś myśleć o takiej ostateczności. Na to i twój opiekun nie pozwoli. Zobaczysz, że kiedyś zostaniesz jeszcze bogatą dziedziczką.

— Nigdy o tem nie myślałam.

— To też źle bardzo. Trzeba to w młodych wmówić, bo tylko tym sposobem zrobisz dobrą partję.

— Widać, że się nie zrozumiemy, droga ciotko!...

Rozmowę przerwała służąca, która przyszła oznajmić, że nakryto do stołu.

Po obiedzie Wanda udała się do swego pokoju. Pragnęła samotności; dumna jej natura nie znosiła żadnego przymusu. Usiadła blisko pieca i wpatrzyła się w płonący ogień. Było w tem jakieś chwilowe zapomnienie właściwego stanu duszy, nagły brak sprężystości umysłu, zbyt ogłuszonego silnem parciem przebiegających po nim wrażeń.

Zmierzchło się zupełnie; przez szyby okien, wychodzących na ulicę, wpadał do pokoju blask śniegu, bielejącego na dachu przeciwległym; zresztą gubiło się wszystko w coraz gęstszym mroku. W piecu węgle się wypaliły i słabym tliły już tylko ogniem; Wanda machinalnie przymknęła drzwiczki u pieca i znowu pogrążyła się w zadumie.

A w myślach jej, kiedy rozwaga opanowała duszę, począł się wytwarzać przykry antagonizm; odczuła to już Wanda przedtem jeszcze, zanim poznała była Władysława. Ten rozstrój myśli sprawiał jej zawsze dotkliwe cierpienie moralne. Panowała jednak nad niem siłą woli, ale zdawało się czasami, że niekoniecznie wychodziła zwycięzko z tej walki. Subtelna, wrażliwa, a dumna jej natura poddawała się wpływowi z zewnątrz pochodzącemu i zdarzało się nieraz, że nawet wtedy, kiedy potrafiła zwyciężyć nad starym w sobie człowiekiem i myśleć tak, jak to czyniła, wolna od wpływów swego otoczenia, odzywały się w niej jeszcze instynkty rasy i wychowania.

I nie mogło być inaczej. Obok spaczonego wychowania i niekorzystnego dla uczuć szerszych przykładu, dano jej edukację, wyższą ponad poziom pensjonarskiego programu. Trzeba było albo otrząsnąć się z tych wpływów albo wcale nie wybiegać myślą poza obręb swego otoczenia.

Ale ona umiała tylko chodzić wydeptaną ścieżką i miała charakter cokolwiek niestanowczy, co ją czyniło powolną zachceniom i woli takiej nawet opiekunki, jaką była ciotka Laskońska.

A jednak miewała Wanda czasami chwile, w których pragnęła całą duszą wyrwać się z pospolitości życia.

Było to wtedy, kiedy ogłosiwszy drukiem tomik szkiców i uzyskawszy za nie pochwały prasy, marzyła o wyższych studjach na wszechnicy, o sławie i zgoła innem życiu niż to, jakie dotąd pędziła. I być może, iż nie natrafiwszy na zbyt wielkie przeszkody, byłaby choć w części spełniła zadanie przedsięwzięte; ale cóż z tego, kiedy plany jej wyszydzono, a do owego skromnego listka wawrzynowego, nie przybył żaden drugi, bo istotnego talentu twórczego nie miała, choć posiadała piękne, szlachetne zamiary przysłużenia się komuś i wylania na zewnątrz tego nadmiaru uczucia, które kryć się musiało niezrozumiane.

W takim to stanie duszy poznała Władysława. Ponieważ czytywała dużo, więc i jego nazwisko nie było jej obcem; studjując ruch społeczny w piśmiennictwie spotykała często-gęsto na nagłówku społecznych artykułów nazwisko Władysława i mimo wpływów ciotki, oraz zasad wyniesionych z domu rodzicielskiego (notabene zrujnowanego hulatyką ojca i wystawionego na sprzedaż przez żydowskich lichwiarzów-wierzycieli), współczuła przecież z autorem, który potrafił przykuć jej umysł wrażliwy do idei przez siebie głoszonych. Jemu to zawdzięczała, że kwestję żydowską, obrabianą dość często choć bardzo jednostronnie i powierzchownie na zebraniach u państwa Wiktorów, poznała teraz lepiej, aniżeli nawet żydówka do tej samej, co i ona sfery przynależna. Żydzi przestali być dla niej pająkami, oszustami, i t. d. Patrzyła teraz na nich oczami Władysława i to właśnie były pierwsze nici sympatji, zadzierzgniętej między potomkiem wzgardzonych semitów, a dziedziczką tradycyjnie szanującej się szlachty.

Nagle szarpnięto ręką brutalną za tę nić sympatji dziewiczej. Czy się zerwie? I cóż dalej? Ukochać szczerze i zapomnieć o tem wszystkiem, co ich dzieli? Wszak Julia . . . . .

Był to kurczowy odruch myśli, czepiającej się kobiety, która miała odwagę, zerwać z tradycją w egoistycznem pragnieniu szczęścia.

Ona tej odwagi nie miała i dla tego postanowiła ratować się ucieczką.

Wynikiem jej dumań było: że wyjedzie jak najśpieszniej, byle się już nie spotkać z Władysławem.

Ale i tu wystąpiła rażąca niestanowczość jej charakteru na wierzch, zamiast bowiem wyjechać tak, jak zamierzała, z nikim się nie żegnając, poszła nazajutrz do Julii w nadziei . . . . że spotka tam Władysława.

Nie zastała go wszakże. Natomiast wygadała się przed Julią z tem, jakie powody ją skłaniają do wyjazdu.

— I ty myślisz, że w ten sposób zamkniesz ludziom usta? — spytała Julia, wysłuchawszy szczerej jej spowiedzi.

— Zdaje mi się, że w obecnem położeniu nic lepszego uczynić bym nie mogła — odparła Wanda.

— Ha . . . może to i lepiej, że się już więcej nie zobaczycie! — szepnęła Julia.

— Czy twoje doświadczenie podpowiada ci te słowa? — podchwyciła Wanda żywo.

— Tak, Wandziu! Że brat mój zakochał się w tobie, tego nie tak trudno było mi dostrzedz; a że i ty go kochać zaczęłaś, zauważyłam pierwej może, niż ty sama. Czy jeszcze czekać pragniesz, aż to uczucie silniej się rozwinie? A wtedy czy będziesz miała dosyć hartu, aby iść przebojem przez życie? Nikomubym nie radziła, lekceważyć sobie kodeksu społeczno-towarzyskiego, jaki mimo ogromnego postępu nie uwolnił kobiety z tych pęt, któremi skrępowano jej wolę i uczucia. Mówię to z doświadczenia. W życiu bowiem mojem i Artura jest chwila, która rzuca cień na szczęście nasze. To wspomnienie mojej ucieczki z domu rodzicielskiego.

— Więc żałujesz? — podchwyciła Wanda.

— Nie! Ani ja, ani mój mąż nie możemy żałować owego szału, który nas uniósł na drogi odmienne, potępione przez ogół. Drogo okupiliśmy nasze szczęście — dodała, rzewnie się uśmiechając.

— Więc radzisz mi wyjechać? — spytała Wanda.

— Nie, tegom ci nie powiedziała. Kocham Władzia i już z tego względu radzićbym ci nie mogła, abyś

w ten sposób odwdzięczyła się za jego szczere uczucie. Ale mnie nie wolno namówić cię do kroku, za który padłaby odpowiedzialność i na mnie. Znam twoich opiekunów i wiem, żeby mi nigdy tego nie przebaczyli. Przypuśćmy, że zostaniesz i nadal w tych samych warunkach i spotykać się będziesz z Władysławem. Wtedy przyjdzie wreszcie — bo przyjść musi — chwila, kiedy już nie zdołacie zapanować nad uczuciem. Czy sądzisz, że rodzina zgodzi się na twój wybór? Albo masz-że tyle energii, aby z nimi walczyć i zwyciężyć? Nastąpiłoby zerwanie w bardzo przykrych warunkach, bo o ile znam twoją ciotkę, wiem, że ani mnie, ani mojemu bratu nie oszczędziłaby wtedy żadnej przykrości, byle tylko dać nam odczuć, że jesteśmy... intruzami.

— Julu!

— Nie powinno cię to obrazić. Wszak nie odpowiadasz za drugich. Jesteś zanadto młoda i wykształcona, by nie czuć tak nisko. Może, gdy kiedyś podrośniesz, wtedy i w tobie odezwie się duch rasy aryskiej i . . . wdzięczną mi będziesz za . . . dzisiejszą lekcję.

— Julio! Co ty mówisz! Ty . . . chrześcijanka, a przemawiasz, jak żydówka, z głębi serca nienawidząca chrześcijan . . . . .

— Tak ci się zdaje? O, cóż znaczy woda chrztu świętego, wylana na moją głowę, kiedy urodziłam się żydówką i wzrosłam wśród otoczenia żydowskiego! Mimo wszystko muszę pozostać żydówką; odczuwam to przy każdej sposobności. Niech tylko usłyszę o gwałtach, popełnionych na żydach, a serce moje kurczy się z bólu; niech upokorzą żyda, a ja odczuwam jego upokorzenie. Gdy czytam, że jakiś żyd staje przed sądem oskarżony o zbrodnię, wstydzę się w dwójnasób, bo i za niego i za siebie. A kiedy mi ktoś powiada, że żyd Nordau, Rubinstein lub Brandes są ozdobą społeczeństwa, wtedy radością błyszczą moje oczy, bo wszak i ja jestem żydówką. Wolno mi się nimi poszczycić, bo srodze odczuwam niedolę i wstyd innych, nierównych im. Czy sądzisz, że rodzina mojego męża, a więc i twoja, zapomina kiedykolwiek o mojem pochodzeniu? To ja tylko sta-

ram się zawsze o to, aby ustrzedz się nieporozumienia. Jest to ciągłe lawirowanie między Scyllą, a Charybdą. Takie kolizje, co prawda, powstać tylko mogły w naszym kraju, gdzie asymilacja jest jeszcze nazbyt świeżą i nie dotarła do gruntu rzeczy. Ale czy mogłabyś opuścić ojczyznę i żyć wśród obcych? Nie! Że mój brat nie zmieni swej wiary, o tem jestem przekonaną. Czybyś chciała zostać żydówką?

— Nigdy!

— A więc wyjeżdżaj jak najprędzej. Brat mój w pracy znajdzie ukojenie; a może . . . jeszcze nie zapóźno . . . . .

— Czy gniewasz się na mnie?

— Dziecko z ciebie. Postąpiłaś sobie szczerze, a za to winnam ci wdzięczność.

Mimo tego zapewnienia znać było pewien rozdźwięk w ich rozmowie i obie rozstały się w jątrzącym żalu, który tylko dzięki taktowi i rozumowi Julii nie doprowadził do zupełnego zerwania rodzinnych stosunków.

IX.

Władysław zajęty był otrzymaną z domu korespondencją. Mania donosiła mu, że swatają jej niejakiego Saula Todrowicza z Węgier; rodzice życzą sobie tego związku, lecz ona nie może przyjąć konkurenta, dopóki brat go nie zobaczy.

Wobec takich wiadomości nie wypadało inaczej, jak tylko rychły obiecać powrót i zająć się sprawą siostry. Powrót ten nie nęcił go jednak, oczekiwał ponadto jeszcze czegoś innego, a chociaż nie przyznawał się otwarcie do tych myśli, to marzył rozkosznie i nie pragnął przebudzenia, chyba w rozkoszniejszej jeszcze formie, aniżeli dotychczasowa.

Przebudzenie nastąpiło przecież mimo jego woli i prędzej, aniżeli się tego mógł spodziewać. Julia postanowiła bowiem nie dopuścić, aby Wanda odjechała i skorzystawszy z nadesłanych z domu wiadomości, na-

legała na brata, żeby wrócił do * * * . . . i zajął się sprawą Mani.

Czy Władysław przeczuł coś ukrytego w domawianiu siostry, czy też wiedział o odwiedzinach Wandy, dość, że tak długo grali z sobą w słowa i domyślniki, aż Julia przyparła go niejako do muru i w chęci bronienia przyjaciółki od niesłusznych zarzutów, powtórzyła mu niemal całą z Wandą rozmowę.

— Nie kochasz jej przecież? — spytała, widząc, jak pobladł.

— Kocham ją! . . . .

Julia, chcąc go uspokoić, wzięła go za rękę, patrzyła mu w oczy z wyrazem tkliwego przywiązania i rzekła łagodnie:

— Pomyśl, czy byłbyś szczęśliwy, posiadając jej wzajemność? Wątpię, czybyś się mógł z nią połączyć.....

— Nie myślałem tak po filistersku o pannie Kozłowskiej — przerwał Władysław prędko. — Cierpiałbym, gdyby była przyszła chwila rozstania na zawsze; ale jej wzajemność, przekonanie to, że jej dusza odczuła siłę, która mnie popycha ku nowym światom, stanowiłyby dla mnie nagrodę za to, że zrezygnować chciałem ze zwykłego szczęścia miłosnych upojeń. Lecz uciekać jako upokorzony, aby ją zrehabilitować w opinii ludzkiej, to coś więcej, aniżeli rozczarowanie miłosne! . . . Czemże bowiem byłem dla niej, skoro w ten sposób chce mnie się pozbyć?! . . . Myślałem, że to jej wystarczyć powinno, że czczę wszystko, co godnem jest czci; że pragnę gorąco, by wszyscy ludzie mieli podostatkiem chleba i światła; że wierzę w proroctwa wieszczów i tak pracuję, aby się one spełniły! . . . . Lecz ani Wanda, ani żaden z tych, co równie, jak ona myślą, w prawdziwość naszych uczuć nie uwierzy. Nie broń jej! — dodał, gdy spostrzegł, że Julia chce usprawiedliwić przyjaciółkę. — Oto masz potwierdzenie tego, coś nieraz słyszała od moich kolegów, którzy przeciwne moim mieli zdania! . . . .

— Władziu! — przerwała mu Julia — ty nie zwątpisz dla tego tylko, że ci się zdaje, iż podeptano pragnienie twego serca, czyli raczej miłość własną! Nikt tu z żyjących nie winien i ona niewinna.

Wzrosła wśród otoczenia, które wyzyskiwali żydzi, korzystając z jego niedołęztwa w finansowych obrotach. Czy zna ona innych żydów, aniżeli tych, którzy zbliżają się do jej ziomków pokorni, by wzbogaciwszy się ich kosztem wyśmiać potem łatwowiernych? Czy takich jak ją nauczono, dobrze o nas myśleć? Słabo tylko dochodził do nich głos wyzwolonych z jarzma ciemnoty i przesądów; zagłuszała go niebawem wrzawa jarmarczna. Wobec nowych i częstych klęsk, zapomniano o wielkiej chwili wspólnych ofiar, na jednym ołtarzu złożonych.... Teraz nowych czynów potrzeba, by poznali, że lud, który gościem był na polskiej ziemi, staje się wrogiem wtedy dopiero, gdy oplwany ślinami pogardy, jak pies stoi za drzwiami przybytku wiedzy i pracy. Jeśli ty wrócisz do swoich i powiesz: „nie chcą naszej miłości, naszym rozumem gardzą“, wtedy, czy wiesz co będzie? Zapalisz zarzewie niezgody i waśni; szerszą jeszcze wykopisz przepaść między nami i zniknie odrazu praca tych, którzy tylko dobro ojczyzny mając na względzie, zapominali urazy osobistej i szli ręka w rękę z tymi, którzy dotąd stali zdaleka, nieświadomi celów swoich. Czy rzeczywiście burzyć pragniesz, co inni postawili?

— Ja?! . . . Ja miałbym burzyć?! — zawołał Władysław.

— Tak, bracie! Nie powinieneś żałować miłości, z jaką otoczyłeś ideały i poezję tego kraju, po dziś dzień jeszcze znaczonego śladami Ahaswera; bo ani ty, ani równi tobie duchem, nie zdołacie spłacić długu zaciągniętego przez naszych przodków. Pamiętaj, że pogarda tych pysznych i dumnych nie potrwa długo, gdyż albo się poprawią, albo też ulegną przeznaczeniu, które na zegarze ruchu społecznego wybije im donośne morituri. A ci biedni i ciemni, obałamuceni, czy tych potępić możesz z czystem sumieniem? Oświeć ich najpierw i ukochaj szczerze, a potem powiesz, czy wolno ci odwrócić się od nich! . . . . . .

Ledwie wymówiła te słowa, Władysław pochwycił jej obie ręce i całować je począł serdecznie.

— Bóg ci zapłać! — rzekł do głębi wzruszony. — Słowy temi stworzyłaś ołtarz, który zasłonił przedemną rozwartą przepaść. O, mów dalej! Ja z twych słów

czerpać będę zapał dla dawnych i nowych ideałów. Wybacz, że przez chwilę byłem jak ów nędzny ślimak! Wierz mi, że nie opuszczę raz podjętego sztandaru: światła . . . i braterstwa! Dziesięćkroć odtrącony, podejmę go na nowo, aż idea ta święta skupi w około tego sztandaru coraz większe zastępy i lud odetchnie wolno, jak chory po długim przykrym śnie, pełnym złości i zabobonów.

Umilkł wzruszony, a Julia, objąwszy go ramieniem, patrzyła mu w oczy z wyrazem najwyższego tryumfu i rzetelnego współczucia.

Była już teraz o niego spokojną. Wiedziała, że ją opuści i wróci do swoich, ale nie wątpiła, że wróci z zasobem wielkich myśli i szczytnych zamiarów, pielęgnowanych jeszcze na wszechnicy wśród szlachetnej młodzieży, a dojrzałych wśród ludzi, którzy zawsze pierwsi dawali hasło do pielęgnowania ideałów . . .

X.

W domu Arona Bergera przygotowywano się do wielkiej uroczystości rodzinnej. Mania wychodziła za mąż; Bergerowie mieli się skoligacić z arystokratyczną rodziną Todrowiczów.

Saul Todrowicz, syn znanego na Węgrzech rabina, był sierotą; a że nieboszczyk ojciec jego pamiętał więcej o swoich biednych współwyznawcach, aniżeli o napychaniu szkatuły, więc po jego śmierci nic dla dzieci nie zostało. Saul był biednym „bucherem.“ Stary Berger, wybierając go na zięcia, zobowiązał się sprawić mu wyprawę i wziąć go na wspólnika do swoich interesów.

Zdawałoby się, że taki układ dla Bergera niekoniecznie korzystny; ale myliłby się ten, ktoby coś podobnego przypuszczał. Młody, piękny „bucher“ z arystokratycznej pochodzący rodziny, ma dla żydowskiego kupca z mniej świetną „parentelą“ ten sam urok, co zięć hrabia lub baron dla miljonowego bankiera, wczoraj dopiero ochrzczonego. Żyd kupiec bierze „sobie“

takiego zięcia, powodowany tem samem uczuciem wywyższenia się, co i bankier - przechrzta, gdy za miljon gotówki i córkę otrzymuje „hrabskiego“ zięcia. Różnica okazuje się dopiero później; bo kiedy „hrabiowski“ zięć bankiera puszcza fortunę przez teścia uzbieraną między arystokratyczne palce tak dalece, że znika, jak dym z wonnego cygareta, to arystokratyczny „bucher“, zięć żydowskiego kupca, dorabia się pod okiem teścia pokaźnego mająteczku, hoduje liczne potomstwo, szanuje teścia i chwali Pana Boga.

— Co oni wiedzą! — mówił Aron do żony, gdy posłyszał, że są tacy, którzy się dziwią, że bierze na zięcia ubogiego „buchera“ — Saul, to miljon, Saul, to piękny owoc ze szlachetnego szczepu, to jedwab, czysty jedwab. I jaką on ma delikatną duszę! On mi powiedział, żebym zaprosił Saweckiego i Julię na wesele Mani.

— Boję się ich zaprosić — szepnęła Bergerowa.

— Czego się boisz?

— Ludzkiego gadania i ludzkiej złości.

— Zatkamy im gęby indykami i rybami, to będą cicho. Moje serce żąda tej radości; cztery lata córki naszej nie widzieliśmy . . . .

Bergerowa zaczęła płakać. Wspomnienie to zbyt silnie ją wzruszyło.

— Nie płacz Malciu — przemówił do niej Aron dobrotliwie. — Ujrzą ją twoje oczy, przebaczy jej serce twoje i radość będzie w domu naszym.

Na tem skończyła się poufna rozmowa małżonków, i tego dnia jeszcze Władysław napisał list do szwagra i siostry, zapraszając ich imieniem rodziców na wesele Mani.

W kilka dni później nadeszła już odpowiedź, że Julia przybędzie sama, bo Artur nie może otrzymać urlopu.

W dniu oznaczonym, na godzinę przed nadejściem pociągu, Władysław pojechał po siostrę na dworzec kolejowy. Kupiwszy bilet wyszedł na peron. Nie zastał tam prawie nikogo; z biura telegraficznego wyszedł tylko jakiś urzędnik i udał się do kancelarji na-

czelnika; to znów kilku posługaczy wywiozło na cło nadeszłe z za granicy skrzynie z towarami. Władysław mało zważał na to wszystko; myśli jego zajęte były w tej chwili rozwiązaniem problematu, o ile i jak zmienia się człowiek pod naciskiem prądów socjologicznych. Czuł on, że się zmienił bardzo od czasu, kiedy po raz ostatni widział się był z Julią. Wiedział, że wyobrażenia jego uległy zmianie i przekształciły się, a nie był z tego przekształcenia zadowolony. Z przykrem uczuciem myślał o tem, że Julia zmianę tę zobaczy i ostro skrytykuje.

Gdy tak zatopiony w rozmyślaniach, siedział samotny na ławce, w bliskości bióra naczelnika, usłyszał nagle głos znajomy, wołający go po imieniu.

Był to kolega jeszcze z wszechnicy: Wacław Warmiński.

— A wy co tu robicie? — spytał Warmiński.

— Oczekuję Saweckich — odparł Władysław. — A wy?

— I moja misja taka sama. Jestem wysłannikiem moich rodziców i mam im przywieść miłego gościa.

— Cóż to za jeden?

— Redaktor Bolesławicz z * * . .

— Ten? Czy to wasz krewny?

— Starszy brat mojej matki.

— Czy przyjeżdża tylko z wizytą do krewnych?

— O nie! Na to nie ma on czasu! Chce tutaj przenieść swoją redakcję i osiedlić się tu stale ze żoną.

— Czy on żonaty? Zdawało mi się, że jest starym kawalerem.

— Zbrzydło mu stare kawalerstwo i żeni się teraz z młodą panną.

— Któż ta wybrana? — spytał Władysław dość obojętnie.

— Wanda Kozłowska.

W tejże chwili odezwał się dzwon sygnałowy; Warmiński, który był bardzo nerwowy, odwrócił się nagle i zakrył uszy; uszło też jego uwagi, że Władysław zbladł mocno, kiedy usłyszał nazwisko narzeczonej redaktora i nagle umilkł.

Pociąg już nadjeżdżał; na peronie ożywiło się nagle; powstał natłok i tak Władysław, jak i Warmiński, rozdzieleni falą tłumu, odnaleźli się dopiero przy wagonie. Zdarzyło się bowiem, że Julia przyjechała w jednym przedziale z redaktorem Bolesławiczem i kiedy wysiedli, Warmiński i Władysław podeszli prędko do wagonu, aby pomódz zejść wysiadającym.

Zamienili tylko z sobą kilka słów i ruszyli ku wyjściu; potem wsiedli do dwóch dorożek i odjechali, każde w swoją stronę.

— Panna Kozłowska wychodzi za mąż przez ambicję, jak się zdaje — przemówił Władysław do siostry, gdy stracili z oczu dorożkę, uwożącą redaktora i Warmińskiego.

— Jak to? Więc już wiesz o tem?! — zawołała Julia i spojrzała uważniej na niego.

Władysław całą twarzą zwrócił się do siostry i rzekł z uśmiechem:

— Widzę, że przypatrujesz mi się nadzwyczaj badawczo! Otóż oświadczę ci na samym wstępie, że przebolałem już owo rozczarowanie miłosne. Cóż chcesz? Każdy student musi przejść okres łez i cierpień Werthera, kiedy to rozmiłowany w śmiesznej czułostkowości pisze kulawe rymy i deklamuje bohaterskie epos.

— Władziu! z jaką ironją ty to mówisz?!

— Czy wolałabyś widzieć w moich oczach ogień i łzy Werthera?

— Chciałabym, aby mój brat nie szydził z tego, co dawniej godnem czci uważał. Jeśli szydzisz z owej miłości młodzieńczej, to kto wie, jak zapatrujesz się teraz na to wszystko, co czciłeś wtedy, kiedy znajdowałeś się w okresie łez i cierpień Werthera, jak podobało ci się wyrazić przed chwilą.

— Ach, ty ową miłość zarejestrowałaś pod ogólną kolumnę moich ideałów, z czego wnioskuję, że pozostałaś tą samą entuzjastką, jaką byłaś. To źle siostruniu! Trzeba już wytrzeźwieć! . . . .

— Czytujesz Heine'go?

— Czy to twoja odpowiedź?

— Tak i nie! Zmieniłeś się, to nie ulega wątpliwości. Lecz zmiana ta nie jest korzystną. Opanował

cię duch negacyjny i zdaje mi się, żeś przesiąkł na wskróś szyderstwem à la Heine. Bądź jak bądź, nie wywołujesz wrażenia dojrzałego mężczyzny i kto wie, ile razy jeszcze zmienisz swoje wyznanie wiary społecznej.

— To bardzo surowa kalumnia! Jakże długo będę jeszcze młodzieńcem? Wiesz, że to mnie zaczyna gniewać! Muszę być skończonym głupcem! Czy ci się tak nie wydaje?

— Nie! Głupcem nie jesteś. Szukasz nowych dróg, bo ci się zdaje, że dawne już się zużyły. Nie ugrząząłeś przecie w materjalizmie i nie uważasz kosmopolityzmu za wykwit rozumu ludzkiego i wyzwolenie ducha. Próbuj dróg nowych, to nie szkodzi; gdyś silny, nie zachwiejesz się za lada podmuchem wiatru. Ostatecznie, charakter człowieka urabia się powoli, i nie jest stałym, ani dojrzałym z chwilą, z którą zyskuje pełnoletniość. Wrócimy jeszcze do tego przedmiotu; — dodała z uśmiechem — teraz zaś opowiesz mi, co porabiają rodzice i siostry. . . . .

. . . .

W obszernej jadalni Bergerów siedział przy stole stary Aron i grał w szachy z przyszłym swoim zięciem, Saulem Todrowiczem. Uduchowiona, ściągła twarz Arona wyrażała w tej chwili pewien niepokój, połączony z niecierpliwem wyczekiwaniem, co możnaby było złożyć na karb rozgrywanej partji szachów, gdyby nie to, że szare jego źrenice zbyt często odrywały się od szachownicy, baczne na każdy szelest w pobliżu.

Saul, całkowicie oddany grze, nie zwrócił uwagi na roztargnienie teścia. Sam niezbyt wytrawny szachista, nie poznawał się na zmyślonej grze partnera. Spokojnie, z pewnym namysłem, stawiał figury na szachownicy, a uśmiech nie schodził mu z twarzy.

Była to twarz o wyrazistym typie wschodnim; uderzała w niej przedewszystkiem łagodna harmonja rysów. Oczy czarne, nos orli, czoło szerokie, cera śniada, wargi purpurowe, nad któremi czernił się młody wąsik, to wszystko czyniło Saula tak pięknym, że mimowoli oczy spoczywały na jego twarzy z sympatją. Odziany

był w długi, obcisły surdut; bielizna jego była śnieżnej białości; na głowie miał rodzaj kaszkietu.

— Mat! — zawołał Saul, wygrywając.

Stary Berger uśmiechnął się dobrotliwie.

— Robisz wielkie postępy! — rzekł.

— Czy zagramy jeszcze jedną partję?

Lecz pytanie Saula pozostało bez odpowiedzi; Aron Berger zwrócił się w tej chwili ku drzwiom głównym, które prowadziły na kurytarz. Wzrok Saula pogonił za nim zdziwiony. Nie długo przecież czekał na rozwiązanie tej zagadki, bo w tejże chwili drzwi się otworzyły i wszedł Władysław, prowadząc Julię pod rękę.

Wnet zakotłowało tu, jak w ulu. Zeszła się cała rodzina, dotychczas zajęta w dalszych pokojach i trwało dość długo, zanim Julia przywitała się ze wszystkimi.

Radość, pełna tkliwości, zmieszała zwykły porządek domowy i późno w noc, rodzina Bergerów siedziała jeszcze naokoło stołu w obszernej jadalni, wynurzając swe kłopoty i radości.

XI.

Nazajutrz, już od samego rana, wielki ruch zapanował w mieszkaniu Bergerów. Wynoszono na strych zbędne meble, ustawiano bufety i przystrajano pokoje.

Julia zajęta była około bufetów, a pomagała jej sumiennie siostra narzeczonego, młodziutka wdowa, Lea Mrozerowa.

Lea wyglądała prześlicznie w czarnej, aksamitnej sukni, przybranej strusiemi piórami i nieco wyciętej, tak, że można było widzieć jej pięknie utoczoną szyję i ramiona. Wysoka, o pełnych, a mimo to smukłych kształtach kibici, z twarzy do Saula podobna, była bezsprzecznie ładniejsza od Julii, której delikatne rysy twarzy i szczupła postać traciły wiele przy rozkwitłej piękności szwagrowej. Julia była także skromniej ubrana, gdy przeciwnie Lea miała na sobie klejnoty wielkiej

wartości, które za najmniejszem poruszeniem rozsiewały dookoła blask, olśniewający oczy.

— Jaka pani piękna! — szepnęła Julia mimowoli, z zachwytem patrząc w twarz Lei.

— Doprawdy?! — zawołała Lea, śmiejąc się. — Mówią mi to wszyscy, — dodała — a przecież nie mam szczęścia do ludzi.

— Nie masz pani do ludzi szczęścia? To żart chyba.

— Unikają mnie tutaj. . .

— Owszem, wiem o tem, że tu panią wszyscy kochają. Kto cię unika?

— Pan Władysław. To prawda, on nie może znajdywać przyjemności w rozmowie z taką, jak ja, niewykształconą osobą. Wiem o tem, że nic nie umiem. Wydano mnie za starego Mrozera, gdy miałam lat piętnaście, a gdy potem uczyć się chciałam, powiedziano mi, że jestem bogatą i obejdę się bez nauki. Miałam lat dwadzieścia, gdy zostałam wdową; a choć już trzy lata temu, jak mi mąż umarł, niczego się nie douczyłam. Brakowało mi do tego ochoty. Dopiero od niedawna czuję, że mi jakoś źle na świecie i pragnęłabym się uczyć. Wstyd mi, że tak mało umiem. Słyszałam od Mani, że pani jesteś bardzo wykształconą; jakże ja pani zazdroszczę! Jabym także chciała być wykształconą!...

Nagle umilkła, zauważyła bowiem na progu smukłą postać Władysława; zawstydziła się i prędko, pod jakimś pretekstem wybiegła z pokoju.

Władysław pogonił za nią wzrokiem, poczem zbliżył się do siostry.

— Stałem na progu — rzekł przyciszonym głosem — i, bezwiednie byłem świadkiem wynurzeń pani Lei. I, czy uwierzysz, że niewysłowionej doznaję radości, słysząc, jak wszyscy z naszych, czy to mężczyzni, czy kobiety, rwą się do światła i wiedzy?

— A tego nie zauważyłeś, że Lea jest piękną?

— Owszem! Przyznam ci się nawet, że jej piękność zrobiła na mnie pewne wrażenie.

— Więc czemu jej unikasz?

— Nie unikam jej wcale; ale nie myślę też nadskakiwać jej przy lada okazji.

— Ale twoja obojętność słusznie obrazić by ją mogła.

— Co?!... „I ty Brutusie?“.. Wiesz.. że po tobie najmniej się tego spodziewałem. Ojciec, matka, Mania, wszyscy zwracają moją uwagę na wdzięki i bogaty posag pani Lei. Ale ty, ty?!... Nie! Ty tego robić nie powinnaś!

— Gdyby nie była wdową!...

Władysław popatrzył na siostrę, jakby się dziwił i nie dowierzał; ale wnet rozśmiał się na głos i zawołał wesoło:

— „Gdyby ciocia miała wąsy, byłaby wujaszkiem!“ Że też wszystkie mężatki lubią zawzięcie swatać! No, no, siostruniu! Daj temu spokój; za młoda jesteś na to.

Objął ją w pół i zaczął z nią tańcować.

— Cóż to za wyskok dobrego humoru? — zawołała Julia, gdy ją postawił na miejscu.

— Prawda! Jestem dzisiaj wesoły, aż do ogłupienia! Cieszy mnie wszystko: radość rodziców, szczęście Mani, a nadewszystko twój przyjazd. Szkoda tylko, że po weselu odjeżdżasz.

— Wyszukaj sobie jaknajprędzej żony, to znowu przyjadę. Ty wiesz, jak gorąco pragną rodzice nasi, abyś się rychło ożenił.

— Jako koncypient?

— Prawdopodobnie weźmiesz za żoną posag.

— Czy już upatrzona, to znaczy: żona z posagiem?

— Nie chcę zgrzeszyć niedyskrecją.

— Ach, to zupełnie zbędnem się stało! Wasza tajemnica zanadto jest przeźroczysta! Wiem, że tą upatrzoną przez rodziców synową, jest pani Lea.

— Nie przeczę, że rodzice pragną tego związku.

— I dla tego — dokończył Władysław — namówili panią Leę, aby przeniosła się do naszego miasta...

— O, Lea uczyni to bardzo chętnie, bo zawróciłeś jej głowę — przerwała Julia żartobliwie.

— Jesteś wielką fantastką, droga Julio! Pani Lea nie myśli o mnie!

— Ślepy niedowiarku, nie znasz kobiet!

— Może je znam lepiej, niż się tobie wydaje. Źle czynisz, wtajemniczając mnie w twoje spostrzeżenia,

które mogą być mylnemi. Już raz złapano mnie na podobną wędkę.

— Doprawdy? Nic o tem nie wiem. Kiedy i gdzie to się stało?

— Kiedy przed dwoma laty bawiłem u ciebie podczas wakacyj, ktoś, podobnie jak ty teraz, szepnął mi wówczas na ucho, że panna Kozłowska mnie kocha. Połechtana miłość własna popchnęła mnie ku tej kobiecie; zaślepiony próżnością, jak ćma biegłem w ogień jej spojrzenia, aż... opaliłem sobie skrzydła. Była to jednak dobra na przyszłość nauczka, bo odtąd starannie unikałem towarzystwa kobiet.

— Czy z dawnej miłości już nic nie zostało?

— Nie powinnaś nazywać miłością uczucie, jakie miałem dla panny Kozłowskiej.

— Mówiłeś wtedy, że ją kochasz.....

— Być może, nie zaprzeczę ci. Lecz czegóż się nie mówi, gdy się jest takim narwańcem, jakim ja wtedy byłem! Wyszedłem dopiero z uniwersytetu, ergo: miałem głowę nabitą szczytnemi hasłami. Żyłem w nowem dla mnie otoczeniu, a zdawało mi się, że owym hasłom najlepszy dam wyraz, żeniąc się z chrześcijanką. Ot, mrzonki! Czas uczynił mnie rozsądniejszym, tak samo jak i pannę Kozłowską. Jakież szumne zasady wygłaszała ona nieraz przedemną, a dziś, jak słyszę, wychodzi za mąż za człowieka, który co najmniej mógłby z wieku być jej ojcem; a czyni to zapewne dla jego majątku i stanowiska, jakie w społeczeństwie zajmuje.

— Mylisz się, przypuszczając, że Wanda oddaje swą rękę panu Bolesławiczowi z wyrachowania. Być może, iż uczucie, jakie dla niego Wanda żywi, nie jest płomiennem, ale bądź co bądź musisz przyznać, że redaktor Bolesławicz posiada tyle przymiotów duszy i serca, iż potrafi w młodej nawet kobiecie wzbudzić rzetelne i trwałe uczucie.

— Jakiż w tem dowód na pobicie mojego twierdzenia, że panna Kozłowska wychodzi za mąż dla... karjery? Daj spokój Julu! Świat jest takim, jakim jest; wysofizmować można wszystko.

— Lękam się, czy właśnie mój brat nie jest takim sofistą! — odparła Julia. — Cóż tam?

Ostatnie pytanie odnosiło się do służącej, która właśnie stanęła w progu.

— Jacyś panowie przyszli do panicza — odparła służąca.

— Zaprowadź ich do mojego pokoju i powiedz, że zaraz tam przyjdę! — rozkazał Władysław.

Służąca wyszła.

— Czy to spodziewana wizyta? — spytała Julia.

— I tak i nie! — odparł Władysław. — Słyszałem przed kilku dniami, że wybiera się do mnie jakiś młodzieniec, który, mając kilka tysięcy reńskich i sporo ambicji, zamyśla wydawać tygodnik czy miesięcznik, któryby był organem młodzieży postępowej. Może mnie chcą wciągnąć do komitetu redakcyjnego; zobaczę!

— Przyszło ich dwóch, jak słyszałam.

— Zobaczę, kto oni. Do widzenia!

Władysław skinął siostrze głową i udał się do swego pokoju. Na jego widok dwaj młodzieńcy podnieśli się z kanapy i przedstawili się:

— Jan Zawiłowski!

— Ignacy Goldman!

Władysław ukłonił się i poprosił, aby napowrót zajęli swe miejsca.

— Przybyliśmy do pana — zabrał głos starszy młodzieniec, który nazwał się Zawiłowskim — w sprawie ogółu, to jest, w sprawie młodzieży postępowej, która widząc, że dzisiejsza prasa krajowa nie uwzględnia interesów i pragnień młodzieży radykalnej, postanowiła założyć własny organ. Na razie będzie to miesięcznik, lub dwutygodnik. Kapitał na to wydawnictwo daję ja.

Ostatnie zdanie wymówił z przyciskiem i umilkł, jakby dla efektu.

Władysław spytał spokojnie:

— Pan zatem byłbyś wydawcą tego pisma? A jaką sumę chcesz pan poświęcić na to wydawnictwo?

— Cztery tysiące reńskich. Sądzę, że ta suma na początek wystarczy; potem pokryje się wydatki i wkładkę prenumeratą, oraz inseratami . . . . .

— A gdzież gwarancja, że po wydaniu ofiarowanej przez pana sumy, pismo istnieć będzie dalej? — przerwał Władysław.

— Gwarancja istnieć będzie w powodzeniu pisma! — wmieszał się do rozmowy Goldman.

— Pismo nasze — rzekł Zawiłowski — będzie organem stronnictwa radykalnego i przysporzy nam zastępy nowych ludzi, którzy walczyć będą pod naszem hasłem i z pewnością wesprą nas także materjalnie.

— Program już przygotowany; — wmieszał się znów Goldman — przyniosłem panu do przejrzenia artykuł wstępny, który damy do pierwszego numeru; będzie to niejako nasz program.

Wyjął z kieszeni surduta kilka ćwiartek zapisanego papieru i wręczył je Władysławowi.

— Przyjmuję rękopis — rzekł Władysław — ale pod warunkiem, że wolno mi będzie zatrzymać go dwa lub trzy dnie. Dzisiaj obchodzimy wesele mojej siostry.....

— Właśnie z tego powodu zmuszeni jesteśmy, pana przeprosić — przerwał Goldman. — Dowiedzieliśmy się bowiem o tem weselu dopiero na progu mieszkania; kolega Zawiłowski nie chciał się atoli cofnąć.

— O, ja nie cofam się nigdy! — zawołał tenże. — Ludzie szerszych idei nie powinni uznawać żadnych przeszkód i mam nadzieję, że doktor Berger nie odwlecze sprawy ogółu dla prywatnej!

— Wzbijasz mnie pan w ambicję! — rzekł Władysław z uśmiechem. — Cóż każecie mi panowie zrobić? W tej chwili trudno mi przeczytać rękopis pana Goldmana.

— Tego nie żądamy; — rzekł Goldman — rękopis zostawię panu do przejrzenia i za trzy dni przyjdę po odpowiedź. Dzisiaj zależy nam na tem, aby się dowiedzieć, czy pan zechciałbyś przyjąć współpracownictwo naszego pisma.

— I pan będziesz kierownikiem tego pisma, czy tak? — rzucił pytanie Władysław.

— Właśnie mam honor przedstawić się jako redaktor „Pobudki“ — rzekł Goldman.

— To jest tytuł pisma, które zamierzamy wydawać — dodał dla objaśnienia Zawiłowski.

— A kiedy ma wyjść pierwszy numer? — spytał Władysław.

— Za dwa tygodnie — odparł Goldman.

Władysław namyślił się nad odpowiedzią.

— Dziękuję panom serdecznie za dowód zaufania, — rzekł wreszcie — lecz zarówno proszę o czas do namysłu. Nie mogę się zobowiązać do pracy, której celu nie pojąłem dobrze. Jeśli ten artykuł wstępny ma być także programem waszego pisma, przeczytam go uważnie, aby poznać, o ile w tendencji zgadza się z mojemi przekonaniami i poglądami. Odpowiedź mogę panom przesłać za trzy dni.

Gotował się do napisania adresu; ale przerwał mu Goldman:

— Po odpowiedź przyjdę sam.

— Więc nie chcesz pan decydować się od razu? — spytał Zawiłowski.

— Jakże mógłbym?! — zawołał Władysław. — Byłoby to lekkomyślnością.

— A jednak ja nie namyślałem się długo, choć wkładam mój kapitał — rzekł z przekąsem Zawiłowski.

— Pan znasz cele i sprawę, dla jakiej się poświęcasz — odrzekł grzecznie Władysław.

W duszy jednak pomyślał: „ośle! cóż znaczy twój kapitał w obec wartości nazwiska, zasad i sumienia, które trzebaby wam ofiarować.“

— Cel przedstawiliśmy panu! — przerwał Goldman. — Będzie to walka z korrupcją i obrona praw człowieka, ludu i mas, któremi się dzisiaj pogardza.

— Wybaczy pan, ale ja w samem brzmieniu tych słów widzę pewien rodzaj frazeologii — rzekł Władysław.

— Panie! — zawołał Goldman.

— Najmocniej przepraszam; nie chciałem panom ubliżyć. Ale tyle się dzisiaj rzuca pięknych słówek na przynętę, że trudno rozróżnić w nich echo prawdy.

— Intencje i zamiary nasze są jak najszlachetniejsze — rzekł Zawiłowski.

— Nie wątpię! — odparł Władysław. — Ale zechciejcie panowie wyrozumieć, że potrzebuję kilka dni do namysłu, aby coś postanowić.

Dobrze, zgadzamy się na trzydniowy termin — rzekł Goldman — dziś dwunasty; piętnastego przyjdę po odpowiedź.

Panowie Zawiłowski i Goldman powstali; kiedy mieli się już żegnać i wychodzić, Zawiłowski przypomniał sobie, że Władysław mówił przed chwilą o weselnych godach swej siostry; złożył mu tedy wyrazy powinszowania, które niemal w dosłownem brzmieniu powtórzył Goldman, poczem obaj opuścili pokój młodego Bergera.

Po ich odejściu, Władysław zabrał się do przejrzenia rękopisu Goldmana. Wizyta obu panów, choć nie zastała go nieprzygotowanego, wydała mu się jednak tak przypadkową, a rozmowa ich tak niejasną, że zapragnął zrozumieć intencje tych panów; sądził, że uda mu się to najprędzej za pomocą artykułu Goldmana.

Przejrzał więc rękopis i oto, jaki ustęp na sam początek wpadł mu w oczy:

. . . . „Równość powinna istnieć w wolności wyboru pracy wedle indywidualnych zdolności osobnika. Tutaj nie powinne wchodzić w grę żadne ustawy, żadne względy rasowe i wyznaniowe, bo sprawiedliwość powinna być dla wszystkich. Równość dla wszystkich w walce o byt, o pracę, o rozkosz, o zaszczyty, a równocześnie jednakie poszanowanie dla każdej pracy. Chcemy także, aby uzdolnione jednostki, częstokroć najszlachetniejsze, najlepsze, mogące być ozdobą społeczeństwa, nie marnowały najproduktywniejszych lat swego życia w rozpaczliwej i poniżającej walce o chleb codzienny“.....

Władysław czytał te słowa z uśmiechem. Jego pamięć, dziwnie elastyczna, i teraz go nie zawiodła; odczytując rękopis Goldmana, znalazł w jego hasłach i zdaniach, myśli i słowa, które już kiedyś gdzieś wyczytał. Pomyślał chwilę i przypomniał sobie dzieło, oraz autora. Było to jedno z najpopularniejszych dziełek włoskiego ekonomisty Ferri'ego.

„Toś ty taki erudyt?“ — pomyślał Władysław, a przewróciwszy kartki rękopisu, dotarł do miejsca, gdzie artykuł zbliżał się już ku końcowi.

. . . , . „Lecz przeprowadziwszy taki program, nie łudźmy się nadzieją, że zdobędziemy ideał społe-

czny. Ludzkość w dążeniach swoich ustać nie może, lecz musi i powinna wciąż się doskonalić i dążyć do postępu. Społeczeństwo, które już nie walczy o zdobycie ideału, przeznaczone jest na zagładę!“. . . . .

Władysław nie czytał już dalej; końcowe ustępy artykułu Goldmana były wyjęte z ostatnich stronic dziełka Ferri'ego. Wiedział już, co to za jeden, ten redaktor „Pobudki“ i postanowił odmówić Zawiłowskiemu współpracownictwa.

Równocześnie owładnął nim żal; gniewał się na intruzów, którzy wcisnęli się do jego mieszkania, aby w takim dniu uroczystym zepsuć mu humor.

— Oto to tacy nasi wybrani! — sarknął w gniewie. — I łącz się tu z takimi idjotami. Ten ma trochę pieniędzy i nie wie, co z niemi począć, więc zostaje wydawcą i nieproszonym trybunem ludu; drugiemu przewróciło się w głowie i myśli, że ma wyłączny patent na bałamucenie młodzieży przeżuwanemi komunałami zagranicznych ekonomistów. Jeden i drugi wykolejony ze zwykłego trybu życia. Obaj sądzą, że wystarczy połknąć kilka tomów ekonomii społecznej, aby nauczać drugich i wodzić ich na pasku swych zachcianek. I tacy to ludzie mają reprezentować naszą młodzież?... Jaką?... Młodzież postępową, radykalną?... Mnie się zdaje, że gdyby ta młodzież wiedziała o niewczesnych swoich obrońcach, uczyniłaby ich wnet nieszkodliwemi zwierzątkami!....... A jednak, o ile znam nasze stosunki, nie należy tych dwóch lekceważyć. Nie wątpię, że po za nimi stoi pewna frakcja, złożona z ludzi, którym przeciwności różnego rodzaju nie pozwoliły skończyć uniwersytetu; ludzi bez egzystencji, bez zasad, z etyką elastyczną i ambicją niepohamowaną. Nie wiem, czy takich u nas jest dużo, czy tylko mała ich garstka; ale podobne szumowiny wyrzuca na wierzch każde społeczeństwo, aż gangrena dochodzi do organizmu narodu. Gdzież ci szlachetni i zdolni z młodzieży?....

Władysław gorzko się uśmiechnął.

Wszyscy dawniej walczyli pod jednym sztandarem; a dziś podzieliły ich waśnie o różnice wierzeń religijnych i politycznych. Stworzywszy oddzielne partje, walczą,

szkalując jedni drugich, odmawiając jeden drugiemu pragnień i celów, ku największej uciesze tych, co czyhają na ich pożarcie.

Przy kim będzie zwycięztwo?

XII.

Julia czekała w pokoju brata, aż ten uporządkuje papiery i wdzieje paltot, aby jej towarzyszyć na zebranie syonistów.

— Czy Saul idzie z nami? — spytała Julja.

— Saul oczekiwać nas będzie przed bramą lokalu.

— Czy z Manią?

— A ta, coby tam robiła? Mani takie sprawy nie zajmują. Miałaś sposobność przekonać się, że jest dosyć płytką, choć posiada dużo uczucia i sporo rozumu. Ale rozum to rzecz powszednia i nie da się rozciągnąć na sprawy ogólno-ludzkie. No... nareszcie!... Oto list, którego szukam. Masz, usiądź i przeczytaj go na głos.

Julia odebrała list z rąk brata i głośno czytać zaczęła.

„Szanowny Panie! Występuję z Towarzystwa. „Przykro mi bardzo, że rozstać się muszę z kilku kole„gami, których zacne dążenia przejęły mnie szacunkiem „dla ich osób. Tym z członków, którzy poczują się „skrzywdzonymi mojem wystąpieniem z Towarzystwa, „oświadczam, że z przyjemnością powitam ich na każdem „innem miejscu, byle nie w takiem Stowarzyszeniu, gdzie „idea miłości ziemi, jest tylko brzmieniem bez treści, „Tu nie ma jedności ducha, myśli i przekonań. Różnice „wierzeń, wychowania, przyzwyczajeń i gustów utrudniają „między członkami Waszego Stowarzyszenia wzajemne „porozumienie się. Jako chrześcijanin dodać muszę, że „aczkolwiek wierzę w szlachetne dążenia młodzieży izra„elickiej, nie ufam przecież w pomyślne rozwiązanie „założonej przez nich tezy. Jeśli mamy pracować nad „odrodzeniem, w takim razie musimy się oprzeć na ko-

„ściele, jako instytucji, która wyobraża najwyższą sprawiedliwość“......

Nie dokończywszy czytania, Julia rzuciła list na stół.

— Chciałabym tylko wiedzieć, czy to pisał głupiec, czy sofista — rzekła z widocznem podnieceniem.

Władysław nic na to nie odpowiedział; podjął porzucony list, złożył go starannie i schował go do szkatułki na dno szuflady. Potem zamknął biurko, wdział na się paltot, sięgnął po kapelusz i rzekł do siostry:

— Chodźmy, nie chciałbym, abyśmy się spóźnili.

Puścił ją przodem, wyjął klucz, włożył go z zewnętrzej strony i zamknął drzwi swego pokoju, chowając klucz do kieszeni.

W milczeniu zeszli ze schodów; dopiero na ulicy Władysław zwrócił się do siostry i rzekł:

— Nie myśl, że pokazałem ci ten list w zamiarze usprawiedliwienia się z zarzutów, jakie mi robisz. Chciałem tylko, abyś objęła myślą cały przebieg duchowego procesu, jaki się we mnie odbywał, zanim w nowego przedzierzgnąłem się człowieka. Czy sądzisz, że choćby na chwilę uwierzyłem, że ta nowa droga zaprowadzi nas do celu? Od pierwszej chwili wiem, że to utopia. Smutne to, nieprawdaż? Nie pozostała mi nawet pociecha łudzenia się.

— A więc dla czego kroczysz po tej drodze?

— Dla czego? Bo tu mogę przynajmniej wpłynąć na ciemne masy żydowskie. Dotychczas patrzyłem na tych biednych z wysokości własnych pojęć i pogardzałem nędznemi płazami, walczącemi w gnojówce o żer. Oczy miałem wytężone naprzód i nie liczyłem się z przeszłością. Biegłem tam, gdzie mi się zdawało, że nie ma brudów, bo je większa oświata wygnała w ciemny zakątek. Zdawało mi się, że pojąć mnie mogą tylko tacy, co opromienieni światłem postępu, skupiają w sobie inteligencję ducha. Jeden cel nęcił mnie najbardziej, a to praca dla ziemi. Duszą i sercem przylgnąłem do jej ideałów. Lecz jakże rychło przekonałem się, że ani mnie, ani braciom moim nie ufają. Stowarzyszenie, które

do życia powołałem w celu propagowania tej idei, nie istniało długo. Prawie wszyscy chrześcijańscy członkowie, jeden po drugim, usunęli się: co zaś do żydowskich młodzieńców, prawie co do jednego przeszli do obozu syonistów. . . .

— I ty z nimi! — przerwała Julia. — Czy nie tak?

— Nie tak prędko, jak sądzisz. W pierwszych dniach po tej porażce, zbyt dużo cierpiałem, aby módz myśleć bezstronnie o tem, co zaszło. Gdy uspokoiła się dusza moja, poszedłem do tych biednych, wydziedziczonych, na których zda się, widnieją jeszcze ślady ghetta, a poszedłem w zamiarze, aby prowadzić ich do światła, aby im nieść pomoc w potrzebie i ulżyć ich nędzy. To wprawdzie utopia, ku której dążą syoniści; ale czy wiesz, ile nędzy zapobiegli ci niepoprawni fanatycy, ile łez otarli biednym współbraciom, zwołując wiece i wieczorki, zbierając składki, oświecając masy przez perjodyczne pisma, broszury i książki? . . .

— Wyliczasz dobrodziejstwa, a czemu nie wspominasz także o tem, ile złego wyrządzili odgraniczaniem się od pracy dla wspólnych celów i potęgując antysemityzm?

— Żeby to dopiero syoniści spotęgować mieli antysemityzm, o tem wątpię mocno.

— Ale przeciwnikom wepchnęli broń w rękę.

— Daj spokój, Julio! Gdybyś jak ja, miała sposobność, ocierać się o różnorodne żywioły, przekonałabyś się wówczas, że obawa o własny interes kieruje owemi hasłami, które rzucają nam w oczy z pogardą; i, że nie wszystko, w co nam wierzyć każą, godnem jest uwagi. Nic łatwiejszego, nad bałamucenie opinii publicznej; zapytaj się o to pod sekretem pierwszego lepszego redaktora brukowego pisemka o tendencji antysemickiej.

— A wy, czy nie bałamucicie opinii publicznej tendencyjnie?

— Mnie osobiście zarzutu tego zrobić nie możesz. Posyłałem ci każdy prawie artykuł mego pióra i przekonać się mogłaś, że niczyjej nie bałamuciłem opinii.

— A jakże usprawiedliwisz to przerzucanie się z jednego obozu do drugiego? Zadałeś kłam owym hasłom, które głosiłeś z takim zapałem, by podjąć nowe, skoro.....

— Haseł nie wydaję! — przerwał jej prędko.

— Tem gorzej dla ciebie, że będąc dawniej wodzem, zostałeś teraz ostatnim szeregowcem.

— Dowód w tem, że nie zaślepiają mnie własne ambicyjki.

— Jakże mogłeś zadać kłam samemu sobie?

— Walczyłem do ostatka i wtedy jeszcze, gdy odbiegli mnie wszyscy. Bezczynnym być nie chciałem; oto powód, dla czego widzisz mnie po stronie tych, którym dawniej złorzeczyłem.

— I zostałeś krzykaczem, jak oni?

— Za surowy sąd wydałaś Julio! Wielu co prawda krzykaczy między syonistami, ale jest dużo i takich, którzy działają w przekonaniu, że służą dobrej sprawie i bronią przynależnych im praw. Ach, gdyby oni z takim zapałem byli stali przy idei jedności! . . . . Zobaczysz ich zresztą na dzisiejszem zebraniu. Mówić będzie Singer, naczelny redaktor organu syonistów.

— Czy darzysz ich zupełnem zaufaniem?

— Zastrzegłem sobie surowy objektywizm na ich sprawy. Działam teraz bez namiętności i zapału. . . .

— W takim razie nic nie zdziałasz, albo też to, co zdziałasz, nie będzie trwałem.

— Wiem, że to epoka przejściowa, więc na cóż się wysilać? . . . .

— Opanowała cię zatem apatja?

— Temu zaprzeczam stanowczo. Nie wierzę tylko w to, że syoniści wypowiedzieli już ostatnie słowo, jak nie śmiem też wątpić, czy ta cała ich działalność nie zrodzi czegoś, co będzie trwalszem i w skutki zbawienniejszem.

— Zdaje mi się, że jesteśmy na miejscu — rzekła Julia, wskazując na oświecone okna domu, do którego się zbliżyli.

— Tak jest. Widzę też Saula w bramie. Saulu! — zawołał przyciszonym głosem.

— Czekam już na was — rzekł Saul, idąc im naprzeciw.

Wszyscy troje weszli razem do sali stowarzyszenia syonistów. Na progu Władysław przywitał się z kilku towarzyszami, potem salę przeszedł wzdłuż i posadził siostrę w rogu przy oknie; poleciwszy zaś Saulowi, by jej na krok nie odstąpił, sam wmieszał się w tłum, na sali zebrany.

Powietrze było duszne; prawie wszyscy tu zebrani mężczyzni palili i rozmawiali głośno; jedni po polsku, drudzy po niemiecku, inni wreszcie w żargonie. A jak rozmaitemi były języki, któremi się porozumiewali, tak też rozmaitemi były ich fizjognomie i niemniej dziwaczna mięszanina w ich stroju i ruchach.

Różnorakie kasty żydowskie miały tu swoich przedstawicieli. Począwszy od kantorzysty w krótkiem, modnem ubraniu, a skończywszy na anemicznym „bucherze“ w długiej, obcisłej „bekieszy,“ zebrana tu była młodzież izraelicka najrozmaitszych warstw i wyobrażeń. Wśród tej mięszaniny wyróżniało się pięciu, czy sześciu starszych mężczyzn, z których dwóch tytułowano bankierami, a do reszty zwracano się ze stereotypowym zwrotem: „pan adwokat pozwoli?“ albo: „was denken Sie, Herr Advocat?“

Panowie ci rozglądali się po zebranych z miną wodzów, którzy lustrują swoje pułki; potem skupili się, radzili, lub pojedynczo stawali przed którą z gromadek, by wmięszać się do ich rozmowy i nadać jej pożądany przez siebie kierunek.

Naraz, w kilku miejscach wrzawa od razu przycichła; w innych zadrżała jeszcze kilka razy echem pojedynczych głosów, potem słyszeć się dały wołania: cicho! sza! still!

I uciszyło się.

Na podniesieniu z desek stanął mężczyzna może trzydziestoletni, średniego wzrostu, nie bardzo silnej budowy ciała o fizjognomii agitatora, nerwowej twarzy, drgającej namiętnościami i odbijającej każde wrażenie, z oczami iskrzącemi się, jak czarne dyamenty. Byłby może bardzo przystojny, gdyby nie nadzwyczajna chudość ciała, która raziła przy jego wydłużonej twarzy, wązkiej piersi i kanciastych ruchach.

Niewiedzieć kiedy stanął na podwyższeniu, zagnany tam ruchomą falą młodzieży. Rozłożywszy przed sobą na stoliku jakieś notaty, spojrzał w stronę, gdzie ukryty za filarem siedział komisarz policji w towarzystwie kilku dziennikarzy, odchrząknął, powiódł wzrokiem po zgromadzonych i zawołał:

„Szanowni towarzysze i bracia!“

Głos jego był silny i widocznie chętnie słuchany, bo umilkli wszyscy, nawet w najdalszych kątach stojący. — Słowa padały w masę jak kamienie, to znów jak łzy lub lawa gorąca. Słuchano go z zapartym oddechem, a on, świadomy swego wpływu, mówił dalej, porwany wirem własnych słów:

. . . . . „Źle, bardzo źle myśleli o nas przyjaciele i nieprzyjaciele nasi — tak zwani filosemici i antysemici całego świata, narzucający się nam z nieproszoną opieką i mentorstwem. Jedni chcieli nas zbawić bezwzględną asymilacją, drudzy wskazywali jako ideał odrodzenia propagandę socjalistyczną. Idea asymilacji, jak wiadomo, już zbankrutowała; a co do propagandy socjalistycznej, to chociaż służy jej znaczny zastęp młodzieży naszej, to przecież nie wątpię, że młodzież zawróci z błędnej drogi, skoro tylko pozna, że prowodyrowie socjalizmu nie mogą być naszymi prorokami.

Socjaliści obiecują poprawić naszą dolę ekonomicznie. Dobrze! Ale czy tem samem kwestja żydowska będzie już załatwioną? Nasza dola poprawiona ekonomicznie, będzie jeszcze nadal tak smutną, jak przedtem, bo cierpieć będziemy jako naród, jako rasa! Najlepszy tego mamy dowód na stosunkach, panujących we Francji i w Niemczech, gdzie ekonomiczny stan żydów nie pozostawia już wiele do życzenia. Nie ma tam wprawdzie Krezusów żydowskich, ale jest zdrowy, bogaty stan średni. Ale czy przez to dola tamtejszych żydów poprawiła się o tyle, że nie należy im marzyć o tem, aby było lepiej? Nie! Oni dalej cierpią pod uciskiem nienawiści plemiennej i rasowej. Żyd nie może tam awansować ani w sądownictwie, ani w armii; żyd jest wzgardzony, a wzgardę czuje tem boleśniej, że pod względem ekonomicznym stanął już na równi z krajowcami — że wolny od trosk powszedniego chleba, wykształcony, delikatny,

subtelniej odczuwa to sponiewieranie swej godności osobistej.

A więc nie zbawi nas socjalizm! Nie w socjalizmie tkwi rozwiązanie kwestji żydowskiej! Kwestję żydowską rozwiąże tylko syonizm. Będzie to zatem samopomoc, a więc coś takiego, co nigdy nie zawodzi, ale stężywszy umysły, skupia całe masy na gruncie narodowym i uczy pracować i myśleć bez oglądania się na pomoc z zewnątrz płynącą. Syonizm jest także, jak słusznie powiedział dr. Hercl na kongresie w Bazylei, owym mistycznym sędzią polubownym! Syonizm pogodzi umysły filosemitów i antysemitów, trzeba tylko, aby idea syońska została dobrze zrozumianą!

A czego my chcemy?

Chcemy stworzyć egzystencję dla biednych, wzgardzonych nędzarzy żydowskich! Chcemy zbudzić do życia narodowego masy żydowskiego proletarjatu, jak również i tę część inteligentnych żydów, która już zapomnieć chciała, że są żydami! Chcemy zbliżyć ów dzień przepowiadany przez proroków naszych i odbudować z gruzów Syonu świątynię! Chcemy dać pracę i byt tym, którzy tutaj umierają z głodu i giną w kloace nienawiści i pogardy! Chcemy pokazać tym, co twierdzą, że jesteśmy pijawką, ssącą zdrowy organizm społeczny, że możemy istnieć jako naród samoistny.

Lecz aby zbliżył się ów dzień, o który codziennie w modłach naszych prosimy, na to potrzeba z gorącą wiarą w urzeczywistnienie tego cudu iść między lud żydowski i budzić z uśpienia tych, co w twardej niedoli żyjąc, stracili już wszelki promyk nadziei. Trzeba także iść do tych, których fałszywi obałamucili prorocy — i do tych, co w złocie widzą potęgę świata. Każdy silny duchem i wiarą w moc słowa niech idzie i woła głośno: Wstawajcie, bo oto plaga kwestji żydowskiej skończy się rychło; syonizm ją wybawi! Syonizm, to okrzyk, wywołany duchem czasu! Syonizm, to hasło dni naszych!“. . . .

Mowca zeszedł z trybuny, a grzmot oklasków towarzyszył jego ustąpieniu. Gdy miał wmieszać się i utonąć w oczekującym go tłumie rozentuzjazmowanej młodzieży, ktoś do niego przystąpił i szepnął mu na

ucho słów kilka, poczem się usunął. Wrócił więc na poprzednie miejsce i zawołał:

— Towarzysz Silberfeld prosi o głos!

Otrzymawszy w odpowiedzi głośne zezwolenie zgromadzonych, ustąpił miejsca wysokiemu, dobrze zbudowanemu mężczyźnie, odzianemu w długi chałat. Był to sławny żargonowy mowca wszystkich wieców i gorliwy, entuzjastyczny syonista.

„Kochani bracia! — przemówił Silberfeld — zanim przystąpię do właściwej treści mojej mowy, pozwólcie, że zaopatrzę ją pewnym wstępem, aby treść jej uczynić zrozumialszą, a bardziej jeszcze, aby tą mową trafić wprost do serc waszych!

Kiedy Haman, minister króla perskiego, chciał swemu władcy ofiarować tyle cetnarów złota i srebra, ile zaważy krew żydów, których w Persyi wymordować pragnął, Bóg rzekł wtedy przez usta króla: „Hamanie, przychodzisz zapóźno; żydzi sami dali okup, a raczej dał go Bóg ich, w którego wierzą.“

Od tego czasu minęły tysiące lat! Aż nazbyt często okupywali żydzi pieniędzmi marną swą egzystencję; a gdy tych pieniędzy przed czasem nie składali, popłynęła po rynkach całego świata krew ludu naszego i dawała świadectwo ludom innych wyznań, że wielką i potężną jest wiara tych męczenników, skoro dla niej, dla jej przepisów i przymierza z Bogiem, tysiące ludzi ginie na stosie, pod pręgierzem, lub kołami tryumfatorów.

I dzisiaj stoimy przed wielkim momentem historycznym! Z antysemityzmu zrobiono kwestję ekonomiczną, masy proletarjatu i ludzi nizkiej inteligencji podburzono przeciwko żydom, powtarzając starą zwrotkę hecowej pieśni: tylko u żydów są pieniądze, tylko w ich rękach zgromadził się kapitał!

A ten okrzyk roznamiętnionych tłumów, czyż szkodzi owym bankierom żydowskim, którzy z masami żydowskiemi nic wspólnego nie mają — lub może szkodzi tym bogatym lichwiarzom, którzy zawsze i wszędzie potrafią obejść prawo i dalej prowadzą swe ohydne rzemiosło, chociaż je Tora surowo potępia? Zaiste! nie tym ludziom szkodzi namiętna nienawiść antysemitów!

Ona wylewa się jadem żółci i prześladowania na głowy biedaków żydowskich. A podczas, gdy mimo antysemitów i antysemityzmu, zbogaceni na lichwie żydkowie dalej jeżdżą powozami i mieszkają w pałacach, biedni grejzlernicy, nie mogący wytrzymać konkurencji Kółek rolniczych, mrą z głodu i zimna!

I przyjdzie znowu jaki Haman i powie swemu królowi: „pozwól mi zrobić z żydami, co mi się podoba; dam ci za nich tyle złota i srebra, że zaleję niem kraj cały“. Ale wtedy znowu Bóg powie: „Haman przychodzi zapóźno! Ja sam dałem już machcis haszekel (okup) za żydów!“

Tak, moi bracia! Redaktor Singer na początku swojej mowy, zdając sprawozdanie z kongresu, wspomniał o uchwalonym tamże podatku dla celów syonistycznych. Otóż to będzie owym machcis haszekel! To będzie okup, który dobrowolnie damy i z ochotą! Tym machcis haszekel będzie podatek, jaki dobrowolnie na siebie nakładamy. Jedną koronę, lub markę rocznie może dać każdy z nas, choćby był najuboższy; bogaci dadzą więcej! Ten podatek roczny przez wszystkich żydów we wszystkich częściach świata składany, stanie się potęgą! Z tej korony, lub marki, jaką każdy żyd złoży, urosną miljony i za nie stworzymy w Palestynie egzystencję biednym żydom, którzy tutaj egzystencji nie mają! Za tę markę rocznie składaną, powstaną w Palestynie kolonje żydowskie; i tą drobną ofiarą przyśpieszymy radosną chwilę, o którą trzy razy dziennie prosimy: „Jeichi rocoju milfoneichu, adonai ejlochejni, welojchej awojsejni beis hamikdosz bimchejru wajomejni iwseju chełkajni! (Oby odbudowany został gmach świątyni rychło i za dni naszych!)“

Ten podatek niech złożą wszyscy żydzi bez względu, do jakiej dziś partji należą, bo to będzie machcis haszekel, którym wykupimy się od prześladowania — bo to będzie machcis haszekel, który rzucimy na szale sądów o żywotności naszego narodu! . . . A kiedy przyjdzie nowożytny Haman, Bóg powie wtedy: „Hamanie, przychodzisz zapóźno! Żydzi już sami złożyli okup!“....

Silberfeld umilkł, a przed nim, za nim, na prawo i w lewo, jak fale wezbrane, tłoczyć się poczęły głowy ludzkie; ze wszystkich stron zbliżały się ku mowcy starzy, siwobrodzi żydzi i wyciągali ku niemu ręce, wołając: „aszi kojech!“ (Bóg zapłać!) A młodsi powtarzali z zapałem: „Damy machcis haszekel! damy!“

I już poczęto gorączkowo składać pieniądze na tacy, którą obnosił teraz po sali skarbnik stowarzyszenia syonistów.

Gdy znowu się uciszyło, na trybunę wszedł młodzieniec bardzo starannie ubrany i ufryzowany. Ukłonił się z szykiem i piękną polszczyzną przemówił:

— Nie wchodzę w to, czy kwestja poruszona przez towarzysza Singera jest w istocie tak paląca; rozstrzygnie to wydział naszego stowarzyszenia. To tylko powiem, że jeślibyśmy chcieli załatwić każdą palącą kwestję, to musielibyśmy rozporządzać bajońskiemi sumami, posiadać siły tytanów i mieć na usługi bogów olimpijskich, jak swojego czasu bohaterowie z pod Troi. Aby wzbudzić w masach żydowskich zapał do czynu, rozżarzyć w ich piersiach iskrę poczucia narodowego i doprowadzić do tego, aby składali ofiary na ołtarzu narodowych potrzeb“. . . . .

— To frazeologia! — odezwał się ktoś z tłumu — stary odgrzewany frazes!

— Prosimy wyrażać się bez stylowych kwiatów, kradzionych po katolickich śmietniskach.

— W katolickim ogrodzie! — ktoś poprawił.

— Nie należy obrażać chrześcijan! — dorzucił drugi.

— Cicho! Sza! Still! — zabrzmiały nawoływania stronników mowcy.

Na sali powstało zamieszanie; uformowały się stronnictwa, gotowe stanąć do walki. Zdala o kilkanaście kroków widziany tłum ten, czynił wrażenie ruchomej fali, tłoczonej podmuchem namiętności wzburzonych. —

Popychany tą falą ruchomą ludzi, Władysław stanął wreszcie przy Julii.

— Wyjdźmy — prosiła Julia. — Duszę się w tej atmosferze.

— Będzie to trochę ciężko; no, ale spróbujemy! Chodźcie za mną.

— Ja tu zostanę — odparł Saul.

— Jak chcesz! Chodź Julio!

Władysław szepnął słów kilka najbliżej stojącemu młodzieńcowi i ten począł im torować drogę ku wyjściu.

Poszło im to nie bardzo łatwo; ale wydostali się przecież bez szwanku na ulicę.

— Czemu nie chciałaś dłużej zostać? — spytał Władysław, podając Julii ramię.

— Słyszałam już dosyć. Jak sądzisz, czy kwestja poruszona przez Singera, przyjdzie do skutku?

— Najniezawodniej. Singer ma za sobą dwóch bankierów i trzech adwokatów. Szkoda, że nie zaczekałaś, aż oni głos zabiorą.

— Wywołają tą agitacją nowe rozgoryczenie. Czy i ty do nich należysz?

— Wspieram ich wkładkami i radą, gdy jej żądają. Z przekonania nie jestem syonistą; oni o tem wiedzą i robią wszystko, aby mnie nawrócić.

— A więc czem jesteś?

— Człowiekiem! Czy sądzisz, że potrzeba koniecznie należeć do jakiej koterji?

— Stałeś się sofistą i walczysz ze mną bronią frazesów wyostrzonych.

— A ty znowu chcesz koniecznie mieć ze mnie bohatera.

— Obiecałeś zostać człowiekiem nietuzinkowym.

— I marzyłem też o tem!... Nie wznawiajmy tej historji. Czy na wyjezdnem jeszcze pragniesz się ze mną posprzeczać?

— Uchowaj Boże!

— Jedziesz jutro; czy to już nieodwołalnie?

— Mąż mnie oczekuje.

— Nie będę apelował do wyższej instancji. Może też być, że was wkrótce odwiedzę.

— Biorę cię za słowo.

Szli chwilę obok siebie w milczeniu, poczem Julia spytała:

— Miałeś dawniej zamiar, założyć dziennik. Czy cię odbiegła ochota?

— Nie mam pieniędzy, a nie chcę zostać pachołkiem wybranej na chybił trafił koterji.

— A gdybyś miał majątek?

— Raz jeszcze rozwinąłbym podniesiony przed dwoma laty sztandar i walczyłbym do upadłego. A może . . . kto wie? Może zostałbym epikurejczykiem i myślał tylko o tem, jak uprzyjemnić sobie życie. Ach... co się z twym bratem stało! — pomyślisz zapewne. Było inaczej, nieprawdaż? „Kiedyś duch mój przy wieszczym zapalał się rymie! Kiedyś budził mnie ze snu tryumf Milcyada!“

Umilkł, a Julia milczenia tego przerwać nie śmiała, zbyt dobrze czując, że cokolwiekbądź mówić by mogła, nie potrafi przecież zatrzeć w duszy brata śladów tego rozdwojenia, które zmroziło w jego piersiach zapał, z jakim wyzywał los i ludzi do walki o ideały, które wypielęgnowali, wspólnie się kształcąc na wzorach bohaterów. Ona, żyjąc zdala od ruchu socjalnego, zachowała owe ideały nietkniętemi. On, walcząc wśród ludzi, gdy jedni go odbiegli, drudzy wyszydzili, szamotał się wśród oblegających go myśli, niezdolny „zasklepić się w sobie“.

XIII.

Julia odjechała do męża; Saul i Mania objęli świeżo dla nich wynajęte i urządzone mieszkanie; starzy Bergerowie powrócili do swoich zajęć codziennych; Władysław podjął na nowo czynności koncypienta: przepisywał akta, lub kreślił skargi i chodził na termina. Czas, wolny od zawodowej pracy, poświęcał, jak przedtem, sprawom ogólnym, lub też bawił się, jak mógł i na co go stać było. Ci, co żyli z nim poufnie i umieli odczuwać obce dole, zauważyli, że stał się roztargnionym, często się zamyślał, a w towarzystwie błąkał się, jak zaklęty duch, psując drugim zabawę. Działo się

z nim coś niezwykłego; przechodził w nową jakąś fazę myślenia; bo oto, jak spowiadał się w listach, do Julii pisanych:

„. . . . . Gdybym na obczyznie się błąkał i żył „wśród nieznanych mi ludzi, w stosunkach anormalnych, „wątpię, czy odczułbym silniej dręczący mnie niepokój. „Nie mogę tego uczucia nazwać nostalgią, bo jestem „w ojczyznie, a za Palestyną nie tęsknię.

„Źle mi na świecie.

„To jest definicja tego, co doznaję.

„Jestem samotny, chociaż wśród ludzi się błąkam. „Nie należę do żadnej kasty, ani do żadnego kółka. „Ten podział kastowy zrozumiały dla mnie w świecie „starożytnym; ale teraz budzi we mnie wstręt i niechęć.

„Słyszałem, że ktoś wyraził się o mnie, że nie „mam stałych zasad. Ukłuło mnie to w pierwszej chwili; „teraz mi to już obojętne, co o mnie drudzy myślą i „mówią.

„Chciałbym ledz gdzie na pustyni, rozkrzyżować „ramiona, wryć się twarzą w piasek i czekać, aż wi„chury przejdą ponademną.

„Obecna chwila jest dla mnie ciężką.

„Pracuję, ale mechanicznie. Piszę tak samo arty„kuł literacki, jak akta sądowe: wszystko to suche, „bezbarwne, bez polotu.

. . . .

„Jedna tylko iskra jest w człowieku,
„Raz tylko w młodocianym zapala się wieku.
„Czasem ją oddech Minerwy rozniecí:
„Wtenczas nad ciemne plemiona
„Powstaje mędrzec i gwiazda Platona
„W długie wieki wieków świeci;
„Iskrę tę, jeśli duma rozżarzy w pochodnię,
„Wtenczas zagrzmi bohater, pnie się do szkarłatu
„Przez wielkie cnoty i przez wielkie zbrodnie,
„I z pastuszego kija robi berło światu,
„Albo skinieniem oka stare trony wali.
„Czasem tę iskrę oko niebianki zapali. . . . .
„Wtenczas — trawi się w sobie, świeci sama sobie,
„Jako lampa w rzymskim grobie“. . . . . .

„Wielki Adam miał słuszność: „Jedna tylko iskra „jest w człowieku“.

„Iskra ta zgasła; to, co pod popiołami tliło, „zapaliło oko niebianki“. Dlatego „trawi się w sobie, „świeci sama sobie, Jako lampa w rzymskim grobie“. ,

„Zgadniesz, że pisać chcę o Lei. Tylko nie myśl. „że się w niej kocham. Jestem pod suggestją jej wzroku.

„Lea mieszka w naszem najbliższem sąsiedztwie „pod opieką starej Ryfki, ciotki, czy kuzynki. Ciotka „ta pilnuje ją, jak Cerber, a nawet teroryzuje. Lea „robi przecież to, co jej się podoba.

„Zgadniesz zapewne, co robi. Uczy się. Chodzi „do niej nauczycielka, jedna z najzdolniejszych w na„szem mieście. Lea pojętna; rozmowa z nią staje się „bardzo zajmującą.

„Studjuję tę kobietę i wierzę już temu, co mi „powiedziałaś. Lea mnie kocha. A jak tkliwem jest to „uczucie!

„Ta suggestja robi mnie przecież ociężałym! Świat „oddalił się odemnie; dusza moja nie wybiega poza „obręb subjektywnych wrażeń i myśli.

„Czuję, jak w tych myślach zasklepia się moja „dusza, jak ją te myśli owijają i duszą, niby prządkę „nić jedwabna . . . . . . Czy zrobić to kolosalne głup„stwo i ożenić się z Leą? Jeszcze kilka kroków dalej, „a dojść do tego będę zmuszony. Lea nie rozumie „flirtu, ją trzeba kochać legalnie.

„Zaczynam żyć z dnia na dzień“ . . . . . .
. . . .

W kilka tygodni później pisał znowu do Julii:

„ . . . . . . Byliśmy wczoraj z Leą w teatrze. Grano „Sprawę kobiet“ Bałuckiego. Nie wiem, czy znasz tę „sztukę; ale przypomnij sobie nowellę tego samego „autora p. t. „Głowa swoje, a serce swoje“, a odnaj„dziesz ją w treści „Sprawy kobiet“. Autor dodał tylko „jedną nową, wybornie skreśloną figurę i stworzył „komedję typową, która bawi publiczność znakomicie, „ale irytuje krytyków, żądających, aby autor poważnie „rozwiązał tezę, tak doniosłe mającą znaczenie.

„Lea bawiła się znakomicie; zachwycała się Zosią, „śledziła bacznie Kaźmierza i Jadwigę. Podczas antrak- „tów była zamyśloną i rozmawiała ze mną z widocznem „roztargnieniem. Dopiero za powrotem do domu, przy- „znała mi się, że myślała o tem, czy złączone z łaski „autora stadła małżeńskie, są dobrze dobrane.

„Ponieważ w tej chwili miałem wielką ochotę „szydzić z kogo się nadarzy, odparłem bez namysłu: „Gdyby autor chciał napisać dalszy ciąg historji obu „stworzonych przez siebie stadeł, a pisał, patrząc na „ich życie w kilka lat po ślubie, musiałby nam przed- „stawić Kaźmierza, wykradającego się z domu do na- „dobnej, a uczonej pani Jadwigi, z którą spędza dłu- „gie godziny na rozmowie uczonej o „Nowych prądach“. „A Zosia? Zosię pociesza tymczasem poczciwy pan „Bolesław. „Pokrewne dusze odnajdują się rychło“, „mówi nieśmiertelny Goethe.

„Nigdy nie zapomnę przestraszonego wyrazu jej „twarzy, gdym ostatnie wypowiedział słowa. W dość „przykrem milczeniu doszliśmy aż do jej domu; zacze- „kałem, aż stróż bramę otworzy i wpuści, potem ją po- „żegnałem.

„Czy powinienem był tak do niej mówić? . . . . „Nie! . . . Ale byłem w djabelnym humorze. To mnie „nie usprawiedliwia, wiem o tem; tylko, że mi wygo- „dniej i przyjemniej, gdy ten szczegół podnoszę.

„Wczoraj spotkałem Wandę na ulicy. Szła z mę- „żem; wyglądają bardzo dobrze. On przy niej odmło- „dnieje, ona straci swą świeżość i tak różnice się wy- „gładzą. Powinienem był pójść do redakcji; nie idę; „pan B. zaprosiłby mnie do swego domu, a cóż mnie „z nim wiązać może? „Ja sobie spokojnie drzemię“ — „i nie chcę, aby mnie budzono.

„Zazdroszczę niedźwiedziom, że na zimę zasypiają, „budząc się dopiero z wiosną, kiedy natura zmartwych- „powstaje. Gdyby tak można zasnąć i zbudzić się do- „piero wtedy, gdy będzie na świecie dobrze i zapanuje „zgoda między tymi, którzy się dziś gryzą! . . .

„Powiedz mi, jak to się stało, że nie uroniłaś „żadnego z Twoich ideałów, że Ci życie nie rozwiało „tych cudownych mrzonek, z któremi poszłaś między

„ludzi? . . . Jesteś szczęśliwą, widziałem, zupełnie „szczęśliwą.

„To dobrze; przynajmniej Ty! . . .

„Mania czuje się także szczęśliwą, ale Mania, to „zupełnie co innego. Takim, jak ona, istotom nie wiele „do szczęścia potrzeba. Saul jest dobrym mężem; przy-„tem cywilizuje się on u nas.

„Zapytujesz o nowiny w rodzinie? . . . Wido-„cznych zmian tu nie widać; ale duch czasu sunie „tędy, znacząc swój pochód zbawiennemi szlaki.

„Czy jestem bez winy w obec pani Lei? . . . „Między mną a panią Leą nic takiego nie zaszło, coby „obciążało moje sumienie“ . . . .

. . . .

Władysław wierzył w to, że jeszcze nie zobowiązał się słowem w obec Lei. Zapomniał tylko, a może nie chciał donieść o tem Julii, że rodzice uważają go za konkurenta Lei i że Saul, w przepuszczeniu, że mu bałamuci siostrę, patrzy na niego z pewną niechęcią, którą wziąćby można za brak zaufania i że wreszcie on sam zapytywał się nieraz, czy nie kompromituje Lei zbyt częstemi odwiedzinami, narzucając jej się wszędzie na nieodstępnego towarzysza. Zdaje się, że bawił się ogniem dla wypróbowania na sobie jego potęgi.

XIV.

Nie ulegało wątpliwości: Lea kochała Władysława całą potęgą namiętnej, wschodniej natury.

Przebudzenia jej duszy dokonała miłość; pod wpływem miłości zmieniła swoje upodobania; pragnienie wiedzy rozbudziła tylko żądza miłości; chciała zbliżyć się duchem do tego, którego ukochała i podbić go nowemi przymiotami, widząc, że pięknością ciała nic zrobiła pożądanego wrażenia. Kochała go też z tą myślą, że zostanie kiedyś jego żoną, a ponieważ nie łudziła się, że to prędko nastąpi, więc uzbroiła się w cierpliwość i postanowiła czekać.

Tej cierpliwości nie pojmował Saul i często wyrzucał siostrze, że zamiast wybrać którego ze swatanych jej konkurentów, durzy się we Władysławie.

— Na co ty słuchasz jego mowy? — rzekł raz do Lei. — To jest dla ciebie trucizna i ona zatruje serce twoje. Ty będziesz chciała napoić duszę twoją wielką miłością, a ty słabą kobietą jesteś i dusza twoja nie jest stósownem naczyniem na przechowanie myśli wielkich. Ty Leo, masz dobre serce, ale ja tobie mówię, że serce to jest doradca głupi. Ty miej rozum Leo i rozumu słuchaj . . . .

Lea postanowiła „słuchać rozumu“. Ale ponieważ jej rozum mówił, że jest piękną i bogatą, że z dniem każdym robi większe w nauce postępy, a Władysław coraz chętniej i dłużej z nią rozmawia i prawdopodobnie prędzej czy później, pojmie ją za żonę, nie cofała się zatem z obranej przez siebie drogi. A gdy stara Ryfka, przeciwniczka wszelkiego postępu i emancypacji żydów, nalegała na nią, aby oddała swoją rękę znanemu i szanowanemu w mieście kupcowi Lejserowi Grossowi, odparła na tę interpelację dość szorstko:

— Niech mi ciotka da spokój i o tym konkurencie nie wspomina. Ja za łapserdaka nie wyjdę.

— Oj, Leo, Leo! — zawołała Ryfka. — Szczęśliwi i błogosławieni twoi rodzice, że już nie słyszą tej bezbożnej mowy! Oni byli tacy pobożni, tacy cnotliwi! A ty Leo, ty chcesz koniecznie wyjść za doktora, co nie modli się, nie kładzie „tefilim“, ani nie chodzi do bożnicy, je trefne i pali w szabas cygara. Ja ci coś powiem Leo; ja nie mogę patrzeć na takie bezbożne rzeczy.

— Czy u mnie kuchnia niekoszerna?

— Kuchnia koszerna, bo ja sama gotuję.

— A więc czego ciocia więcej żąda?

— Ja chcę, żebyś nie wyszła za „goja“.

— Uchowaj Boże! — zaśmiała się Lea — wyjdę za żyda.

— Taki żyd — odparła Ryfka z lekceważącą pogardą — taki żyd, to gorszy od katolika!

— Niechże mnie ciocia słucha. Ciocia już jest w takich latach, że nie może pojąć dzisiejszego poko-

lenia z tą jego chęcią gwałtownej emancypacji. Ja należę do nowego, ciocia do starego pokolenia. Teraz zgodzić nam się łatwo, bo ja w wielu rzeczach ustępuję. Wątpię atoli, czy potem, to jest, gdy wyjdę za mąż, będzie cioci ze mną wygodnie. To też, jakbym wyszła za mąż, dam cioci tysiąc guldenów, a ciocia wróci do Dukli i założy tam handel. I cóż, dobrze?

— A dasz, naprawdę dasz mi tyle pieniędzy?

— Dam. Czy zgoda?

— Zgoda!

— Nie będzie mi już ciocia dokuczała?

— Hm . . . hm? . . .

— No, ciociu?

Lea objęła szyję ciotki i pocałowała ją w twarz.

— Niech mi ciocia powie! . . .

Zbliżył się ktoś szybkiemi krokami. Na progu izby stanął Władysław.

— Ach, pan Władysław! — zawołała Lea puszczając ciotkę.

Ryfka prędko wyszła z pokoju. Nienawidziła Władysława instynktownie i najchętniej wymijała go.

Władysław starał się z początku do niej się zbliżyć i przezwyciężyć jej niechęć; lecz widząc uporczywe unikanie go, dał spokój i odtąd ignorował ją już stale. Gdy teraz, po odejściu Ryfki, został sam na sam z Leą, doznał nagle niezwykłego wstrząśnienia. A nie było to przecież po raz pierwszy, że rozmawiał z Leą bez świadków. Przyczyna leżała może w tem, że w ostatnich dniach długo i poważnie myślał o Lei i przyznać się przed sobą musiał, że do pięknej powinowatej ciągnie go jakieś dziwne uczucie, jakby nałóg. W żaden sposób nie chciał tego nazwać miłością.

— Czego się pani teraz uczysz? — spytał po wymianie kilku nic nieznaczących frazesów.

— Skończyłam historję starożytną i średniowieczną; teraz przeszłyśmy z nauczycielką panowanie Maksymiliana I. i Karola V. Chciałabym jaknajprędzej dotrzeć do najnowszych w historji wypadków. Czytamy teraz „Irydjona“. Jakże mnie ta postać zajmuje! Z trudnością przyzwyczaiłam się do tego ciężkiego stylu, ale gdy mi nauczycielka wytłumaczyła ideę poematu, poję-

łam go dopiero, jak należy i zachwycam się nim teraz. Czyś pan zadowolony?

Władysław słuchał jej rozmowy z niekłamanem upodobaniem. Nie przesadził, pisząc do siostry, że jest pod suggestją. Siedząc obok Lei, nie mógł wzroku oderwać od jej pięknej twarzy. Przenikał go żar, bijący z jej oczu. Zamiast jej odpowiedzieć, pochylił się ku niej, ujął jej ręce i do ust podniósł.

Lea nie była snać przyzwyczajoną do takiego hołdu grzeczności i w pocałunku tym widziała nieśmiałą pieszczotę; jej kibić wygięła się ku niemu, oczy jej patrzyły nań z taką namiętną prośbą, że objął ją ramieniem i do piersi przytulił. Wtedy poczuł na ustach jej gorący pocałunek i równocześnie ogarnęło go tak błogie, szczęśliwe uczucie, że zrozumiał, iż tylko gorąca, rzetelna miłość mogłaby mu dać ukojenie gorączki czynu, w której szamotał się już od dłuższego czasu. Nie chciał się bawić w krytyka, chciał być szczęśliwym. Silniej więc objął w ramiona kochającą go kobietę, okrywając jej twarz pocałunkami bez końca i pamięci.

. . . .

W dwa dni później Władysław opisał siostrze w dalszym ciągu genezę jego stosunku z Leą.

„ . . . . . Zrozumiesz, droga Julio, że po tem, co się „stało, muszę Leę uważać za moją narzeczonę. Ta ko- „bieta nie rozumie romansu, który nie prowadzi do „małżeństwa. Po pierwszym pocałunku widziała we mnie „przyszłego małżonka. Gdybym jej nie znał, powiedział- „bym, że rachowała na to, co się stało; ale ona mnie „kocha i to ją usprawiedliwia. Wiem, że będzie dobrą „i uległą żoną.

„Czy żałować, że stało się tak, jak się stało? „Nie jestem zupełnie szczęśliwy; lękam się, że Lea „zrozumieć mnie nie potrafi. Przytem Lea jest bogatą; „powiedzą, że żenię się z nią dla posagu. Czy wierzysz „w to, że mógłbym zostać epikurejczykiem?

„Stoikom nie udaje się już teraz!“

„Chciałem być lepszym, niż inni, a teraz przylepią „mi epitet nie bardzo pochlebny. Nazwą karjerowiczem,

„kłusownikiem posagu i t. p. Będą mieli prawo mścić „się na mnie.

„A zresztą, cóż mnie to obchodzić może! Pogadają i przestaną! Ani się spodziewają, gdy sprawię im „nową niespodziankę.

„Gniewa mnie już to życie, jakie w ostatnich „kilku miesiącach prowadziłem. Nie mam żółwiej na„tury. Lea ufa mi zupełnie; kto wie, czy nie założę „projektowanego dawniej dziennika. Chyba . . . żebym „zupełnie zwątpił, że się na co zda. A na to obecnie „się zanosi. Nie masz wyobrażenia, jak wrą namiętności „rasowe i jak szeroko rozgałęzioną agitację rozpoczęli „syoniści. Walka byłaby zatem podwójna i straty ma„terjalne, przynajmniej na początku, byłyby znaczne. „Dziś popłaca tylko antysemityzm. Kto zakłada brukowe „pisemko o zabarwieniu antysemickiem, śmiało może „liczyć na powodzenie.

„Rodzice wiedzą już o wszystkiem. Saulowi było „spieszno wygadać się. Matka aż płakała z radości; „ojciec uścisnął mnie tylko i rzekł: „niech ci to wyj„dzie na szczęście.“

„Ach, gdyby Lea mogła dokonać tego cudu i „albo zupełnie zgasiła, lub rozdmuchała w mojej duszy „te iskry zapału i pragnień, co tlą jeszcze pod popio„łem! . . .

„Żyć z tą wieczną rozterką w duszy, w męczą„cem oczekiwaniu doniosłych wypadków a tymczasem „grać rolę dwuznaczną! nie! nigdy! W takich to warun„kach, nawet tkliwa miłość kobiety najpiękniejszej nie „da mi szczęścia.

„Nie miej nademną litości, bo na to nie zasłu„guję. Gdybyś mnie osądziła surowo, możeby ten wy„rok wstrząsnął moją duszą i z drzemki przebudził“ . . .

. . . .

Można sobie wyobrazić, jak przygnębioną była Julia, odczytując podobne listy brata. Straciła już nadzieję, że Władysław wzniesie się kiedyś na wybitne stanowisko i przyniesie zaszczyt społeczeństwu, do którego należy. Już się nie łudziła, że los przeznaczył go do wielkich czynów. Pragnęła tylko, aby się nie zmarnował w tej rozterce.

Lękała się też o spokój jego duszy. Trapiło ją widmo niedobranego małżeństwa brata i po otrzymaniu tego ostatniegolistu, chciała napisać Władysławowi, aby nie wiązał się jeszcze, lub przynajmniej zaczekał do pewnego czasu, jaki na próbę przeznaczy.

Nie spełniła przecież tego zamiaru, lękając się odpowiedzialności za krok taki. Pokazała mężowi list Władysława i powierzywszy Arturowi swoje obawy, o radę go poprosiła.

— To konwulsje ostatnie, które zwiastują przesilenie — rzekł Artur po przeczytaniu listu Władysława — Twój brat był chory w ostatnich kilku miesiącach, a chorobę wywołało: zbytnie naprężenie nerwów. Przekonał się, że bezkarnie Prometeuszem zostać nie można. Ale nie lękaj się! Twojego brata uwolni od mar męczących przeświadczenie, że już dosyć zrobił, jeśli chciał, chociaż spełnić powziętego zadania nie mógł.

— A czemu nie dotrwał? — przerwała Julia.

— Czemu, pytasz? Nie dotrwał, bo brakowało mu wiary, to jest właśnie tego, czego brakuje takim, jak on zapaleńcom żydowskim. Plemienną cechą wyemancypowanej młodzieży izraelickiej, jest brak wiary i wytrwałości. A wiara daje nam właśnie to, czego rozum dać nam nie potrafi, mianowicie: zapał w naszych przedsięwzięciach, dźwignię w upadku ducha i wytrwałość mimo przeciwności. Młodzież izraelicka potrafi zapalić się do szlachetnych czynów i w zapale zdolna do największej ofiary i najszczytniejszego poświęcenia. Ale jej zapał stygnie za pierwszem niepowodzeniem. Co zaś do ofiary za ideę, mało który z nich pojmuje ją tak, jakby należało. Podług ich zasad powinna być we wszystkiem pewność korzyści i pewność wygranej. Gdy rozum im powiada, że nie ma szansy wygranej, cofają się przed najszlachetniejszem przedsięwzięciem. Nie brak im natchnienia ofiar, ale nie posiadają cierpliwości głęboko wierzących. Oto przyczyna, dlaczego Władysław tak się szamoce. Zostaw go w spokoju. Żal mi go, jak również żal mi wielu jemu podobnych zapaleńców, których znałem dobrze, a którzy dzisiaj korzystne w hierarchii społecznej zajmując stanowiska, chełpią się tem, że są bez

uprzedzeń kastowo-religijnych i wyprzedzili drugich w religii przyszłości.

— Twój sąd nie jest objektywnym; zapatrujesz się na to z punktu wiary . . . . .

— Tak jest! Nie myślę udawać przed tobą libertyna i błogosławię kierunek mego wychowania, dzięki któremu nie straciłem wiary w walce z ludźmi i życiem. Daleki jestem od fanatyzmu średniowiecznych rycerzy krzyża; lecz ta wiara, za którą walczyli moi przodkowie, wiara, nie odnosząca się, jak u pierwszych żydów, li tylko do narodu wybranego, ta wiara, co ogarniała najpierw nieszczęśliwych i deptanych, a później podbiła potężny świat starożytnego pogaństwa, mając za hasło: miłość i przebaczenie; ta wiara ma we mnie gorącego wyznawcę i żałować tylko mogę wyemancypowaną młodzież izraelicką, że tak łatwo i bez skrupułu pozbyła się potęgi, o którą rozbijały się były wieki całe. Ideałem dawniejszych żydów było prawo i zakon Mojżesza; dla dzisiejszej generacji żydowskiej mistrzami będą: Marx, Spencer, Ferri, Stuart-Mill i ci, co po nich nastąpią.

Julia przyjęła odpowiedź męża milczeniem; słowa jego były dla niej pewnego rodzaju niespodzianką. Artur odsłonił przed nią część duszy, której nie znała, a raczej pojąć nie mogła, czy nie chciała. Artur był katolikiem przez rasę i wychowanie; pozytywna wiedza nie wyrwała z jego duszy wiary przodków; pobłażliwy dla każdej ułomności ludzkiej, był bezwzględnym na punkcie wiary.

Jakże się to stało, że poślubił ją, żydówkę i nie położył warunku, aby przyjęła chrzest święty?

Przypomniała sobie pierwsze tygodnie i miesiące ich wspólnego pożycia; jakże ona, jakże oni byli wtedy szczęśliwi! Tak, to była miłość; miłość pełna uniesień i zachwytów, co odrzuciła wszelkie różnice pojęć i wierzeń, aby rozkoszować się szczęściem bogów.

Potem przyszła refleksja; miłość trwała dalej, lecz straciła cechy szału; spoważniała, pogłębiła się; wtedy Julia spostrzegła na czole męża chmurę nieza-

dowolenia, która znikła dopiero z chwilą, kiedy przyjęła chrzest święty.

Zdawało jej się to wtedy tak naturalnem, tak koniecznem, że przystała na tę zmianę, mającą ją duchowo zbliżyć do męża i dziecka.

A przecież . . . dzieliło ich coś. Wprawdzie nieznacznie i nieczęsto, ona jednak, jako subtelniejsza natura, odczuwała ten przedział, którego mąż zdawał się niespostrzegać. Ilekroć rozdzielało ich jakie przekonanie, spryt i uległość kobiety budowały niejako most zwodzony dla maskowania tego przedziału. Było im z tem dobrze i nie wytwarzało się nigdy owych romantycznych kolizyj, w których tak się lubują niektórzy modni romansopisarze. Julia wiedziała, że szczerość charakteru i rzetelność myśli dają się w zupełności pogodzić z podobną dyplomatyką. W małżeństwie, jeżeli ono ma być szczęśliwem, kobieta musi być dyplomatką. To też Julia ustępowała i milczała, widząc, że zapatrywania jej i męża w pewnych kwestjach rozchodzą się, zamiast się zbliżyć.

Tak było przy pojmowaniu i ocenie charakteru Władysława , przyczem dostało się coś całej młodzieży izraelickiej.

Julia milczała, co Artur pojął jako zrozumienie jego myśli i bezwzględne godzenie się na jego zdanie. Nie wiedział, że żona, choć nie odmawiała mu pewnej trafności spostrzeżeń, dziwiła się jednak i bolała nad tem, że on nie chce i nie może zrozumieć konieczności, która ciągnie młodzież izraelicką (czy tylko izraelicką?) do idei wygłaszanych przez włoskich, angielskich i niemieckich ekonomistów.

Julia rozumiała doskonale ów prąd nowy, co i ją dotknął pośrednio; Władysław zwierzał jej się bowiem z każdej myśli i z wszystkich swoich pragnień; poddawała się też bezwiednie tej suggestji, jaką na nią wywierały jego poglądy. — — — —

. . . .

W kilka miesięcy później, Julia otrzymała list od Władysława, w którym, donosząc jej o swem szczęśliwem pożyciu z Leą, pisał:

. . . . „Zaczynam budzić się z drzemki; widzę, „że jako starzec żyłem wśród młodych i wstyd mnie „ogarnia na myśl, że potrzebowałem dopiero szukać „i błądzić, zamiast prosto dążyć do celu.

„Zakładam dziennik wespół z drugim wydawcą, „mecenasem G. To człowiek nowy, przytem charakter „nieskazitelny; doskonały ekonomista, wszechstronnie „wykształcony, kochający ziemię, na której się wycho-„wał, ale nie zacieśniający przytem horyzontu swych „pragnień i celów; radykał, ale żaden krzykacz, pragnie „on wytworzyć z krajowych swoich współwyznawców „rzeszę obywateli, mogącą walczyć godnie o prawa czło-„wieka, świadomą swoich celów i dojrzałą do podjęcia „pracy obywatelsko-społecznej. Godzę się w zupełności „na jego program; nie chodzi tu bowiem o szumną „propagandę asymilacyjną; żydzi mimo wszelkich pro-„testacyj i ujemnej propagandy, nadto głębokiemi ko-„rzeniami tkwią w tym kraju. aby jeszcze wątpić, czy „asymilacja jest możebna. Chodzi teraz o ich uobywa-„telenie i oświecenie dla celów krajowych . . . . i „wszechludzkich.“. . . . .

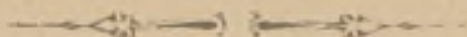
Julia nie pokazała już tego listu mężowi, lękając się, że ostudzi jej zapał, z jakim przyjęła ten nowy program przyszłej pracy brata. Bez krytycyzmu, z ufnością w rzetelność jego pragnień i zamiarów, odpisała Władysławowi, życząc mu szczęścia i dodając otuchy do wytrwania w obranym teraz kierunku pracy.

. . . . „Przestałeś być młodzieńcem; (pisała) od „mężczyzny żąda się stałości zasad i świadomości celu, „do którego dąży. Pamiętaj, abyś wytrwał, może Cię „drudzy potępią i nazwą złośliwie karjerowiczem, czło-„wiekiem przerzucającym się z jednego obozu w drugi. „Nie zważaj na te głosy. Kto bez walki i wstrząśnień „trzymał się gruntu, na jaki rzuciło go przeznaczenie, „krzycząc najgłośniej, że nie błądził, stale trwając na „raz obranem miejscu, temu należy się chyba uznanie „wierności. Trzeba walczyć, cierpieć, zrywać się myślami „ku niebu, to znów tarzać się w ziemskim pyle nicości; „przejść za życia piekło wrażeń, i dopiero po takiej „próbie przewodzić drugim. W nieomylność człowieczą

„nie wierzę; książęta niezłomni na kamieniu się nie „rodzą. Człowiek nie jest w posiadaniu tej odwiecznej „prawdy, która tkwi w zagadce wszechprzyrody; on „szuka, a zatem błądzi.

„Może źle czynię, w ten sposób czyny Twoje tłó- „macząc, ale kocham Cię i ufam zupełnie, że kiedy- „kolwiek po czyjej stronie stałeś, działo się to zawsze „bez egoizmu. To mnie jednało z Tobą i teraz służyć „Ci będzie za talizman, który Cię obroni od potępienia; „a tak, jak ja Ci teraz błogosławię, niech to uczynią „wszyscy, którzy pragną, aby działo się dobrze na ziemi „naszej.“

K O N I E C.



NA 25-CIOLETNI JUBILEUSZ
„CZYTELNI POLSKIEJ"
W BIAŁEJ.
(1873—1898.)

Żyjemy jeszcze, żyjemy wśród cudu!
Nam włos posiwiał z natężenia, z trudu,
Nam skroń nabrzmiała wysileniem krwawem;
Spojrzeniem wkoło prawie smętnem, łzawem
Rzucamy dzisiaj, gdy szyderstwem wrogi
Nam w oczy cisną: „Gdzie są wasze bogi?
Gdzie wieszcze wasze? gdzie ten zastęp cały,
Co was w przybytki miał wprowadzić chwały?"
A do nas echa z wschodn i zachodu
Lecą na skrzydłach: to sławy narodu
Rozgłośne gońce; bo dziś jest rocznica,
Co dumą wielką okrasza nam lica.
I działa urok w nieprzepartej sile:
W jednej pamiętnej trzy się zbiegły chwile.
My pracownicy, wiekiem już znękani,
Przed wami stoim i losem wybrani,
Jako ów zastęp helleńskich szermierzy,
W progi przyszłości wiedziem rój młodzieży.
Przed nami przyszłość a przeszłość za nami:
Jakżeż czar słów tych wyrażać słowami!
I dotąd walczy zastęp nieuległy:
Trzy chwile w jednej pamiętnej się
[zbiegły!

Rocznica wieszcza, który nam przewodzi,
Adama z Litwy, kształciciela młodzi,

Co wołał, gdy mu już powszedniość zbrzydła;
„Młodości! podaj mi skrzydła!“
Adama Mistrza, który za miljony
Cierpiał i kochał, wiecznie niestrudzony,
Co pomnik w sercach ludności najdalszej
Zostawił lśniący i od spiżu trwalszy,
A dzisiaj w setną urodzin rocznicę,
W sercach nam żyje, opromienia lice!

Rocznica druga w ślad za tamtą kroczy:
To Stalmach w walkę wiedzie lud ochoczy,
Co o swe prawa,prawa Polski całej,
Z wrogami toczy bój zapamiętały.
Ze snu martwoty polski Szlązk się budzi;
On rzucił hasło, on powołał ludzi,
Co w ślad za mistrzem, Polski kształcąc syny,
Gimnazjum w Szlązku wznieśli podwaliny,
A chociaż umarł, to jego orędzie,
To dzieło jego żyje i żyć będzie!

Rocznica trzecia — to Czytelni naszej!
Na ziemi polskiej walczy zastęp laszy
O prawa swoje z żywioły obcemi —
Nie dla zaboru, lecz dla ojców ziemi.
Krwawe to dzieje a zaszczytne razem:
Jakże je objąć słowem lub obrazem?
Pióro za słabe: nie wytrzyma próby,
By godnie streścić dzieło polskiej
[chluby!
Dzisiaj ćwierćwieku upływa od chwili,
Gdy się do wspólnych narad zgromadzili
Synowie Polski, by na ojców ziemi
Rozpocząć walkę z żywioły obcemi.
Była to walka nie na miecz i noże,
Lecz stokroć sroższa, boleśniejsza
[może,
A z bojowników owych w życia sile,
Niejeden dzisiaj spoczywa w mogile,
Nie doczekawszy tryumfu zwycięztwa;
Lecz duch nie wymarł poświęceń i męztwa.
Po bojowniku, co padł w krwawej walce,
Sztandar podniosły wnet młodszego palce.

I wrzała walka, szmer się szerzył głuchy;
Starzy, co żyli, dodali otuchy.
Polska chwilowo o nas zapomniała,
Choć polem bitwy była polska Biała.

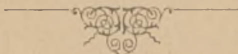
I znów dwadzieścia mija lat z okładem:
Prowincja idzie stolicy przykładem,
Co, aby uczcić Kościuszkowską sławę,
W imieniu jego urządza Wystawę.
I duch się budzi, duch dotąd uśpiony:
Z snu się letargu otrzęsły miljony!
Lecz nas tu w Białej garstka mała była:
To duch zwyciężył a nie ludzka siła.
Polska się budzi na kresach zachodu
I sztandar w boju dzierzy jak za młodu,
I nad portalem Czytelni w dniu chwały
Skrzydła do lotu wznosi Orzeł biały!

Żyjemy jeszcze, żyjemy wśród cudu!
Gdzie mowa twoja, tam twój obóz, ludu!
Tam przewodnicy, tam są twe obrońce,
Tam przyszłość lepsza, tam zbawienia
[słońce!
Za temi krocz to przewodniki twemi,
I żyj i działaj dla ojczystej ziemi!

Szereg się wspomnień budzi we mnie, tłoczy:
Ja, patrząc w przyszłość, ku przeszłości oczy
Mam dziś zwrócone, w chwili wzniosłej, rzadkiej,
Gdy tryumf Polski Polski święcą dziatki.
I łzy mam w oczach, wielbiąc ich zasługi;
Bo myśl spoczywa przy mogile drugiej,
Drugiego wieszcza, drugiego Adama:
Przezeń do nauk otwarta nam brama,
Bo „Szkoła Polska imienia Asnyka“ —
To chluba bialska, broń na przeciwnika;
Lecz ten, co podwaliny jej położył,
Tryumfu sprawy ojczystej nie dożył,
Choć dla niej walczył zawsze w pier-
[wszym rzędzie;
Lecz jego dzieło żyje i żyć będzie!

Ja patrząc w przeszłość, przyszłość mam przed okiem:
Powstanie naród w skupieniu głębokiem
I cześć tym odda, którzy dlań walczyli.
Lecz my żyjący nie dożyjem chwili,
Chyba synowie lub wnukowie nasi;
Ale ten zapał, którego nie zgasi
Ni klęska żadna, ni szyderstwo wroga —
Ten nie zaginie, natchnie mocą Boga.
I stanie tutaj na kresach zachodu
Znów Polska nowa, strażnica na-
[rodu,
Co walczyć będzie w misyi apostol-
[skiej,
Nie dla zaborów, lecz imieniem
[Polski.
Wtedy potomstwo, co z niej przy-
[kład wzięło,
Powie: „Czytelni Polskiej jest to
[dzieło!“

G. Kohn.



Dzień 2. Listopada,

(fragment.)

Cisza grobowa w obszernym klasztorze: — wśród grubych murów z ciosowego kamienia wychodzi z cel swoich grono zakonników i mrucząc psalmy Dawida udaje się do kościoła. Stanęli we dwa rzędy przed wielkim ołtarzem; w środku młodzian, ofiara świata świeżo Bogu oddana, pada znakiem krzyża na wilgotne kamienie. Serce gorące bije gwałtownem tętnem i zapach kadzidła wprawia go w stan odrętwienia. Żal mu tego świata pełnego uroku, wspomnienie jednak gorzkich zawodów życia pociesza go chwilowo. Dobroczynne słońce rzuciło snop światła przez zakratowane okno w chłód kościoła. Tak młody daje się żywcem pogrzebać w tym grobie.

I rozległ się jednostajnym chórem głuchy śpiew psalmu za umarłych „Defunctorum“. Mnisi pożegnali przybysza ze świata. Tu i owdzie wydała westchnienie żalu pierś poczciwa, posypały się kwiaty z rąk dziewic obecnych, zgaszono świece a słowo „amen“ zakończyło ten pogrzeb żywego.

Młodzian powstał, by złożyć przysięgę mnicha. Cisza znów głęboka — dziady tylko w kruchcie odmawiają pacierze — a ten, ów z wychodzących z kościoła pyta o zmienione imię zakonnika. Pusto i głucho już wszędzie.

Zatrzaśnięto ciężką furtę za nowym mnichem, a zgrzybiały starzec w kapturze pociągnął go żylastą ręką za sobą do celi: — Wyrzeknij się ojca i matki, a służ Bogu! — tu, rzekł bracie twoje schronisko przed pokusami świata — przeklnij i plwaj na ten świat, który

jest gniazdem wszelkiego złego. — Tu zrobił starzec ręką młodziana krzyż w stronę zakratowanego okna.

Ciepłe promienie słońca złociły pyszne gmachy i domy miasta, a żywe światło rozpływało się po zżółkłej zieleni drzew i traw. Westchnął młodzian — dwie duże łzy spłynęły mu po twarzy. Zapóźno . . . .

Jestem sam, nie ma koło mnie serca żywiej bijącego.... Oni? — Oni tak zimni, jak te głazy kamienne... Boże! oddaję ci to, com najświętszego od ciebie otrzymał — oddaję ci życie całe.

*
* *

Minęło lat dziesięć. — Ileż czas ten zmian sprowadzić może w życiu! Był dzień zaduszny — dzień 2. Listopada. Roje wiernych śpieszą do mogił ku cmentarzowi. Miejsce umarłych robi wrażenie świąteczne; bo każdy pragnie jak może okazać cześć i ubiera w kwiaty mogiły, zapala światło różnego rodzaju. Na jednej z nich mężczyzna młody — a rysy — o dziwo! młodziana mnicha. Przy nim jasnowłose dziewczę; — grób ojca łzami zlewa córka nieszczęsna. To narzeczeni..... w święto mogił i krzyżów. Tak — to ten sam — pogrzebany dla świata przed dziesięciu laty jako mnich. Gdy poznał młodzian chłodnej celi mury, ujrzał się wolnym — odczuł, że nie jest sam na świecie, że ktoś podziela jego uczucie. Jej serce zdawało się bić tętnem jego serca. Jedno spojrzenie słodkich jej oczu wystarczało mu za największą, najdroższą zapłatę. On o tych oczach myślał na jawie i we śnie — on uwielbiał ją — anioła o ziemskiej powłoce . . . .

Szalony marzył — wierzył, że będzie w oczka głębokie patrzył, jak w źródło wszelkiego dobra, pociechy — zawsze, na wieki —, że z ust tych będzie pił życia zdrój. Nie miał odwagi myśleć o życiu, w którem mu jej zabraknie, a tymczasem inaczej opiewał wyrok Boga. —

W parę lat zostawiła młodziana — poszła za ojcem . . . Duch potężny miłości przemógł wątłe, chore ciało, — zginęła — pożegnała narzeczonego z prośbą na ustach o przebaczenie, że odbiegła przedwcześnie od życia mety . . .

Oparł się młodzieniec o krzyż dębowy, na świeżej mogile i znowu ujrzał się samotny, opuszczony.

— Przebacz mi także — szeptał — żem chciał rękami po gwiazdę sięgnąć, ująć ją i na wieki tulić do swych piersi. — Szalony — przecież ona nie dla mnie świeciła; — przebacz mi Marylo! aniele! — jam świętokradca. Bóg cię dla siebie stworzył.

Szarfa żałobnego wieńca musnęła go po twarzy i jakby rękami oplotła mu szyję. Odpowiedzi żadnej — nie usłyszy jej nigdy . . . Ucałował zimną mogiłę i jęknął: „och! czemuż mnie matka rodziła w dzień duchom przeznaczony — czemu one przyjęły gościa o ziemskiej powłoce? snać jestem pod wpływem nieubłaganego fatum, które może żąda powrotu tam, gdziem przeklął świat i ludzi.“

Jabłonówka, 20. Maja 1894.

Mieczysław Pniejnia Mściwujewski.



Na śmierć Marji Z.

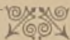
ELEGIA.

Więc duch Twój czysty opuścił tę ziemię
I uszedł w krajów szczęśliwszych przestworza,
Zalany falą śmiertelności morza.
I porzuciłaś nędzne ludzkie plemię;
Stokroć szczęśliwsza, że z ciemnej otchłani
Zawodów ludzkich i bolów bez końca,
Przyszłaś do krajów gwiazd jasnych i słońca,
Porwana w śnieżnym i świętym tumanie.
Oglądasz Boga i jasnych aniołów,
Używasz skarbów szczęśliwej wieczności
I za nakazem świętej Opatrzności
Wolnaś trosk przyszłych i życia mozołów.
Lecz zostawiłaś kochanka na ziemi,
Który łzy leje i przeklina siebie,
Że razem z Tobą nie może być w niebie,
A opłakuje Cię łzami krwawemi.
Więc trapi serce żal i boleść sroga,
Serce, co Ciebie jak Boga kochało,
Co oprócz Ciebie nikogo nie miało
I za twą duszę modły śle do Boga.
Wielkie nieszczęście dotknęło cię człeku,
I straszna boleść rozdarła Ci serce,
Żeś z lubą Twoją na ślubne kobierce
Nie wstąpił, lepszych nie dożył dni wieku.
Lecz zgódź się z wolą świętej Opatrzności
I powiedz sobie: taka wola Boga,
Bym ją utracił, by zmarła ma droga,
Bym z nią nie użył kilku chwil radości.
Otrzyj łzy gorzkie a zarazem święte,
Wszak nie wiesz, jakać czekała z nią dola,
Widać! nie chciała święta, boska wola.
By na was spadły ciosy niepojęte.

Ileż to bolów czekało was może,
Ile dni gorzkich, przejść krwawych za życia,
I ile nieszczęść, trudnych do przebycia?
Czyby wam szczęścia zajaśniały zorze?
Zresztą masz matkę, staruszkę samotną;
Nie truj jej życia łez gorzkich potokiem,
Bo gdy Cię ujrzy z zasępionem okiem,
Ujdzie jej szczęście drogą bezpowrotną.
Uklęknij raczej przed Matką bolesną,
Wspomnij na liczne jej święte cierpienia,
Co łzy wywołać mogłyby z kamienia,
Na twarz jej popatrz z tą troską przedwczesną.
Proś ją o spokój, duszy ukojenie,
Proś ją o szczęście swojej lubej w niebie,
By Ją z świętemi miała koło siebie
I by zesłała słodkie zapomnienie.
A ty Maryo, kochając go szczerze,
Choć Cię mogiła przykryła już ziemna,
Choć Cię pomroka ogarnęła ciemna,
Trwaj zawsze w Jemu ślubowanej wierze.
Bóg was swą dłonią rozłączył na świecie,
Ale was złączy w niebiańskich podwojach,
Tam, gdzie po krwawych i Ty spoczniesz bojach,
Gdzie czeka szczęście, o którem nie wiecie.
Niech więc przestanie gryźć Cię śmierci troska,
Osusz łzy krawe, stłum bolesne łkania,
I uciszywszy boleści biadania,
Powiesz z pokorą: „Taka wola Boska.“

Bybło, 23. Kwietnia 1894.

Aleksander Morawski.



KIELICH

(z hebrajskiego.)

Powiedz mateczko, czy prawdą jest w istocie,
Że tam w niebie puhar stoi,
I że Pan Bóg, widząc naszą mękę,
Z litości w puhar zlewa łzę?
Prawda dziecię. A czy także prawdą jest,
Że przyjdzie Mesjasz, nasz Zbawiciel,
I męka nasza znajdzie kres,
Gdy puhar będzie pełen łez?
Prawda dziecię. W chłopca oczach zapał świeci.
Czyż bez dna jest kielich ów?
Czy przez tyle męki naszej lat,
W kielichu łez już wysechł ślad?
Matka płacze. Na dziecka czoło
Dwie łzy, perły spadają dwie.
. . . .
O wielki Boże! Litość miej
I w kielich rzuć łzy matki tej.

1897.

W. Chajes.

OFIARA.

NOWELA*).

W dużych i starych miastach nie trudno napotykać mieszkania, które nawet w letniej porze dnia robią wrażenie wilgotnej nory, gdzie słońce nie zagląda, a z murów wieje przykry, zgniły chłód, wysysający ostatnią kroplę krwi z mieszkańców domu.

Na drzwiach takiego właśnie mieszkania przybita była tabliczka z napisem: „Redakcja“, a poniżej, drobniejszym drukiem, widniały słowa: „otwarta od godziny 2—5 po południu“.

Za drzwiami temi znajdował się duży, ponury pokój, obity wypłowiałą i zniszczoną tapetą, chociaż umeblowany nie bez pewnego poczucia elegancji i zamiłowania do porządku, ale cóż, kiedy ubóstwo i cel, na który pokój został przeznaczony, kłam zadały wszelkim usiłowaniom tego rodzaju! Pełno tu było tanich dekoracyj, poprzylepianych i rozwieszonych tam, gdzie tapety najbardziej były uszkodzone. Długi stół redakcyjny przykryto zielonem suknem i zarzucono gazetami; kilka stołków rozstawionych było przy ścianie, kilka znów stało na około stolika, dźwigającego popiersie wielkiego poety. Na zniszczone obicie fotelu, zajmującego przy redakcyjnym stole honorowe miejsce, rzucono jakąś tkaninę i artystyczną draperją ukryto dziury i plamy. Z boku, przy ścianie, stała szafka z pułkami, oblepionemi papierem białym w niebieski rzucik. Na pułkach, w porządku wzorowym,

---

*) Przez zapomnienie nie umieszczono przy noweli: „Dwa światy“, jakoteż przy „Ofiarach“ na właściwem miejscu imienia i nazwiska autorki. Jest nią panna Aniela Korngutówna (Przyp. Red).

leżały złożone najrozmaitsze gazety i czasopisma, nad szafką wisiały tabliczki z napisami: „inseraty“, „listy“, „zagadki“, „dowody inseratowe“ i. t. d. Pod tabliczkami, zawieszone na haku mosiężnym, znajdowały się pojedyncze arkuszyki i kartki, nagromadzone od dawna, a służące jako dowody, lub jeszcze niezużytkowane w druku materjały do zagadek i korespondencji.

Przy oknie, gdzie dwie ściany pokoju tworzyły kąt ostry, stała kanapka, w tej chwili zajęta przez młodego mężczyznę, czytającego gazetę. Pan ten, jak się zdaje, wyczekiwał niecierpliwie, aby ktoś przerwał samotność, na jaką go skazano. Przystojny, młody, starannie, a nawet z wyszukaną, a wytworną elegancją ubrany, posiadał w układzie fizjognomii znamienne cechy człowieka high-lif'u. Ręce miał białe, wązkie i delikatne; często gładził niemi ciemną czuprynę, lub przesłaniał oczy, mrużące się pod wpływem znużenia. Twarz jego bladą cechowała niepospolita inteligencja; oczy miał czarne, nos rzymski, usta małe, a taką wrażliwość w grze fizjognomii, że twarz zmieniała mu się pod wpływem każdej odczutej myśli, lub wypowiedzianego wyrazu.

Kiedy wreszcie znudzony odłożył gazetę na bok i rzucił wzrokiem dookoła, uśmiech sarkastyczny zadrgał mu na ustach.

— Wszędzie i zawsze kobieta; — szepnął — i tutaj: fatałaszki, nastrzępienie, a śmiecie jako rezultat.

Ziewnął, lecz szybkim ruchem i przy pomocy uperfumowanej chusteczki batystowej, ukrył zdradliwe ziewnięcie i powstał z kanapy, bo drzwi, prowadzące do drugiego pokoju otworzyły się prędko i do bióra redakcyjnego weszła redaktorka, osoba młoda, blondynka z szafirowemi oczami, w których błyszczały ogniki buntu i entuzjazmu.

— Myślałam, żeście już wyszli, nie mogąc się mnie doczekać! — przemówiła dźwięcznym głosem. — Byłoby mi to bardzo przykro, choć zapobiedz temu nie mogłam — dodała natychmiast. — Musiałam załatwić gospodarskie czynności w zastępstwie chorej siostry.

(Ostatnie zdanie miało ją usprawiedliwić, że tak długo dała mu na siebie czekać).

— Aaa . . . więc przybyła pani jeszcze i ta troska — zawołał mężczyzna.

— I ta! — odparła. — Podołam przecież i temu!

Energicznym ruchem odsunęła fotel, usiadła w nim, a gdy i mężczyzna zajął swe poprzednie miejsce, przemówiła, wskazując na gazetę:

— Czy i ten numer nie zadowolnił was, mój mecenasie?

— Dla czego nazywasz mnie pani swoim mecenasem?

— Bo popieracie sztuki piękne i . . . „Tygodnik dla kobiet“. Tylko dzięki waszej subwencji umożebniono mi, wydawać dalej „Tygodnik“.

— Subwencja przecież nie tak znaczna, aby zapobiedz mogła upadkowi „Tygodnika“.

— Wystarczy mi na razie! Mam już 180 abonentów.

— I to dosyć?! I ta liczba panią zadowalnia po dwu latach pracy wśród wilgotnych, starych murów? Kiedy pani załatwiasz redaktorskie czynności, jeśli pracujesz w szkole po cztery godziny dziennie?

— Teraz wakacje. Podczas roku szkolnego czas mój wolny, co prawda, szczupło wymierzony; lecz odkąd zaprowadzono jednorazową naukę dzienną, doznałam w pracy nieco ulgi. Popołudnie mam wolne, a wieczory poświęcać muszę prywatnym lekcjom. Pozostają mi jeszcze godziny, które odejmuję spoczynkowi i zabawie, choć co do zabaw, to o nich nie ma mowy w obecnych warunkach.

— Czy nie możesz pani zmienić przynajmniej mieszkanie?

— Mam z gospodarzem zaległe rachunki — odparła cicho.

— Ile wynosi należytość?

— Nie! nie! Ja nie chcę, abyś pan płacił; to by mnie upokorzyło. Wielu zalega mi z prenumeratą; liczę także na nowych abonentów, którzy do wód wyjechali . . . .

— Czegóż się pani spodziewa teraz, w ogórkowej porze?

— Nie mówmy o tem! Jakże tam na bożym świecie? Upał, co?

— Tutaj nie czuć przynajmniej tej kanikuły; grobowy chłód wieje z tych murów . . . .

— Dla czego wymawiacie to z takim gniewem?

— Po co tu pani mieszkasz?

— Bo tu mieszkanie tańsze, niż gdzieindziej; mam także lekcję u córki gospodarza.

— A . . . . tak . . . .

— Rozumiecie zatem, że nie mogę się ztąd wyprowadzić. A teraz powiedźcie mi, jak wam się podoba ostatni numer „Tygodnika dla kobiet“?

— Dosyć dobrze. Zwrócę atoli uwagę pani na to, że jeśli się redaguje czasopismo, specjalnie poświęcone sprawie kobiet, to trzeba w niem podawać powieść, nowelę, ilustracje, mody, zagadki, a od czasu do czasu także pieprzną kronikę. Mniejsza o dobór literackich i naukowych artykułów . . . .

— Dosyć, dosyć! — przerwała redaktorka. — Dla czego tak oczerniacie nasze kobiety?

— Czy o prawdziwości słów moich nie świadczy to małe zainteresowanie się kobiet „Tygodnikiem“ pani? Radzę też, zmienić kierunek pisma według recepty, jaką właśnie podałem.

— Nie przekonacie mnie!

— Przekonasz się pani o tem sama, niestety zapóźno. Musisz pani wyszukać jakąś zdolną współpracowniczkę . . . .

— Musisz! . . . Wiem o tem! Lecz zkąd wziąć, aby jej zapłacić?

— Bez pieniędzy nie trzeba było poczynać zawodu redaktorsko-wydawniczego. Myślałaś pani, że to dosyć, gdy na początek znalazły się entuzjastki, które ofiarowały dwa tysiące koron, by rozpocząć przedsiębiorstwo.

— Pan to nazywasz przedsiębiorstwem?

— Nie inaczej! Odrzuciwszy utopiczne mrzonki, nie zaprzeczysz pani, że łatwiej i prędzej wykazać będzie można chwiejności waszej propagandy. Mówiąc o czasopiśmie, nie możemy lekceważyć jego materjalnej strony. Bardzo to pięknie, pracować dla idei, lecz trzeba

także postarać się o to, aby idea wcieliła się w materję i nie pozostała czemś nieuchwytnem, mrzonką jakąś, podczas gdy czasopismo, które ta idea powołała do życia, kończy swój żywot na suchoty wydawnicze.

— Czy i naszemu „Tygodnikowi“ grozi takie niebezpieczeństwo?

— Nie chcę pani łudzić i dla tego powiem, że „Tygodnik dla kobiet“ nie utrzyma się długo. Wiem o tem, że walczysz pani ciężko, aby podołać zobowiązaniom, które zaciągnęłaś. Lecz drukarz jako wydawca i wierzyciel pisma, upomni się sądownie o swoją należytość i siły twoje wyczerpią się w forsownej pracy dziennikarskiej. Tygodnik pani cierpi na bezkrwistość i nigdy nie będzie tem, czem byś go mieć pragnęła, a mianowicie: potężnym czynnikiem w wielkiej historji wyzwolenia kobiet z pod jarzma mężczyzn.

— I pan szydzisz?! . . . Codziennie przychodzi tu kto inny ze zbawienną radą i powiada, że jeśli go posłucham, literacka wartość „Tygodnika“ uzyska na tem niechybnie. Jeden przynosi foliant artykułów pedagogicznych i powiada, że należy podawać w „Tygodniku dla kobiet“ artykuły naukowe. Nieznany nikomu poeta radzi drukować poezje i aby mnie przekonać o swojej życzliwości, ofiaruje mi spory rękopis własnych wierszydeł pod warunkiem, że wydrukowawszy je w „Tygodniku“, zrobię dla niego odbitkę w l. 200 egzemplarzy. Czyjeż tu zadowolić wymagania? Panie, które wspierają „Tygodnik“ rocznemi wkładkami na fundusz prasowy, mają także prawo, wymagać odemnie uwzględnienia swoich życzeń. A teraz i pan! . . .

— Słusznie, bardzo słusznie! — przerwał. — Pozwolisz pani . . . zapalę cygaro; czy mogę jej służyć papierosem? Nie palisz pani, przypominam sobie!.., Tem lepiej! . . . Już to w ogóle niepodobna pani do tych okrzyczanych feministek. Ph . . . ph . . . ph . . . Otóż droga pani, myślisz zapewne, że ja jako człowiek majętny, życzliwie dla niej i sprawy, której bronisz, usposobiony, powinienbym ofiarować jakiś żelazny fundusz na wydawnictwo „Tygodnika dla kobiet“, lub też zostać jego wydawcą? W tym drugim wypadku musiałbym zaangażować dobrych korespondentów, zawią-

zać stosunki z prawdziwie utalentowanymi literatami i rysownikami, postarać się o dzielnego administratora i kolporterów; słowem puścić w ruch maszynę, wprzódy dobrze ją wysmarowawszy, bo biedaczka wyschła okropnie. Tak pani zapewnie myślałaś w nocach bezsennych, kiedy oczu zmrużyć nie mogłaś w trosce o wydawnictwo, które pochłonęło drobne oszczędności twoje i rujnuje ci zdrowie, wydawnictwo, któremu bezpłatnie ofiarujesz swoją pracę i zdolności. I ja o tem myślałem! Widzę, że to panią wzrusza; proszę się zbytnio nie entuzjazmować! Przyszedłem do przekonania, że szkoda na to moich pieniędzy i zdrowia pani. Jeśli chcemy jedno i drugie pogrzebać, to znajdziemy lepszy i przyjemniejszy sposób. Przy obecnym prądzie połowicznym i w naszych opłakanych stosunkach finansowych i prasowych . . . . pismo dla kobiet utrzymać się długo nie potrafi. Można je powołać do życia, by wnet pogrzebać; na grobie wyrośnie kwiat, czy chwast świeży, ale i tego żywot nie będzie długim. Za lat pięć, lub dziesięć, gdy unormują się stosunki pracy i działalności kobiecej, specjalne czasopismo dla kobiet będzie miało rację bytu. Ale teraz radziłbym zawiesić wydawnictwo.

— Nigdy! Walczyć będę do ostatka!

— W takim razie wypada mi tylko czekać i milczeć.

Nastała przykra pauza.

Po chwili mężczyzna podjął porzuconą gazetę i na drobny inserat wskazując, spytał:

— Któż jest ta istota, która poszukuje miejsca bony, lub lektorki?

— To moja dawna koleżanka szkolna, Jadwiga Przybylska; zdała ona przed kilku laty egzamin ekspedytorki pocztowej, lecz trwało to dosyć długo, zanim otrzymała posadę na poczcie w Kobierzynie. Jak wiecie, stoi tam zawsze w garnizonie pułk artylerji; Jadwiga wiele przykrości od oficerów znosić musiała; gdy spostrzegła, że taktem i powagą nic nie wskóra, podziękowała za posadę i wróciła do rodziców. Po pół roku nowych starań otrzymała taką posadę, że wkrótce znowu ją porzuciła i teraz zajmuje się prywatną bakałarką. Ponieważ lekcje prywatne są niepewne, szuka obecnie

stałego zajęcia. Czy u waszych znajomych pań nie moglibyście polecić mojej przyjaciółki?

— Schodzimy się w połowie drogi. Jeszcze przed tygodniem prosiła mnie ciotka, abym poszedł do bióra ogłoszeń po lektorkę. Misja, której podjąć się nie chciałem. Znając gust ciotki, wiem, żeby z mojego wyboru nie była zadowoloną; trudno także było zdradzić zaufanie we mnie położone i sprowadzić w dom ciotki młodą, ładną lektorkę; mniej jeszcze mogę sprzeciwić się własnej swojej jaźni. Jestem estetykiem i brzydkiej nie mógłbym wybrać.

— A więc napiszę do ciotki pana i polecę Jadwigę jej względom. Czy ta ciotka to pani Mirowska?

— Tak. Adres pani znasz, bo ile mi wiadomo prenumeruje ciotka „Tygodnik dla kobiet“. Jeśli pani pozwolisz, uprzedzę ją, w jakiej sprawie zamierzasz do niej pisać.

— Dziękuję panu.

— Nie ma za co! Dla pani gotów jestem do każdej ofiary.

— Naprzykład?

— Chciałbym zamknąć tę budę redakcyjną i wywieść panią do Szwajcarji, by nawet najciekawsi nigdy nie odgadli, w jakim szalecie żyć będę z mą miłą.... Czemu pani nagle posmutniała?

— To nic! Jestem bogatszą o jedno doświadczenie; wiem teraz, jak wygląda miłość, którą ofiaruje się kobiecie, mającej odwagę żyć samotnie bez opieki, zależnej tylko od własnej woli, kontrolowanej tylko przez własne poczucie godności.

— Podziwiam panią!

— Panie Sikorski!

— Więc nie będziemy już o tem mówili.

Po chwili zaś spytał:

— Czy nie zdaje się pani, że już tutaj za długo siedzę?

Wyjął zegarek, spojrzał na wskazówki i żegnać się począł.

— Nie zapomnijcie pomówić z ciotką o pannie Przybylskiej — upominała go redaktorka.

— Cóż to za panna?

— To właśnie ta lektorka.

— Aha, już wiem!

— Powinniście polecić ją gorąco, a napiszcie mi prędko, jaki był wynik waszej rozmowy z panią Mirowską.

— Napiszę, lub sam przyjdę.

— Dziękuję.

Podała mu rękę, którą ucałował, poczem odprowadziła go aż do drzwi. On jeszcze raz się ukłonił i wyszedł, a ona wróciła do stołu.

Miała zasiąść do pracy, ale w tejże chwili ogarnęła ją dziwna jakaś apatja i niechęć. Poczuła niesmak na podniebieniu; może to była gorycz, wzbierająca w niej.

Rozmowa z Sikorskim była dla niej zawsze miłą i pożądaną; nie odrażała jej opinia bon-vivanta, jaką miał Sikorski; z wyrozumiałością patrzyła na ludzi wszystkich odcieni towarzyskich; życie było dla niej twardą szkołą; wczesne sieroctwo, ubóstwo i brak bliskich krewnych, samotność, praca, oto czynniki, które wpłynęły na to nagięcie się jej charakteru, zkąd inąd rzetelnego, o szlachetnej tęgości prawie męzkiej, co odbijało się w jej szorstkiem traktowaniu rzeczy. Szorstkość ta pozorna ukrywała przecież usposobienie czułe i wrażliwe na każdą niedolę ludzką. Entuzjastka idei była poważna i zimna, gdy ktoś dotykał jej uczuć najświętszych, kobiecych.

„Tak . . . (myślała w tej chwili) trzeba być gęsią, albo salonową damą, ale w każdym razie mieć obrońcę i opiekę.“

Równocześnie gniewała się na siebie za to, że nie pokazała drzwi Sikorskiemu.

„Potrzebuję go (myślała znowu), nie wolno mi być drażliwą, jak długo wszystko odbywa się w obrębie półsłówek, lub półzwierzeń. Jedyna broń: dyplomatyka i zimna krew. Lecz, czy starczy mi jej na długo?.... Ten człowiek nadto piękny, nadto rozumny i wykształcony, abym mogła przypuścić, że nie zdoła mnie wzruszyć. Jestem samotną; nie kochałam, choć dziwnem mi się to wydaje. Mieć lat trzydzieści i żadnego romansu, nic, krom platonicznej przyjaźni z mężczyznami,

do których zbliżył mnie rodzaj pracy, jakiej się oddaję. Ale ja tęskniłam do tej miłości. Ja o niej myślę, spoczywając w łóżku wśród samotnych nocy. Ratuje mnie praca i myśl o moim „Tygodniku". Czy tak będzie zawsze ?,... Tak, będę zupełnie szczerą; ja marzę o zamążpójściu jak każda dzierlatka i salonowa lalka ; emancypacja, szczytne hasła równouprawnienia — to bardzo piękne rzeczy. Ale jam głodna, ja pragnę, a tu jest granica, której bez wstrętu przejśćbym nie mogła, gwałcąc prawo legalności. To skutki rasy i wychowania. A więc marzę o legalnym małżonku. Wygląda to śmiesznie. Ale szczerą będąc, muszę wyrwać te myśli z kryjówek mózgu. Marzę o zamążpójściu i łudzę się nadzieją, że może Sikorski !.... Tak . . . Nie ma żadnej wyższości. Pod tym względem kobieta pozostanie kobietą — — — Ha . . . wstyd tak myśleć ! . . . Ogłuszmy się pracą !". . . .

Z rodzoną sobie energją zabrała się do roboty.

Była to bieżąca i zaległa korespondencja, którą w tym dniu jeszcze załatwić musiała. W ostatku napisała list do Jadwigi Przybylskiej :

„Droga Jadziu ! Umieściłam Twój anons w „Ty-„godniku" i jak się zdaje, może otrzymasz miejsce lek-„torki u pani Mirowskiej. Mówiłam o Tobie z kimś, „co Cię gorąco poleci. Nie rozpaczaj — miej nadzieję „i . . . głowa do góry !

Wanda Wirska."

Zaledwie ukończyła korespondencję, gdy wtem do redakcji weszła jakaś pani.

Wysoką była, niezbyt młodą i ładną, choć rysy miała wyraziste i prześliczne, czarne oczy. Brak piękności tkwił w bladej i niełądnej cerze i w pewnem zaniedbaniu, z jakiem była ubrana. Znać było, że oszczędnie żyje, że pracuje i nie jest zadowoloną z życia, bo dało jej ono w udziele tylko walkę i upokorzenie.

Redaktorka przywitała ją nader serdecznie.

— Jakże tam idzie? — spytała.

— Przyjaciółka pani obiecała zrobić wszystko, co będzie w jej mocy ; — odparła nowoprzybyła — wracam właśnie z hotelu europejskiego ; sala już wyna-

jęta, cena z góry zamówiona. Właściciel zobowiązał się oświetlić salę i przygotować estradę, oraz potrzebną ilość numerowanych krzeseł. Rozdzieliłam już także bilety w dwóch najznaczniejszych w mieście księgarniach. Kilkanaście biletów wzięła przyjaciółka pani; ma ona nadzieję, rozprzedać je między znajomymi.

— Czy Ema chodziła z panią wszędzie?

— A jakże! Odprowadziła mnie ona teraz aż do bramy tego domu; sama zaś wróciła do teatru, bo zdaje się, że teraz godzina próby.

Usiadła zmęczona; Wirska przysunęła sobie do niej krzesełko.

— Czy pani bardzo zmęczona? — spytała Wirska.

— Wcale nie czuję fizycznego znużenia. Wszystkie władze mojego umysłu są podniecone. Ach, gdyby już minął dzień jutrzejszy! . . . . Artykuł pani, w którym omówiłaś łaskawie jutrzejszy mój odczyt, sądzę, zrobi wrażenie. Kazałam także porozlepiać afisze po wszystkich znaczniejszych ulicach miasta. Ha . . . zobaczymy!

— Radziłabym pani, nie obiecywać sobie zbyt wielkiego sukcesu — odparła Wirska. Trzeba znać nasze stosunki, by wiedzieć, że nie temat odczytu, ale osoba prelegenta decyduje o sukcesie. Gdybyś pani do nas przybyła z zagranicy, jako docent, lub przynajmniej doktor, poprzedzona sławą romantycznych przygód, wtedy, nie wątpię, sala byłaby przepełniona. Po za salą jużby pani nie znano. Droga, po której kroczą takie kobiety, jak ty, wiedzie co najwyżej do sławy, ale nie do serc rodaków . . . .

— Ach! — przerwała studentka — pani wspomniałaś o sławie! Ja się nią nie łudzę. Borykanie się z losem i ludźmi, upokarzająca walka o chleb powszedni, oto, co mnie czeka!

— Czy już tak prędko tracisz pani wiarę w siły własne? Borykanie się z przeciwnościami powinno być dla ciebie szkołą, z której wynieść trzeba potrzebne w dalszem życiu doświadczenie.

— Czy pani nie znajdujesz, że tych przeciwności za wiele i że niesłusznie nagromadzono na drodze naszej tyle kamieni, zamiast uprzątać te, które od wieków

nagromadziły: uprzedzenie i niechęć, oraz brak poczucia sprawiedliwego wymiaru praw? Cóż się u nas zrobiło od lat dwudziestu pięciu, odkąd hasło równouprawnienia kobiet stało się kwestją palącą? Spotrzebowano na tę kwestję dużo piór, atramentu i papieru. Rzeczywiste korzyści są bardzo małe. Jest niby organizacja pracy kobiet, ale zajrzyj pani w zakulisowe sprawy tej organizacji, a spostrzeżesz, że to tylko szyld marny. Tysiące robotnic pracują na własną rękę i umierają z głodu, lub bywają wyzyskiwane w haniebny sposób. Czytelnie kobiet i te niby ich stowarzyszenia! . . . . Wierz mi pani, że prócz odczytów i pogadanek, urządzanych dzięki uprzejmości kilku prelegentów, nic zresztą nie czynią, coby przyniosło rzeczywiste korzyści. Dobre chęci jednostek rozbijają się o obojętność, lub brak zrozumienia celów, które zbyt oddalone od ich widnokręgu. Pozostawiono nas własnemu instynktowi i przemyślności, by z wygodnego miejsca śledzić naszą walkę, która jest raczej rozpaczliwem borykaniem się. Ile z nas upadnie, zanim jedna dojdzie do mety?.. A potem ci panowie rzucają nam w oczy statystyką cyfr i liczby mają rozstrzygnąć.

— To boli, wierzę, — odparła Wirska — ale pani posiadasz wiele zapału i rzeczywiste zdolności. Pani w połowie drogi nie ustaniesz i miejmy nadzieję, że bez trudu zdobędziesz dyplom lekarski.

— Wielkie szczęście! Z gotowym dyplomem, jeśli dobrze pójdzie, mogę co najwyżej dostać się do Bośnii, lub na wieś. Jestem bowiem przekonaną, że rząd, zmuszony do tego przez kilku posłów włościańskich, ustanowi posady ludowych lekarzy i będzie ich tak opłacał, jak nauczycieli wiejskich. Posterunki te zajmą naturalnie kobiety. Dla nich najprzykrzejsza, największego poświęcenia wymagająca praca i . . . jak najmniejsze wynagrodzenie. Tego wymaga oszczędność państwowa . . . równouprawnienie, o którem się teraz tyle pisze . . .

— To dola pionierek postępu! — rzekła Wirska. Walczymy dla następnych pokoleń.

— Dziękuję za rezygnację! Ja także mam prawo do szczęścia, do uciechy, a zaznałam dotychczas tylko trudy i upokorzenia.

— To nasz los! . . .

— A wiesz pani, dla czego? Oto mamy za wielu niepowołanych obrońców; ci wołają: „kobiety emancypantki mają niepohamowaną ambicję, owładnąć uniwersytetem, urzędami i katedrami. Trzeba im to dać, wyręczą nas w pracy tam, gdzie mężczyzna, jako bardziej samolubny, ostrożny i wyrachowany nie pójdzie. W ten sposób załatwimy także ważny odłam kwestji ekonomicznej. Warunki bytu w naszym kraju, mniejsza liczba mężkiej ludności, sprawiają ogromną nadwyżkę kobiet samotnych; należy coś z niemi zrobić!“... Mówią też o nas jak o nadproduktywnych liczbach; przestajemy być dla nich kobietami; azatem tracimy te wszystkie względy i względziki, któremi nas dotychczas otaczano. W imię tego pseudo-równouprawnienia wolno nas lekceważyć, traktować po koleżeńsku; nie możemy liczyć na obronę i opiekę. Za prawo, które ma idjota, byle był mężczyzną, my składamy haracz z najświętszych uczuć i pragnień. Czy nam wolno kochać? Czy nas pożądają i kochają w tej mierze, jak inne, którym urodzenie dało już wszystkie przywileje? . . . . Dla nas pozostaje rada Bebla i Stuarta-Milla. Ale czy wiele będzie takich, które wyzwolą się z pęt, jakie nakłada na nie społeczeństwo i własna natura, wysubtelniona, wrażliwa? pozostaje zatem samotność i praca . . . . .

— To zbyt krańcowe rozumowanie — przerwała Wirska, gotując się do dłuższej odpowiedzi.

Lecz studentka nie dopuściła jej do słowa. Raz wpadłszy na ulubiony temat, mówiła bez przerwy, coraz bardziej się gorączkując. Dopiero wejście kilku osób do redakcji położyło tamę jej wymowie. Pożegnała Wirskę, polecając się jej pamięci i prędko wyszła.

„Biedna! — pomyślała Wirska, odprowadzając ją aż na schody. — W niej obudziła się już cała świadomość krzywdy, jaką wyrządziło jej społeczeństwo. A ja? . . . A inne?

Przypomniała sobie panie, które zostawiła była w redakcji. I te społeczeństwo zaliczyło już do grona feministek. Niektóre jednostki ośmieszyły je nawet za to, że zamiast wypełnić czas wolny flirtem i zabawami, urządzają meetingi, zjazdy, przedstawienia amatorskie

na cele stowarzyszenia pracy kobiet, a nawet odważają się opiekować robotnicami z fabryki cygar.

Wirska znała je dobrze; jako kierowniczka czasopisma, specjalnie dla kobiet redagowanego, stykała się bezpośrednio z wszystkiemi temi pracowniczkami, które przychodziły do niej, żądając wskazówek, rady, czasem prosząc o reklamę, lub pracę. Widziała je także na zebraniach, w towarzystwie i w domu; patrzyła na ich życie i zrozumiała to nawet, czego nie widzieli najbliżsi z otoczenia, choć żyli z niemi ciągle. Ona wiedziała, że te istoty są nieszczęśliwe i z gwałtownością natury energicznej, z samowiedzą istot dojrzałych starają się zapełnić pustkę, która jak widmo groziła ich samotności.

Poszła je przywitać, a patrząc na ich zwiędłe twarze, które pamiętała kwitnące rumieńcem zdrowia i urody, pomyślała: taka nasza dola. — —

* * *

Wśród gromadki kupców, maklerów, żydów i giełdziarzy, oczekujących przed gmachem pocztowym ukazania się listowych, roznoszących codzienne przesyłki, wyróżniał się człowiek już niemłody odziany w tabaczkowy surdut, takiego samego koloru spodnie i czarny kapelusz. Wysoki, niezbyt barczysty, trzymał się nieco pochyło, fizjognomia jego byłaby pospolitą, gdyby nie szczególny wyraz inteligencji, który uszlachetniał grube rysy jego twarzy; w spojrzeniu niebieskich oczu zaś przebijała się pewna niespokojna ruchliwość.

Kiedy ukazał się listowy z szóstego cyrkułu, zastąpił mu drogę i ruchem głowy dał znak, jak gdyby na pytanie, czy nic nie ma dla niego?

Scena ta powtarzała się od niejakiego czasu codziennie, przy każdorazowem wydaniu przesyłek pocztowych. Kilku maklerów wiedziało nawet dokładnie, odkąd to się zaczęło. Pamiętali oni Karola Przybylskiego jako zamożnego przedsiębiorcę robót budowlanych i byli świadkami jego upadku, który pochłonął wszystko, prócz honoru i uczciwego nazwiska. Teraz nie prowadził już żadnych interesów: z dawnych nawyknień zostało mu

tylko uporczywe chodzenie na pocztę, jak gdyby i teraz liczną prowadził korespondencję. — — —

Nazajutrz po wysłaniu listu przez Wirskę, gdzie donosiła Jadwidze, że ma nadzieję umieścić ją gdziekolwiek, Przybylski odebrał od listowego przesyłkę, gorączkowym ruchem rozerwał kopertę i dopiero kiedy treść liściku przeczytał, spostrzegł pomyłkę.

„To do Jadwigi, szepnął, będzie się znowu gniewała, że otwieram jej listy. Myślałem, że to do mnie“.

Trudno wyrazić, czego właściwie spodziewał się ten człowiek, wyglądający codziennie ukazania się listowych. Może miał nadzieję, że go zawezwą do jakiej spółki, lub poproszą, aby przybył, objąć jakie przedsiębiorstwo; a może czekał, aż mu kto z własnej ochoty zaofiaruje korzystną posadę i wyrwie z przykrego położenia przymusowej bezczynności.

Przybylski schował list do kieszeni i raźnym krokiem poszedł do domu; przynosił przecież z sobą coś, co nie miało wprawdzie pieniężnej wartości, ale dawało nadzieję zarobku.

Przybylscy mieszkali na trzeciem piętrze i z pozoru mieszkanie ich świadczyć nawet mogło o znośnych warunkach bytu. Z małego i ciemnego przedpokoju wchodziło się jednemi drzwiami do kuchni, drugiemi do niedużego wprawdzie, ale umeblowanego w ten sposób pokoju, iż niewybrednym daje prawo nazywania go salonem, a prawdziwemu znawcy służy za nieomylny znak błyszczącej nędzy.

Właściwe ubóstwo skryło się zawstydzone w drugim pokoju, przepołowionym parawanem. Tu znajdowała się sypialnia całej rodziny, tu stały meble, wyniszczone codziennym użytkiem a nie zastąpione nowemi, lecz łatane i sztukowane w rozpaczliwej chęci zatrzymania resztek dawniejszej zamożności, jak gdyby z niemi związany był byt rodziny. — —

Przybylski zadzwonił, otworzyła mu Jadwiga.

— Mam list do ciebie — tak przemówił Przybylski i podał list córce. — Tylko się nie gniewaj, że otworzyłem, myślałem, że to do mnie.

— To nie po raz pierwszy ojciec otwiera moje listy — odparła szorstko i wróciła do kuchni. Przeczy-

tawszy zaś list, schowała go, poczem do garnków, na piecu stojących, zaglądnęła.

— Czy nie masz jakiej gazety? — spytał Przybylski, wchodząc za nią do kuchni.

Nic na to nie odpowiedziała, lecz podała ojcu świeży numer „Tygodnika dla kobiet“.

Przybylski stołek do okna sobie przystawił i usiadł czytać gazetę.

Jadwiga odstawiła potrawy, by na wolnym gotowały się ogniu i wyszła do ostatniego pokoju. Tu. na jednem z trzech łóżek spoczywała jej matka.

Wyglądała ona na duże, nieporadne dziecko, które potrzebuje ciągłej opieki i dobrego odżywiania. Delikatna jej twarz posiadała dużo wdzięku i kiedyś Przybylska sama musiała być piękną i uwielbioną kobietą; dziś przypominała cieplarnianą roślinę, którą na chłodne wystawiono powietrze tak, że ją przez noc mróz zważył. Ciemne jej oczy patrzyły z takim wyrazem boleści na otaczających, że nie można się było na nią gniewać za jej niedołęztwo. Od miesiąca większą część dnia przepędzała w łóżku, skarżąc się, że chora; zawezwany lekarz stwierdził anemię, kazał, aby się dobrze odżywiała i wyjechała na wieś.

Nie wyjechała przecież i musiała to odpokutować przymusowem leżeniem w łóżku.

— Czy przyszedł kto? — spytała, Jadwigę spostrzegając.

— Dostałam list od redaktorki — odparła Jadwiga, podając matce pismo.

— Kto list przyniósł? — spytała matka, pismo przeczytawszy.

— Pocztą nadszedł — rzekła Jadwiga.

— Ojciec był na poczcie?

— Był.

— To jego zajęcie — zaczęła mówić chora gderliwym, osłabionym głosem. — Co ten człowiek myśli? Doprowadził nas do upadku, a teraz, zamiast się wziąć do pracy, założył ręce i czeka nie wiedzieć na co. Czego u licha codziennie na pocztę chodzi? Myślałby kto, że krocie przez jego ręce przechodzą i prowadzi korespondencję z największymi finansistami. Czemu

raczej o posadę się nie stara? Na ciebie i Karolcię cały ciężar utrzymania domu złożył, taki człowiek, w takim wieku! . . . . . .

Żale te wygłaszała w krótkich przestankach; głos jej to podnosił się w oburzeniu, to znów w tkliwym żalu opadał; wreszcie rozpłakała się na głos.

— Znowu mama płacze! — zawołała Jadwiga. — Do czego to nas doprowadzi? Prosiłam, żeby mama do wujostwa jechała, zamiast chłopców tam wysyłać. Tutaj mama nigdy do sił nie wróci . . .

— O, mój Boże! — przerwała chora. — Jużem ci się uprzykrzyła, chcesz mnie się pozbyć? Czy ja cię proszę, abyś mnie pielęgnowała? Nie cierpię w tobie tego wyrazu męczeńskiej ofiary. Zostaw mnie w spokoju! Przecież nie zawadzam nikomu, gdy leżę w łóżku? Zamęczasz mnie tą obowiązkową troskliwością. Nie masz serca. Straciłaś, między obcymi ludźmi żyjąc, przywiązanie do rodziców i rodzeństwa. Zrobiłaś się emancypantką.

— Szukałam chleba między obcymi! — przerwała Jadwiga niemal ostro.

— Czyś nie miała w domu chleba! — zaczęła Przybylska gderać, ożywiając się nagle. Ale tobie się zdawało, że powinnaś pracować na siebie. Wtedy łatało się jeszcze biedę jak mogło; nikt nie wiedział, że jesteśmy doszczętnie zrujnowani. Starałam się i staram zawsze o to, aby zachować pozory dobrobytu, a czynię to dla ciebie, w nadziei, że się ktoś przecie trafi. Ale pokrzyżowałaś moje plany, poszłaś własną drogą i zostałaś emancypantką. A teraz, wiesz, dla czego nikt ci się nie przytrafia? Każdy się dowie, że w części żyjemy z twojej pracy i powie sobie: „nie dość, że panna biedna, ale żeniąc się z nią, musiałbym utrzymywać jej rodzinę, a na co mi ten kłopot?“. . . Oto, jak zabarykadowałaś sobie drogę do zamążpójścia . . . .

— Mamo! . . .

— Boli mnie to, co mówię, ale gorzej jeszcze boli myśl, że zostaniesz starą panną.

— I dla tego mi mama dokuczasz.

— Nie dokuczam ci; zresztą, nie mówmy o tem. Cóż, pójdziesz do Wirskiej, zapytać się o tę posadę?

— Pójdę, tylko wpierw obiad podam.

— To się pośpiesz!

Jadwiga wyszła. Przechodząc przez salonik, przy drzwiach przedpokoju zatrzymała się dłużej. Z za purpurowych jej warg, mocno zaciśniętych, chciał się wydobyć okrzyk rozpaczliwego szamotania się dumnej duszy, chłostanej niemiłosiernie. Ale silną wolą zapanowała nad wybuchem; tylko dłonie jej splotły się w dotknięciu, jakby ten ruch wywołać miał ból fizyczny celem ulżenia cierpieniom moralnym.

Kiedy się ubrała popołudniu, aby udać się do Wirskiej, matka przywołała ją do siebie i krytycznem spojrzeniem objęła całość jej ubrania.

— Dobrze się ubrałaś, ale zbyt ciemno; — rzekła — powiedziałam ci już raz, że w jasnej sukience wygląda się o pięć lat młodziej. Podobną jesteś w tej czarnej sukni do angielskiej guwernantki. Kapelusik więcej na lewo przesuń; tak; już dobrze; nie poprawiaj!

Jadwiga schyliła się i pocałowała matkę. Rozstały się. Przechodząc przez przedpokój, zaglądnęła Jadwiga jeszcze do kuchni, powiedziała ojcu, by zamknął za nią drzwi i poszedł do matki; wreszcie wyszła.

Zajęta własnemi troskami, które spowiły jej myśli w tak stwardniałą opokę, że rozbijały się o nią dole innych, szła przez ulicę, nie zwracając uwagi na ruch otaczający ją. Myślała o tem, czy otrzyma posadę, czy też redaktorka łudzi ją tylko nadzieją zarobku, nie chcąc, aby rozpaczała. Wplątały się także do tych myśli cyfry wydatków z ostatnich kilku dni; zaczęła liczyć, ile jeszcze będzie musiała wydać pieniędzy w tym tygodniu, aby pokryć wydatki domowe.

Do redakcji „Tygodnika dla kobiet“ weszła nieśmiało; miała o coś prosić, a ona nikogo o nic prosić nie umiała; przychodziło jej to z trudnością i wydawała się wtedy albo ograniczoną, albo też niegrzeczną. Lecz zaledwie ją Wirska zobaczyła, podeszła do niej i prędko i serdecznie całując, zawołała:

— W tej chwili miałam posłać po ciebie; otrzymałam bowiem bilecik, że możesz pójść przedstawić się pani Mirowskiej. Oto adres. Dama ta już uprzedzona o wszystkiem i zapewne cię oczekuje. Czy teraz pójdziesz? — spytała.

— Jak mi radzisz?

— Sądzę, że najlepiej załatwić takie sprawy bez odciągania się. Lecz siadaj na chwilę i odpocznij. Cóż się u was dzieje? Karolcia zadowolona z obecnej guwernerki?

— Owszem! Chwali obecne swoje położenie. Donosiła mi, że ci podziękuje za łaskę, jaką jej wyświadczyłaś, pośrednicząc w wyszukaniu posady . . .

— Jakże matce, lepiej? — przerwała Wirska.

— Nie pytaj!

— Biednaś ty! Ojciec nic nie zarabia?

— Prawie tyle co nic; chłopców w domu nie ma; wydatki mniejsze, więc łatam jak mogę. Ale strach mi pomyśleć, co będzie, gdy do domu zjadą.

— Do tego czasu może coś obmyślimy. Pani Mirowska żąda czterech godzin dziennie i pewnie dobrze zapłaci. Gdyby tylko twój ojciec mógł otrzymać jaką posadę! . . .

— Starał się o to, lecz wiesz sama, że bez protekcji, przy fachowem nawet ukształceniu trudno dziś o posadę. Co nas czeka, co? Lękam się myśleć o przyszłości, a myśleć muszę.

— Biednaś ty! — powtórzyła Wirska. — Gdybym ci pomódz mogła — rzekła po chwili — ale nie mogę; sama ciężko walczę i końce ściągam tak, że się aż boję, aby wszystko nie pękło i w szmaty się nie rozleciało.

Umilkły obie; dopiero po chwili spytała Jadwiga:

— Słyszałam, że Apulka chora i odesłała panny do szycia; czy jeszcze nie wychodzi?

— Leży biedactwo w łóżku.

— Odwiedzę ją za powrotem; podaj mi adres; dziękuję ci; Bóg zapłać za wszystko.

— Bóg z tobą!

— Wirska zrobiła nad jej głową znak krzyża świętego i do drzwi odprowadziła.

Jadwiga udała się we wskazanym kierunku do willi, zajmowanej przez panią Mirowską. Idąc tam, starała się odgadnąć charakter tej damy, wyfilozofować obecne swoje położenie i zdobyć się na zimną krew. Mózg jej pracował bez wytchnienia, ciało źle żywione, kurczyło się, oddech stawał się krótki i tylko żelazną siłą woli trzymała nerwy w naprężeniu. Kiedy zaś podała lokajowi pani Mirowskiej swój bilet i kazała się zameldować, była na pozór spokojną i dumną, skupioną w sobie i przygotowaną do podjęcia najbardziej nawet krzyżowej rozmowy.

Wprowadzono ją natychmiast do buduaru i przez drzwi otwarte zobaczyła w sąsiednim pokoju pięknie rzeźbiony klęcznik, a przed nim duży krucyfiks przedziwnie pięknej roboty alpejskiej. Artysta-snycerz po mistrzowsku wyrzeźbił w drzewie postać i twarz Zbawiciela. Było to arcydzieło, w swoim rodzaju jedyne, i Jadwiga patrzyła na nie z zachwytem.

Już dawno nie modliła się szczerze z wiarą głęboką, jaką daje niezużyte serce i myśl, nie dręczona buntem; teraz na widok bolesnej Męki Zbawiciela, przedstawionej w artystycznej formie, doznała takiego wrażenia, jakby się powinna była rzucić na ten klęcznik i wypłakać przed krzyżem swoje troski, wymodlić spokój duszy i serca, które tak boleśnie biło, ściągając z mózgu ostatek krwi.

— „Jakby to wyglądało? Zrobiłabym wrażenie komedjantki“ — podszepnął jej głos zimnego rozsądku i równocześnie odwróciła wzrok od pobożnego widoku.

Pani Mirowska wchodziła właśnie do buduaru.

Była to już starsza dama; średniego wzrostu i tuszy, ubrana w czarną suknię i czarną koronkę na mocno pudrowanych włosach. Cicho i z wdziękiem stąpając, zbliżyła się do jednej z misternych kozetek; twarz jej łagodna wyrażała pobożne skupienie.

Jadwiga skłoniła przed nią głowę i wtedy zauważyła, że pani Mirowska trzyma w ręku bilet i kopertę.

— Panna Przybylska? — spytała Mirowska cicho, lecz wyraźnie.

Jadwiga znowu się ukłoniła.

Mirowska usiadła na kozetce, rączką wskazując Jadwidze niski puff, nieopodal stojący.

— Mój siostrzeniec — mówiła, przesuwając w palcach bilet i od chwili do chwili ku oczom go podnosząc — polecił mi panią szczerze. Czy zna on panią osobiście?

— Nie znam szanownego siostrzeńca pani; Wirska, redaktorka „Tygodnika dla kobiet“ zajęła się pośrednictwem; byłam teraz u niej, ale tak mnie nagliła, abym tu poszła, że nie miałam czasu zapytać o bliższe szczegóły.

— Poszukuję lektorki . . . to jest . . . poszukiwałam takowej — poprawiła się pani Mirowska i natychmiast innym głosem spytała: — Więc pani nie zna Edmunda Sikorskiego?

— Nie znam go. Wiem tylko, że zasila „Tygodnik dla kobiet“ półroczną subwencją.

— I ja coś już o tem słyszałam; może robi to dla samej redaktorki; to młoda jeszcze osoba, mieszka sama z siostrą, która trudni się krawiecczyzną, wszak tak? Czy nie mają kogo dla opieki, by nie mieszkały same? Jest to zawsze ryzykowną rzeczą dla kobiety, która chce, aby ją szanowano.

— Panny Wirskie są sierotami i z bliskich krewnych nikt im nie pozostał; damy do towarzystwa nie mają czem opłacić.

Pani Mirowska zmarszczyła czoło, lecz łagodnym spytała głosem:

— Pani jesteś przyjaciółką tej . . . panny Wirkiewiczównej.

— Wirskiej! — poprawiła Jadwiga.

Pani Mirowska przesłyszała poprawkę i pytała dalej:

— Czy pani znasz jej życie prywatne?

— Wiem, że jest kobietą uczciwą o nieskazitelnym charakterze; błogosławią ją wszyscy, którzy się do niej zbliżają po radę, lub pomoc — odparła Jadwiga z przejęciem.

— Być może! Ale słyszałam, że obcuje z aktorkami . . . .

— Tylko z Emą Selim, którą znają wszyscy jako dobrą artystkę i skromną kobietę — przerwała Jadwiga.

— Od czasu do czasu czytuję — „Tygodnik dla kobiet“ — mówiła pani Mirowska, ignorując gwałtowne odezwanie się Jadwigi — i smuci mnie to bardzo, że czasopismo, poświęcone kobietom, tak mało uwzględnia nasze religijne potrzeby. W obec niewiary i wolnomyślnych idei nowoczesnych, które zatruwają pobożne myśli naszych kobiet, trzeba koniecznie szukać ratunku w religii i pięknych wzorach cnotliwych naszych prababek. Takich przykładów nie znalazłam w „Tygodniku dla kobiet“.

Nastała krótka pauza.

— Prawda, mamy pomówić o czem innem! — rzekła pani Mirowska, podnosząc trzymany w ręku bilet ku oczom. — Jestem dla pani bardzo życzliwie usposobiona, bo słyszałam, że utrzymujesz rodzinę i jesteś dobrą córką. Miałam także sposobność, wchodząc tu przed chwilą, pochwycić w przelocie wyraz pobożnego skupienia, z jakiem spozierałaś na Mękę Zbawiciela. Musisz pani być pobożną i żal mi szczerze, iż przychodzisz zapóźno. Otrzymałam bowiem przed godziną bilet od mojego spowiednika i ten poleca mi na lektorkę daleką jakąś krewną, którą godny ten kapłan odnalazł w nader przykrych stosunkach. Zrozumiesz pani zatem, że muszę dać pierwszeństwo protegowanej mojego spowiednika.

Jadwiga zbladła: ostatnie słowa pani Mirowskiej były dla niej tem, czem uderzenie obuchem w głowę: ogłuszyły ją.

A przecież, tak dziwnem jest serce ludzkie, miała jeszcze nadzieję; nie chciała uwierzyć, że jej nie przyjmą; milczała wprawdzie, ale wzrok jej mówił wyraziście, iż czeka jeszcze na jakie wyjaśnienie.

Pani Mirowska powstała; ów bilet pozostał na kozetce; teraz trzymała w palcach miniaturową, niebieską kopertę i przystąpiła do Jadwigi.

— Bardzo mi przykro, — przemówiła — ale muszę panią przeprosić; uważam to sobie za obowiązek przyjąć protegowaną mego spowiednika; dla pani, jeśli

się kiedy do mnie udasz z jaką prośbą, zrobię, co będzie w mojej mocy. Tymczasem proszę za fatygę.....

Równocześnie podała jej rękę, starając się wsunąć do jej dłoni miniaturową kopertę z ukrytym w niej banknotem. Lecz zaledwie Jadwiga zobaczyła ten zręczny manewr, cotnęła rękę.

— Pani się mylisz . . . to niepotrzebne — rzekła dumnie.

Mirowska zmarszczyła brwi.

— To się pani należy — rzekła.

— Jałmużna! Dają mi jałmużnę, kiedy ja proszę o pracę! — wybuchnęła Jadwiga.

Lecz opamiętała się rychło. Nie mogła tylko mówić; bolesny kurcz dławił jej gardło; ukłoniła się Mirowskiej i szybko wyszła, nie czekając, aż jej lokaj drzwi otworzy.

Na poręczy u schodów oparła się; chciała krzyknąć, jęknąć; czuła, żeby jej to ulżyło; lecz znowu siłą woli stłumiła słabość i zeszła ze schodów.

Wracała do domu machinalnie; w głowie jej szumiało, w piersiach wrzał ból wielki, bunt straszny, tłumiony podsuwał jej gorączkowe wizje. I przyszło jej na myśl, że dopiero dzisiaj matka jej mówiła, „że“ nie jest „uczuciową“, „że“ „jest bez serca“, „że“ robi wszystko z poczucia obowiązku, a nie z miłości.

Czy ona nie umiała kochać?

Najpierw miłowała Boga gorąco, jak dziecko ślepo ufając Jego potędze, kochała także rodziców szczerze, głęboko; dla każdego z rodzeństwa miała miłość matki i siostry; każdą ich troskę wzięła na siebie, każdą boleść odczuwała podwójnie; kochała krewnych, koleżanki i znajomych. Potem pracowała wśród ludzi obcych, znosiła upokorzenia, dotkliwie dumę jej raniące; walczyła z przeciwnościami i złymi ludźmi; cierpiała niedostatek; codziennie trwożyło ją widziadło nędzy, trapiła choroba matki, przygniatała bezczynność ojca, rozpaczą przejmowała przyszłość rodziny. Czy nie wyczerpywano codziennie kroplę po kropli krew z pod serca? Serce jej nie mogło już bić gorąco, bo chore i zbolałe żywiło się krwią z pod mózgu. — — —

Powoli ochłonęła; wróciła równowaga myśli i wtedy przypomniała sobie, że przyrzekła Wirskiej, wstąpić do niej za powrotem i odwiedzić Anulkę.

„Przynajmniej tam odpocznę i uspokoję się, zanim powrócę do domu — pomyślała. — Zresztą niech mi ona wytłómaczy postępowanie pani Mirowskiej“.

Lecz kiedy przystanęła przed drzwiami redakcji i dobiegły ją z wnętrza głosy: Wirskiej i jakiegoś mężczyzny, nie weszła, czując, że nie potrafiłaby zapanować nad wzruszeniem. Wróciła już wprost do domu i oczekującym ją rodzicom powiedziała, z jakich powodów na tę posadę liczyć już nie można.

Chociaż na pozór wydawała się być spokojną, drażniło ją to przecież, co doznała. Nie zwlekając też ani chwili, napisała list do Wirskiej, donosząc jej o przebiegu konferencji z panią Mirowską. List odesłała stróżką.

Wirska otrzymała pismo Jadwigi w obecności Edmunda Sikorskiego; obiecawszy więc przysłać odpowiedź, odprawiła stróżkę i dopiero potem list przeczytała.

— Ciekawe jakie wiadomości? — spytał Sikorski.

— Czytaj pan! — rzekła, list mu podając.

Sikorski wziął list do ręki, lecz zaledwie go przeczytał, głośnym wybuchnął śmiechem.

— Pan się śmiejesz? — z oburzeniem zauważyła Wirska.

— Jak po mistrzowsku oddaną w tym liście jest cała scena ich rozmowy! Jakbym tam był obecny i słuchał za kotarą! — wołał Sikorski.

— I nie żal panu, żeśmy to biedne dziewczę narazili na takie upokorzenie?

— Przecież to nie nasza wina! — zawołał z szczerem przekonaniem Sikorski. — Kiedy pisałem pani wczoraj, nie wiedziałem, że istnieje protegowana księdza Onufrego, która mogłaby zostać lektorką mojej ciotki. Lecz zawód ten nie powinien pani tak martwić. Przyjaciółka twoja, gdyby była została lektorką mojej ciotki, musiałaby wstawać o piątej z rana i chodzić na ranną mszę do kościoła, pościć trzy razy w tygodniu....

— Proszę nie bluźnić!

— Nawrócę się, gdy pani zostaniesz moim aniołem.

— O tem zakazałam panu mówić! . . . . Popełniliśmy gruby błąd, wysyłając tę dziewczynę bez powtórnego zapytania, czy ma pójść przedstawić się pani Mirowskiej. Powinniśmy teraz ten błąd naprawić. Radź pan, jak to uczynić należy . . . .

— Nie jestem naczelnikiem bióra ogłoszeń i nie wiem o drugiej takiej posadzie.

— I teraz drwiny! . . . Panie Sikorski . . . macie tak rozległe stosunki . . . przy dobrej woli moglibyście pomódz tej rodzinie. Przybylski jest człowiekiem zdolnym i rzetelnym. Sam był dawniej właścicielem tartaku . . . o ile pamiętam, wspominałeś mi pan, że w Borowińcu masz tartak, urządzony na wielką skalę...

— Aha . . . więc teraz mam wyszukać posadę dla ojca przyjaciółki pani? . . . .

— Gdybyście tylko chcieli . . . .

Sikorski chwilę milczał.

— Czy ci ludzie zechcą pójść na wieś? — spytał. — Mówiłaś mi pani, że mają dwóch synów w gimnazjum.

— Chłopców będzie można umieścić na stancji — odparła Wirska.

— Dobrze, napiszę do dyrektora, czy jest wolne miejsce i czy kto odchodzi . . .

— Powinieneś pan sam pojechać . . . .

— Chcesz się pani mnie pozbyć . . . .

— Macie sposobność, spełnić dobry uczynek.

— Dobremi uczynkami zajmuje się moja ciotka do spółki z księdzem Onufrym. Jeślibym to zrobił, o co pani prosi, to chyba z egoizmu, lub jak żyd, dla zysku.

— Nie rozumiem! . . .

— Czy tak trudno pojąć, że chciałbym panią czemś zobowiązać? Przeczuwam, iż w licznym poczecie cnót pani, niepoślednie miejsce zajmuje wdzięczność. Chcę, abyś pani była moją dłużniczką i przyszedł dzień wyrównania zaległości . . . . .

— Panie!

— Jesteś okrutną. Ale mimo to zrobię wszystko, aby wydźwignąć protegowanych pani z nędzy . . . .

Ach . . . jak oczy twe zajaśniały! Jesteś w tej chwili ponętna jak . . . grzech pierworodny.

Sikorski zbliżył się do Wandy, pochwycił jej obydwie dłonie i ucałował gorąco.

— Czy mi pani podziękuje? — szepnął.

— Dziękuję.

— Tylko tak?

— Daję wszystko, lub nic!

— A więc muszę czekać! Dobrze. Dzisiaj odjeżdżam do Borowińca i proszę o adres protegowanych pani.

Wirska nakreśliła szybko na papierze słów kilka i podała je Sikorskiemu; ten kartkę schował starannie i rzekł, za kapelusz biorąc:

— Teraz pójdę. Do widzenia! Wrócę pojutrze, jeśli nie zginę w górach.

— Jedziecie koleją.

— Pociąg może się wykoleić. Powiem mojej ciotce, aby na intencję szczęśliwego powrotu, kazała się modlić swojemu spowiednikowi i dała na mszę do kościoła. Czy panią to martwi, co mówię?

— Bardzo!

— Jak pani ślicznie akcentujesz to jedno słowo. Słyszę w tem słówku b a r d z o, b a r d z o wiele!

Ukłonił się, pocałował ją w rękę i wyszedł.

„Przecież szlachetny i dobry“ — pomyślała Wirska, gdy drzwi zawarły się za nim.

Tak rozumuje nawet mądra kobieta, gdy zaczyna kochać. Gdyby nie była zaślepiona miłością, zrozumiałaby, że ta usłużność Sikorskiego była tylko wypłaceniem zadatku na dług do wdzięczności, z której najtrudniej się potem wywiązać — — — — —

*
* *

„Szanowny Panie! Potrzeba do tartaku parowego „w Borowińcu dzielnego kontrolora z roczną płacą „1000 złr. w. a. i gratyfikacji 200 złr. w. a. w razie „dobrego prowadzenia się. Mieszkanie, opał i oświe„tlenie wolne. Termin objęcia posady od 1. Września „b. r. Jeśli Panu oferta dopisuje, proszę się zgłosić

„do właściciela tartaku Wielmożnego Pana Edmunda „Sikorskiego, ulica Nowa Nr. 23.“

Z poważaniem
Dr. Władysław Łoński,
adwokat krajowy.

Przybylski patrzył z niedowierzaniem na zapisane linie listu. Sądził, że to jakaś mistyfikacja lub omyłka. Obejrzał kopertę dokładnie, chcąc sprawdzić adres. Spostrzegłszy na kopercie swoje nazwisko, nie wątpił już, że to jemu narzucają tak korzystną posadę.

— Hm . . . kto wie? — dumał. — Przecież znają mnie ludzie, jako uczciwego. Adwokat Łoński prowadził dawniej niejedną moją sprawę, może on to polecił mnie temu panu. Oho . . . ja wiedziałem, że jeszcze wypłynę na wierzch! . . .

Odczuł, że znajduje się w przededniu wielkiej zmiany. Traktowany ostatniemi czasy z lekceważeniem przez żonę, omijany przez krewnych i znajomych, a nawet i przez własne dzieci, które patrzyły na niego z niemym wyrzutem w oczach, nierzadko też ostrem słowem dając mu poznać, że mają do niego żal wielki, stał się pokornym i zasklepił się niejako w sobie. Nie zwierzał się też nikomu z tego, co czuł, ani się nie żalił, że go krzywdzą; nie dopominał się winnego mu szacunku i miłości; miał tylko to nieokreślone przeczucie, że z czasem zmieni się wszystko i on znowu zostanie panem i władcą rodziny.

Odblask tego powtórnego panowania widoczny już był na rozjaśnionem jego obliczu, a głos, jakim przywitał Jadwigę w przedpokoju, brzmiał metalicznie jak za dawnych lepszych czasów. Do kuchni nie wszedł, ale wprost do saloniku skierował swoje kroki.

— Niech ojciec obetrze obuwie — zawołała Jadwiga — mama będzie się gniewała, że ojciec w zabłoconem obuwiu do pokoju wchodzisz.

— Et, nie nudziłabyś, jak stara panna! — zawołał Przybylski wesoło. — Chodźże, to i ty list przeczytasz.

— Co za list? — spytała Jadwiga.

Lecz ojciec już był w pokoju.

— A co! — zawołał z tryumfem i podszedł ku kanapie, na której spoczywała żona — miałaś mnie za niedołęgę, Basiu! Patrzaj, jak mnie się proszą, abym przyjął posadę i to nie ladajaką! . . .

Podał żonie list i podczas, gdy ona czytała, on wpatrywał się w jej twarz delikatną z wyrazem trudnym do opisania. Duma, arogancja, radość, wyczekiwanie i resztki bojaźni przed żoną, która mu zawsze imponowała, oto uczucia, które grały na jego nerwach i odbijały się w ruchliwej twarzy.

— Nie mogę w to uwierzyć! — szepnęła Przybylska po przeczytaniu listu.

— Masz, czytaj Jadwigo; — zawołał Przybylski, wyrywając list z rąk żony i Jadwidze go podając.

Jadwiga przeczytała list uważnie; kiedy spostrzegła nazwisko właściciela tartaku, wtedy różowy płomień okrył jej policzki. Chciała coś przemówić, lecz rozsądek nie dopuścił do tego, twierdząc, że lepiej zrobi, gdy zamilczy o swojem odkryciu. Nie mówiąc słowa, zwróciła list ojcu.

— Cóż ty na to powiesz? — spytał Przybylski.

— W każdym razie trzeba się udać do pana Sikorskiego — pośpieszyła z odpowiedzią Przybylska.

— A ty Jadwigo, co radzisz? — spytał ojciec.

— Sądzę, że należy zapytać wpierw adwokata o bliższe szczegóły — odparła zapytana.

Przybylski zgodził się na to, kazał sobie podać odświętne ubranie i udał się do adwokata Lońskiego.

Obie kobiety zostały w saloniku. Każda z nich czuła potrzebę mówienia, ale żadna nie wypowiadała szczerze tego, co myślała. Jadwiga szczególniej obawiała się zawierzyć matce troski, które ją napadły po przeczytaniu listu Lońskiego. Miała nieokreślone poczucie, że nowa ta pomoc, ofiarowana jej ojcu tak wspaniałomyślnie, wyszła od Wirskiej i tylko redaktorka do spółki z siostrzeńcem pani Mirowskiej wynagrodzić ją teraz chcą za doznane rozczarowanie i podają im dłoń pomocną. Wierzyła w ich dobre chęci, ale pouczona doświadczeniem, że na nic liczyć nie można na pewno, zbytniej radości nie okazywała, ani nie kreśliła ułudnych

obrazów, jak to czyniła jej matka. Chciała matce powiedzieć: Wirska zapewne wymogła na panu Sikorskim, że ofiaruje teraz ojcu posadę; ale nie mówiła tego, bo w takim razie musiałaby była wytłumaczyć matce, jaki stosunek łączy Wirskę z Sikorskim, o czem sama niejasne miała wyobrażenie. Sikorskiego nie znała osobiście; z tego zaś, co jej opowiedziała o nim Wirska i z tego, o czem jej zamilczała, a co w niedwuznaczny sposób poznać jej dała pani Mirowska, nie trudno jej było wyrobić sobie pewien sąd o Sikorskim i jego stosunku do redaktorki.

Były to przecież jej własne, subjektywne poglądy i tych nie chciała matce objawić, wiedząc, że zapatrywania ich nie zgadzają się z sobą. Jadwiga nie posądzała Wandy o nic zdrożnego, jednakże tyle już posiadała wiedzy życia, by zrozumieć, że stosunek jej do Sikorskiego wygląda dwuznacznie i budzi różne, częstokroć krzywdzące ją domysły. Znając podejrzliwość matki, wiedziała, że mówić z nią poufnie nie może bez narażenia przyjaciółki. „A cóżby dopiero było — rozumowała — gdyby ojciec zaczął szperać w stosunku Sikorskiego do Wirskiej? Teraz dumny w przekonaniu, że tylko jego własne zdolności i znana w mieście uczciwość dopomogły mu do ubiegania się o tę posadę, którą jakby umyślnie dla niego trzymano w pogotowiu, nie tak łatwo zniżyłby się do podjęcia czyjejś łaski.“

— Nie doszperamy się same przyczyny, dla której adwokat Loński dał najpierw znać ojcu o tej posadzie; — mówiła Przybylska — ojciec ma zapewne jakieś stosunki z adwokatem Lońskim. Już też musiał on się czegoś od dawna spodziewać, skoro na pocztę chodził i listów zkądś wyczekiwał, a dumny był i do byle jakiej pracy zabrać się nie chciał.

— Naturalnie!

— Co „naturalnie“? Wyglądasz tak, jakbyś nie rozumiała, o czem do ciebie mówię.

— Owszem, słuchałam uważnie; — usprawiedliwiła się Jadwiga — mama zawsze słusznie rozumuje.

Udobruchana ciągnęła Przybylska dalej:

— Już też czas był najwyższy, abyśmy się z tej biedy wydźwignęli. Dużo jeszcze masz pieniędzy? — spytała.

Trzy guldeny — odparła cicho Jadwiga.

— W sam czas Bóg nas pocieszył. Ale cóż zrobimy z chłopcami, gdyby potrzeba było wyjechać na wieś?

— Józio chce wystąpić z gimnazjum; — rzekła Jadwiga — sam pojmuje, że nie wytrwa do końca wśród takich warunków. Powiedział mi na wyjezdnem, że go księgarz Rutowski chce wziąć do handlu i przyrzekł mu dać na początek pięć guldenów miesięcznie, oraz wolne utrzymanie. Władzia będzie można umieścić gdzie na stancji.

— Doskonale! Wcale dobrze! – zawołała Przybylska z ożywieniem.

Nadzieja zmiany tak, jak u jej męża, spowodowała żywsze krążenie krwi, większą elastyczność umysłu i jakąś butną pewność siebie. Perspektywa spokojnego życia bez troski przedstawiała się dla niej nęcąco; przytem nieśmiało wprawdzie, ale z pewnym artyzmem, widocznie już wyrobionym, zaczęła snuć przędzę marzeń: jak to ona będzie przyjmowała u siebie młodych urzędników kolejowych lub pocztowych, by między nimi wyszukać mężów dla córek.

Do marzeń tych uśmiechała się rozkosznie, leżąc na wygodnej kanapie i patrząc bezmyślnie na wypłowiałe obicie mebli. — — — — —

Dopiero nad wieczorem powrócił Przybylski do domu rozgorączkowany wielką szczęśliwością, która odbijała rumieńcem na jego szerokiej twarzy i manifestowała się w zamaszystych ruchach.

— I cóż, trapiłyście się o mnie, że nie wracałem rychło? — zawołał.

Szerokiemi krokami do „salonu“ wszedł, na fotelu, przy stole usiadł i wyjął chusteczkę, by obetrzeć pot z czoła. Wielka szczęśliwość nie znikała z jego twarzy. Z tryumfem patrzał na żonę, jakby chciał powiedzieć: aha! a kto niedołęga, Basiu?

Jadwiga weszła za ojcem do pokoju. Cała jej postawa wyrażała niecierpliwe oczekiwanie.

— Żeby tak długo siedzieć! — zaczęła teraz mówić Przybylska. — Wiesz, że jestem chora i lada

co mnie rozdraźnia, a nie chciało ci się przyjść do domu i powiedzieć, co się dzieje. Zapewne znowu chybiłeś i wstyd ci było, wracać z niczem do domu.

— Jaka też to każda kobieta głupia! — zawołał Przybylski. — Przypatrz się mojej twarzy; czy tak wygląda człowiek, co czego chybił? No, zgadnij Jadwigo, dla czego tak nierychło wracam?

— Chyba już ojciec kontrakt podpisał — zauważyła Jadwiga.

— Widzisz, twoja córka rozumniejsza od ciebie! — zawołał Przybylski wesoło; sięgnął w zanadrze i podał Jadwidze paczkę banknotów, oraz duży arkusz ostemplowanego papieru.

Jadwiga położyła pieniądze na stole i skwapliwie podany papier czytać zaczęła:

— Kontrakt! — zawołała, rzuciwszy nań okiem.

— Kontrakt! — powtórzyła Przybylska radośnie i powstawszy z kanapy, przystąpiła do męża, by mu powinszować sukcesu.

— Przelicz pieniądze; — rzekł Przybylski, usuwając się od objawów czułości swej żony — dwieście guldenów dostałem naprzód. I cóż, zadowolone jesteście?

Przybylska rzuciła się mężowi na szyję i pocałowała go w oba policzki.

On, z lekka w czoło ją pocałował i wysunąwszy się z jej ramion, rzekł z rubasznym śmiechem:

— A ot, widzisz! . . . Teraz pocałunki i pieszczoty, a pierwej dąsy i fochy! No, duszko nie gniewaj się. Prawdę mówię, a gniewać się o to nie możesz, bo każda kobieta fałszywa. Da jej mąż na to, co potrzebuje, dogadza jej we wszystkiem, to go całuje i pieści. A kiedy jej czego poskąpi lub do tego przyjdzie, że nic dać nie może, to on tyran, niedołęga i głupiec, to się go lekceważy i na oczy widzieć nie chce . . . . .

— Przesadzasz! — przerwała mu z grymasem żona.

— No, no, już ty dużo nie mów! Jesteś tylko kobietą, stworzeniem słabem i nie możesz być inną. Ale tobie Jadwigo powiadam — dodał do córki się zwra-

cając — nie bierz sobie przykładu z matki. Jak za mąż wyjdziesz, męża kochaj i szanuj, choćby kiedy i taki czas nastał, żeby nic zrobić nie mógł. No, a teraz schowaj kontrakt i pieniądze. Tylko z pieniędzmi się nie szastaj, bo to wy kobiety, jak wam dać do ręki pieniądze, to jak rumakowi cugle popuścić: poczciwy, dobry, to spokojnie naprzód kroczy, a jak temperament ma, to pędzi, choćby go to nad przepaść sprowadziło.

Przeszedł się po saloniku, stanął przed żoną i mówił dalej:

— I cóż, dobrze się sprawiłem? . . . Powiedz prawdę, myślałaś, że ze mnie wielki niedołęga, no, przyznaj się, że tak myślałaś. Ale żebyś widziała, jak mnie adwokat Loński przyjął, z jaką gotowością we wszystkiem objaśnił . . . Potem udałem się do pana Sikorskiego. Wyegzaminował mnie krótko, poznałem, że to człowiek nie malowany, choć wielki pan! Ale i on poznał się na mnie i przyznał mi wielkie zdolności. Spytał się, czy żądam kontraktu. Naturalnie, że postanowiłem kuć żelazo, póki gorące, i o kontrakt poprosiłem. Wtedy postanowił warunek, że jeśli po roku nie będzie zadowolony, może mi wypowiedzieć; w razie zaś najmniejszej nierzetelności, przysługuje mu prawo oddalić mnie natychmiast. Jest to reguła, powiedział mi, którą stosuję do wszystkich swoich urzędników; dodał także, iż przedemną miał bardzo zdolnego urzędnika, ale go odprawił natychmiast, przekonawszy się o jego nierzetelności. Ja jednak nie obawiam się. Uczciwy jestem, straciłem cały majątek, a w nieczyste sprawy wdawać się nie chciałem. Jestem biedny, ale honor mam i dzieciom oddam czyste, niesplamione nazwisko.

Przybylski mówił wiele w tym sensie. Przymusowe milczenie kilku lat wytworzyło teraz silną reakcję. Przyzwyczajony ostatniemi czasy do podrzędnej w domu roli, obecnie, skoro poczuł, że własną pracą jak dawniej, utrzymywać będzie rodzinę, że od tej chwili staje się ona zależną od niego, odzyskał swadę i pewność siebie. Mówił głośno, rozpierał się na fotelu, mszcząc się niejako za przymus ostatnich dwu lat.

— Jadziu! Podajże ojcu co zjeść; — rzekła Przybylska, gdy mąż umilkł na chwilę — prędzej, bo pewnie głodny.

— E! — zaśmiał się Przybylski — zapomniałem o głodzie!

Matka i córka zaczęły teraz na wyścigi usługiwać Przybylskiemu. On usługi ich przyjmował obojętnie: co mu podano, zjadł bez uwagi na to, co je. Kilka razy atoli wspomniał, że trzeba natychmiast napisać do „dzieci“ i donieść im o wszystkiem, co zaszło.

Kiedy już dostatecznie się wygadał, wyszedł z domu, aby, jak mówił, udać się do „dawnego przyjaciela“.

Nie mógł odmówić sobie tej satysfakcji, aby się nie pochwalić przed obcymi nowem szczęściem.

I Jadwiga miała wielką ochotę, pobiedz do Wirskiej i podziękować jej za to, co dla nich zrobiła. Kwadrans jednak upłynął, zanim się zdecydowała zapytać matki, czy jej pójść pozwoli.

— Lękam się zostawić mamę samą — rzekła, gdy jej matka oświadczyła, żeby poszła.

— Przecież mnie ztąd nikt nie wykradnie; — odparła Przybylska — idź! Trzeba, żebyś się pochwaliła przed Wirską; niech pozna, że się i bez niej obeszło.

Jadwiga zarumieniła się mocno; wstyd jej było matki. Nic się jednak nie odezwała i wyszła, pocałowawszy matkę w rękę.

Spieszyło się jej, uściskać Wirskę i dowiedzieć się od niej, jak się to stało, że ojciec jej otrzymał korzystną posadę u Sikorskiego, nie ubiegając się o nią wcale. Zaczynała już układać w drodze przemowę, jaką przywita Wirską i tak się wżyła w tę improwizację, że układała nawet pytania, by niemi obsypać Wirską.

Stało się przecież, że stanąwszy przed Wandą, zapomniała ułożoną wprzód przemowę i tylko uścisnęła dłoń przyjaciółki w milczeniu.

— Przychodzisz do mnie z jakąś wielką nowiną! — zawołała pierwsza Wirska. — Czytam ją na twojej twarzy. Usiądź; biegłaś, jak widzę; no i cóż?

— Biegłam, obawiając się, że korzystając z wolnej chwili nad wieczorem, pójdziesz do Emy.

— Ot, jak widzisz, nie poszłam; mam załatwić bieżącą korespondencję; wieczne to moje utrapienie. Skarżyli mnie za papier i druk; muszę ściągnąć zaległą prenumeratę, pisać, żebrać, aby związać jeden koniec z drugim. Ema była tu przed godziną; zabrała Anulkę i pojechała z nią na spacer. Anulka już zdrowa i da Bóg, wnet weźmie się do pracy. Jakże tam u was?

— Powiedziałaś sama, że czytasz na mojej twarzy wielką nowinę. Znasz ją, bo sama się o nią wystarałaś. Nie zaprzeczaj. Nie trudno mi było, zestawiwszy okoliczności, towarzyszące nominacji mojego ojca na kontrolora parowego tartaku w Borowińcu, dojść do przekonania, że inicjatywa wyszła od ciebie i że tylko ty, w szlachetnym zamiarze. . . . . .

— Głupstwo! Nie praw mi grzeczności i powiedz, czy ojciec otrzymał kontrakt?

— Otrzymał.

— To dobrze. No, a ty, chętnie pojedziesz do Borowińca?

— Niekoniecznie.

— Ach, pragniesz zapewne niezależnego bytu? Czy cię jeszcze nie pouczyło doświadczenie, jak trudnem jest to borykanie się kobiet w walce o byt, jak ciężkie i żmudne jest nasze życie? Dla jednych śmieszne, dla drugich nęcące smakiem zakazanego owocu, ileż musimy ofiarować złudzeń, ile łez wylać, ile razy ugiąć się pod ciężarem bolesnego upokorzenia, zanim poniesiemy do ust kęs chleba, zarobiony własną pracą? Radzę ci, abyś jechała z rodzicami do Borowińca.

Gawędziły jeszcze długo ze sobą. Jadwiga chciała wśród rozmowy zapytać Wirską o Sikorskiego; lecz nieokreślone jakieś uczucie wstrzymywało ją od tego. Zręczność, z jaką redaktorka omijała wmieszanie osoby Sikorskiego do rozmowy, pouczyła ją, że byłoby to niedelikatnością, pytać o więcej, aniżeli chciano jej wyznać.

*
* *

Po ostatnich dniach lata, wyjątkowo tego roku suchego, nastała prześliczna jesień, ciepła, pełna powabu i ruchliwego życia.

„Letnicy“ powrócili do swoich stałych siedzib, opera ustąpiła w teatrze dramatowi, dziennikarze poczęli sumienniej redagować gazety w obec zbliżającego się nowego kwartału; kto w lecie „urządził sobie“ wakacje, teraz pracował pilnie, jakby powetować chciał czas stracony.

W redakcji „Tygodnika dla kobiet“ wyglądało teraz bardzo smutnie; przykry chłód czuć się dawał w ponurym pokoju, który, jakby pociemniał i oblókł się kirem: zresztą wszystkie rzeczy były na zwykłem miejscu. Ubyło tylko coś z tego wzorowego porządku, jaki tu był w lecie widoczny, najbardziej zaniedbany wygląd miała szafeczka z gazetami, które snać niecierpliwa przerzucała ręka. Na fotelu, przy stole redakcyjnym, siedziała Wirska i pisała.

Zegar odbił godzinę czwartą, odgłos ten wstrząsnął nią, odłożyła pióro.

— Czy i teraz listowy nie przyjdzie? — pomyślała. — Nikt mi nie odpisuje, nikt zaległej albo nowej prenumeraty nie przysyła, a mnie potrzeba pieniędzy. Czy albo zresztą wiem, co zrobić? Może już teraz żadnej zaliczki nie wezmą? Może podali już o zajęcie ruchomości?

Rozglądnęła się dookoła i po jej ciele przeszedł znowu dreszcz febryczny.

W tej chwili do redakcji wszedł listowy.

— Są pieniądze? — spytała Wirska.

— A „jest“ coś trzy przekazy — odparł listowy, ciskając na stół paczkę listów.

„Tylko tyle“ — pomyślała Wirska, oglądnąwszy przekazy i zamyśliła się smutnie.

— Proszę podpisać, bo nie mam czasu — upominał listowy — prędko, prędko!

Wirska szybko podpisała rewersy, odcięła odcinki i przeliczyła pieniądze.

— Ośm guldenów i dziewięćdziesiąt centów; dobrze, proszę, masz pan na piwo.

Listowy podziękował za „napitek“, włożył przekazy do torby i wyszedł.

Wirska zabrała się do przejrzenia korespondencji. Były to inseraty, zagadki, rozwiązania szarad i artykuły do „Tygodnika“. Przeczytała wszystko z pośpiechem i

wprawą rutynowanej dziennikarki i ułożywszy wszystko na przeznaczonem miejscu, sięgnęła po prywatne listy; jeden z nich, który nosił stampilię pocztową Borowińca, uwolniła najpierw z otaczającej go koperty i z zajęciem czytać zaczęła:

„Droga Wando! Nazwiesz mnie zapewne nie-„wdzięczną i niepoczciwą, posądzisz o brak uczucia, jak „to czyni wielu, którzy sądzą powierzchownie; a przecież, „przez cały ten miesiąc, jaki upłynął od naszego rozsta-„nia, o nikim tak często nie myślałam, jak o Tobie. „Jesteś geniuszem naszego domu i nigdy niezapomnę, „cośmy ci winni.

„Wszystko mi się tutaj podoba; jestem tak za-„dowoloną, że zaczynam się obawiać, abym nie została „egoistką, sybarytką, małpą. Wstyd mi, że czuję się „szczęśliwą, gdy tyle kobiet cierpi i rozpaczliwie walczy „o byt, zabijając się pracą nad siły, trując jadem upo-„korzenia i ludzkiego szyderstwa, lub przymierając gło-„dem. . . . O, jaką ja małą jestem w obec Ciebie! „Ty dla drugich poświęcasz wszystko! O, jakaś Ty „zacna i wielka! . . .

„Ja. . . wstyd mi, ale muszę Ci to wyznać. Oto „szczęście moje wypłynęło z przeświadczenia, że skończy „się moja samotność, że nie będę potrzebowała tułać „się między obcymi i wysługiwać się całe życie, aby w „rezultacie mieć co do ust włożyć i czemś się okryć, „a na stare lata pójść za statystkę do krewnych, jeść „chleb łaskawy.

„Oświadczył mi się tutejszy pocztmistrz; przyję-„łam go; wolno mi będzie pracować u siebie, dla mnie, „dla niego, dla moich; czuję, że w tem przeświadczeniu „leży zadowolenie życia i . . . jestem szczęśliwa“. . . . . .

Dalej Wirska czytać nie mogła; ktoś silnie zapukał do drzwi; otworzyła je, a jakaś trwożliwa myśl odbiła się błyskawicznie na jej mózgu.

Do redakcji weszło kilku mężczyzn; dwaj byli w zwykłem odzieniu cywilnem, taksator i zastępca wierzyciela; trzeci nosił mundur urzędowego sekwestratora.

Domyśliwszy się, że ci ludzie przybywają po to, aby zająć jej ruchomości, redaktorka zbladła i straciła na chwilę nieopuszczającą jej nigdy sprężystość umysłu.

Ci jednak, co przybyli, nie zwrócili uwagi na jej usposobienie. Jaki który miał stołek pod ręką, taki sobie przysunął i na nim usiadł. Sekwestrator złożył na stole plikę urzędowych papierów i oznajmiwszy redaktorce, że drukarz Łukaszewicz podał o zajęcie ruchomości, wskazał jej odnośne pismo.

— Wanda Wirska — czytał — kwota 270 złr. w. a. odłożył arkusz i spytał: — Czy pani płacisz?

— Nie mam tyle — szepnęła Wirska.

— Ile pani masz pieniędzy? — spytał sekwestrator.

— Trzydzieści guldenów — odparła nieśmiało Wirska.

— Czy pan tyle weźmiesz? — spytał sekwestrator zastępcę wierzyciela. — Jak mnie się zdaje — dodał — to wszystkie znajdujące się tu rzeczy nie wartają tyle.

— To jeszcze nie całe mieszkanie dłużniczki — rzekł ostro zastępca wierzyciela. — Tam jest drugi pokój, a naprzeciwko trzeci.

— Pomieszkanie po drugiej stronie sieni, należy do mojej siostry, która pracuje niezależnie odemnie, — rzekła Wirska, z trudnością panując nad swojem oburzeniem. — Zaś w sypialni mojej są tylko niezbędne rzeczy, a tych odebrać mi nie wolno. Przyrzekłam panu Łukaszewiczowi spłacić dług ratami; dzisiaj miałam nadesłać pierwszą ratę: mimo to, jak widzę, podał o zajęcie ruchomości.

— Zgódź się pan! — namawiał sekwestrator zastępcę wierzyciela.

Lecz ten nie chciał ustąpić; taksator zaś w obawie, że nie otaksowawszy ruchomości, straci obiecane wynagrodzenie, obstawał przy tem, aby „zrobić zajęcie“.

Zaczęła się więc wstrętna scena taksowania każdego sprzętu; Wirska stała oparta o stół redakcyjny i patrzyła na tych trzech ludzi, którzy w imieniu prawa ogałacali ją ze wszystkiego, do czego się przywiązała, co stało się jej drogiem mocą nawyknienia. Musiała być spokojną, kiedy przerzucali w sypialni jej bieliznę i przetrząsali suknie, targując się, co zapisać, i otaksować. Jeden tylko sekwestrator spełniał swe obowiązki ze wstrętem, czyniąc uwagi zastępcy wierzyciela, żeby garderoby nie ruszał.

Obłożono przecież wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, sekwestrem; znalezione w szufladzie pieniądze, jak również zegarek i kilka srebrnych łyżeczek zabrano do depozytu.

Gdy odeszli, redaktorka stała jeszcze przy stole, z ręką opartą niedaleko miejsca, na którem leżał porzucony list Jadwigi. Słowa listu rzucały się jej niemal w oczy; bystry jej wzrok rozróżnił wybornie każdą literę; czytała je nawet; nietylko oczy, ale i myśl spoczęła na słowach listu:

„. . . skończy się moja samotność . . . nie będę „potrzebowała tułać się między obcymi“ . . . .

Uczuła jakby ukłucie w serce; ta przechwałka drugiej, w obec jej teraźniejszego położenia, wydawała się jej naigrawaniem . . . . . Jadwiga nazywała ją zacną, wielką, a ona w tej chwili mówiła sobie, że ani zacną, ani wielką nie była. Scena, jaka się tu rozegrała, wstrząsnęła jej duszą; gdzieś na dnie spoczywające gady, pełne żółci, wylęgły na wierzch i podniosły syk wielki. Jedne przypomniały jej, że jest opuszczoną, drugie, że krewni obojętnie patrzą na jej walkę; inne znów: że jest młodą i ładną i ma prawo kochać i być szczęśliwą. Ale ta miłość, którą jej obiecywał Sikorski, nazywała się zerwaniem konwenansów światowo-obłudno-sofistycznych.

Myślała już stylem Sikorskiego w tej chwili.

I jakby jeszcze tego było mało do zwyciężenia tej wyniosłej duszy, która chciała być silniejszą od natury swojej, odezwał się tuż przy niej głos znany, głos miękki, głos uwodziciela, podobny głosom, które w niej mieszkały.

— Pani . . . czy przychodzę nie w porę?

Mówił to Edmund Sikorski. Zastawszy drzwi otwarte, wszedł niespostrzeżony przez Wirskę, wsłuchaną w szmery własnej duszy; kiedy posłyszała głos jego, krzyknęła; lecz zawstydziwszy się tego wybuchu, podała mu rękę, którą on, jak zawsze, do ust podniósł.

— Co się tu stało? — spytał Sikorski, wskazując na rozrzucone po stołkach drobiazgi kobiecej garderoby.

— Był tu sekwestrator — cicho rzekła Wirska. — Ach . . . siadacie na kanapie! . . . Ten ulubiony sprzęt obłożony jest sekwestrem. Czy pan wiesz, na ile oszacowano tę kozetkę? . . . Przy licytacji będziesz ją pan mógł kupić za guldena . . . .

— Do licytacji nie przyjdzie! — przerwał Sikorski takim głosem, że Wirska spojrzała mu w twarz zdziwiona i jakby coś nowego w niej spostrzegając, długo nie spuszczała wzroku z jego twarzy.

— Panno Wando! — zaczął Sikorski głosem, jakim tak często do niej przemawiał: głosem uwodziciela i przyjaznego opiekuna, pieszczotliwie, a z ukrytem zręcznie szyderstwem bon-vivanta. — Czy jeszcze pani mało tego rozpaczliwego szamotania się? Lecz prawda!... Gdzież siostra twoja? . . . Wyszła? . . . Tem lepiej! Nikt nam nie przeszkodzi . . . Otóż, o czem chciałem mówić? Aha! . . . Doszłaś już do tego, że sama poznać musisz, iż byłoby lekkomyślnością nie do darowania, walczyć dalej w takich warunkach. Nie będziesz pani w stanie, umorzyć długu; owszem, zwiększy on się z dniem każdym. Ci, co zaofiarują tobie swoje oszczędności, naprzykład panna Ema, przysporzą ci tylko większego jeszcze kłopotu. Martwić to panią będzie, że Moloch, któremu czołem bijesz, pochłonie i tę ofiarę. Zawieś pani wydawnictwo; pensja nauczycielki wystarczy ci na życie, to jest, nie będziesz potrzebowała umrzeć głodową śmiercią; ale raz na zawsze porzuć pani mrzonki wydawnicze . . . .

— Każesz mi pan wyrwać duszę! — zawołała Wirska namiętnie. — Czy wiesz pan, czem stał się dla mnie „Tygodnik“?

— Ach, jaką pani gorącą masz duszę! — przerwał on. — Ale ochrzcijmy to właściwem imieniem i powiedzmy, że pani masz temperament. Kobiety muszą kogoś, lub coś kochać; potrzebą ich istnienia jest miłość. Kiedy pani zaczęła ciężyć samotność, wtedy stworzyłaś sobie ołtarz z czernidła drukarskiego i osmarowanej bibuły. Modliłaś się u stóp tego ołtarza, odzierałaś siebie z tego wszystkiego, co mogło ci życie uprzyjemnić, a obwieszałaś w to papierowy ołtarz; oto tajemnica kobiecego temperamentu! . . . Lecz nie myśl

pani, że to widząc, będę cię mniej cenił: owszem! To bałwochwalstwo zdradza mi temperament twój i pociąga mnie ku tobie. Znam tyle kobiet, a żadna nie ma dla mnie tego uroku, co pani. Gdybyś pani żyła w spokojnych warunkach bytu, mógłbym panią spotykać codziennie, a nie zwróciłabyś mojej uwagi mimo tej pięknej linii profilu i cudownych oczu. Potrzeba atoli było, że spotkawszy panią w towarzystwie śpiewaczki za kulisami, gdzie stanowiłaś dziwny kontrast z blichtrem, który cię otaczał, a prawdą, jaśniejącą w twoich źrenicach, abym przylgnął do pani wszystkiemi myślami szatana. Od pół roku studjuję panią z uporem Mefista i nie mogę w tobie znaleźć grzechu. To mnie drażni. Kocham, bo nie mogę panią gardzić, jak gardzę wszystkiemi kobietami; gniewam się na siebie, że tak jest; szydzę, drwię, nic nie pomaga. Jestem pod urokiem wielkiej moralności, czy wielkiej pychy; tego problematu nie rozwiązałem jeszcze i dla tego jestem tak rozdrażniony; dla tego przed chwilą śmiałem się, zamiast upaść przed panią na kolana . . . . .

Wirska słuchała go z dziwną mięszaniną ciekawości, wstydu, oburzenia i tajemnej rozkoszy. Choć ją upokarzał sposób takiego uwielbienia, przecież nie mogła zabronić sercu, żeby nie biło mocniej na myśl o miłości bodaj grzesznej i nietrwałej. Widmo samotności stanęło przed nią niewołane: poczuła strach wielki. Miała zapomnieć o tem strasznem memento, o twardej swej doli, o obowiązkach siostry i nauczycielki; spragniona, chciała przytknąć do ust rozpalonych czarę rozkoszy, jaką jej obiecywało spojrzenie Sikorskiego.

Odgadywał jej walkę wytrawny znawca kobiet i uznany bon-vivant; powstawszy z kanapy, zbliżył się do niej.

— Pani moja — mówić zaczął, nachylając się ku niej — nie powinienem tak był do ciebie przemawiać. Ale to nie jam temu winien. Zepsuło mnie plugawe życie, w jakiem od roku ugrzązłem. W salonie comme il faut przywdziewam maskę światowca; ale, gdy poczuję powietrze artystyczne, staję się ordynarnie cynicznym. Przebacz mi to pani moja i nie walcz już dłużej sama z sobą i . . . ze mną.

Schylił niżej głowę i przylgnął ustami do jej czoła. To ją ubezwładniło. Po jej ciele przeszło jakby fluidum, gdy owionął ją jego oddech, przesiąknięty delikatnym perfumem; równocześnie poczuła namiętny pocałunek na ustach i miała takie wrażenie, jakby musiała zmrużyć powieki. Podniosła przecież wzrok w górę i zobaczyła, jak w oczach mężczyzny świecił szklanny jakiś odblask miłosnego szału; mętny, szyderczy, a słodki aż do przesytu był wzrok jego. Ogarnął ją nagle wstręt prawie fizyczny. Szarpnęła się, by się wyswobodzić z jego uścisku.

On trzymał ją mocno w swoich objęciach.

— Czy tak? — szeptały jego usta, szukające jej ust rozpalonych.

— Nie! — odparła z mocą.

W tej chwili posłyszeli oboje czyjeś szybkie kroki w drugim pokoju. Spojrzeli na siebie. To krótkie skrzyżowanie się spojrzeń powiedziało mu, że powinien się teraz usunąć; brutalna przemoc męzka rozbiła się o energję kobiety, której w pomoc przyszedł przypadek: Anulka ukazała się w progu. Sikorski miał przecież tyle zimnej krwi, że sięgnął po kapelusz i w chwili, kiedy Anulka wchodziła do pokoju, ukłonił jej się zdaleka, drugi, głębszy ukłon złożył Wirskiej i wyszedł.

Anulka zrozumiała prędko, że stało się tu coś nadzwyczajnego. Była jednak czemś tak subtelnie zajęta, że zaledwie Sikorski znikł za drzwiami, przybiegła do siostry i rzucając się jej na szyję, zawołała:

— Nie gniewaj się, że tak długo się bawiłam: Ema chodziła poodbierać długi między koleżankami....

— Chodziła zastawiać swoje bižuterje! — przerwała Wirska, marszcząc brwi. — Po co poszłaś do Emy? Mówiłaś, że pójdziesz na robotę. . . .

— Wandziu, nie gniewaj się! Ema po mnie przysłała; i ona wie, że chcesz choć w części spłacić dług, aby cię nie zlicytowali.

— Już tu był sekwestrator, patrzaj! — rzekła Wirska, wskazując na nieład, jaki je otaczał.

Anulka załamała ręce.

— I cóż? Wyglądasz teraz jak Niobe! — zawołała Wirska z szyderstwem.

Anulka uważnie spojrzała w twarz siostry.

— Wandziu, co tobie? — szepnęła.

— Co mi jest? — zaśmiała się Wirska nerwowo. — Czy nie wiesz? . . . Każda kobieta buduje sobie ołtarz, na który znosi ofiary. I ja miałam taki ołtarz, ale mi go zdarli w szmaty! . . .

Upadła na krzesło i zakryła twarz; spazmatyczne łkanie wstrząsnęło jej ciałem.

Anulka uklękła przed siostrą i przytuliła się do niej pieszczotliwie.

— Wandziu, nie płacz! — prosiła, sama z trudnością łzy powstrzymując. — Jeśli chcesz wydawać „Tygodnik,“ to się jakoś urządzimy, a nie płacz.

Pocieszała ją „Tygodnikiem,“ jak się pociesza dziecko, że mu oddadzą zabawkę, byle za nią nie płakało.

Wirska zaniosła się jeszcze głośniejszym płaczem: gwałtowne wstrząśnienie, jakie umysł jej przechodził tego popołudnia, nieprzespane w trosce noce, walka z zasadami przeciwko zachceniu woli, która chciała ugasić pragnienie miłości bodaj mętami, to wszystko okrutnie zemściło się na jej nerwach. Silna ta kobieta ugięła się pod brzemieniem troski, wstydu, upokorzenia i obawy; płakała jak najniedołężniejsza z kobiet.

Anulka wysunęła się cicho z pokoju; znała dumę siostry i wiedziała, że ta nie przebaczyłaby jej tego, iż śmiała być świadkiem jej boleści. Mając nadzieję, że wybuch ten przeminie i ukoi się prędko w samotności, odeszła, by wrócić, gdy ją Wanda zawoła.

Lecz Wirska, zda się zapomniała w tej chwili o siostrze; w duszy jej wrzała namiętna walka między pragnieniem szczęścia i użycia, a rozpaczą, która podsuwała jej myśl o śmierci jako jedyne, możliwe wybrnięcie z sytuacji, grożącej jej rozbiciem dotychczasowej egzystencji.

„Umrzeć — myślała — to przestać cierpieć; ale umrzeć i pozostawić po sobie sławę wątpliwej wartości; za pracę tylu lat zyskać w pośmiertnej pamięci miano tchórza, który nie umiał wytrwać na stanowisku? . . . .

Sława pośmiertna! Pamięć ludzka! Ha, śmiech mnie dławi konwulsyjny na wspomnienie tego, co zwie

się szumnie vox populi. Opinia!. . . Czemu społeczeństwo nakłada na nas te kajdany konwenansów, hipokryzji i moralności, która jest raczej zręczną komedją grzechu, odgrywaną za parawanem, noszącym różne szyldy?

I nawet umrzeć nie wolno, kiedy się chce! Nawet w samobójstwie wietrzyć będą skandal, wygodne zakończenie jakiegoś romansowego grzechu!

A ja. . . ja nawet nie zgrzeszyłam. Nie miałam odwagi zgrzeszyć, a umierając, musiałabym ponieść do grobu hańbiące znamię. . . .

A jednak umrzeć chcę i pragnę jak najprędzej. Widmo śmierci jest mi tak znane, że się go nawet nie lękam. Pieściło mnie już ono w dniach głodu i męki, kiedy patrzyłam na rozpaczliwą walkę o chleb codzienny w domu rodzicielskim. Troska była moją mistrzynią w życiu, troska towarzyszyć mi będzie do bram śmierci i dlatego mi tak łatwo oswoić się z grobem.

Na co żyć? Za miłość czystą zyskać kilka dni szału, a potem być opuszczoną i ześlizgiwać się coraz niżej? Lub odeprzeć go i żyć samotnie bez tej gwiazdy przewodniej, która mi dotychczas przyświecała?

Co mnie wstrzyma? Szkoła? Dzieci? Na moją posadę czyha już niejedna; niech się jaka biedna praktykantka ucieszy, że jej zrobiłam miejsce. A dzieci?. . Szkoła je nie wychowuje; naukę poprowadzi inna w tym samym, przepisanym z góry programie. Żadnej krzywdy nikomu nie wyrządzę, umierając; nawet ulżę Anulce, która swoje oszczędności ofiarowała była na wydawnictwo „Tygodnika“ i ciągle dokładała ze swej szkatuły.

Skrzywdzę siebie, wiem o tem, ale do spółki mam społeczeństwo, bo ono mnie popycha w ramiona śmierci.

Walkę znałam od lat najmłodszych; ucząc się, uczyłam drugich, aby mieć czem się okryć. Jak ja wtedy się żywiłam! . . . Głód rwał mi wnętrzności. Ale z głową podniesioną szłam między ludzi; nędzarka bytu, śmiało patrzyłam im w oczy i choć głodna, zmordowana tą walką codzienną, tak banalnie drobiazgową, choć ciągle myśląca o śmierci, jak o zbawieniu, żyłam dalej; żyłam, bo miałam nadzieję, że będzie inaczej, że będzie lepiej. Tymczasem minęła pierwsza młodość.

Miłości nie znałam. Mężczyźni stronili odemnie: rozmowa ze mną była ciężka i nużąca; zdobyłam miano feministki i sawantki, dla tego, że pracowałam i uczyłam się ciągle, zamiast się bawić, jak drugie. Że myję w domu podłogi i palę w piecu, że jestem własną kucharką i krawczynią z konieczności, nikt nie wiedział. Natomiast widywano mnie z książkami śpieszącą na lekcje. Nauka była przekleństwem mego życia; ta nauka dla chleba, co to pozbawiła mnie swobody młodocianego wieku, młodości i rozkoszy życia . . . .

Dosyć tych wspomnień! Nie chcę myśleć. Mam już dosyć tego życia pełnego trosk i męczarni i tej nadziei, która zawsze zawodziła.

Ale pozostały mi obowiązki, które muszę załatwić przed zgonem, później śmierć udrapować w togę konwencjonalnego kłamstwa" . . . .

Usiadła, aby napisać do Sikorskiego.

Nie żegnała się na zawsze; nie wspominała o śmierci; mówiła tylko o wyjeździe gdzieś w dalekie strony na posadę współpracowniczki polskiego pisma zagranicą. Prosiła nie o pamięć dla siebie, ale o opiekę nad Przybylskimi. — — — —

. . . .

Tego samego jeszcze roku, w listopadzie, nadeszła z zagranicy wiadomość o tragicznym zgonie Wandy Wirskiej. Gazety pisały, że zwiedzając wojenny okręt w Poli, potknęła się na pomoście, wpadła w morze i... utonęła.

KONIEC.

OBRONA CZĘSTOCHOWY,

obrazek historyczny.

Gdzież są te czasy, gdy Polska jaśniała
Potęgą, czynem, orężem i cnotą?
Kiedy jej sława w dal się rozbrzmiewała,
I wieszcz w swej pieśni śnił długą nić złotą?
Polsko! gdy dzisiaj pod wrogów przemocą
Znosisz niewolę, żyj błogiem wspomnieniem,
A nie upadaj pod tą chmurną nocą,
Szczęście ją rychło rozprószy promieniem!

Nad krajem polskim burzy się i sroży
Jak grom po gromie pogańska nawała.
Ojczyzny naszej pomnaża się chwała
Przez to, iż ufa, przed Panem się korzy.
Wśród serc lodowych, wśród ziemskiego płazu
I czyste dusze jeszcze niebo zsyła,
Co się nie boją śmiertelnego razu,
Ich celem miłość — nagrodą mogiła.
One to słabszych do zbawienia wiodą,
Wichry przeminą, dzień błyśnie pogodą!

Osiadł na tronie, wziął berło do ręki
Król Jan Kazimierz, lecz nie był szczęśliwy,
Miał chęci dobre, był swoim życzliwy —
Pragnienia jego milkły niby dźwięki.
Bo mu dłoń druha z pomocą nie śpieszy.
Widzi on Polskę nad przepaści brzegiem —
Klęski też na nią spadają szeregiem
I zimno wieje z piersi nędznej rzeszy . . .
Król przewiduje w zbolałej swej duszy.
Że szczęście kraju w gruzy się rozpadnie,
I groźny mocarz wolnością zawładnie —
Bóg tylko jeden takie pęta kruszy.

Więc Jan Kazimierz w proroczem natchnieniu
Smutną niestety! przyszłość Polsce wróżył.
Nadszedł czas, który potęgę jej zburzył
I naród został pogrążon w zwątpieniu.
Na Jasnej Górze, gdzie Najświętsza Panna
Ciche, a błogie obrała mieszkanie.
Wschodziła Polsce wciąż zorza poranna,
Pan jej dał pokój, święte panowanie.
Aż raz oblegli Szwedzi Częstochowę;
Chcą miasto zdobyć i pewni zwycięztwa,
Wierzą, iż mnisi niezdolni do męztwa —
Że zburzą klasztor; lecz słońce majowe
Zakonnym braciom nie przestaje świecić.
Zagrzewa serca gorącemi słowy,
Zanosi prośbę do polskiej Królowej!
Choć jak grad kule na klasztor się walą,
Lecz nic nie szkodzą, twierdzy nie obalą —
Najświętsza Panna płaszcz swój rozpostarła,
Wierne swe sługi i przybytek broni;
Wszakże odwaga w Polsce nie wymarła,
Wszak jej miecz wroga nigdy nie dogoni!
Już groźny Müller dziwi się i sroży,
Zkąd tyle mocy klasztor w sobie kryje?
A nad przybytkiem jasna łuna bije,
Wrogowie giną, a wódz ich się trwoży . . .
— To czary mnichów! — przerażony woła!
Już w wojsku straszny popłoch, zamieszanie.
Tylko w klasztorze wznosi się błaganie,
Jakoby słodka modlitwa anioła.
Żołnierstwo szwedzkie na mury się wdziera,
Myśląc, że wreszcie teraz zdziała wiele;
Lecz armia polska z Czarnieckim na czele,
Ostatnie szturmy zwycięzko odpiera.
Widzi wódz szwedzki, że zdobyć nie może
W obec tej garstki mnichów i rycerzy . . .
A sława polska dokoła się szerzy;
Nad wybranymi czuwa oko Boże!

Taki był koniec najazdu szwedzkiego,
Na Jasnej Górze pokój zapanował,

A każdy Polak w swem sercu przechował
Wspomnienie błogie czasu zarannego,
I dziś do matki, co szatą przeczystą
Okrywa naszą Ojczyznę starganą,
Mnóstwo dusz prośbę zasyła wieczystą,
Czekając — kiedy błyśnie znowu rano!
Ona dziś także pomoc świętą niesie,
I nas ochrania przed napaścią wroga . . . .
Ilekroć kraj nasz trapi przemoc sroga,
Ilekroć serce polskie ku Niej rwie się,
Ona cudownie wyrwie i ocali . . . .
Zgniecie jak Szwedów, tak i dziś Moskali.

Lwów, 8. Grudnia 1894.

Ludwika Kałłaurówna.



ISKIERKI i ISKRY.

1. Nieużyty człowiek.

Ach! jakże zazdrości żmija
Syczy, gdy szczęście mi sprzyja.
Wołają na wszystkie tony:
„Szczęśliwy, niezasłużony!“
I nawet ze mnie zły człowiek,
Żem dotąd nie zmrużył powiek,
Dopókim nie zdarł im maski,
I zgromił ich z Bożej łaski!
Lecz niechaj kółko jedynie
W ich się zepsuje sprężynie,
Niechaj zabraknie tam czego,
Wnet do mnie wszyscy się zbiegą:
„Kochasiu! wesprzyj nas w nędzy,
„Daj rady! nie skąp pieniędzy!

„Wszak z ciebie człowiek do rzeczy,
„Co nas od szkód zabezpieczy!“
Kochani moi ludziska!
Nie wyjcie już tak jak psiska,
Nie bierzcie mnie już na kawał,
Pozwólcie, bym nic nie dawał!

Sambor, 16. Października 1897.

2. Ze stołu królewskiego..

Dawaj tu, dawaj tam!
Daremne wybiegi!
Próżny dzban nalej sam,
Napełnij po brzegi!
Słabych broń, biednych tul,
Tul do siebie jedyny:
Wszak nie zubożeje król,
Dając okruszyny!

Sambor, 16. Października 1897.

3. Złodziej.

Skradł wierszoklecie rękopis:
Ach! jakiż to złodziej głupi!
Klejnoty łatwo spieniężyć,
Ale wierszydła kto kupi?

Sambor, 16. Października 1897.

4. Plotkarka.

Bawić mnie chciała rozmową,
Plotkami, głupie babisko!
Samotność — rzecze — niezdrową,
A ja znów Boga tak blisko,
Wolę z Nim mówić myślami,
Niż skłonić ku plotkom ucha;
Blask szychu tych nie omami,
Co czerpią złota blask z ducha!

Sambor, 17. Października 1897.

G. Kohn.

Śmiało naprzód!

(Z niemieckiego Emila Rittershausa.)

Świątynię niechaj piętrzy z pieśni
Ten, komu w sercu mieszka Bóg! —
Kto myślą lgnął do ziemskiej cieśni,
Do gwiazd daremnie szuka dróg.
Lecz na nic także sny złocone,
Gdzie czyn rumieni barwę lic;
Bo życie marnie przemarzone
Jest zerem i nic znaczy nic!
Blask światła lśni się tam u mety;
Do gwiazd pieśniarza duch się rwie. —
Nie godzien miana jest poety,
Kto pod niewolę kark swój gnie.
Syn pieśni niech na tłum padalczy
Nie zważy, krocząc drogą swą,
I niech przeszkody dzielnie zwalczy,
Co się po drodze jego pną!

Sambor, 28. Stycznia 1898.

G. Kohn

Jeden dzień z życia referenta.

Obrazek na tle autentycznych wypadków z końca XIX wieku.

Naszkicował

*
* *

(Rzecz dzieje się w biurze, urządzonem „fin de siècle“ z elektrycznemi wygodami: a więc u stropu elektryczna lampa, druga taka elektryczna na bocznym stoliku — obok elektryczny przyrząd do zapalania cygar, na ścianie elektryczny zegar, poniżej elektryczny aparat telefonu, tuż przy nim guzik elektrycznego dzwonka. Z za okna dochodzą odgłosy sygnałów, wydzwanianych przez szybko mknące wagony elektrycznej kolei. — Godzina dziewiąta rano. Przy biurku pełnem aktów zasiada referent i zabiera się do odczytywania stosu listów i telegramów. Po chwili słychać pukanie.)

Kandydatka.

(*Wchodzi szybkim i pewnym krokiem, młoda, silnie zbudowana niewiasta, lat dwudziestu kilku, ubrana starannie. W pół drogi do biurka referenta kłania się niezgrabnie, po chwili odzywa się bez żadnego wstępu:*)

— Przyszłam prosić o przypuszczenie do praktyki biurowej. Mam wszystkie warunki: ośmnaście lat skończonych i szkołę wydziałową. Chcę z tego korzystać, zyskać samoistne zajęcie i dochody . . . .

— Niestety, nie mogę uczynić zadość prośbie, obecnie nie przyjmujemy nowych kandydatek . . . .

— Jakto? Dlaczego? A cóż ja teraz pocznę po ukończeniu szkół? Czyż na to uczyłam się cztery lata

w szkole wydziałowej, aby nie zdobyć samoistnego bytu? Ach! . . . ja nieszczęśliwa! . . .

— Czyż tylko biurowe zajęcie zdolne dostarczyć kawałka chleba? Możesz pani poświęcić się innej pracy... być damą do towarzystwa, gospodynią, zarządzającą domem, dozorczynią chorych, kasjerką, buchalterką, fotografką, możesz sprzedawać książki, zarządzać składem lub tem podobnie . . .

— Przepraszam . . . ale ja nie jestem ani stworzoną, ani przywykłą do takiej pracy . . . ja szukam tylko zajęcia urzędniczki . . .

— Hm . . . niestworzoną, nieprzywykłą do innej pracy . . . to źle . . . a jak się pani nazywasz?

— Anna Gliszczanka. —

— Gliszczanka... a więc pani ojciec nazywa się?

— Walenty . . . Glista . . .

— I jest? . . .

— Jest . . . jest . . . dozorcą w kamienicy p. Trybulkowskiego. — Rodzice tak mnie kochają, tak pieszczą, że nigdy nie daliby mi inaczej pracować, jak tylko w biurze i to tutaj w mieście, a nie na wsi lub w jakiem miasteczku . . . przecież nie na to chodziłam do szkoły wydziałowej, aby (*w głosie czuć łzy, które lada chwila mają być wylane*) . . . aby nie módz sobie zarobić sama na sukienkę i buciki! Tato wyłożył tyle pieniędzy na moją naukę . . . a ja się uczyła . . . męczyła, a teraz nie mogę być urzędniczką . . . Mnie koleżanka Kasia Maślaczkówna mówiła . . . (*łzy już spływają po twarzy.*)

— Bardzo żałuję, ale nie mogę dla pani nic zdziałać. Ojciec widać kształcił panią tylko dla tego, abyś nabyła inteligencji, skoro nie pozwala pracować dla chleba. jak można godziwie . . . to trudno . . .

*
* *

Reprobowana.

(*Wbiega pretensjonalnie ubrana panna: w chodzie i ruchach znać rozdrażnienie.*)

— Przyszłam użalić się na komisję egzaminacyjną . . .

— Nie rozumiem, co pani mówisz . . .

— Tak, przyszłam użalić się na p. Profesorskiego. Dziwny . . . ostry . . . przy egzaminie . . . mówi, że nic nie umiem . . . przecież powinien wiedzieć, że ma z kobietą do czynienia . . . To wstyd, żeby mnie „spalić“ na trzy miesiące. Ja do tego nieprzyzwyczajona. W szkole zawsze pisano mi w świadectwie postęp „bardzo dobry“. . . ksiądz katecheta nie miał dla mnie dość słów pochwały, głaskał, przyznawał nagrody, a ten pan Profesorski taki nieznośny . . . taki . . . dziki . . .

— Nie przysłuchiwałem się egzaminowi, lecz jestem pewnym, iż tylko dla tego panią reprobowano, ponieważ nie umiałaś. —

— I cóż z tego, że nie dobrze umiałam przecież pan Profesorski powinien był uwzględnić, że jestem kobietą. Nikt nie słuchał w tej chwili, kiedy mu odpowiadałam, mógł był powiedzieć, iż umiałam . . .

— Ale cóż za cel miałby w takim razie w ogóle egzamin?

— Nie potrzebowałabym dłużej się uczyć i drugi raz zdawać . . . (*prosząco, zalotnie*). Proszę pana referenta, tak zrobić, aby na drugi raz pytał mnie ten młody, co dziś przy egzaminie ciągle tylko pisał. —

— (Referent do siebie:) Aha! protokolant . . .

— On taki grzeczny . . . taki dobry . . . Jak ten stary, ostry odwrócił się, to on mi nawet podpowiadał . . . Panie referencie, bardzo proszę . . .

— Temu młodemu urzędnikowi pytać jeszcze nie wolno . . . . Zresztą potrzeba koniecznie, abyś pani rzeczywiście umiała, jeśli chcesz pracować w naszym zawodzie . . .

(*Reprobowana opuszcza biuro referenta nadąsana.*)

* * *

Swatka.

(*Wchodzi jejmość zaawansowana w latach i siada bez pytania obok biurka.*)

— Jestem Swatalska . . . i przyszłam się zapytać, czy nie przydzieliłbyś pan do naszego urzędu

w Kokoszycach jakiego młodego kawalera, który . . . możeby . . . ożenił się z naszą Genią . . . u nas wielki brak młodzieży . . .

— Przepraszam, lecz ja nie bawię się w kojarzenie małżeństw. —

— A cóż to panu dobrodziejowi szkodzi . . . przecież przydzielanie urzędników od pana zależy . . . możnaby którego żonatego od nas przenieść, a na jego miejsce dać kawalera, który ożeniłby się z naszą Genią. To bardzo dobre dziecko . . . Nie dla tego mówię, że to moja córka, ale naprawdę. ze świecą szukać takiej panienki w całej okolicy . . . a jaka pracowita! . . . cały dom obszyje, obłata . . . Że też to ci mężczyzni nie wiedzą nigdy, kogo wybierać . . .

(Woźny wnosi akta i kładzie na stole: referent robi znak, iż sprawy pilne i że chciałby akta odczytać. Swatalska na to nie zważa i mówi dalej:)

— A przytem utalentowana, o, bardzo utalentowana. Jak ona śpiewa, — panie referencie! ślicznie śpiewa . . . choć w żadnej szkole nie uczona . . .

(Referent zniecierpliwiony odsuwa akta:)

— Bardzo mnie to cieszy, ale . . .

— O, co prawda, to prawda, . . . Abonujemy dla niej nuty we Lwowie u Jakubowskiego i Zadurowicza. Właśnie wracam z księgarni, wypożyczyłam różne włoskie i polskie kawałki . . . bo my patrjoci. Zaraz pokażę, oto są: „Mattia Baltigetini: Illusione“, po polsku: *Złudzenie.* — „Już złota chmurka za chmurką mknie“. . . a tu są polskie: „Swaty“ Niewiadomskiego. —

— „Swaty“ pani wypożyczyłaś . . .

— Panu referentowi podoba się? Każę naszej Geni, aby się natychmiast nauczyła, ale pan przychylisz się do mojej prośby, panie referencie?

— Nie mogę zmuszać młodego człowieka, aby się przenosił do Kokoszyc, a na odwrót rujnować żonatego przenosinami. Niech pani swoją utalentowaną córeczkę przywiezie do miasta . . . a jeśli jaki młody urzędnik poznawszy ją, zapragnie przenieść się do Ko-

koszyc i zamieniać swoją posadę dobrowolnie z żonatym, chętnie dopomogę . . . przeniosę . . . żegnam panią :

* * *

Urzędniczka.

(Wbiega do bióra młoda kobieta, trzymając chusteczkę przy ustach.)

— Panie referencie! . . . boli . . . kruszy się . . . już wykruszony. . . . czarny . . . o Boże! . . . jaka ja nieszczęśliwa! Panie referencie, proszę o natychmiastowe przeniesienie do miasta . . . ale prędko . . . ale zaraz . . .

— Za pozwoleniem. Spostrzegam wprawdzie, że pani dokucza ból zęba, ale nie mogę zrozumieć, w jakim właściwie związku jej prośba . . .

— W jakim związku? O! panie . . . ząb przedni . . . przedni ząb mnie boli i czernieje . . . trzeba go będzie wyrwać . . . wstawić . . . być kilka razy u dentysty . . . to niemożebne . . . trzy stacje . . . muszę koniecznie dostać się do miasta . . .

— Obecnie nie ma w mieście żadnej wolnej posady . . .

— A cóż mnie to obchodzi! . . . Jak panowie macie „urzędniczkę“, to musicie się o nią troszczyć — ja potrzebuję dentysty . . . muszę koniecznie dostać zaraz w mieście posadę . . . Co innego z mężczyznami a co innego z kobietami . . . mężczyzna musi iść bądź gdzie, a na nas trzeba uważać . . .

— Niestety nie poradzę pani . . .

— O losie! okropny losie! . . . jakie my, kobiety biedne, jakie nieszczęśliwe . . . wysługujemy się mężczyznom . . . a oni?! . . . .

* * *

Znajoma.

(Trrr . . . Trrr . . . słychać dzwonek telefonu.)

— Hallo!

— Hallo!

— Czy referent? . . .
— Tak . . .
— Nie wiadomo panu, jak się nazywa ta wieś w Poznańskiem, w której przemieszkują czasem w lecie hrabstwo Koronowscy . . . Mam do nich interes . . . chciałabym pisać . . . pan jako referent będzie zapewnie wiedział, gdzie hrabstwo w lecie mieszkają . . .
— Daruj pani, lecz nie wiem . . . nie znam . . .
— Czy tak? no proszę . . . tego się nie spodziewałam . . . to dziwne! . . . do widzenia . . .

*
* *

Desperatka.

(Woźny podaje depeszę, referent otwiera i czyta:)

„Znudzona życiem, pełnem zawodów, kończę samobójstwem, skaczę do wody. Urząd w porządku.

Narwalska.“

(Woźny przynosi drugą depeszę, referent czyta:)

„Panna Narwalska topiła się w stawie. Została uratowaną. Prosimy o komisję.

Urząd gminny Bajurkowce.“

*
* *

Pupilka.

(Nieśmiałym krokiem wchodzi matka z córką.)

— Natalciu, pocałuj pana referenta w rękę . . .
— (Referent uchyla się:) Przepraszam, ja świecki referent, nie duchowny . . . czem mogę służyć? . . .
— Przyszłyśmy prosić o przyjęcie opieki nad Natalcią. — Nasz dawny opiekun właśnie umarł . . . Wiemy, że pan dobrodziej jako referent dałby Natalci prędko jaką dobrą posadę . . . Szkoda, żeśmy pana dawniej nie znały . . .
— Istotnie wielka szkoda, że panie się opóźniły... Sprawuję już trzy opieki, nie mogę obarczać się czwartą... ale są inni panowie . . .

— O nie . . . dziękujemy . . . Natalci potrzeba opiekuna, który może wyrobić dobrą posadę . . .

— Całkiem słusznie . . . żegnam panie . . .

*
* *

Nerwowa.

(*Jawi się z kwaśną miną i płaczącym głosem:*)

— Panie referencie, już drugi rok siedzę na miejscu i nie awansuję . . . .

— Nie przyszła jeszcze kolej na panią . . . są starsze, które już po sześć, siedm lat wyczekują awansu . . .

— A ja bardzo proszę, zrobić dla mnie wyjątek . . .

— Z jakiego tytułu żądasz pani wyjątku?

— Z tytułu . . . z tytułu . . . bardzo proszę . . . jaki pan wymagający . . . a zresztą, gdybyś pan chciał, możnaby znaleźć tytuł . . . przecież choroba . . . prześladowanie . . . Tak jest, panie referencie. Jestem bardzo prześladowana przez los i przez ludzi. Sąsiadka powiedziała mi, będzie temu właśnie tydzień . . . tak, dobrze pamiętam, jest właśnie tydzień, że ja . . . ja . . . histeryczka! . . . Proszę sobie wyobrazić . . . No, a także płaca mała i to już drugi rok . . . ledwie wyżyć na wsi . . . a z czego się ubrać . . . Licha sukienka kosztuje czterdzieście złotych, a ja nie wiele więcej mam dochodu na miesiąc. Proszę koniecznie, przenieść mnie na lepszą posadę. —

— To niemożebnem! Trudno być tak bezwzględną i żądać dla siebie pierwszeństwa przed starszemi koleżankami. —

— „Bezwzględną!“ to ja „bezwzględna!“ o! mój Boże! tego mi nikt jeszcze w życiu nie powiedział . . .

(*Zakrywa chustką oczy i płacze.*)

— Niechże się pani uspokoi . . . nie płacze . . . bo wpadnie pani jeszcze na prawdę w histerję . . . a sąsiadka będzie się potem cieszyć . . .

— Co? ona? (*osusza śpiesznie łzy*) nigdy! Niedoczekanie jej . . . już wiem, co zrobię; zwierzę się księdzu

proboszczowi z tem, co raz widziałam na własne oczy, tak, jak tutaj pana referenta widzę . . .

— No, dobrze już, dobrze . . . ale sąsiadka powie, że pani przed nią uciekłaś.

— Ja, przed nią? . . . Nigdy . . . zemszczę się . . . na złość zostanę. Panie referencie! proszę mnie zanotować na lepszą posadę, ale dopiero na później. —

— Dobrze . . . zapiszę sobie . . .

— Ach, jaka ja panu wdzięczna! . . .

*
* *

Kandydat do przyżenku.

(*Wsuwa się mężczyzna, lat około trzydziestu, nieco zaniedbanej powierzchowności. Znać zwolennika alkoholu.*)

— Przepraszam, że jestem tak śmiały . . . nie wiem na prawdę, jak zacząć . . . lecz co tam . . . od razu otwarcie powiem. Może pan referent wie o jakiej wdówce . . . choćby i w latach . . . albo, z przeproszeniem . . . o starej pannie . . . która ma nie złą posadę . . . abym się mógł tak . . . przyżenić . . .

— Co? . . .

— Proszę nie gniewać się, ale pan musisz mieć, jako referent, spis takich wdówek i panien . . . a dopomódz człowiekowi nieszczęśliwemu, to przecież nie grzech... Ja, panie referencie, ojcze nasz i dobrodzieju, już, chwała Bogu, nie z jednego pieca chleb jadłem . . . oho! . . . miałem już babę . . . świeć Panie nad jej duszą . . . zaznałem kochania . . . to mi tam wszystko jedno . . . wdowa, czy panna . . . młoda, czy stara . . . byle chleb i ciepły kąt . . . na każdą białogłowę się zgodzę, a stara nawet lepsza, bo „w starym piecu“ . . .

— (*Referent zirytowany:*) Panie, uwolnij mnie od swojej obecności . . .

(*Zwolennik przyżenku wychodzi.*)

*
* *

Lekkomyślna.

(Ekspress wręcza list referentowi, referent czyta:)
„Wysoce czcigodny Panie! Choć były nieporządki w mem urzędowaniu, choć usuwacie mnie z posady, zbrodniarką nie jestem. — Zajechałam do hotelu „pod księciem Marocco“; pragnę raz jeszcze spojrzeć w Twoje sympatyczne oczy, lecz gdzie? i kiedy? Oczekuję odpowiedzi . . .

Z góry wdzięczna
Albinka Zerkalska.

P. S. Znalazłeś panie mój, wczoraj na swojem biurku żółtą różę? Ta róża spoczywała na mojem łonie . . . Cóż ja biedna, prócz skromnego kwiatuszka mogę Ci ofiarować? . . .

*
* *

Agapitka.

(Trrr . . . Trrr . . . słychać dzwonek telefonu.)
— Hallo!
— Hallo!
— Czy referent?
— Tak . . .
— Szanowny panie! . . . proszę udzielić posady pani Cierpliwskiej; zacna to osoba . . . Gdy zeszłego roku zachorował mi mąż, a lekarze nie wiedzieli, jak długo potrwa nieuleczalna jego choroba, posłałam go na wieś, najęłam mieszkanie u pani Cierpliwskiej a ona bardzo pilnie opiekowała się chorym . . . aż do samej jego śmierci . . . Chciałabym wynagrodzić ją za to posadą . . . ot tak na pięćset albo sześćset złotych rocznie . . .
— To znaczy, iż pani żądasz, abyśmy — my z urzędu wynagradzali Cierpliwską za usługi, które ona pani wyświadczała . . .
— Tak panie . . . ja nie mogłam z moim mężem jechać na wieś, aby nim się zajmować . . . miałam wiele zajęcia w komitecie dam litościwych, a także wyprawiałam w tym czasie przyjaciółkę do Ostendy . . .

Na sesyi pań Agapitek podniosę z wdzięcznością zasługę, wyświadczoną pośrednio dla stowarzyszenia . . . a my potrafimy się odwdzięczyć . . . Na najbliższym naszym festynie wygrasz pan pięć losów a na raucie dostaniesz herbatki bez karoty . . .

— Ależ pani dobrodziejko! . . .

— *(Głos z telefonu słodziutko:)* Już . . . już . . . załatwione . . . do miłego widzenia . . . kochany panie . . .

(Trrr . . . Trr . . . Trrr . . . Referent rusza ramionami i zrezygnowany siada przy biurku.)

*
* *

Lwica.

(Suknia jedwabna, koloru „excentrique“, skrojona wedle najświeższej mody. Stanik obsypany świecącemi dżetami, aż chwyta za oczy. Buffy rękawów w obec ciągłego falowania z powodu odśrodkowych ruchów nie dają się bliżej, co do objętości, określić. Objętość w pasie naokoło minus 50“, kapelusik à la Rembrandt z strusiem piórem; rękawiczki lśniące, białe; parasolka długa i giętka,mogąca w potrzebie zastąpić szpicrutę: nóżki w zgrabnych lakierkach wysuwają się uporczywie naprzód... Twarzyczka nieszpetna, lecz znużona; oczy błyszczące, (Rp: Atropin... M. d. s.) naokół zabijająca woń heliotropu.

Postać sadowi się vis-à-vis referenta w pozie, przepisanej dla malarskich modelek.)

— Proszę o przeniesienie mnie do miasta, już trzy miesiące siedzę na wsi . . .

— O przeniesieniu obecnie i mowy nie ma . . .

— Tak!? . . . Ależ ja nie wytrzymam, ja umrę na wsi . . . jakie nudy . . . jakie straszne nudy! . . . Że ja tam wiele nie mam do roboty, no, na to się zgodzę . . . ależ to wszystko dla mnie mało . . . mało . . . ja chcę się bawić, ubierać, chodzić na „dwunastkę“ do kościoła, do teatru, na spacer, oglądać wystawy sklepów, świeże żurnale. Do kogo i dla kogo ja się na wsi ubiorę? . . . Zmiłuj się panie referencie! *(Prośbie towarzyszy spojrzenie. Referent wyjmuje scyzoryk i*

z flegmą czyści paznogcie). — Jeszcze jak był młody hrabicz, jeździliśmy konno . . . na polowanie . . . Raz trzy dni nawet bawiłam się wybornie . . . ale to tak krótko . . . tak krótko trwało ! . . .

— Proszę; a któż panią w urzędzie zastępywał ?

— E ! bagatela . . . durzy się we mnie pisarz wiejski . . . głupiec ! . . . szczęśliwy, jak mu podam koniuszek rękawiczki do pocałowania . . . wyborny, robi wszystko, co każę i pielęgnuje mi mego pieska „Mimi“. Śliczna psina . . . malutki . . . czarniutki . . . . Ale wracem do rzeczy . . . Jak ja ślicznie wyglądałam w amazonce . . . cudowna, ciemno-zielona, aksamitna . . . allons ! na białej, zgrabnej kłaczy naprzód ! . . . Panie referencie . . . to się już skończyło . . . niestety skończyło ! . . . (*mnie w rękach nerwowo koronkową chusteczkę*.) Ja panu powiem prawdę. ja mam w mieście dwóch narzeczonych . . . boję się, aby mi się nie sprzeniewierzyli... oni mi takie ładne robią prezenta !... Panie referencie, przenieś mię do miasta, (*dodaje szybko*) lecz służba nie może być ciężką . . . przed dziewiątą rano nie zwykłam wstawać . . .

— To wszystko bardzo ładnie, ale takie przenosiny dla pani samej niebezpieczne . . . proszę pomyśleć . . . dwóch narzeczonych . . . pani boisz się o ich wierność . . . a sama czy jesteś wierną ? . . .

— Cha . . . cha . . . cha . . . pan nie znasz kobiety . . . panie referencie . . . poradzę sobie . . . nie zejdą się nigdy razem . . . poradziłabym sobie nawet z trzema (*rzuca znaczące spojrzenie na referenta*) Panie . . . ja umiem być wdzięczną . . . (*ruch kobiety fin de siécle)*.

— (*Referent wstaje nagle* :) Dałem pani odpowiedź zaraz u wstępu . . . nic poradzić nie mogę . . . przepraszam . . . ale mam bardzo wiele zajęcia . . . .

— (*Lwica rzuca się gwałtownie*.) Więc tak ! . . . o ! my kobiety wiemy, że jesteśmy przez mężczyzn gnębione, męczone... tyranizowane. Lecz przyjdzie czas, że się z tych więzów wyzwolimy... a mężczyzni nam służyć będą. — Nic dziwnego, że rzucamy się w objęcia feminizmu . . . zapisujemy się pod sztandar naszych

sióstr, co tak dzielnie walczą na zachodzie w obronie praw kobiety . . . niewolnicy . . . Żegnam pana ! . . . ja sobie dam radę w świecie . . . .

*
* *

Kuma.

(*Mężatka lat około trzydziestu : znać kobietę z prowincji.*)

— Przyjechałam tutaj odwiedzić krewnych i jestem tak śmiałą, prosić Pana do nas na wieś, na chrzestnego ojca naszej Maryni . . . Przyznam się otwarcie, że my to z moim mężem już sobie naprzód ułożyli . . . bo to pan dobrodziej, jako referent i nami się zaopiekujesz i o dziecku naszem nie zapomnisz . . .

— Zkądże ja przychodzę do takich propozycyj ? . . .

— A to już wszystko naprzód ułożone . . . prosiliśmy naszą dziedziczkę na chrzestną matkę . . .

— Przecież ja czterdzieści mil nie pojadę po to, aby trzymać dziecko do chrztu . . .

— Wszystko już naprzód ułożone . . . prosimy bardzo pięknie . . . i wiemy, że nam pan nie odmówisz . . .

— Nie mogę . . . nie mam czasu . . . obowiązki urzędowe . . .

— Dobrodzieju łaskawy, pozwól się zapisać tylko do metryki jako ojciec chrzestny . . . Co prawda, że i dziedziczka pozwoliła się tylko wpisać do książki, a sama nie przyjedzie.

— (*Referent nerwowo* :) Dobrze, już dobrze . . . piszcie, co chcecie, tylko . . .

— Matka Najświętsza nagrodzi dobrodziejowi.

(*Chce całować rękę, referent odwraca się.*)

*
* *

Rzecz o „negatywnej“ sąsiadce.

(*Woźny przynosi list „ekspress“, referent czyta.*)

„Jaśnie Wielmożny Panie Referencie ! Racz Jaśnie Wielmożny Panie zwrócić już raz uwagę na ten

prąd negatywny mojej sąsiadki, która mi na każdym dokucza kroku, a obecnie . . .

(*Referent odkłada list na bok.*)

*
* *

Protektorka.

(*Osóbka żywa, fertyczna; chciałaby świdrującemi oczkami obejrzeć w lot wszystkie szczegóły w pokoju.*)

— Jako dawna znajoma przychodzę imieniem mej przyjaciółki, która przyjęłaby w mieście posadę...

— Pani wiesz sama najlepiej, jak to obecnie trudno o posadę w mieście; wszak przed rokiem, gdy byłaś pierwszy raz u mnie w biurze, ukończywszy praktykę . . .

— Tak . . . tak, praktykowałam, lecz dziś jako mężatka nic już, naprawdę, z tego nie pamiętam; ledwie wiem, jak pióro wziąć do ręki . . . A! widzę u pana gazetę (*bierze do ręki dziennik.*) Ciekawam bardzo na fejleton . . . tam zajmująca jest powieść . . . (*siada i czyta*) . . . (*po chwili*). Zapomniałam, dziś niedziela . . . sklepy zamykają wcześnie; a muszę kupić koronkę dla Henrysi . . . do widzenia . . .

*
* *

Feministka.

(*Kapelusz w formie niskiego cylindru, suknia ciemna, kroju żakietowego, kołnierz stojący, mankiety gładkie, półkoszulek kolorowy, krawatka męzka, buciki z lakierowanemi cholewkami, włosy krótko strzyżone, twarz niemłoda z czerwonym wypryskiem, usta zaciśnięte, nos szpiczasty, postać sztywna, wyraz odtrącający.*)

— Przyszłam nie w własnym, lecz w interesie, obchodzącym ogół kobiet. Chcę dowiedzieć się, dla czego nie przyjmujecie teraz nowych kandydatek do urzędu i jak się pan, jako referent, zapatrujesz na kwestję emancypacji kobiet. —

— Nie przyjmujemy nowych kandydatek, gdyż niema dla nich miejsca, a co do moich poglądów na kwestję emancypacji, to raczy pani uwolnić mnie od odpowiedzi.

— Jakto, nie ma miejsca? . . . Przecież czytam ciągle w gazetach o nominacji mężczyzn . . .

— To co innego; posady zastrzeżone dla mężczyzn, nie mogą być obsadzane kobietami. —

— Nie pojmuję, co to znaczy: „zastrzeżone dla mężczyzn.“ Każda kobieta, stojąca samoistnie, pracująca w jakikolwiekbądź sposób na swoje utrzymanie, stoi wyżej, niż wszyscy mężczyzni razem wzięci. — Tak, mój panie . . . Ja gdybym mogła, tobym mężczyzn z wszystkich posad usunęła. — Znasz pan ten świetny płód natchnienia kroczącej pod znakiem postępu kobiety:

„Wieku nasz, ty zwan będziesz wielkim kobiet [wiekiem,
„Kobieta się ozwała z żądaniem nieznanem.
„Aniołem była dotąd lub szatanem:
„Dzisiaj chce zostać człowiekiem“. —

Minęły już te czasy, kiedy to kobiety, jak trusie znosiły cierpliwie narzuconą im opiekę, despotyzm mężczyzn. Dziś same sobie dają radę. — Czy wiesz pan, że na najbliższym kongresie naszym przeprowadzimy nawet zupełną zmianę gramatyki, wyrzucimy z niej „rodzaj żeński“ i wcielimy go do „rodzaju męzkiego.“ Zkąd bo ten przywilej dla mężczyzn, aby wyrażać się o nich w innej formie gramatycznej, niźli o kobietach i mówić np. „ładni żołnierze szli ulicą“ — z drugiej strony zaś: „ładne kobiety szły ulicą“ a więc wysławiać się w ten sam sposób przy użyciu tych samych końcówek, które się stosuje do istot bez woli i duszy i do rzeczy nieżywotnych. Potem, po kongresie będzie się mówić: „ładne krowy, albo ładne cielęta szły ulicą“ — o kobietach zaś: „ładni kobiety szli ulicą.“ —

— Wszystko to dobrze . . . o tem potem . . . Ocena kwestji posad, zastrzeżonych dla mężczyzn, zawisła od wielu nieznanych pani czyników, co zaś się tyczy skrajnych poglądów pań, to nie wiem, czy zgodzi się na nie kiedy ogół młodych i ładnych panien, które

widzą swe szczęście przy boku męczyzn, ogół żon i matek, zażywających miru i szacunku wśród domowego ogniska.

— Mrzonki, mrzonki, panie referencie! dojdą z czasem i takie panny i panie do przekonania, iż gdyby nie było was mężczyzn na świecie, byłybyśmy lepszemi żonami i matkami! . . . Żegnam pana . . . .

*
*   *

Literatka.

(*Woźny wnosi duży pakiet polecony: referent wyjmuje z niego plikę manuskryptu i czyta*:)

„Wiedząc, że Szanowny Pan, podobnie, jak i ja, jest pracownikiem pióra, wrażliwym, czułym na losy bliźnich, przesełam do odczytania mój pamiętnik, kreślony zbolałą ręką ciężko od losu prześladowanej istoty... Patrz, ile tam westchnień, ile łez przelanych na papier wśród bezsennych nocy podczas burz, uraganów, zamieci, łysku wiatrów i wód wycia! . . .

Jako kobieta, sierota, stojąca sama na świecie, mogę ofiarować Ci w dowód wdzięczności tylko gorącą modlitwę . . . Bierz ją i ten Tobie, panie, poświęcony pamiętnik . . .

Dorotkiewiczówna.“

(*Referent odkłada list na bok.*)

*
*   *

Zapoznana poetka,

(*wyróżniająca się swem ubraniem, nie pierwszej młodości kobieta.*)

— Zanim powiem, kim jestem i jak się nazywam, proszę odczytać ten wiersz. (*Podaje drukowaną kartkę.*) Napisał go przed dwoma laty student z szóstej klasy na zgon mego śp. męża. Śliczny to wierszyk, ale bo też i mój śp. mąż bardzo był zacnym człowiekiem. Wszyscy płakali za nim, a i dziś jeszcze płaczą, jak tylko mnie zobaczą . . . (*Ociera chustką łzy z powiek.*) I ja byłam kiedyś poetką, toż pojęłam, zrozumiałam,

odczułam ten wiersz, w nim skupiła się cała moja dusza. — Tak, panie, i ja robiłam kiedyś wiersze, tylko ich świat nie zrozumiał... dusza moja osamotniona... ciężka dola sieroca! . . . Panie! pan masz tych młodych ludzi pod sobą, może między nimi kryje się ów student z szóstej klasy; wyszukaj, oddaj mi go; z wdzięcznością obleję łzami Twoje ojcowskie ręce.

— Jak się ten student nazywał?

— Nie wiem; podpisywał się na swoich wierszach „Orzeł.“ —

— Podług tego podpisu trudno go będzie odszukać. —

— Panie! odszukaj go koniecznie... bardzo proszę. — Ofiaruję wszystkie moje wiersze . . . mam je nawet przy sobie . . .

— Dziękuję pięknie . . . chyba razem z „Orłem“, jeśli się znajdzie, napiszcie mi jakąś poezję . . . .

*
* *

Rzecz o kontranegatywnej sąsiadce.

(Woźny wręcza list „ekspress“, referent czyta:)

„Moja sąsiadka, panna stara, nie mająca kawalera a przeto zgryźliwa, obrzuca mnie żółcią i jadem... (*Mówi do siebie.*) Aha, to widocznie mowa o sąsiadce, żałącej się „na prąd negatywny“ . . . (*Odkłada list na bok.*) —

*
* *

Wdówka.

(Młoda, wykwintnie ubrana kobieta.)

— Jestem Grymaśnicka, wdowa po byłym obywatelu ziemskim, później oficjaliście w dobrach pana Bankruckiego. Wzięłabym jaką posadę, ale taką, abym raz ja, a raz moja siostra była zajętą, a ja wypoczywała. Nie przywykłam do pracy. Za życia mego męża nie pozwolił on mi nigdy pracować musiałam tylko jeździć po wizytach i zabawach. Teraz nieszczęśliwa . . . muszę pracować sama . . . .

— Przecież praca nie jest nieszczęściem . . . przeciwnie szczęśliw winien się czuć ten, kto umie i może pracować . . .

— Ach! gdyby mój Wicuś biedny wiedział, że ja muszę pracować, toby się w grobie biedaczysko przewrócił . . . Ale co robić . . . Dostanę taką posadę. o jaką proszę, panie referencie?

— To bardzo trudno . . . zresztą trzeba się pierwej uczyć, złożyć egzamin . . .

— Co, ja mam składać egzamin?! Panie referencie . . . obracałam się w najlepszych towarzystwach i umiałam bez nauki i egzaminu dawać sobie radę nawet z arystokratami. — Nie dosyć, żem taka nieszczęśliwa, że ze swych przyzwyczajeń muszę robić ofiarę, że muszę pracować, lecz w dodatku chcecie panowie mnie jeszcze zniechęcić . . . przygnieść nauką . . . To okropne! to chyba wyraźna sekatura . . . pośrednia odmowa posady! . . .

— Niestety, takie są przepisy . . .

— Ach! biednej wdowie zawsze wiatr w oczy piaskiem miecie . . . (*Odchodzi.*)

* * *

Wybredna.

— Może mnie pan już i wyprosi z biura... Wiem, że jestem natrętną . . . czwarty już raz w tym miesiącu w biurze, ale ja na żadną ofiarowaną mi posadę decydować się nie mogę . . .

— Widocznie pani wybredna . . .

— Wybredną nie jestem, tylko mi się żadne miejsce nie podoba . . . chciałabym inne jakie wybrać . . .

— Mniemam, że pani nie masz w ogóle ochoty i zamiłowania do samoistnej pracy . . .

— Co prawda, to prawda, że nie mam do tego wielkiej ochoty . . . ot, tak do referentów . . . to mam ochotę ich . . . nudzić . . . (*z zalotną miną.*) Ale pan się na mnie nic gniewasz . . . prawda? Ja zawsze to mówię, że pan taki dobry . . . taki grzeczny, jak anioł!

Nikt z moich przełożonych nie przypadł mi tak, jak pan, do gustu i . . serca . . . Dlatego chciałabym dostać koniecznie posadę tutaj . . . w mieście . . . pod okiem pana . . . Jutro przyjdę znów dowiedzieć się o posadzie i . . . o zdrowiu pana referenta . . .

*
* *

Parweniuszka.

(*Starszego autoramentu kobieta, ubrana bez gustu i niedbale.*)

— Przyjechałam w prywatnych interesach . . . mam syna w gimnazjum . . . ta nie najlepiej się uczy... ten profesor od matematyki, to go sekuje . . . ta byłam w szkole . . . ta tam nagadałam im . . . ta przyszłam się spytać, czy tam panowie kontenci z naszego urzędu. Bo to u nas taka bieda w tych Koziołkowicach, jak przyszła na posadę ta panna Letkiewiczówna . . . to coś tam niеładnie ludzie gadają . . . bo tam różni panowie, a najwięcej ten praktykant od podatków . . . Ale to nic, on może się z nią ożeni . . . ta, ja tam nie chcę jej szkodzić, bo to ona mówi, że nie pierwsza ona i nie ostatnia, że wszystkie jej koleżanki tak samo robią . . . (*Chwila milczenia.*) Bo ja przyszłam tylko się spytać, czy panowie kontenci z naszego urzędu . . . padam do nóg . . . pana referenta. (*Odchodzi.*)

*
* *

(*Referent zabiera się do odczytywania stosu aktów i mówi sam do siebie:*)

— Jestże to możebnem, przejrzeć to wszystko. . . ciągle partje i partje . . . nudzą do nieskończoności . . . — (*Parweniuszka powraca do biura.*) Przepraszam, że się wróciłam . . . ta chciałam się tylko spytać, czy ta Letkiewiczówna zostanie u nas na posadzie na zawsze... Ta bo to mój stary . . . Zazdrośną nie jestem, ale bo on tak, jak ci wszyscy mężczyzni . . . Przepraszam, że nudzę Wielmożnego Pana, ale już idę . . .

*
* *

W domu.

(Godzina trzecia po południu. Referent staje w drzwiach swego pomieszkania.)

— *(Dzieci wołają:)* Chwała Bogu, że tato przyszedł; my myśleli, że sami będziemy już obiad jedli... my wszyscy tacy głodni, aż nas mdli, aż głowa boli...

— A cóż ja temu winien, moje dzieci, że mnie tak partje trzymają w biurze... maltretują do żywego...

(Głos z kuchni:) Zapewnie . . . zapewnie . . . „maltretują do żywego!“. . . Przyjemnie ci tam, więc siedzisz . . . rozmawiasz . . . szczerzysz zęby . . . zaglądasz w oczy, a ja tutaj biedna piekę się przy ogniu, pilnuję, żeby to jedzenie nie wystygło. — Że mnie los pokarał takim mężem! Wolałabym była wyjść za dyurnistę; przynajmniej wracałby wcześnie na obiad; a z referenta co mi przychodzi. Jaka mi to niby wielka figura! . . .

(Referent zasiada milcząco do obiadu.)



ŚLUB STUDIOSA,

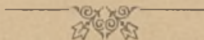
trawestacja*).

Z głębi ziemi, z za progu, podwoi,
  Grupa niewiast zaziera zdumiona;
Tam „studiosus“ do ślubu się stroi,
Białą szatą okrywa ramiona.
    Z miasta zbiegły się tłumnie narody;
    Student to wielkiej głowy i sławy,
    Kiedy lud ganki zaległ i schody,
    I na stroje tak patrzy ciekawy. —

*) Czytaj A. Mickiewicza „Śmierć Pułkownika. (P. r.)

Kazał student „Romanse“ otworzyć.
Księgę nieraz przydatną w potrzebie,
Pragnie piękny jej pokarm znów spożyć;
Kazał nieść do salonu, do siebie;
    Kazał przynieść swój cybuch turecki,
    Swą szklanicę i lagę i trunki,
    Dzielny student! on chce jak Czarniecki,
    Gdy umierał, swe żegnać rynsztunki. —
A gdy ucznia z salonu wywiedli.
By ślubował i miłość i wiarę,
To zebrani od żalu pobledli.
A lud modlił się, widząc ofiarę.
    Nawet baby, języka szermierze,
    Tyle złości już swojej wylały,
    Łzy ni jednej — a teraz płakały.
    I mówiły za księdzem pacierze. —
Z rannym brzaskiem dzwoniono w kościele,
Lecz ślubnego nie widać już stroju. —
Spieszą tłumy, gdzie było wesele
Państwa młodych. „Studiosus“ w pokoju; . . .
    W białym puchu, z uśmiechem on leży;
    W ręku mirt; w głowach flakony, słoje,
    U boku zmięte ozdoby i stroje . . . .
    Student bowiem ten w białej odzieży,
Takie gładkie, bielone ma lica,
Taką pierś! ach! to była dziewica —
Feministka; — wszech kobiet bohater;
Emilia! niestety, nie — Plater . . . . .

Walenty Ćwik.



JUBILEUSZ
WŁADYSŁAWA BEŁZY,
pisarza dla wieku młodocianego.

(Z ryciną.)

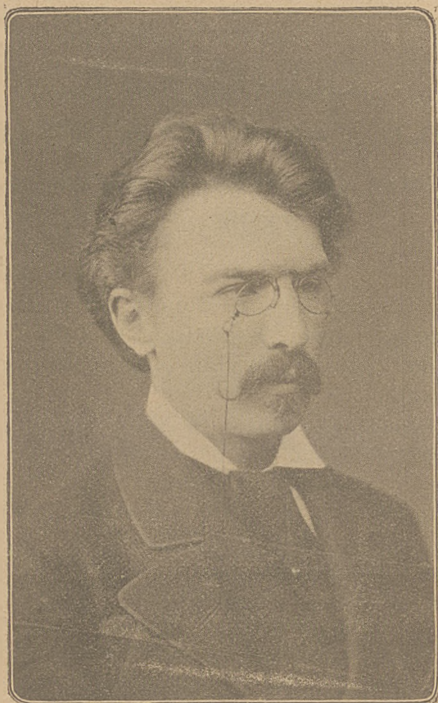
Pół wieku minęło na rok bieżący od czasu urodzin Władysława Bełzy, zasłużonego pisarza dla młodzieży i ludu, ćwierć wieku od początków jego działalności literackiej.

Aby znaczenie tejże działalności wielostronnej należycie pojąć i ocenić, trzeba wiedzieć, że Bełza, przeniósłszy się do Galicji z Warszawy, gdzie się urodził 1847 i poprzednio a to bardzo wcześnie, bo już w roku 1864 czynnym był na polu literatury dziecięcej — tu u nas w Galicji nowy dział: dział literatury dziecięcej, jeśli nie wprost stworzył, to bodaj niezmiernie podniósł i uszlachetnił swojem piórem. Sam, ożeniony z córką jubilera Ostrowskiego ze Lwowa, jako ojciec rodziny wiedział zapewne z własnego doświadczenia najlepiej, czego właśnie brak młodemu pokoleniu i jakąto strawę umysłową podawać mu trzeba.

Jego „Towarzysz pilnych dzieci" był poprzednikiem i zapowiedzią wszystkich następnie ukazać się mających pism dziecięcych. Na tem jednak nie ograniczała się wcale jego działalność literacka i obywatelska.

Założył samoistnie księgarnię we Lwowie a chociaż księgarnia wymieniona krótko się tylko utrzymała, to przyczyniła się jednak znacznie do budzenia ruchu literackiego przez wydawnictwa wzorowe i cenne.

Znany także Władysław Bełza jako współredaktor i współpracowaik „Sobótki", księgi zbiorowej, wy-



danej na cześć Goszczyńskiego, znany też jako badacz literatury Mickiewiczowskiej, który się pracami swemi wielce przyczynił do wyświecenia niejednej nieznanej ogółowi kwestji; jako redaktor „Antologii polskich poetów", do której następnie pendant w swojej „Antologii poetów obcych" stworzył; jako autor „Abecadlnika dla dzieci polskich" i drugiego dziełka dla dzieci, zatytułowanego: „Dawni królowie tej ziemi"; jako tłumacz „Wieczornych pieśni" czeskiego poety Witosława Halka, wreszcie jako deklamator, biorący żywy udział we wszystkich manifestacjach patrjotycznych.

Czynność jego jako urzędnika zakładu narodowego imienia Ossolińskich zanadto jest znana, abyśmy ją tu bliżej określić mieli.

Toż nic dziwnego, że w dzień jubileuszu tak wielce dla literatury ojczystej zasłużonego męża, kółko osobistych jego wielbicieli, a między nimi spore grono naszych milusińskich się zebrało, aby mu szczere swoje składać życzenia, do których się także redakcja „Roczników Samborskich" przyłącza.

Zamarstynów, w Grudniu r. 1897.

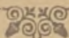
G. Kohn.



Ostatnia droga.

Zwolna jedzie wóz żałoby,
Czarne kroczą konie,
Droga wiedzie hen nad groby,
Morze świateł płonie.
Głuche, smętne dzwonów jęki
Śle kościelna wieża;
Serca bole, srogie męki
Dzwonów głos uśmierza.
Wóz okryły wieńcem kwiaty,
Łzy po licach płyną,
Księży, strojnych w czarne szaty,
Pieśni w dali giną.
Zwolna ciężko wóz się toczy,
W nim zmarłego mara.
Z płaczem za nim matka kroczy.
Ach! cóż pocznie stara!
Jakież przyszłe będzie życie,
Zkądże weźmie chleba?
Ach! umarło drogie dziecię,
Zmiłujcie się nieba!
Nikt na świecie jej nie drogi,
Nikt jej nie wspomoże,
Służyć nie chcą stare nogi,
Miejże litość Boże!
. . . .
. . . .
A tysiące świateł płonie,
Łzy jej ronią oczy,
Zwolna czarne kroczą konie,
Dalej wóz się toczy . . . . .

Emil M.



KARCZMA „DZIŚ“

przy podolskim trakcie.

Przez

WALENTEGO ĆWIKA.

Swobodnie hula mroźny wicher po rozległej wyżynie Podola, swobodnie zatacza dalekie kręgi, muska łany i odłogi, lotnym śniegiem zakręca młyńca po stepie, to chwyta śnieg w swe potężne skrzydła, podnosi w górę, to ciska nim o ziemię, zwiewa z wysokości w głębiny, przesuwa w jary, bezdenne tworzy zaspy i zamiecie, zdradliwe pułapki niebacznych wędrowców. — Biada temu, kto ufny w siły i znajomość okolicy, dąży wśród nocy zimowej przez stepy do celu podróży. Złe duchy, czarta wysłańcy, w błędne zawiodą go koło, gdzie przez noc całą bez nadziei wyjścia daremnie błagać będzie o pomoc. Niejeden śmiałek przepłacił życiem swoją brawurę, utonął w zaspy objęciach; stepowych wilków wygłodniałe stado rozwlokło kości jego, a wiatry wiosenne rozwiały strzępy zgniłego odzienia. —

Stepem podolskim wije się bity gościniec, przecina falistą wstęgą okolice Zaleszczyk, Czortkowa, Kopyczyniec, Trembowli i niknie wśród murów Tarnopola, stolicy Podola galicyjskiego. Na szlaku Kopyczyńce-Trembowla, między Suchostawem a Mszańcem, w punkcie, gdzie stacza się kilka dróg wiejskich ku podolskiemu traktowi, leży zdala od włości skromna karczemka, przez chłopów karczmą „Dziś“ zwana. Czy to bryki, dążące z dalekich stron z towarami, czy furmanki z płodami rolnemi, czy wozy wieśniacze, śpieszące w pole, lub z świątecznym nastrojem na jarmark albo targ do

miasta, wszystko zwykło było z dawien dawna zatrzymywać się przed wiejską karczemką i kieliszkiem „siwuchy“ przepłukiwać gardło. Arendarz „Zyzio“ stał zawsze gotów na usługi gości, pocieszał trunkiem strapionych, z ciekawymi zwykł dzielić nowinki, w wątpliwych wypadkach doskoczyć z nienajgorszą radą, a i poważnionych półkwartą „niechrzczonej“ do miłej przyprowadzać zgody — toż imię „Zyzia“ znane było kilka mil na okół i odbijało się miłem echem w głębi nawet samych Miodoborów. Najgorliwszymi gośćmi „Zyzia“ byli naturalnie najbliżsi sąsiedzi jego, mieszkańcy Mszańca i Kobyłowłok, potomkowie jeńców tatarskich, osiedleni w tych stronach w czasach bezustannych harców i utarczek z dzikiemi hordami wschodu. Zazierali oni chętnie do karczmy, popijali „niechrzczoną“, zarazem patrzyli jednak na dobrobyt „Zyzia“, liczyli w myśli majątek jego, jaki podniecona trunkiem fantazja podnosiła gorliwie do wyżyny niezwykłego bogactwa.

Przy końcu Lutego 1846 rozpostarła swe rządy twarda, ciężka zima, złowrogi zwiastun dni strasznych, bratobójczych mordów. W karczmie „Zyzia“ siedziało grono okolicznych chłopów i popijało „siwuchę“, odmiennie atoli rozmawiało ono teraz, niźli dni poprzednich, w inny sposób objawiało swe zdania, spaczone poglądy, spozierając z ukosa na „Zyzia“, który blady, wystraszony spełniał machinalnie rozkazy coraz to butniej wyzywającej go gromady. Było już dobrze z wieczora, gdy do izby znów nowi weszli przybysze. Nieznane twarze, odmienne odzienie i gruba warstwa szronu, pokrywająca ich postacie, obudziły mimowoli ciekawość zebranych. Wymieniono po „półkwaterku“, a gorzałka rychło zbratała nowych gości z dawnymi, do wzajemnych podnieciła wynurzeń. —

Tematem ich wieści były zjazdy i zebrania „Lachów“, powstanie, warty chłopskie, napady na dwory, mordy i pożogi. Alkohol drażnił wyobraźnię, rozgrzewał umysły, roznamiętnił tłum, zionący nienawiścią, chciwy rabunku. „Zyzio“ był tutaj pierwszym, na razie jedynym przedmiotem, podniecającym chciwość tłumu: przeciw niemu zwróciło się też chłopstwo.

— Wódki! pieniędzy! — poczęto wołać ze wszech stron, szarpać, poszturkiwać arendarza. Nic nie pomogły prośby i zaklęcia, iż wódki nie ma wiele, pieniędzy jeszcze mniej.

— Kłamiesz! łżesz, bezczelny żydzie! — zaryczała pijana zgraja i poczęła rozbijać drzwi i schowki karczmy. Podczas gdy jedni poszukiwali wódki, usiłowali drudzy wydobyć od „Zyzia“ zeznanie, gdzie ukrywa skarby. Lecz kułaki, razy, kije nie skutkowały. Żyd, czy rzeczywiście biedny, czy pieniędzy chciwy a zacięty, jęczał, wył, ryczał, lecz nie zadowolnił odpowiedzią chłopów.

— Przypieczmy go przy ogniu, a on zaraz wyzna, gdzie schował pieniądze — zawołał ktoś z tłumu, a tłum przystąpił niebawem do spełnienia straszliwej groźby.

W lot nagromadzano przed karczmą słomę, pręcie, drzewo, ułożono to wszystko w rodzaj ofiarnego stosu, przywiązano „Zyzia“ do długiego drąga, a gdy stos wybuchnął lawą ognia, poczęto przypiekać bezbronnego, jak mięso na rożnie.

Nieszczęśliwy stracił przytomność . . .

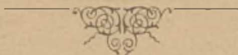
Stos, płonący wśród ciszy nocnej na tle potężnego całunu ze śniegu, gęsty słup dymu, unoszący się ku pogodnym niebiosom, o pełnym blasku gwiazd i dróg mlecznych, na okół stosu ruchliwa gromada tajemniczych postaci, jęki nieszczęśliwej istoty, głuszone śmiechem, nawoływaniem, słowami zachęty, tłumione wyciem pijanej tłuszczy — istny to obraz dzikich plemion, oddających wojennym tańcem cześć swojemu bóstwu, obraz ludożerców, przygotowujących się do uczty, do spożycia pochwytanych jeńców.

Odgłos dzwonka zwrócił uwagę chłopstwa. Z sanek przed karczmą wysiadł ksiądz z sąsiedniej włości i osłupiał na widok średniowiecznych tortur. Odzyskawszy przytomność, rzucił się na ratunek bezbronnej ofiary. Daremnemi były jednak zabiegi jego, daremnemi słowa, któremi usiłował powstrzymać chłopów od dalszej zbrodniczej czynności. Jedni słuchając, swoje robili, drudzy wręcz nawet nieprzyjazną, groźną zajęli w obec kapłana

postawę, tak iż ten, aby bez szwanku wyjść z matni, kazał zaciąć koni, i co tchu poleciał do Trembowli. Z zaalarmowanego powiatu wyruszyli w nocy „lancdragoni“ na ratunek „Zyzia“, odebrali go wprawdzie żywego jeszcze z rąk zgrai, lecz w stanie strasznej niemocy, okropnego kalectwa. Po długiej, obłożnej chorobie przyszedł ostatecznie do sił i zdrowia, nie odzyskał atoli utraconego wśród płomieni wzroku. Żył jeszcze lat kilkadziesiąt, siedząc na tej samej karczmie, jako widomy znak rozbestwienia mas pod wpływem alkoholu. Od tego to widomego znaku przybrała karczma nazwę karczmy „Zyzia“, przez gwarę ludu na miano „Dziś“ przeistoczoną. —

* * *

Powyższy wypadek, związany do pewnego stopnia z zdarzeniami dziejowemi r. 1846, opowiadali nam okoliczni mieszkańcy. Zabiegi nasze uzyskania bliższych dat i nazwisk osób działających, nie doprowadziły do pożądanego skutku.



Chatka i brzoza.

Stała sobie chateńka,
Mchem okryta, maleńka,
W rozłożystym hen gaju
Ponad brzegiem ruczaju.
Nad nią brzoza zielona
Rozpostarła ramiona
I chateńkę chroniła
Przed wichrami lat siła.
Gdy czas nastał straszliwy
I kraj zalał wróg mściwy,
Znikła chatka gdzieś mała,
Tylko brzoza została.

Kordjan Sławita.

PROŚBA.

Kiedy ja pomrę, tatulu miły,
To mnie ułóżcie w białej trumience,
Drewniany krzyżyk dajcie mi w ręce,
Lecz mnie nie grzebcie między mogiły,
Bo na cmentarzu — tak tam nie miło,
I tyle grobów i krzyżów tyle,
Że sercu memu w cichej mogile
Bardzo by smutno tam było.
Kiedy ja pomrę, tatulu miły,
To mnie pogrzebcie na naszej łące,
Kędy się chylą brzozy płaczące,
Kędy powoje stawek owiły,

Kędy wiosenne wonieją kwiatki,
Kędy się pszczółki radują w ulu
I nad murawą bawią się dziatki.
Tatulu, miły tatulu!

Kordjan Sławita.

Smutne wspomnienia.

Z opowiadań starego weterana.

(Rok 1863-4.)

I.

Świtało . . . pierzchły cienie nocy — ciemne,
A blask jutrzenki oblał smugą jasną
Błękity nieba i kryjówki ziemne.
I mogłeś widzieć, jak gwiazd roje gasną,
A z łąk się wznoszą opary tajemne.
Rzeki, doliny, pola, łąki, skały,
Patrząc na pierwsze światła błyski dzienne,
Nie przebudzone i jeszcze wpół senne,
Świeciły blado. Już na wschodniej stronie
Chmurki białawe lekko różowiały
I jak archanioł w ognistej koronie,
Tak wyszła zwolna wielka tarcza słońca
I świat zczerwieniał od końca do końca.
Ucichło wszystko i przez jedną chwilę
Świat cały patrzał na oblicze króla,
Co błysnął w końcu w całej swojej sile!
Już słychać szmery . . . szepty dookoła,
Zrazu niepewne, jak brzęczenie ula,
Potem głośniejsze . . . już od strony sioła
Biegną piosenki porannych żniwiarzy;
Jedne gromadki ciągną do kościoła,
Aby uklęknąć u stopni ołtarzy

I błagać Boga o szczęśliwy dzionek;
Drugie już dziedzic do pracy nagania,
A ponad wszystko dźwięczy z wieży dzwonek
I „Anioł Pański“ po świecie wydzwania.
. . . .

Przez kołyszące się pszenicą łany
Biegnij wraz ze mną aż na krawędź lasu —
Tam, gdzie się chyli stary dąb złamany.
Wstrzymaj się! widzisz, jak w ciemnej gęstwinie
Dym z kilku ognisk ku niebiosom płynie?
Słyszysz, jak z głębi od czasu do czasu
Biegnie szmer mowy, głuchy brzęk pałasza
I trzask gałęzi suchych u ogniska?
Lecz ty się nie bój! przystąp ze mną zbliska,
Bo tam spoczywa dzielna młodzież nasza.
Bo tam przy świetle ognisk i kagańcy
Leży ich garstka a wszystko „powstańcy.“
Już noc przebyli a blask słońca dzienny
Budzi w ich sercach ufność i nadzieje.
Kto wie, zkąd jutro wiater im powieje;
Bo los — to wiater niepewny i zmienny,
Bo los jak wiater zmienia swe koleje.
Patrzcie, ach patrzcie, co to młodość znaczy!
U nich wesoło! wrogi bóg rozpaczy
Zabłysnął chwilę i znikł znów na chwilę.
Okryci w burki gwarzą sobie mile
O czynach przodków, dawnej Polski chwale.
Na skrzydłach wspomnień dusza ich niesiona
Leci nakoniec, gdzie rodzinna strona
I budzi znowu niezatarte żale . . .
Zadźwięczał dzwonek... a na głos ten znany
Uklękli wszyscy z pochylonem czołem
I wznieśli modły do „Pana nad Pany“. —
Właśnie w tej chwili ludzie i świat cały —
Drzewa, zwierzęta i motyle społem
Nuciły Bogu dziękczynny hymn „Chwały“.
A hymn wraz z wiatrem wzleciał aż w niebiosy
I niezgłuszony zawisł gdzieś na chmurze.
Bóg — hymn usłyszał, zesłał krople rosy
I znów posilił ziemię, kwiaty . . . róże . . .

II.

Był wieczór... jasne słońce na zachodzie
Zniżało zwolna tarczę płomienistą
I osłonięte tkanką chmur przejrzystą,
Żegnało ziemię. Na niebie i w wodzie
Cichło już wszystko... jeszcze gdzieś w oddali
Dudniał wciąż głucho ciężki młot kowali;
I na polance cicho jakby w grobie!
Wszystko umilkło! Na gałązce drzewa
Usiadło ptaszę, ale nic nie śpiewa,
Tylko skulone drży i kwili sobie.
Zagasłe ognie, rozrzucone wszędzie,
Jakby pomniki zagasłego życia,
Sterczą ponuro ze swego ukrycia.
A zaraz obok w jednym wielkim rzędzie
Leżą na ziemi powalone kłody.
Przypatrz się lepiej! wytęż wzrok swój młody
I spojrz raz jeszcze na leżące słupy!
Boże! jam myślał, że to drzewa ścięte,
A to nie drzewa — tylko groźne trupy!!!
Bladość liliowa na ich białem czole
I bohaterstwa jedno znamię święte! —
Tak bladzi byli, miły mój sokole,
Jak całun śmierci albo śnieg zimowy,
Ale w bladości i w tej śnieżnej bieli
Szlachetni! święci! jak sami anieli!!
. . . .
Drzewa szumiały i patrzyły łzawo
Na zgasłe ognie i na martwe ciała,
I cała ziemia dziwnie posmutniała. —
Słońce zaszło krwawo . . . . .

Henryk Wyrwicz.



Divide et impera.

„Dziel i panuj!“ — sławny ongiś Rzymu orzekł kat,
„Dziel i panuj!“ — intrygantów wtoruje mu świat,
„Dziel i panuj!“ — na to hasło mamy łotrów sto; —
Lecz kto z nich podziału godzien, panowania kto?

Sambor, 25. Stycznia 1898.

G. Kohn.

STARE GROBY.

Lubię was stare groby, zaklęsłe od wieka,
 Ostatnie krańce życia nużącej tułaczki —
I kwiaty, których ziarno wiatr przyniósł z daleka,
Perłę rosy, co z kwiatu w mogiłę przecieka
I schylone w milczeniu białe brzozy — płaczki.
 Lubię was stare groby, głuche, zapomniane,
 Nad wami, zamiast płaczu, ptak śpiewa bez troski
 I pokolenia legły przy sobie nieznane;
 Czas je połączył w jedno, a zioła wiośniane
 Pokryły niepamięcią na kamieniach głoski.
Nie wiem, jaka tam przyszłość za wami ukryta,
Zachodem czy świtaniem stanie się grobowiec?
Lecz wierzę, że odpocznie pierś boleści syta,
Że gwar ziemski do trupiej czaszki nie zawita
I w ciszy wiecznej uśnie znużony wędrowiec.

Koszarki, 17. Czerwca 1894.

T. Koszarecki.

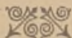
DO POETY,

(z niemieckiego Lenaua.)

Wieńcem tylko skroń ozdobi,
 Kto nie siedząc za przypieckiem,
Do zwycięztwa się sposobi:
Sztuka — nie protekcji dzieckiem.
  Sławy jako egzotyczny
  Kwiat nie upraw pochwał gnojem;
  Jak krzew dziki, ale śliczny,
  Niech się w górę pnie przebojem.
A twe serce wonią sławy
Rozweseli się dopiero,
Gdyś niezbędnej zdobył wprawy
W pocie czoła pracą szczerą.

Sambor, 27. Stycznia 1898.

G. Kohn.



Po pogromie,

poemat dramatyczny,

w trzech obrazach z prologiem,

z czasów po powstaniu z r. 1863.

TRZECIA CZĘŚĆ TRYLOGJI,

przez

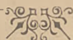
Franciszka Lasockiego.



OSOBY:

Piotr, expowstaniec.
Tacia, córka inspektora więźniów.
Jenerał-gubernator.
Asafat, pop-apostata.
Hida, wróżbiarka.
Archyp, posługacz więzienny.
Toba, izraelitka.
Grupy włościan, służba, żołnierze.

Rzecz dzieje się w Warszawie, w kilka lat po powstaniu z r. 1863.



PROLOG.

Wieś nad Wisłą — zdaleka widać Warszawę. Grupy włościan różnej płci i wieku.

Kobieta.

Otże no patrzcie! pana Piotra wzieni . . . .
Trzy lata wybył w lodowym Sybirze —
Snać im za mało i nienasyceni!
Z wełną i skórą Moskwa dzisiaj strzyże . . . .

Mężczyzna.

W tym folwarczynie, jako mógł, biedował,
Ojcem był dla nas, bratem i sąsiadem,
Nie leniw w pracy, nie kładł się na pował —
Niejeden kąsek u niego też zjadem.

Drugi mężczyzna.

Co lepszych, widać, wytępi do nogi,
Car się już zawziął straszecznie, ze szczętem!
Ino nas dziobie, jako jastrząb srogi.
I nic u niego niewinnem i świętem . . . .

Kobieta.

Na syzmatyków wszystkich wraz kabaci:
Księży wywozi, odpustów zaprzecza,
Krzyże obala, każe zdradzać braci.
Głosząc, że to w nim, a nie w Bogu, piecza.

Mężczyzna.

Powstanie zdusił — złamał przez kolano.
Bo moc miał za nas tyle dziesięcioro . . .

Wytłukł, wywieszał! a tą krwią przelaną,
Z Warszawy do się popłynąłby skoro.

Kobieta.

Podatki zdziera, jako z drzewa łyko —
Człek wrosły w ziemię od nich nie wybieży,
Czyś chłop, czyliś tam jest marną podwiką,
Nie ujdziesz nikiej paskudnej grabieży —
Ino se westchniesz nito drzewko listem,
Gdy go drze piorun swem żądłem ognistem.

Mężczyzna.

Oj! szkodać, szkoda, choć pono po czasie,
Żeśwa się z szlachtą nie wzięli za ręce!
Panów już połknął — w nas się teraz pasie,
I w świat wytrzeszcza swe ślepie jarzęce . . .

Kobieta.

Do miasta wysłać dziewuchę dziś zdradno . . .
Wszędzie sołdaty jak wilki się włóczą,
Obedrą, zhańbią i w dom za nią wpadną,
By tu swą jamę wykopać borsuczą . . .
Któż się im wzbroni i jako wymodli,
Kiedy bez sumień i Boga, są podli!

Mężczyzna.

A ino „dieńgi“ i „dieńgi“ wołają
Na każdem miejscu i w każdym urzędzie . . .
Żebyć jednemu — ale całą zgrają
Rwą ci grosz z ręki, gdy się go dobędzie.
Srogie łakomstwo i pochuć zjadliwa,
Co swej sytości nie zazna nikiedy,
A wciąż dokłada w te żary paliwa . . .
I liku nie masz zbereźnej czeredy!

Chłopiec.

Szkoda powstańców, cudne były pany!
Raz ich widziałem na jarmarku pono,

Jak szli przez rynek — każ lziutki przybrany
W magierkę z piórem, orłem zaszpiloną.
Konie jak ptaki furkają pod nimi,
Iskry z pod kopyt buchały siarczyście,
Konie parskają, aż para się dymi,
I w górę płynie jak srebrzyste kiście.
Wojtkam też widział — wielga zeń osoba!
„Wachmistrzu!“ — ludzie na niego wołali —
O! strasznie mi się taka rzecz podoba,
Że chłop a zaszedł i od panów dalej . . . .
Bo pod nim wszyscy byli tam panowie:
Jeno ci śmignął szabelką nad czołem,
A szereg za nią... choć słówka nie powie —
To sznurkiem płyną, to się toczą kołem.
A jak ich w rzędy ustawił równeńko,
Wyjechał przed nich i jął prawić cości . . . .
To tylko każdy sięgał pod skroń ręką,
W oczy mu patrząc z nieznośnej radości!
Ponoć harmaty Moskalom zabierał,
I za to z niego był taki jenerał!
O! jak dorosnę i powstanie będzie,
Nie obaczycie mnie na waszej grzędzie —
Pójdę i ja tak wywijać szabelką,
Bo mam do tego zaciekliwość wielką!

Starzec.

O! przyjdzie, przyjdzie — i na Moskwę pora —
Nas oszukała — dziś górą łeb niesie!
Dyć ginie jutro to, co żyło wczora,
A echo dłużej, niżeli głos w lesie . . . .
Gadają ludzie za tą gadką starą,
Że jakiś król nasz, co go Śmiałym zwali,
W podziemiach Karpat, z wojaków swych chmarą
Jest na pokucie — by po niej Moskali,
Wyszedłszy z jaskiń — wytępił sromotnie!
To na świadectwo odwiecznego cudu,
Że ludzka ręka, choć siecze, nie potnie
Plonu Bożego — żyjącego ludu!
Ino zmiarkować tego czasu — zasię!!
I tej godziny, co tam dla nas bije . . . .

Nie jeden się tu ciszkiem na rzeź pasie
I złotem krasi pod topory szyję.
Oj! człeku, człeku! nie w twojej to mocy,
Przed czasem ziarno wydobyć z pod roli —
Chociaście bez dna, w rozumach głębocy!
Tego wam dojrzeć Pan Bóg nie dozwoli.
Aż przyjdzie pora — zkąd i jak niewiadu...
Lud się zamrowi bez liku i wszędy . .
W napadzie mądrość dobędzie od gadu,
A wichry w swoje zaprzęże rozpędy —
I w onej dobie w pioruny zatrzaśnie,
I Boski wyrok uczyni hałaśnie!
(*Rozchodzą się wszyscy.*)

Obraz I.

Na zamku królewskim w Warszawie.

SCENA I.

Jenerał-gubernator (*sam.*)

Trzymam i trzymam „pana Piotra“ w klatce,
I nic wycisnąć z Polaczka nie mogę —
Jest on jak książka próżna na okładce,
W cudzym języku, mająca treść srogę,
No nieczytelna nikakim obrazom . . . .
(*p. chw.*) Ta — za powstanie był trzy lat w kopalni,
Karę odcierpiał . . . lecz ci co wylazą
Jak szczury z jamy . . . to jeszcze nawalniej
Do łupów drą się. Nu, bo w tom jest sztuka.
Chwycić za rękę, co w serce ucela . . . .
Zanim zło zdieła. niech po kratach puka:
Taką naukę mam od Wieszatiela!
(*p. chw.*)
Wsiegda się najdzie na Polaka kréska . . . .
W spisku się wylągł i na spisku skończy.
Zdaleka anioł a miatieżnik z bliska,
W trop za nim zawsze niechaj pędzi gończy . . .

Nie skrewił teraz, to się złapie potem . . . .
Nie diełał jeszcze, to już duma zdradno,
Gdy śpi i tańczy, to zamyśla o tem:
Rychło kajdany z jego Polski spadną!
Tfu! Sumaszedsze! no sławno wsiotaki!
Dla czynowników w tom racja jest bytu,
Bo gdyby korne były te Polaki,
Nasz brat nie doszedłby swego zenitu . . . .
Gdzieżby pomieścił car swe bolsze ptice?
Komuby rozdał ordery i gwiazdki?
Zgasłby w ciemnościach i paszoł na nice . . .
A knut by usechł, dziś żywy i świastki!
Polsza — to źródło bogactwa i sławy!
No Polsza w buncie! nie spokojna, cicha!
Czyńmy więc sami w niej ten ferment krwawy,
Bunt — zwierza dręczmy, ale niech nie zdycha!
Szukajmy łowko, spisków w każdej porze.
A gdy ich niema — to stwarzajmy sami!
Bo bunt do szczęścia wsiegda nam pomoże.
A pokój — zrówna tolko z durakami!!
(p. chw.) „Pan Piotr“ bez winy.... Niebłahonadiożny?!
W tom i podrywka . . . może się go chwyci . . . .
Przynętę kinąć — ptak pójdzie na rożny —
Zemstą aż kipią . . . karani bandyci . . .
Nu — ja mu córkę więźniów inspektora.
Prekrasną Tacię, na smakołyk wsunę . . . .
Da — z matki Polki — to do knowań skora,
A w matki swojej nie zagląda trunę . . . .

SCENA II.

Jenerał-gubernator. Tacia *(wchodzi.)*

Jenerał-gubernator.

Moje pocztenje!

Tacia.

Uniżona sługa.

Na rozkaz jestem.

Jenerał-gubernator (*mierząc ją oczyma.*)

Pięknie, bardzo pięknie . . . . .

Tacia (*zmięszana.*)

Jak służyć mogę?

Jenerał-gubernator (*wskazując jej krzesło.*)

Historja nie długa —
Powiem ją — tolko niech panna nie zmięknie . . .
No — wy Tacjana wskroś ruska jesteście?
Caru służycie swą duszą i ciałem?

Tacia (*d. s.*)

Ciałem? oszalał?!

Jenerał-gubernator.

W takoj-to niewieście
Mam zaufanie — w pomoszcz was wybrałem —
A czy wy ruska, czekam odpowiedzi . . .

Tacia (*dwuznacznie.*)

Kimże bym była, służąc cesarzowi?

Jenerał-gubernator.

Wiesz już zapewne, że w więzieniu siedzi
„Pan Piotr“ i muchy po suficie łowi . . . .
Ja radby jego ułowić toż w matnię,
Ale przez kogoś, co sprytny i umny . . . ,
Mam tu tajemne depesze ostatnie,
Że choć bunt jawny zamknięty do trumny
U nas tu w Polszi — to tam, za granicą
Mają rząd skryty i z nim nieustanno
Polskiemu bogu tu, w ołtarzach świecą . . . .
Więc masz od Piotra wybadać to, panno!

Tacia (*zadziwiona.*)

Ja? to wybadać? ależ sposób jaki?

Jenerał-gubernator.

Sposób ja znajdę — oto jest najprostszy:
Wiesz, że kochliwe są bardzo Polaki ....
A kto na miłość apetyt zaostrzy,
Ten wszystko od nich wyciśnie, co pragnie.
Udaj, że się w nim zakochałaś wielce,
Że przez to w polskiem pogrążasz się bagnie ....
Że go wybawisz ... a on zbawicielce
Wszystko wyśpiewa — jejbohu! ci mówię.

Tacia.

Ależ to straszne!

Jenerał-gubernator (*przerywając.*)

Sawsiom nic strasznego!
Wszak miłość cudza, nie obce obówie,
Nie gniecie wcale, łzy z bolu nie biegą ....
Że ktoś mnie kocha — ja się z niego śmieję,
To są zabawne w tem życiu koleje;
Nu — tolko trzeba, byś ty udawała,
A on serjozno zakochał się w tobie —
Na tem polega panny czynność cała;
Cóż panna powie?

Tacia.

Jakże ja to zrobię?
(*d. s.*) Coś w sercu kole ....

Jenerał-gubernator.

To rzecz nie moja — wy do tego mistrze!
Macie sposobów tysiące tysięcy ....
Zabrać się tolko goriaczo i bystrze!
Taki mój rozkaz — a przeciw, nic więcej!

A prawda, dodam tutaj pannie jeszczo,
Że za to dieło ojcu order wręczę,
A jej na posag — ruble zaszeleszczą,
Aby ukoić to serce zajęcze,
I raz przekonać — że car takie dieła
Woli, niż chrabrost' wśród boju sałdacką.
Bo jeśliś naszą historję pojęła . . . .
To tylko zdradą szło nam wszystko gracko!
Rozbilim trony, ujarzmili ludy,
W puch obrócili żelazne kreposti —
Nos swój wtykamy i tudy i siudy . . . .
Nu, a gościniec wsiegda nasz nie prosty . . . .
To ty rossjanka masz to we krwi swojej,
A żmija żądła swego się nie boi!
Bądź panna zdrowa — spełnisz me rozkazy,
A wiedz, że nigdy nie mówię dwa razy!

Tacia (*odchodząc*).

Posłuszną będę woli mego pana.

Jenerał-gubernator.

Czeka ją przyszłość bolsza, wyzłacana!

SCENA III.

Jenerał-gubernator. Asafat (*wchodzi.*)

Jenerał-gubernator.

Zdrastwuj batiuszka! a cztoż u nas lepiej,
Niźli w Galicyi? tam przy skórze golą . . .
Tu — broda, warkocz, czut' czut' nie oślepi
Okrasa taka! Z wolna. dobrą wolą
Do prawosławnej powróciłeś wiary, —
No, on nie lohki ten obrządek stary.
Bo car wymaga więcej niż papieże,
A za to darzy — a sam nic nie bierze . . . .

Asafat (*z uniżonością.*)

Ach! prawda, prawda — dziś jestem szczęśliwy.

Jenerał-gubernator.

Nu, ale trzeba wiernym być carowi,
Osłaniać plony jego mnogiej niwy,
Zatykać szpary, gdzie się blask sadowi . . .
Bo światło czasem spokój nam zamąca,
I gorsze słońce bywa od miesiąca . . . .

Asafat.

Oj! te kniżeczki, to prosto jak dżuma,
Źle, gdy się z niemi lada chłyst pokuma —
Z nich to wyrosło przeklęte powstanie,
I Lachy cierpią zawsze tylko za nie.

Jenerał-gubernator.

Ten Piotr, to także uczonego kawał,
On zdradne dieła ma wsiegda na myśli —
Będę go teraz sztuczkami poznawał,
Bo wiem, że plany jakieś chytre kréśli . . . .
Batiuszka w tem dziś dopomożesz skrycie.

Asafat (*j. w.*)

Do usług moje siły, zdrowie, życie.

Jenerał-gubernator.

Wot tak, to lubię — zabierz się do dzieła!

Asafat.

Już gotów jestem — byle głos komendy!

Jenerał-gubernator.

Aby się nasza flancówka przyjęła,
Trzeba jej mierzwy nagromadzić wszędy,

Ubrać się w maskę i w skórze nie swojej
Wleźć do tygrysich, żelaznych podwoi....
By to uczynić, lubyj Asafacie!
Za zakonnika będziesz ty rzymskiego
Jako spowiednik... a liczę już na cię,
Że djabli Piotra wtenczas nie ustrzegą!

Asafat *(z radością.)*

Genjalny pomysł! z tak majsterskiej sieci
Ni lew, ni mucha nigdy nie wyleci.

Jenerał-gubernator.

Das — będziesz wąchał spisku przy spowiedzi
Dla dobra cara, prawosławnej wiery.
Kat na torturach tyle nie wyśledzi,
Nie wydmą z jaskiń tego wiatry cztery,
Co cichy monach (wyznać szczerze muszę)
Pyłu wykinie, oczyszczając duszę.....

Asafat.

Zbudziwszy serce — aby nie był głuchy
Na suflerówkę żalu, oraz skruchy.

Jenerał-gubernator.

Gromko poczynać odrazu nie można —
Więcej przychwalać a ganić z ostrożna.

Asafat.

W gańbie dać uczuć ukrytą pochwałę,
W pochwale wytknąć zasługi zbyt małe —
A ciągle pytać o grzechów wspólnika,
Łowko chwyciwszy jego rodne miano,
Co jak nić złota cały haft przenika,
I daje wartość rzeczy wyzłacaną....

Jenerał-gubernator.

Das, das, ot z ciebie jezuit nie lada . . . .
Ja wróżę tobie archirejstwo zaraz.
Na djejatieli ono tylko spada,
Na tych, co Lachom czynią wciąż ambaras . . . .

Asafat *(dotykając jego kolan.)*

Ha! łasce waszej oddaję się kornie,
Moc pańska carskiej w tym kraju się równa.

Jenerał-gubernator.

Me obietnice niech będą jak szpornie!
Kriepko galopuj . . . i chwytaj . . . rzecz główna!

Asafat.

O! chwycę, chwycę — bo Piotr gruba ryba,
Albobym ogłuchł, on zaniemiał chyba . . . .

Jenerał-gubernator *(z ironją.)*

No, teraz w cerkwiu pójdziem bić pokłony,
Aby nasz manewr został uwieńczony —
Byś mi spiskowych zebrał całe setki.
Choćby z nich ważył każdy za liść wietkij,
I tyle było w nim spisków w istinie,
Co soli w rzece . . . przez którą śledź płynie.

Asafat.

Choćby nie było, to zawsze być mogą,
Bo zwierz drapieżny pod trop idzie drogą.

Jenerał-gubernator.

Das, łowczyk z ciebie, jejbohu, liubimy!
Wiesz co podrywka i co jest — wychodne . . . .

Asafat.

Idźmy do cerkwi, to się pomodlimy,
Zanim w zapale moim nie ochłodnę.
Bo to modlitwy póki są gorące,
To takie wonne jak kwiaty na łące.

Jenerał-gubernator (*z ironją.*)

Nie wsiakij kwiatek pachnie jednakowo,
Nie wsiaka woń też dla nosa jest zdrową . . .
(*Wychodzą*).

SCENA IV.

Hida wchodzi (*sama.*)

Uczył mnie, jak mam teraz wróżyć Taci
Pan gubernator, z przyczynkiem : jenerał . . . .
A niech tam — będę, kiedy dobrze płaci!
Nie jeden na mnie swój proceder wspierał.
I źle nie wyszedł, nie, na Mahometa!
Bo wiele może przemądra kobieta . . .
Kazał mi przyjść tu — będzie coś nowego . . . .
Wprawdzie nie wolno zawsze wśliznąć się tu,
Dieńszczyki, służba, wcale mnie nie strzegą —
Jestem jak tęcza wśród burzy zamętu,
Bo jak pan fuka, pozgrzytuje, parska.
Kiedy mnie ujrzy . . . łaskawszy dobrodziej!
Bo wie — że sprytna wychowanka carska
Jakimś przysmaczkiem . , . . troski mu osłodzi . . .
A zakazanym . . . z pod dziesięciu kluczy . . . .
Toż cierpliwości przezemnie się uczy.
Dziwne koleje! z tatarskiego pieńka.
Sierota z pieluch — na koszt cara wzięta
Do szkół . . . teatrów . . . drobina maleńka
Słońcem błyszczała, a przy niej panięta
Jak marne gwiazdki kręciły się w koło.
Oklaski, brawa bez liku sypali ;
Bom ja baletu była szyld i czoło,
Pókim za balet nie frunęła dalej . . . .

Aj, aj, ten zdrajca ataman kozacki!
Przysięgał, że się „w try miga“ ożeni,
A łgał, choć chłopiec był piękny i gracki!
Za zdradę poszedł do Eblisa cieni....
Tyle, że mnie tu przywiózł do Warszawy,
I głową spłacił Polaków bój krwawy!
Ja szybko w polską ubrałam się skórę,
Ich mowę łatwo przyswoiłam sobie —
A breweryjki przeszedłszy niektóre,
W wędrowny teatr, ku jego ozdobie
Wstąpiłam potem — i tak było długo....
Aż mnie zaczęli zwać: „starą papugą!“....
A! wy nicponie, łotry i urwisze!
Niech was nie widzę a bluźnierstw nie słyszę!
I dalej nura! napowrót w Warszawę! —
Kabałki ciągnąć i różne sekrety,
Czasem rozkoszne... a najczęściej łzawe...
Spadłszy tak nisko... urządzam niestety!
— Trudno, żyć trzeba! samobójstwo zbrodnią!
Wszyscy tak mówią —, lecz niektórzy czasem
Radzą na stryczku huśtawkę przygodnią
Na jakiej wierzbie, lub pod wilczym lasem...
A! heretycy! tego byście chcieli!
Na Madejowej sypiać wam pościeli!
— Żyję, i więcej mam od was obroku....
Za czub ja trzymam wszystkich dygnitarzy...
A jeśli głupiec patrzy na mnie z boku....
To on nie żyje — a o życiu marzy!
I nie wie co to, ta komedja krótka,
Którą przed widzem zamknie śmierci kłódka!
Tymczasem Tacia wchodzi nam na deski....
(śmiejąc się) Ha! ha! dopomóż Ałłachu niebieski!

SCENA V.

Cela więzienna, otwarta na korytarz.

Piotr *(sam.)*

Zamknęli nagle! siedzę — ale za co?!
Wszak po katjorgach nic nie zawiniłem —

Za mą niewinność znęcaniem się płacą,
Kratami, głodem, i powietrzem zgniłem!
Czemuż mnie z grobu żywych wypuszczono,
Którzy dla świata tego są umarli?
Danoż mi wrócić na mej ziemi łono,
Aby mnie tutaj na nędzny proch starli?
Czyż wam przeczucia, instynkty zwierzęce
Mówią, żem przyszedł silniejszy z katowni?
Że te do taczek tam przykute ręce
Dziś by wam szablą pisały wymowniej?
Że wzgarda piersi rozdziera mi w strzępy?
Że miłość świętych ideałów wzrosła,
Których nie chwyci wzrok i słuch wasz tępy,
I nie dotrzecie tam .... dzicy bez wiosła!
Sprężyna w ogniu, a człowiek w torturze
Nabiera mocy i nadludzkich lotów!
Miażdżony stopą, wznosi się ku górze ....
Za całą ludzkość cierpieć wonczas gotów!
O tem nie wiecie — o! biedni! poziomi!
Stuletniem szczęściem, dziejowem, wy ślepi!
Rozumne raby, których knutem gromi
Car, knutem ładzi. oświeca i krzepi ....
Gdyśmy bezbronni powstanie zażegli,
Nadzy wśród zimy, bez wodzów i złota,
Obcy bojowi, ileście wy biegli!
Gdzie każdy krok nasz wikła się i mota,
A wśród szeregów starcy i dzieciaki —
Garstkami w borach ... wy pędem skrzydlatym
Runęli w krocie, i do wojny takiej
Szli tak orężni, jakby w bój z półświatem!
A piorun trwogi rozdarł Moskwę do dna,
Zadygotały wam lodowe serca!
Zrywa się żądza bratniej krwi wciąż głodna,
Żmija rozpaczy w waszą pierś się wwierca!
Carowa z carem błaga Wieszatiela,
Prąc go tu na nas — aby uratował
Choć tylko Litwę z zaborów tak wiela!
Zkąd to zwątpienie — że duch padł na pował?!
Przecz stu orężnych przed jednym bez broni
Drży jako liście osiny wśród burzy?
Wam zgon wydzwania, nas w nadzieję kłoni ....

Gdzie ten, lub to jest, co tak strasznie wróży?!
Ha! głos sumienia, Nemezys dziejowej,
Co jako ryba nigdy ócz nie mruży,
I na narodów wciąż patrzy okowy,
I liczy cięgi i krwi krople liczy
I wszystkie krzywdy zawiesza u krzyża
W chwili katuszy szatańskiej, zbrodniczej
Szepce do zbirów, że się zgon ich zbliża....

SCENA VI.

Piotr. Nadchodzi Archyp, potem Toba.

Archyp.

Nu ja wam panie, powiem dobre wieści.

Piotr.

Że może jutro na stryczku pojadę....
Sam — bo tam ciasno... nikt się już nie zmieści.

Archyp.

Sachrani Boże! to nie o zagładę
Waszą dziś chodzi — no ulżyć chcą trocha.

Piotr.

Któż ten dobrodziej i jakie ulżenie?
Z tych, co mnie więżą, nikt mnie tu nie kocha.

Archyp.

Wy tom gardzicie?

Piotr.

Owszem, bardzo cenię —
Ale się dziwię i pojąć nie mogę.

Archyp.

No, to już znajcie: mam rozkaz od Taci,
Bym wam osładzał tę niewolę srogę.

Piotr (*d. s.*)

— Aha! być może — litością mi płaci —
(*głośno*) To ona, widać, ma serce łaskawsze.

Archyp.

Jak idzie tędy do domu codziennie,
To przy drzwiach waszych coś poduma zawsze...

Piotr (*d. s.*)

Czyżby aniołem była w tej Gehenie?
Wzrokiem — współczucie wyraźnie objawia.
(*głośno*) No, ale uśpić czujnego żurawia
Rzecz bardzo trudna.

Archyp.

Toż ja czuwać będę,
Pilnować strogo — no wam nie dokuczę.

Toba (*zbliża się z koszykiem.*)

Cóż tam dziś złapię od pana na wędę?

Piotr.

Nic, bo twych rybek strzegą z lodu klucze.

Toba.

Nie ma fortecy, by grosz nie wszedł do niej —
Awah! te grosze, to wielkie rycerze!

Archyp.

Naczalstwa rozkaz zamki w prask rozgoni.

Toba.

Ja, z przeproszeniem, w te łaski nie wierzę.
Bo wiem, że ptaka kiedy zamkną w klatki,
To, już nie na to, by go wypuszczono,
Choćby on był tam morejny i gładki,
I lamentował za dziećmi i żoną,
I wielki hałas, jak w dniu sądnym czynił,
To będzie siedział, choć nic nie zawinił!
Bo on się, widać, przygodził im na to —
Coby siadywał za żelazną kratą....

Piotr.

Mądre twe słowa.

Archyp.

Jewrejskie wykręty.

Toba.

Ny ja żydówka omylam się może...
Pan Archyp to już w tych sprawach pojęty.

Piotr.

Ma na swem czole z ukazów poroże...

SCENA VII.

Archyp z Tobą odchodzą w głąb korytarza, ujrzawszy zbliżającą się Tacię. Piotr zostaje w progu celi.

Piotr.

Pozwól mi pani, złożyć korne dzięki.

Tacia.

A za cóżby to?

Piotr.

Żeś pani łaskawie
Z mych oków ciężar odjęła maleńki.

Tacia.

Nie mam ja wpływu zgoła w pańskiej sprawie.

Piotr.

Lecz nakazałaś pani Archypowi,
Aby mi krzywdy nie czynił z swej strony.

Tacia.

Bo przykro bardzo — gdy kto cios ponowi,
Chociaż do tego nie był przymuszony.
Ach panie! żal mi — wyznaję to szczerze,
Żeś się pan wplątał w jakoweś tam spiski.

Piotr.

Do spisków żadnych teraz nie należę,
Bo nie istnieją.

Tacia.

Grunt to bardzo ślizki,
Po którym przebiedz pan chcesz do przystani . . .

Piotr.

Ziemia to święta, w nią wrosłem mą duszą —
Cios każdy dla niej tak błogo mnie rani,
Żem choć niewinien, a w miazgę mnie kruszą —
Nie zamieniłbym jej za rajski Eden,
Dałbym wiek szczęścia za dzień dla niej jeden!

Tacia.

Pan taki dobry, w to wierzę głęboko!
Tak prawdą błyska czyste pańskie oko —
Lecz wszyscy mówią, żeś pan jest spiskowy.

Piotr.

Litość wzbudziłem w szlachetnem jej łonie,
A wiary trudno . . . . twardnieją okowy!

Tacia.

Przebacz mi panie! serce w żalu tonie . . . .

Piotr.

Trzymają mnie tu, by mnie wpędzić w sieci,
By rozgłos runął w petersburskie mury,
Że wicher buntu znowu z Polski leci,
Jak upiór straszny, zawzięty, ponury!
A diejatiele, wasi dygnitarze
Zadarmo chleba carskiego nie jedzą,
Że im jad zdrady każdy kąsek maże
Z zatrutych kłosów, za tą polską miedzą.
Wierzaj mi pani — że tak jest w istocie,
I za to cierpią dziś niewinnych krocie!

Tacia.

A, toby straszne było i okropne!

Piotr.

Będę szczęśliwy, celu swego dopnę . . . .
Jeśli mi pani bezwzględnie uwierzy,
Bo pod przysięgą! mówię to najszczerzej!

Tacia.

Cóż panu z tego — gdybym uwierzyła?

Piotr.

O! bardzo wiele! bo bym ujrzał wtedy,
Że jakaś dziwna i cudowna siła
Anioła mieści wśród katów czeredy!

Tacia.

Ach, pan tak mówi — że mnie wstyd ogarnia,
Jakby przez moich... była wam męczarnia —
A jabym rada, choć nie wiem dlaczego?
Wypuścić pana zaraz na swobodę —
Bo łzy do serca wciąż gorące biegą.
Kiedy się widzi takie lata młode,
A w takiej strasznej nędzy, poniewierce...
Że trzaby z głazu mieć już na to serce!
Tyle wycierpiał pan w ciężkiej kopalni,
A tu znów burza pomyka nawalniej,
I tak szturm każdy ponowiony, groźniej
Otwiera bramy dośmiertnej katiorżni.
Nieszczęście widać, ślepy los tu włada,
Ten znak czerwony na wełnie jagnięcej...
Tajemny palec pisze na was: zdrada!
Bo nad to, na was — dziś nie ma nic więcej!
Może to dziwnem wydaje się panu,
Że takie słowa wygłaszam otwarcie...
Lecz kto sierotą został już po ranu,
Komu mogiła w pierwszej życia karcie,
Złowieszczo stempel wycisnęła sroga
I imię matki wykreśliła z świata —
Ten wie, co w cierniach krwawiąca się noga,
I gdzie łza cicha nieszczęsnych ulata...!

Piotr.

Pani! w twych słowach tajemnica wielka,
Jak brylantowy strumień wśród bagniska,
Jak na Saharze by rosy kropelka,
Jako w podziemiach, gdy słońce nam błyska...
O! powiedz pani, zkąd źródło to bije?
Gdzie tej fontany macierzyste łoże?
Przytul gołąbki srebrne na twą szyję,
Niech prawdę wyrzec ten ptaszek pomoże!...

Tacia.

Nie pora jeszcze, wypowiedzieć wszystko!
Źle tylko myśleć — niewolne nikomu —

Nie jestem szpiegiem, ani nihilistką,
Jak żmii lękam się każdego sromu!
W sercu mam matkę i tych drogich przy niej,
Którym los krzywdy bezlitośne czyni.

Piotr.

Cierpliwym będę — a ufam gorąco,
Że tajemnica wypłynie powoli —
Gdy ci, co czystość kryształu dziś mącą,
Wrócą do swojej wyświeconej roli
A pani wolną być może od słowa...
Prawdę mi wykryć — będziesz wraz gotowa,

Tacia (*z wzrastającą ekstazą*).

Widzę — przeczuwasz pan dzisiaj już wiele...
Czy jednak wszystko pan kiedyś odczyta,
Co w mojem sercu sobie gniazdko ściele,
A nadziejami karmione do syta,
Jakieś mi światy czarowne odsłania?
O wschodzie cudne... przy zachodzie z łuną...
Olbrzymie, lśniące u swego zarania,
Zmartwychwstające, gdy gromy w nich runą,
A obudzone zwiastunem aniołem,
Który w mej duszy te cuda wciąż wskrzesza...
Czy powiesz mi pan: już wszystko pojąłem?!
O! niech kamieniem ciska wtedy rzesza...
Niechaj się ziemia rozpada podemną —
Niech mnie ćwiartują... ja będę szczęśliwa!
Bo pan rozwiążesz zagadkę tajemną —
Niechaj ta chwila na skrzydłach przypływa!
(*Na widok zbliżającego się Archypa, oddala się, podając rękę Piotrowi, który wchodzi do celi.*)

SCENA VIII.

Archyp (*zamyka celę Piotra*).

Będą wziatoczki — u Lachów kubany —
Bo raz u russkiej, a raz z polskiej ręki...

Toż Archyp będzie tiepier pozłacany,
I na przemianę — u dwojga mileńki,
— Nu cztoż? za dieńgi — wsiewo można dostać!
Dieńgi jak drożdże w górę niosą postać,
Dieńgi wsie bierut: popuszki i cary,
Za dieńgi: umnyj — i mołodcem stary!
Wot i te ruki, na to są nam dane,
Cztob wziatoczkami wsią goiły ranę!
Pan Piotr i Tacia, każetsa, wlubłeny...
Oj! miłost', miłost'! to zabawka droga,
Co się bez skośnej nie zakończa sceny.
Choć ona łowko bryknęła od proga...
Eto nie skandal, czto ona jest nasza,
On Lach gariaczyj! bo ja znam kniżeczkę,
Która tu wszystkim prekrasno wygłasza,
Choć ja ją czytać bojusia troszeczkę,
Czto i caryca Katarzyna druga
W korolu polskim wlubiłaś serdeczno...
No i ta miłost' była oczeń długa,
Bo prekinuła ona się na wieczną...
Caryca k'niemu była taka czuła,
Że go przy sobie do śmierci zamknuła!
Może i Tacia toż z Piotrem uczyni...
Nu, to ugodno i bezpieczno razem —
Bo ona tutaj jakby hospodyni,
Dieła się mnogo za jej tu ukazem,
Naszt brat nałowi za sekrety hroszy
I raz się przecie z dozorstwa spanoszy!



Obraz II.

U Hidy wróżbiarki.

SCENA I.

Hida, Tacia.

Tacia.

Tyle wróżb waszych codzień się nam ziszcza,
Że już doprawdy nie wierzyć wam trudno,

Po waszych słowach czasem dymią zgliszcza,
A czasem na nich widać różę cudną —
Co komu w głowie nie marzy się zgoła,
To wasza wróżba przed oczy wywoła.
Powiedzcież i mnie — co do mej przyszłości,
Jaka się i czem — drożyna wymości?...

Hida (*patrzy na dłoń Taci*).

Zda się, dłoń próżna... ho, ho, ho... nie lada!
Co się tam dziwnych wykrętasów ścicle?
A wszystko w górę... nic na dół nie spada —
Wonnych kadzideł, złota jak w kościele!
Pokłony biją, całują kraj szaty,
A wszystko mrowiem pod stopy się tłoczy —
Taki los miewa tylko człek bogaty,
I to szczęśliwców oglądają oczy!

Tacia.

To mnie zdumiewa! nie myślałam o tem,

Hida.

Nie na tem koniec... i korona płonie...
Prawie głos słyszę, — pod carskim namiotem.
Ze świtą jego Tacia w zgodnem gronie...
O niej car mówi, za wzór ją podaje,
Wszyscy z zazdrości o mało nie pękną!
Wtorują szmerem, jak morzu ruczaje,
Dźwięcząc harmonią pochwalną i piękną!
Dość na tem: skarby i monarsze względy,
O! tędy przyszłość mojej panny, tędy...

Tacia (*jakby odurzona.*)

Hido, puść rękę — bo mi rozum słabnie,
A widma jakieś pod oczami płyną...

Hida.

Ręki nie cisnę — lecz trzymam ją zgrabnie,
Jakbym twym była, tyś, moją dziewczyną!

I jeszcze pragnę powróżyć ci trocha...
Pytaj mnie Taciu!

Tacia.

Ach, cóż mi się marzy?!
Powiedz mi Hido, czy mnie dziś kto kocha?

Hida (*wpatrując się jej w oczy*).

Czy dzisiaj kocha?... Tak. Żaden z mocarzy...
Lecz przygnębiony... niepewny...

Tacia (*przerywając z ekstazą*).

Co słyszę?!
Ten przygnębiony?!

Hida.

O wzajemność drżący...

Tacia.

Niestety! biedny!

Hida.

Łzami karmiąc ciszę,
Poddany tobie — sług twoich służący...

Tacia.

Co mówisz Hido? czyś ty prorokini?
Czyli też zdrada na skrzydłach cię niesie,
Coć z ciemnej nocy jasność dzienną czyni?
Przed głosem echo podchwytujesz w lesie...
Czyż mi marzenia jak motyli stadko
W łąki snu kwietne pędziła rojami,
Na oną roztocz eteryczną, gładką,
Której źrenica śmiertelnych nie plami,
Wśród której wasze olbrzymy — to karły!

I dziś twe dłonie ten skarb mi wydarły?
Ty nie wiesz może, co duszy sierocej
Waży i znaczy serce jej oddane?
Jakiego ono blasku jest i mocy!
Jakim balsamem na dośmiertną ranę?!
. . . . Tak, pognębiony . . . modląc wzajemności. . .
Sług mych poddany. . . odgadła zaiste!
Potęga nieszczęść święte prawa rości
Do serca mego, co jak kryształ czyste!

Hida (*d. s.*)

To któryś z więźniów. . .

(*głośno*) Nic od dzisiaj przecież
Nieśmiałość płoszy lot doli macoszej. . .
Co, raz gdy ujrzysz, to wiatr wymieciesz,
Po za sfer prądy, tych wirów tumany,
Które głos jego dławią zagrzebany. . .

Tacia.

Ach prawda, prawda — on szlachetny taki!
Stygmat męczarni na czole mu błyska.
Fatalistyczne lśnią się na nim znaki,
Przedurodzone, tu za nim zjawiska
Jak mściwe furje ścigają zawzięcie,
By jako perła zginął w tym odmęcie!

Hida (*d. s.*)

To Piotr być musi . . . zbadamy to bliżej.

(*Wchodzi Toba z koszykiem w ręku — na widok jej Tacia usuwa dłoń, a drugą daje pieniądze Hidzie.*)

Hida (*fałszywie.*)

Do Psychy Amor niech nadbiega chyży. . .

SCENA II.

Ciż, Toba.

Hida (*do Taci.*)

Car cię pochwali, wzbogaci — ktoś kocha. . .

Tacia.

O! taka wróżba, to już nie macocha. . .
(*Słychać dzwonek z dalszych pokojów*).

Hida (*wychodząc*).

Gość przy sekretnych drzwiach się tam odzywa.

Toba.

Aj! panno moja, nie wierzyć wróżbiarce.
Ona nic nie wie, jej mowa kłamliwa —
A za ciekawość . . . to już pannę skarcę.
Bo to prowadzi panienki do złego . . .
I w takim domu, na moje sumienie!
I aniołowie dziewcząt nie ustrzegą . . .
Bo grosz i słowo fałszywe — wraz cenię.

Tacia (*z oburzeniem.*)

Co też tam plecie takie bajki Toba!
Ja wiem najlepiej, czy mi prawdę rzekła?

Toba.

Ny, rzekła to, co pannie się podoba . . . .
A bodaj ona nie wyjrzała z piekła!
Wprzód wyszpieguje a potem powtarza,
Bo ona wszystkim faktoruje wszędzie . . . .
Jest u dziadówek i u dygnitarza . . . .
Na me sumienie! jest w takim urzędzie.
Co gdy w nim pójdzie trocha za daleko . . . .
To ją przez wdzięczność na stryczek zawleką!

Ny, ja żydówka nie uczona wcale,
A już geszeftu z nią, pani nie chwalę.
I radzę, żadne nie gadać skrytoście —
I ztąd po cichu zaraz się wynoście.

Tacia.

Tak, terefere! oj, stara pleciuga!
Wszyscy ją znają w całem mieście prawie —
I każdy powie, że się taka druga
Nie znajdzie łatwo nigdzie i w Warszawie.

Toba.

Ny, tak w Warszawie . . . ona nie tutejsza.
Tu taki towar . . . coraz się umniejsza,
Ale poszukać, to znajdzie na śmieci,
Albo w rynsztokach, gdy w kanały leci . . . .

Tacia.

Nie lubię słuchać, gdy kto nudzi, paple,
Ma dziób za długi i podrzeźnia czaplę,
A zamiast rybek wyławia robaki.
I z tem się chwali, że smakosz jest taki! . . .

Nadchodzi **Hida.**

Tyle zamówień i zaprosin czeka —
Że nie wiem, gdzie wpierw posłużyć i komu?
. . . Tu coś o mężu, który wciąż ucieka
I tylko gościem jest we własnym domu —
Tam znów o żonie, która chce doktora,
A na ślizgawce jak strzała pomyka
I nigdy w życiu swem nie była chora.
Indziej bilecik, co nakształt słowika,
A bez podpisu wywodzi swe trele,
Odgadnąć kto zacz?! to więcej niż wiele!

Toba.

Jużto kiepełe u pani nie lada,
Z niej tyle nowin, co wróbli wypada . . . .

Tacia.

To pojąć trudno.

Hida.

Rozumem niezawsze
Wszystko zgłębiamy — dla niego się skrywa,
Co dla instynktów bywa najjaskrawsze
A czego pełna tego świata niwa.

Tacia (*do Hidy.*)

Dłużej słuchaczem nie możem być dla niej.
Czas się nam rozejść, tam czekają pani.

Hida.

Skoro pod jednym dachem tu mieszkamy,
Dla częstych wizyt nie istnieją tamy.

(*Rozchodzą się wszystkie.*)

SCENA III. jak scena V. w obrazie I.

Archyp (*potem*) Piotr.

Archyp (*sam.*)

To „szczegół“ jakiś . . . odemknąć go trzeba —
Aż z dwóch karmanów dieńgi idą za to:
Tacia przysporzy sadełka i chleba,
A on brzęczącą prikinie zapłatą... (*otwiera celę Piotra*)
— Nu, odetchnijcie sobie znów niemnożko.
Ja was tak lubię, że wy wciąż w pamięci.

Piotr (*dając mu łapówkę.*)

Samemu siedzieć — boleśnie i gorżko,
Gdy świat swobodą i marny liść nęci.

Archyp.

Da, i to wierno.

Piotr.

Powiedzcież mi szczerze,
Czy wam ta służba przykrą się nie zdaje?
Bo wciąż zamykać te nasze więcierze,
Albo otwierać, gdy nie są to raje,
Lecz istne piekła — to jakoś niesmaczno ....
Zwłaszcza, gdy na śmierć ztąd wywłóczyć zaczną.

Archyp.

Ja już przywykły — klucze same biegą ...
Nu i nie durak ... w tym moim urzędzie —
Szczęśliwszy nawet od Piotra świętego!
Bo on za darmo otwierał i będzie ....
Tolko za jakieś tam molebne: „proszę“ —
A ja mam za to od grzeszników hrosze!
(*Ujrzawszy zbliżającą się Tacię, odchodzi Archyp.*)

SCENA IV.

Piotr i Tacia.

Tacia (*podając mu rękę.*)

Śpieszę — bo dawno nie widziałam pana.

Piotr (*wpatrując się w nią.*)

Dawno?! ... ach! jakże drogie mi to słowo ...

Tacia.

Widzę, że jestem trafnie zrozumiana.

Piotr.

Będąca obcą piosenką echową,
Zagadką jakąś, promieniami lśniącą,

Czy meteorem, co w przelocie błyska,
Za którym myśli się tak nasze mącą,
Bo trudno kresu dopatrzeć zjawiska . . . .

Tacia.

Ciekawszem dla mnie zawsze bywa źródło.

Piotr.

Ach prawda, bo w niem życie czarem tętni,
Śmierć za niem dłonią nie sięga wychudłą,
W świat ten poglądа potężniej, namiętniej!

Tacia.

A, na to zgoda! tylko jeszcze jedno,
Co nam przeszkadza, zrozumieć się łatwo,
A to, zagadką też nie jest powszedną:
Żeśmy oboje matki jednej dziatwą!
Bom ja też Polka, z Polki urodzona,
Miłość Ojczyzny wyssałam z jej łona!
Ojciec Rossjanin wziął polską sierotę,
Biedną, nieszczęsną i nieletnią prawie —
A gdy ją zruszczyć obietnice złote,
Błyskotne dary, bale, stroje pawie
Nie mogły nigdy — jak pamiętam sobie,
Tak znienawidził moją matkę drogę,
Tak prześladował i zamknął jak w grobie,
Że śmierć litośna zabrała niebogę!
Ale nienawiść zawraz przeszła na mnie,
Odkąd był pewien, żem Polką jest w duszy —
Bom żyć i mówić nie umiała kłamnie,
A fałsz i postrach mych uczuć nie wzruszy!
Gdy nadto nałóg bezbrzeżnie nim miota . . .
Ha, dał mi poznać, co znaczy: sierota!

Piotr.

Ach! to los straszny! bo dwa obowiązki
Chwyciła w szpony fatalność szalona!

U dołu przepaść . . . na niej mostek wązki,
Który w Ojczyzny prowadzi ramiona.

Tacia.

I zaprowadzi — gdy pan rękę poda . . .

Piotr (*ściskając jej dłoń.*)

Masz ją więc pani, gorącą i szczerą!
Lecz pomnij na to: że topór i kłoda . . .
Są mej przyszłości — jedyną karjerą!

Tacia.

Ach, wiem, i wcale mnie to nie odstrasza —
Mym ideałem, ubóstwionym dawno,
Jest bohaterska, a z matki — krew lasza,
Pustowójtówna!

Piotr.

Czcigodną i sławną
Bez kresu będzie.

Tacia.

A szczęśliwsza ona,
Bo w polu walki biegła na ofiarę —
Nam w bezbronności została obrona,
Nią kruszyć mamy w rdzy okowy stare.

Piotr.

A i podstępów szatańskich tysiące,
Co jako gady z nory wciąż wyłażą,
I rój niebacznych i niewinne, śpiące
Swoją wyzutą przynęcają twarzą.

Tacia.

O! taki potwór przyjdzie tu do pana,
Wysłany zdradnie przez gubernatora —

A w zakonnika żmija ta przebrana,
Spróbuje, czy też ufność wasza skora? . . . .

Piotr.

Któż to jest taki? świętokradzca podły!

Tacia.

To ksiądz unicki z Galicyi tu zbiegły,
Na schizmę poszedł, rubelki go zwiodły.

Piotr.

O! z jakże kruchej, stawia on gmach, cegły!
Gruz go zasypie, zanim dzieło skończy!
Wszakże wie o tem, że biedni unici
Tu są w torturze! że im duch obrończy
Przebite łona iskrą życia syci —
Ten duch poświęceń, męczeństwa, ofiary,
Przed którym upadł Rzym pogański, stary!
Tam i tu równo — cezar zamiast Boga . . . .
I przez męczeństwo do zwycięztwa droga!

Tacia.

I mnie teżsame splamiły rozkazy!
Miałam was zbadać, potem zgubić w zdradzie . . . .
Gdym go prosiła, rzekł: „nigdy dwa razy
Nie rozkazuję!“ raz pieczęć się kładzie!
Jakżeż on ciemny . . . bez serca i ducha,
By nie przeniknąć istoty człowieka?
Widać, przeczucia on nigdy nie słucha,
A od sumienia, instynktów ucieka . . . .
To bryła lodu, zimna i umarła,
Na brzeg ciśnięta w oceanów gardła.
Car te lodowce na Polskę wyrzuca,
Jak piramidy na groby monarsze . . . .
Dech w nie swój topi, ile starczą płuca,
By piętnowały tu, dziejowe marsze . . . .

Piotr.

A więc tyś pani tak czysta, promienna,
Miała Judasza dziś powtórzyć dzieło?...
Niestraszna przecie aniołom Gehenna!
Na ich by widok i piekło westchnęło...
— Kiedym cię pierwszy raz ujrzał tu, pani,
Serce gwałtownie zabiło mi w piersi,
Bom spostrzegł promień w tej czarnej otchłani,
Co ducha wskrzesił... O! bądźmy raz szczersi!
Bom spostrzegł gwiazdę, której nie widziałem
Dotąd dla siebie, na ziemi... i niebie,
I już nie spotkam więcej — w życiu całem!
Bo tamte lśniły fałszywie i kłamnie,
Ty, widzę, jedna świecisz tylko dla mnie!
(Całuje jej ręce.)

Tacia.

Piorun tak szybko globu nie przewierca,
Niż skra uczucia, wzajemnie zatlona,
Przebiega błyskiem ze serca do serca,
I w jedno łączy dwa wezbrane łona;
Nieznane przedtem, obce sobie wzajem,
A może trafem złowieszczo rozdarte...
Naraz się stają wspólnym sobie rajem,
I losy swoje w jedną stawią kartę.
O! panie Piotrze! powiedz, czy się mylę?
Czym jest w tym raju? czyli też... w mogile?
(Kładzie ręce na jego ramiona.)

Piotr *(biorąc ją w objęcia.)*

Jesteś w Edenie! najsłodsza lilijo!
Niepokalana, choć w bagnach wyrosła,
Wonna i czysta, choć węże się wiją
Na brudnej fali, u twojego wiosła....
Ty kwieciem swojem, tem sercem iskrzącem,
Ponad wyklęte powiewasz w eterze,
I szukasz bratniej pomiędzy tysiącem...
Wreszcie znajdujesz i splatasz się szczerze!

Tacia (*tuląc się do niego.*)

Szczerze, na wieki! ślubuję ci złoty!
Od śmierci matki — dzień pierwszy — pieszczoty!

Piotr.

Na tej Ojczyzny letargicznym grobie,
Wierność i miłość przysięgam dziś tobie!
(*Słychać w dali otwieranie drzwi — Tacia* (*szybko odchodzi.*)

SCENA V.

Piotr, Asafat nadchodzi, ubrany po zakonnemu.

Piotr (*d. s.*)

To on!

Asafat.

Laudetur . . .

Piotr.

Na wieki . . .

Asafat.

Przychodzę
Poznać owieczki. Spowiednikiem jestem —
Pędzę me stadko po ciernistej drodze,
Wśród której z zwiędłych nadziei szelestem,
Jak drzew uschniętych — łączę ciche modły,
By nas w krainę spoczynku zawiodły.

Piotr.

Więc w tym spoczynku . . . zbawienie jedyne?

Asafat.

Jeśli przed czasem nie znajdziem sposobu,
Oddalić nieco tę szczęścia krainę.

Piotr.

Śmieszne zadanie byłoby dla obu,
Uchylać szczęście rękoma własnemi.

Asafat.

Tak, słabość ludzka, ta do życia wielka
Chęć, czy namiętność . . . ten pociąg do ziemi . . .
Jednak śmierć była, będzie — zbawicielka!

Piotr *(z ironją.)*

Więc w śmierci istnień zbiegają się cele?!
To przyznać trzeba ze smutkiem, rozpaczą,
Że do spełnienia ludzkość ma nie wiele . . .
Wszystkie jej czyny to, co zero znaczą!
Bo w chwili śmierci, krocie lat — są jeno
Snu bolesnego — sekundową sceną!

Asafat.

Eh! filozofów ja nie znoszę zgoła!
Ot, powiedz bracie, lepiej mi otwarcie:
Za co do klatki takiego sokoła . . . .
Na tak męczeńskie skazali zaparcie?

Piotr.

Gdybym to wiedział, zkąd piorun po burzy? . . .

Asafat.

No, nie wiesz dla nich . . . rozumiem to jasno —
Dla mnie odpowiedź ta przecież nie służy —
Z małej chmureczki czasem gromy trzasną . . .

Piotr.

Nie sprowadziłem by najmniejszej chmury
Na moją głowę — niewinnym do głębi.

Asafat.

Oni tam mówią: że jest z was niektóry,
Co za granicą tak się w spisku kłębi,
Jak nurt ukryty lawy pod wulkanem,
By pierś im przeszył — pchnięciem niespodzianem . .

Piotr.

Chyba, że snami karmią swoje głowy.

Asafat.

Ej, gdzie tam znowu — wszak Rząd narodowy,
Wiemy — istnieje za granicą jeszcze.

Piotr.

Ja o tem nie wiem.

Asafat.

Nie ufasz zawzięcie
Spowiednikowi? aż mnie przeszły dreszcze!
O! lepsze miałem o tobie pojęcie . . .
To w życiu pierwszy raz mnie tu spotyka,
Nie mieć ufności i do spowiednika!

Piotr.

Czyż kłamstwo wyznać ufnością się zowie?

Asafat.

A przecież tamci zaraz mi wyznali.

Piotr.

Ja cudzych zeznań nie biorę na siebie.
I własnym sterem żegluję po fali.

Asafat.

Źle, gdy przed słońcem ziarno w lód się grzebie —
Chciałem promieniem pociechy wejść w duszę.
Bom ja też wierny syn Ojczyzny mojej,
I współczujących mieć przy sobie muszę —
Wzajemna boleść męczarnie nam koi.

Piotr (*szyderczo*).

Nader mi przykro — choć wcale nie plami —
Że w tej kompanji, muszę stać za drzwiami...

Asafat (*z przesadą*).

O! Boże! drwiny?

Piotr (*ironicznie*).

Figuryczność mowy.

Asafat (*fałszywie*).

Czyś tak zgnębiony? nie wierzysz nikomu?

Piotr.

I w pocałunek wierzę Judaszowy,
I w dach miażdżący nas w ojczystym domu...
We wszystko, co jest z naturą swą w zgodzie,
Co własnym rogiem swych jelit nie bodzie!
Wierzę — iż snadniej złemu człowiekowi
Wytępić było smoki i mamuty,
W obręczach wężów oddychać najzdrowiej
I czuć na krtani ich sztylet zatruty,
Chwycić za grzywę dzikie oceany,

W powietrznych falach żeglować zuchwale,
Niż na swych zbrodni atak wyuzdany
Założyć kiełzno i wstrzymać w tym szale!
Łatwiej mu iskrę dojrzeć w słońca łonie,
Meteor strącon za globu rubieże,
Niż własną hańbę, w której płynąc, tonie,
W pierś się uderzyć i w takt westchnąć szczerze!
Łatwiej mu góry przenosić rękoma,
Jednem skinieniem puszcze o ziem walić,
Niżeli znaleźć sen spokojny doma,
I przed piorunem swą głowę ocalić!
Wierzę — iż suchej nie zbraknie gałęzi
Na wzlot Judasza w wieczyste przybytki...
Że nigdzie godniej głowy nie uwięzi,
Choćby tak nie był, jak jest — wstrętny, brzydki,
Niż w tej pętlicy, co mu furtą będzie
Po za tej ziemi najmilsze krawędzie...
Prędzej by wilka ukrył w mysiej skórze,
A słonia zamknął w orzecha łupinie,
Podwice zbrzydził ozdoby papuże,
A kochać zmusił — godnego jedynie,
Niż zdrajcę odwiódł, aby żądłem swojem
Nie wpuścił jadu w ranę swej Ojczyzny,
By swej trucizny nie mięszał z jej zdrojem,
I nie siał chwastu w zagon chlebem żyzny!...
Łatwiej szydercy zamknąć brudne szczęki,
Osice nie drgnąć trwożliwemi listki,
I orła wgnieździć w dom pliszek maleńki,
Ze krwią rozłączyć cios nahajek świstki,
Niż odszczepieńca zerwać śluby z zdradą,
Co z nią w Madeja łożnicę go kładą —,
Że psom na żertwę tacy są rycerzy...
W to całą duszą i krwią moją — wierzę!!

Asafat (*z chytrą dobrotliwością*).

Cóż za wzburzenie i rozstrój nerwowy?!
Patrjotyzm wzniosły, lecz to rwąca woda,
To szamotanie, z którego okowy
Ranią nas głębiej! Cierpliwość nam poda
Rękę w niedoli, z otchłani wywiedzie,

I na zwycięzkiej ugości biesiedzie.
Zły wybór zrobił nasz Rząd za granicą,
Że zapaleńców, jak ty jesteś bracie,
Swem zaufaniem, sprzysiężeni szczycą —
Jabym wśród boju tylko liczył na cię!

Piotr.

Co znowu? jaki nasz Rząd za granicą?
Wszak już mówiłem, że o żadnym nie wiem!
Zbyt krótką pamięć, widzę, ksiądz posiada...

Asafat (*j. w.*)

Najmilszy! palisz mi łono zarzewiem!
Wszakże w tej szacie nie może być zdrada?
Odpychasz serce, co wam służyć pragnie,
Ja chcę wejść w spisek.

Piotr (*gwałtownie*).

Masz ksiądz zdrowe zmysły?!
Rozumiesz mowę?!

Asafat (*w udanem osłupieniu, szeptem.*)

Tak...

Piotr.

Syczysz, jak w bagnie
Połos ukryty — wargi się zacisły...

Asafat (*robiąc krzyż nad nim.*)

Panie! świeć nad nim. Apage satane!

Piotr.

Czemu mnie dręczysz i kaleczysz ranę?!

Asafat.

Toż ja dotykam łagodnie, lekuchno...
Bo rana twoja jest też moją własną.

Piotr.

W nocy stawiane gmachy — po dniu gruchną,
I w gruz, pioruny wywołane, trzasną!

Asafat.

Cóż, kiedy czynić nie możemy jawno —
W cieniu, ukradkiem... dzieło się prowadzi...

Piotr.

Nocą — zwę maską czczą i bezpodstawną!

Asafat.

Bierzem ją na się — z musu i nieradzi —
Byle wywalczyć niepodległość sobie,
I cara w naszym tu pochować grobie...

Piotr (*gwałtownie*).

A! to już widzę, bzikujesz mój księże!
Odejdź odemnie, i marsz do szpitala!...

Asafat (*d. s.*)

To ci frant kuty... (*głośno*) kto się z tobą sprzęże,
Ten łanię z wilkiem w małżeństwo zespala...
A jednak liczę, że czas cię ugłaszcze —
Żal przyjdzie zwolna za krzywdę mi wkłutą!...
Kiedy oszczerstwo... zamknie swoją paszczę,
A szatan karmić przestanie cię butą!
Liczę...

Piotr (*przerywając*).

Licz sobie i do świata końca...
A mnie w tej cyfrze nie znajdziesz niestety!
Ochłódnie z czasem twa żądza paląca... —
Mnie nie zgotujesz — na piekielne wety!

Asafat.

To biczowanie przyjmuję z pokorą,
I na ołtarzu Ojczyzny swej kładę —
(*odchodząc*) Bywaj mi zdrowy!

Piotr (*d. s.*)

Już go djabli biorą!...
Mnie anioł odkrył świętokradzką zdradę.
(*Wchodzi do celi*).



Obraz III.

Wewnątrz celi.

SCENA I.

Piotr (potem) **Tacia.**

Piotr (*sam*).

Kirem odziana przyszłości mej połać,
Sam jestem — bez ech... napróżno mi wołać...
Posąg zmiażdżony... sierocy piedestał...
W świat żywych — dzisiaj — jam liczyć się przestał!
Pędzą niewinnie w sybirskie jaskinie,
Z taczkami dłonie ześlubić łańcuchem,
Tam reszta dni mych w tym grobie upłynie,
Tam na dno pójdę w czółenku tem kruchem...

Płynąłem śmiało w grobowe bałwany,
Nie bacząc wcale, gdzie gwiazda przystani —
Krwią wrogów i swą tam byłem oblany,
Widziałem, jak śmiech konających rani!
Pojąłem, że człek, gdy ducha porzuci —
Najdrapieżniejszym, na świecie, jest zwierzem,
Że jego jadem współbracia otruci,
Żmiję za leki do piersi swej bierzem;
Że jego oczy, gdy piekłem zaskrzą się,
Stwarzają piekło, jakie jest jedyne!...
Mordem, pożarem — ucztuje w swym pląsie...
By plony wieków uśmiercić w godzinę!
Na czystych, wzniosłych krwiożerczy się targa,
Słońce by w pasy, za światło rozkrawał —
Nóż miga w pięści, a w modlitwach warga!...
Krew bratnia w czarze: to jego karnawał!!

Tacia (*wbiega zrozpaczona*).

.,.. Więc cię zgubili fałszywi świadkowie?
Do kopalń wyrok, jak tygrys cię chwyta!
Któż boleść moją wyjęczy, wypowie....
Gdzież zemsta, by nią nie była dość syta?
Ha! to zawcześnie! szatany zuchwali!
Klaskacie w dłonie, wyjecie z radości!
Sercem kobiety on grób ten rozwali,
I pośród wolnych, jak orzeł zagości....
Ja ci ułatwię ucieczkę ztąd miły!
I pójdę z tobą, wierna do mogiły!

Piotr (*gwałtownie wzruszony*).

Ty?! ze mną... razem?!

Tacia.

Tak — z tobą! a czemu
Pytasz zdziwiony?

Piotr.

Bom o ciebie w trwodze!
Nie wiesz, jakiemu wichrowi strasznemu,

Co na tułaczów bije gromem srodze,
Stawiasz twe czoło tak wątłe i czyste!

Tacia.

Świadomie czynię — wiem wszystko zaiste!
Wiem, bo mem sercem odgaduję burze,
A na ich widok ócz moich nie mrużę....
Patrzę na ciebie, w tobie Polskę widzę,
Z jej ofiarami jestem w świętej lidze.
Dziś matka we śnie przyszła do mnie cicha,
I błogosławiąc dała pić z kielicha,
Ni to łzy perły, czy jaśminów rosę,
Które w mej piersi do śmierci poniosę....

Piotr.

Gołąbko biała — ty nie znasz jastrzębi!
Ja mam ich szpony w rdzeni moich mięśni...
Rwę się, szamocę! wpijają się głębiej!
Jak mur!... no próbuj!... ramieniem go wstrzęśnij!...

Tacia.

A przecież za te mury cię wywiodę,
Mą własną siłą złamię tę przeszkodę.

Piotr.

Jak morska fala — gdy pierwsza uderza,
Pomnij, że miljon pędzi do przymierza....
Kto pierwszej na grzbiet junacko wyskoczy,
Druga, mszcząc tamtę, zamyka mu oczy....

Tacia.

To dwojgu zamknie... jeśli taka dola...

Piotr.

Ach w tobie Taciu, dusza jest sokola.

Tacia.

Dlatego z tobą podążę na wyraj . . . .
I błagam: o to już się nie wypieraj.

Piotr.

Wśród dwóch przepaści myśl drżąca się mota . . .
Ciebie opuścić?! o nie! tutaj raczej
Do śmierci jęczeć . . . i z pod katów młota
Patrzeć na ciebie, by nie paść w rozpaczy;
Ale wziąć ciebie na takie orkany,
Ciebie najmilsza! ha! to serce pęka!
Bo kto gromami był tylko głaskany,
Wie, co zawistnych losów krwawa ręka!
Te więc dwa prądy wirują mną, szarpią,
I krew z pod serca ssą spragnioną harpją!

Tacia (*opierając rękę na jego ramieniu.*)

Dosyć! przysięgam ci tu uroczyście,
Że jeśli słowo wahania usłyszę —
(*dobywając kindżału*) To tem żelazem — będzie ztąd [mi wyjście . . .
I niem jedynie w pierś mą wniosę ciszę . . . .

Piotr (*p. chw. z rezygnacją.*)

A więc skończone! (*biorąc ją w ramiona*) to pójdziem [już społem,
Pójdę do śmierci już z tobą aniołem!
A wyzwoleni z tych więzów — Ojczyźnie
Poświęcim nasze serca, dusze bliźnie.

Tacia (*oddając mu kindżał.*)

O mój promienny! W twem ręku się przyda
Ta broń, ochronna przed wrogiem, straszliwa,
Którą w niewinnym utopić — ohyda!
Zdrajcy i kata niech żywot rozrywa!
Bądźże mi gotów — swobodę ci wieszczę,
Okowy prysną . . . wyfruniem dziś jeszcze.

Piotr (*całując ją.*)

O! wieszczko moja, w dźwięcznej pieśni twojej
Cudny raj szczęścia przed oczyma stoi —
W twoich usteczkach zakwitły mi róże,
Cierń został w ziemi . . . fala w twojem łonie
Błogo kołysze . . . westchnieniem ci wtórzę . . .
Blask twoich źrenic jako brylant płonie
W głębi mej duszy — twoja rączka drżąca
Budzi jak ze snu promienie miesiąca.

Tacia (*z uśmiechem zalotnym.*)

A więc cię budzę nią i wzywam razem —
Oboje pójdziem . . . (*odchodzi.*)

Piotr (*pokazując kindżał.*)

Z tem trzeciem — żelazem!

SCENA II.

U Hidy.

Hida (*potem*) Tacia.

Hida (*sama, ubrana fantastycznie.*)

Pan gubernator, z przyczynkiem . . . . jenerał,
Coś mi skąpieje . . . przedtem hojniej wspierał.
Za romansiki z córką Asafata
Jakoś leniwo przypływa zapłata;
Za baletnice, co tańczą u niego,
Ruble jak żółwie wloką się, nie biegą.
A tu żyć trzeba, i nie ladajako! . . .
Zbyt delikatne mam ja podniebienie,
Co już pięknego jest gniazda oznaką . . .
Bo tylko wykwint we wszystkiem ja cenię.
Zresztą czemużbym żyć miała oszczędniej.
Niż gubernator?! każdy to uwzględni . . . .
Skoro przezemnie, prawie z łaski mojej,

Chwyta ptaszęta i wdziękiem się poi....
Dość cierpliwości! toż żebrać nie będę!
Czy się poprawi, czy jeszcze pogorszy....
Innym sposobem obłowię mą wędę —
Bo mi za pracę kęs należy sporszy!
Alboż za Tacię? mam ją prawie w sieci —
Każdy puls liczę, wyjaśniam, co znaczy,
Na mój magnetyzm, jak ćma w ogień leci...
A on swem skąpstwem pcha mnie do rozpaczy!
O! czekaj, mysiu borowy, przebrzydły!
Wezmę ja ciebie w me łowieckie widły!
Za ten interes rozstrojonej Taci,
Czy tak czy owak, twój worek zapłaci!

(*Ustawia w zaciemnionym kącie pokoju postument ze świecącem kółkiem na wysokim drucie, pionowo obsadzonym.*)

Tacia (*wchodzi.*)

A, witam panią! naprzykrzam się znowu.

Hida.

Bez niej żyć dzisiaj nie mogę spokojnie.

Tacia.

Cóż, kiedy ciągle wracam do narowu
Czczej ciekawości —, jak żołnierz o wojnie,
Tak o przyszłości głowa moja marzy —
Choć wiem, że mi z tem jakoś nie do twarzy...

Hida.

Bynajmniej pani — a któż jest na świecie,
By choć raz w dobę nie myślał o jutrze?
Chociaż jest Krezus, a rachuje przecie...
Chociaż Matuzal, drży o lata krótsze....

Tacia.

Zwłaszcza, gdy wróżby spełniają się ściśle,
Któż do nich całą nie wpije się duszą?
Gdy nieraz o tem w samotności myślę,
Wszystkie zwątpienia na pyłek się kruszą,
A wiara w słowa, czynami stwierdzone —
Jej przepowiedniom przyznaje koronę!

Hida (*z pantominą.*)

A, cóż nie kocha? nie szaleje może?
Nie poświęciłby siebie za jej spokój?...
A potraf tylko z nim igrać nieboże!
W swoją podkówkę... pegazika okuj...

Tacia.

Tak, dzisiaj — ale co tam... będzie potem?

Hida (*porusza kółko na postumencie, które dalej samo szybko się obraca i tworzy migający krążek świetlany — nakręca pozytywkę na nutę: „Któż me westchnienia“, magnetyzmuje Tacię. Po dłuższej chwili mówi:*)

Dziewiętne młyny gadają z łoskotem....
Za siódmą górą i za siódmą rzeką...
Za końcem świata... raju niedaleko...
Patrzże na kółko! nie odrywaj oczu!
Że wasza chatka świeci na uboczu,
Jak zabłąkana gwiazdeczka na niebie,
Co tam w kąciku... po za mleczną drogą,
Już dla nikogo... tylko lśni dla siebie,
A inne, choć chcą, dobiedz jej nie mogą...

Tacia (*somnambulicznie.*)

Dobiedz nie mogą?... ucieczka... ścigają...
Czy to ballada śni się Mickiewicza?
Pędzą zdyszani... straszną wieków zgrają...
Uciekli... z nimi... czuła pieśń słowicza....

Hida (*dotykając jej ręki.*)

W ucieczce prysły niewoli okowy.

Tacia (*j. w. powtarzając.*)

W ucieczce prysły niewoli okowy . . .
Jak duch wywiodła po za straże, mury . . .
Słychać szyldwachów . . . wdal . . . „wopros“ ponury —
Skrzydlaty rumak . . . uragan ich niesie . . .
Za siódmą górą i po siódmym lesie
Obce witają krainy, grodziska . . .
A jako tęcza swoboda im błyska!

Hida (*wmawiając w Tacię.*)

Dałam ci miłość i swobodę, luby!

Tacia.

Dałam ci miłość — wywiodłam od zguby . . .
Któż nam dnie szczęścia, kto z raju wypędzi?
My już na drugiej mkniem świata krawędzi . . .
Przed nami słońcem lśni umiłowana!
Przed nią i dla niej — padłszy na kolana,
Pracę swą — myśli i uczuć piosenki
Złóżmy w ofierze jako dar maleńki . . .

Hida.

Niech słodkie imię wypowiem dziś twoje . . .

Tacia.

Twojem imieniem . . . (*przerywa nagle.*)

Hida (*podpowiadając.*)

Piotr.

Tacia.

Wyrzec się boję . . .
Bo jak szpieg chytry to słowo podsłucha . . .
Strzeżmy się! w imię Ojca, Syna, Ducha!

Hida.

Piotrze!

Tacia.

Ach Piotrze! Ja przed tobą klęczę,
I z rąk żelazne zrywam ci obręcze . . . .
Jam wątła taka . . . a żelazo pęka,
Gdy go się dotknie ma dziewicza ręka.

Hida.

Kiedyż ucieczka?

Tacia.

Luby! dzisiaj jeszcze,
Dzisiaj cię wolnym w objęciach popieszczę . . .
Bo matka Polka szepnęła mi we śnie,
Że z swej mogiły na wesele wskrześnie . . .

Hida.

Któż dłonie zwiąże?

Tacia.

O! znajdzie się rychło,
Byle nam z trwogi to serce ucichło . . .

Hida (*d. s.*)

Już wszystko! . . . Jazda do gubernatora! . . . (*cuci ją [z uśpienia — po dłuższej pauzie.)*

Pani, tyś widzę, trochę dzisiaj chora...
Idź się pokrzepić snem, chociaż chwilowo...

Tacia.

Tak, sen mnie nęka... lecz czuję się zdrową.

Hida.

Wyjdziemy razem — bo pora nareszcie,
Wielu ciekawych zaspokoić w mieście, —
Ze wsi tu biegną, którzy wiedzieć radzi,
Kto na ich gruszkach pietruszkę im sadzi?
(*Wychodzą obydwie*).

SCENA III.

U Jenerał-gubernatora.

Jenerał-gubernator (*sam*).

Wot! pana Piotra ledwie sforsowałem...
Pójdzie „pariadkom administratywnym"...
Byli i świadki — choć to w diele całem
Jest niepotrzebne. Ja byłem przeciwnym
Takim głupostiom... bo w zakonie stoi:
Że można skazać — na opinii mojej!
On zawsze winien i jego kompany,
Choć na uczynku żaden nie schwytany,
Ani dowodów istynnych nie miano,
Że któryś spłatał sprawkę zakazaną...
Bo niech się tolko sposobność wydarzy,
To już gotowych mamy z nich zbrodniarzy!
Łowko i sławno wieszatiel ich łapał...
Miał spryt do tego i kazionny zapał!...
Nie mógł on sypiać, ani jeść ze wkusem,
Aż się pocieszył stryczkowym wisusem!
Gdy tarabany na śmierć grały komu,
To on otwierał okna swego domu,
I kazał wodki, wsojczas przynieść sobie.
Rad — czto „polaczek" bez winy jest w grobie!

Wielmoża bolszij takoj był natury,
Że nigdy z dołu, wsiegda płacił z góry!!
(*p. chw.*) No — z Tacią skwierno! to kanalja! widzę...
Hida mi szepce — czto ona z nim w lidze...
Niechno się tylko to jawno dokaże,
To pójdzie w Sybir z miatiożnikiem w parze,
Ja jej ułatwił, miewać z nim snoszenia
Na zgubę jego. Ona wopak zmienia —
No, wnet uwidzim robotę jej łżywą...
Jak nawarzyła, tak wypije piwo! (*słychać dzwonek we*
[*drzwiach*).

SCENA IV.

Jenerał-gubernator. Wchodzą Hida i Asafat.

Jenerał-gubernator.

Praszu — to Hida z otcem Asafatem.
Macie nowosti? ja zacznę... a zatem...

Hida.

Ach, ekscellencjo! najwstrętniejsza zdrada
Jak wąż się cicho w nasze mury wkrada...

Asafat.

Już ja to dawno jakoś przeczuwałem.

Jenerał-gubernator.

No, któż nas zdradza?

Hida.

Tacia.

Asafat.

Z ideałem
Swym, Piotrem, ona uciekać zamyśla —

Najprzód z tych murów — potem do Zawiśla,
W bory — marszrutą: piosnka Mickiewicza,
A sił, odwagi — miłość jej użycza.

Jenerał-gubernator.

Zkąd ta dokładność? to sławno, jejbohu!

Hida.

Ha! magnetyzmu wyrwała to sztuka —
Wszystko się wymkło z pod serca, potrochu. .
I wiem, jak ono i dla kogo puka —
Bo oprócz Piotra, za Polską aż rwie się. . .
I w te hazardy wplątywa ją, biesie!

Jenerał-gubernator.

Pojedzie do niej — w katowskiej kolesie!
Tylko jej teraz nie przeszkadzać wcale,
A potem chwycić na uczynku, żarze. . .
Tak chcę i tak wam tu obojgu każę!

Asafat.

Wypełniam ściśle rozkazy genjalne!

Jenerał-gubernator.

Ja im do ślubu taką salwę palnę,
Że ją usłyszą aż na tamtym świecie. . .
I tak uciekną. . . że ich nie złapiecie. . .

Hida.

Coś ona szybko tę swoją balladę
Pragnie wykonać?

Asafat.

Prędzej ja tam wjadę.
Choć nie mam skrzydeł miłosnych w zapasie,

I serce moje poezjom nie da się!
No, tak się wśliznę i podszyję gładko,
Że ich ułowię tuż za samą klatką...
I taką piosnkę zaśpiewam odrazu —
Że skamienieją, jeśli nie są z głazu!

Jenerał-gubernator.

Wot chytra wiedźma! Tacia miatieżnica!
Tut moja ufność nawskróś ją zaszczyca —
Ja jej powierzam wybadanie jego,
Otwieram zamki, co prochownię strzegą...
A ona z ogniem zdradzieckiem tem hula,
Ta z polskiej matki proklata zazula!
Da i to wierno — czto w dziesiątym rodzie,
Choć z ojców naszych — Polka naszych bodzie!

Hida.

Jeśli nie córka, to prawnuka będzie
Msty narodowej dziedziczne narzędzie!

Jenerał-gubernator.

Nu, a tymczasem w sieci ona wpadnie,
W których już czynić nie podoła zdradnie . . .
Ha! bo to z ręki takiego ptasznika,
Nigdy na szkodę kania nie umyka . . .
A ty idź szybko, ojcze Asafacie —
Że order weźmiesz, to już liczę na cię!

Asafat (*kłaniając się z uniżonością.*)

Szczęśliwy, łasce oddaję się waszej. (*Odchodzi.*)

Jenerał-gubernator (*do Hidy, wskazując na Asafata.*)

No, a córeczka jego na mnie czeka? . . .

Hida.

Już ekscellencja jej tam nie przestraszy . . .
Pragnie rendez-vous . . . droga niedaleka,
Bo gmach więzienny jest dla nich mieszkaniem.

Jenerał-gubernator.

Jak błyskawica rączo przed nią stanięm,
Bo warta tego, taka krasawica!

Hida (*grożąc.*)

Tylko ostrożnie, niech się pan zaleca,
Żeby nie zrazić rycerskim impetem!

Jenerał-gubernator.

Nie idę do niej z szablą i bagnetem.
Poczekaj tutaj — gdy wrócę, to powiem,
Jak cię nagrodzę: złotem czy ołowiem . . . (*Odchodzi.*)

Hida (*do wychodzącego.*)

A to mi piękne, błyskają nadzieje,
Od których warga skrzywiona . . . się śmieje! . . .

SCENA V.

Hida (*sama.*)

. . . Będzie mi płacił „ołowiem“ brodiaga!
I w tym poufnym, nadto, gabinecie,
Gdziem tyle zasług zdobyła . . . tak smaga?
Dość cierpliwości! wiem, co począć przecie . . . .
Bo oto klucze zostawił przy biurze —
Więc rewizyjkę malutką w niem zrobię . . .
Wyręczę tylko, i jemu usłużę . . .
Gdyż należytość sama wezmę sobie!

I klucze wezmę — a jak sięgnie po nie,
Powiem — że na jej pozostawił łonie . . .
I pójdę szukać . . . a pieniążki skryję —
Tak całej sprawce w mig ukręcę szyję!
— Człowiek na świecie jak wezbrana woda —
Jednemu weźmie, a drugiemu odda . . .
(*otwiera biurko, a jednocześnie trzech służących, z poza portiery podpatrują ją*)
Ha! ha! to Krezus! co tutaj bibuły!
Na każdej sotnie rubelków wyryte —
To są anonse, na których się truły
Lwice . . . przyjmując, wraz po nich, wizytę.
(*bierze po kolei i chowa za gorset*)
. . . Więc za kadryle, spacery, koncerty,
I salonowe różne pereweрty! . . .
Ten za pięć Maszek — ten, za trzy Sonieczki,
Tamten, za Madzię — tuzin, za Filipkę,
Dwa za Majorszę nadpsutą troszeczki . . .
Za baletnicę sto — za ową gibkę,
Co tak się w tańcu wykręca jak fryga,
Nie tknąwszy ziemi . . . na powietrzu miga . . .
A już za Tacię — tysiąc jak najszczerzej,
Choć nie za wdzięki i rendez-vous żadne —
Lecz, że z pomocą do zasług mu bieży,
Piotrowi służąc — za boską Arjadnę . . .
Suma sumarum — garstek ze trzydzieści . . .
Ale już więcej, widzę, się nie zmieści!
(*Po tych słowach nagle wbiega i chwyta ją służba.*)

Służący.

Ha! stój zbrodniarko! mamy cię nareszcie
Za poniewierkę i wzgardę nad nami!

Hida.

Precz ztąd hultaje!

Służący.

W postronki ją bierzcie!

Hida.

Niech mnie dotknięciem żaden z was nie plami!
Bo nie pojmiecie — że to tylko żarty!
To jest nauczka dla naszego pana,
Żeby majątek trzymał — nie otwarty!
To tylko figiel . . . to kradzież udana!
Precz ztąd, opoje!

Służący (*biorąc ją.*)

Niech sobie tam parska.
Nogami wierzga! na policję pędźmy!

Hida.

Zdaleka! jam jest wychowanka carska!

Służący.

Nic słuchaj paplań tej zachłannej wiedźmy!
Brać ją z tem wszystkiem, co z biurka nakradła . . .
Tam do godnego dostanie się stadła!

Hida.

Słyszysz, com rzekła, dziku i szaleńcze!
Setką nahajek twą wierność wywdzięczę!

Służący.

Dałabyś więcej, gdybyś była w sile . . !
Marsz z nią do tiurmy! tam sypną, nie tyle!
(*Wyprowadzają ją przemocą.*)

SCENA VI.

Noc — wschód księżyca —, w ogrodach więziennych.

Piotr i Tacia (potem) Asafat.

Tacia (*w dalszym ciągu rozmowy.*)

. . . Tak do obozu ktoś prowadził pewnie
Pustowójtównę . . . a i w taką ciszę —

Gdzie liść nie szepnie a zefir nie wiewnie,
I strumień piersią swą nie zakołysze —
Wszystko niemieje we śnie, czy też z trwogi,
By do przepaści nie pchnął los złowrogi! . . .

Piotr.

Wszakże z jej głębin teraz wypływamy,
Jako z piekielnej wśród cerberów bramy —
A ty mnie wiedziesz, ni-to Beatrycza,
A skrzydła wpina twoja pieśń słowicza . . . .
Twój duch przysłania siepaczom powieki,
Sen ich piastuje, tak zawsze daleki . . . .

Tacia.

A serce jednak do lotu się zrywa!
Dziwnie zmotane mej myśli przędziwa . . . .
W skroniach młot bije, wstrząsają mną dreszcze!
Przysuń się bliżej, przysuń do mnie jeszcze . . . .
Dopóki w murach tych byliśmy razem,
Na wszelką trwogę byłam zimnym głazem —
Dziś, gdy wolności złoty promień błyska,
Wymarzonego lękam się zjawiska . . . .

Piotr.

Z więzów na wolność — do światła z ciemnicy,
Przywyknąć muszą: mędrkowie i dzicy!
Natura nasza w daną sferę wsiąka —
Tak w losy muszki, jak w rolę pająka . . .
Powoli wyjdziem, najmilsza, z tej matni,
Jak tylko sygnał usłyszymy bratni.

Tacia.

A dwa już było, rychło będzie trzeci . . .
Ten wraz z drabinką na mury wyleci . . .

Piotr.

Cokolwiek wejdźmy pod drzew tych sklepienia.
Bo ciemność w światło srebrzyste się zmienia.

Tacia.

Patrz, jak ten promień śnieżnego miesiąca
Rozprysł się na nas . . . i jak gaza drżąca,
Lekka, przejrzysta, otula nas w koło
I zbliża twoje, do mojego, czoło . . .

Piotr *(przyciskając ją do siebie.)*

Zbliża i spaja jako dwa ogniwa,
Których potęga, snać, miłością żywa! . . .
O! Taciu moja, nic nas nie rozłączy —
Ni los okrutny, ni czasu bieg rączy!
Bo gdy się duchem dwie istoty spoi,
Nie masz silniejszej na tym świecie zbroi!
I śmierć-szatanka przed duchem zamiera,
Połknąwszy ciało, żarłoczna pantera!

Tacia.

Takbym przy tobie szczęśliwa bez granic
I na śmierć poszła, mając cios jej za nic . . .
A byle z tobą, z uściskiem twej dłoni,
Co pierś mą wznosi . . . a lica mi płoni . . . .

Piotr.

Czegóżbym pragnął, prócz ciebie na świecie?!
Tyś wzrokiem moim — tobą słyszę przecie . . .
Oddycham, czuję i myślę przez ciebie,
Ciebie jedyną widzę na tem niebie! . . .
Gdy cię w objęciach przyciskam do łona,
Skruszyłbym, zda się, na druzgi Samsona!
A gdy skroń twoja przy mojej zatętni,
Wszelki bym laur podeptał najchętniej —
Oprócz krwawego, za Ojczyznę naszą,
Którym wrogowie swoje dzieci straszą!

Tacia.

O! niechby za nią — był dla nas grobowiec!
Czy chciałbyś, wspólny? otwarcie mi powiedz!

Czybyś mnie nad nim nie zostawił raczej,
Bym skamieniała, ukląkłszy w rozpaczy!

Piotr (*z żałośnym uśmiechem.*)

O! któżby nie chciał, przyznaj mi to luba!
Nad swoim grobem takiego cheruba?! (*Całuje ją.*)

Tacia.

Jest nić promienna, niewidna dla oka,
Dla której przepaść, choćby jak głęboka,
I bezmiar czasu zamarłych stuleci,
Przez które ona błyskawicą świeci,
Mgnieniem są tylko! bo łącząc je z nami,
Swoistym duchem ożywia, choć mami...
Gdzieby mnie kolwiek zaniosły orkany,
Przy tobie będę, mój umiłowany!

Piotr.

Jako z okrętu rozbitego żagle,
Gdy fala chwyci i rozdzieli nagle,
To prądem wichru rozbitki ci gnani,
Tymż wichrem, w jednej zejdą się przystani.
Któż wie — co jutro? dziś — groźne! a przecież
Gdy mnie rączkami, jak bluszczem opleciesz,
Czuję, żem szczęścia dosięgnął zenity,
I jako sztandar tam został przybity....

Tacia.

Od pierwszej aż do tej ostatniej chwili,
Gdyśmy swe serca miłością spoili,
Czułam się cząstką twoją, a nie sobą,
Nierozłączalną twej duszy — ozdobą!
Jakby promieniem wtęczonym w krysztale,
Co sam o sobie, niecudnym jest wcale —
A z rozbitego pryzmatu, gdy znika,
Do powszedniego powraca promyka....
Uchodzi, blednie, w swoje źródło pędzi,
Jako ten głos mój, tej pieśni łabędziej!....

Piotr.

Taciu, ta mowa złą wróżbę nam roni....

(*Nagły szelest w klombie. Wybiega Asafat przebrany za stróża więziennego, strzela w powietrze a mierząc następnie do nich obojga, staje przed nimi.*)

Asafat.

Ha! stójcie zbiegi! bo śmierć w mojej dłoni!

(*Tacia klęka i modli się.*)

Piotr (*dobywa kindżału i wytrąca nim Asafatowi rewolwer z ręki.*)

Ha! odszczepieńcze! tędy droga do niej!...

Asafat (*wyciąga sztylet ze swej laski.*)

Kto pośród żmii, ten żądło mieć musi...

(*Walczą.*)

Piotr (*szyderczo.*)

Którem jad wsączasz naszej świętej Rusi!

Asafat (*woła rozpaczliwie.*)

Ratunku! rozbój!

Piotr.

Trwoga za krtań bierze —

(*przebija go*)

Tak kończą zdrajcy! i szpiegi-rycerze!!

(*W tej chwili nadbiegają żołnierze i jenerał-gubernator.*)

Jenerał-gubernator (*do żołnierzy, wskazując Tacię i Piotra.*)

Wziat' etich, siejczas, miatieżników w tiurmu!

Piotr.

O! do takiego, tyś bohater, szturmu! . . .
(*Żołnierze otaczają Piotra i Tacię i uprowadzają z ogrodu do więzienia. Scena mimiczna: jenerał-gubernator usiłuje ocalić Asafata, podnosi go, ogląda ranę, załamuje ręce, chwyta się za głowę, a przekonany o martwocie jego, pogrąża się w zadumę.*)

SCENA VII.

Jenerał-gubernator (*sam nad trupem Asafata, po dłuższej chwili.*)

Wot, prawa ręka odcięta mi leży!
Bolszij diejaticl i nadiożna sztuka!
Nu, za gorąco brał się do miatieży,
I już on za to — do nieba tam puka . . .
Cztob on to z serca służył nam tak żarko,
To ja by pomnik wystawił mu ninie,
Ale on ruble zbierał bez dna miarką . . .
I głodny ich był wo wsiakoj godzinie!
Tot pierekińszczyk! za parę tysięcy
Chrysta by sprzedał, jak Judasz, z ochotą!
I nas by sprzedał, gdyby kto dał więcej . . .
I potargował mądrze się z nim o to!
— Nu, my ich bierzem i płacim sowicie,
Jak dzikie słonie swoimy ich godnie,
By na swych braci, gdy walka o życie —
Nas prowadziły, biorąc na się zbrodnie!
Dziś takie czasy, to oni potrzebni,
Bo z Polską borba, bez nich się nie uda . . . .
Gdy koniec będzie . . . to ich najhaniebniej,
Za ich obłudę wypędzi obłuda!
My mamy swoich świaszczenników z korni,
Z krwi naszej, kości — to nigdy nie zchytrzą!
Choć nie tak umni a bardziej pozorni . . .
No, z węższem gardłem . . . i z kieszenią płytszą . . .
Jak wieloryby, co chociaż olbrzymie,
A drobną rybkę, tolko w siebie przyjmie . . .
(*p. ch.*) Zrobił on wiele — to przyznać ja muszę,

Bo buntowszczyków chwycił w samotrzaski . . .
On za to swoją, wysapał tu, duszę . . .
Ja wetchnę w siebie . . . mego cara łaski!
I każdy zrobił swoje dieło szczytno!
On, słoń chowany . . . od swoich zakłuty . . .
On krwawą wstęgą, a ja znów błękitną
Piersi okrasim . . . a dla dzikich: knuty!
Knuty do śmierci! tak pałki rotowe!
Hojna zapłata: dwie za jedną głowę!
(*p. ch.*) Czort znajet, jak się na tym świecie gmatwa?...
My—dygnitarze, naczalstwo, władyki,
I wsia cesarska, orderowa dziatwa —
Prowadzim z Polską bój straszny! wieliki!
No, rzadko który swoją głowę kładzie,
Chyba od swoich i w domasznej zdradzie.
A diejatiele padają szarańczą . . .
Choć policejskie sobaki ich niańczą!
Widno—czto w nas jest idea narodu,
Tak jako w stągwiach, z winnicy zdrój złoty . . .
To póki ciągle donoszą z ogrodu,
Póty naczynia nie rozbiją młoty . . .
No, jak w ogrodzie owocu nie stanie,
I puści będziem, wyschnięci i słabi —
Wtenczas się zacznie stągwi rozbijanie!
I po kruszynie wsiakij nas rozgrabi . . .
(*p. chw.*) Tfu! głupost' skwierna! filozofja taka!
Co kiedyś będzie? . . . a mnie co do tego?
To takie groźby, tolko od Polaka
K'naszemu bratu, jak upiory biegą!
Dziś używajmy, kiedy car tak każe!
I jemu za to strojutsia ołtarze . . . .
A co prawnuków, kiedyś . . . naszych spotka . . .
W bojów malignie . . . tak do nas doścignie,
Jak strzał armatni do tej ziemi środka . . . .

Leżajsk, 1897.





Ida Teibels

Ida Teibels

(Stefania Kossowska),

założycielka „Roczników Samborskich“,

urodzona 1859, † 1898 r. $^{7}/_{1}$.

WSPOMNIENIE POŚMIERTNE,

zaopatrzone portretem autorki.

Daj marzeń nić
Mi złotą wić;
Daj tkanką mi pajęczą
Wzdłuż szarych chmur
Wzbić się do gór,
Gdzie roje muszek brzęczą.
Za polski lud
Jak pszczółka miód
Daj zbierać mi do ula
I stworzyć daj
Dla dziatek raj,
Gdzie rządzi ich matula.

G. Kohn.

 istocie! trafniejszych nie mógłbym słów dobierać ponad przytoczone, aby niemi oznaczyć działalność i dążenia literackie Idy Teibels, założycielki naszego wydawnictwa, a następnie zbiegiem okoliczności redaktorki i głównej współpracowniczki „Światełka“ i „Małego Światka.“

Ida Teibels urodziła się w Samborze 1859 jako córka małżonków Hersza i Betti Teibelsów, ubogich ludzi, obarczonych liczną rodziną a dzierzawiących znaną podówczas trzeciorzędną oberzę „pod gwiazdą.“ Środków

nie było tam na wychowanie wykwintniejsze a długów dosyć; ojciec jednak, którego ulubienicą była młoda, nad swój wiek pojętna i duchowo rozwinięta Ida, nie szczędził niczego, coby się przyczynić, mogło do dalszego wykształcenia córki. Czarować oczywiście nie mógł, a jeśli wyższych szkół a szczególnie seminarjów nauczycielskich wówczas nie było w Samborze, nie mógł też temu brakowi zaradzić. Ale od czegóż spryt, wrodzony każdemu? od czego poczucie piękna, które niejeden żywo odczuwa, co kursu estetyki w wyższych szkołach nigdy nie odbywał. Nie sami tylko fachowo wykształceni i wyuczeni torują sobie drogę przez życie, ale i moc samouków, jeśli im tylko nie brak dobrej woli i wytrwałości, a szczególnie daru obserwacji.

Ida Teibels była dzieckiem o żywem usposobieniu, o twarzy delikatnej i o włosach koloru blondynek. Była żydówką, a rodzina jej nie należała ani do pieniężnej, ani do rodowej arystokracji żydowskiej. To wszystko zmusiło ją, zamykać się w ciasnem kółku kilku przyjaciółek i koleżanek, w większej części katoliczek, jak Jakubczakówna, Langówna i inne, a niedostatek zmusił ją do udzielania prywatnych lekcyj, z których po części długi domowe opłacała, a po części własne wychowanie.

Bliżej poznałem ją dopiero w r. 1874. Miała wówczas 15 lat, ale pojętność ponad te lata. W wolnych od kłopotów i trosk domowych chwilach kreśliła nawet wierszyki niemieckie, nie pozbawione pewnego wdzięku. Rok 1874 jest pamiętny w dziejach literatury polskiej; naród cały postanowił wówczas, uczcić działalność literacką i zasługi Goszczyńskiego albumem, zwanym: „Sobótką.“ Dzieło to miało 57miu współpracowników, do których i ja się zaliczyłem, nawiązawszy wówczas stosunki literackie z Kornelem Ujejskim, Agatonem Gillerem, Władysławem Bełzą, Władysławem Zawadzkim, Janem Dobrzańskim, redaktorem „Gazety Narodowej“ i wielu innymi. Szczególnie z Agatonem Gillerem utrzymywałem przez długi szereg lat aż prawie do jego śmierci bardzo ścisłe stosunki przyjazne, objawiające się w nader ożywionej korespondencji i wymianie myśli.

Że ja jako pierwszy a może jedyny żyd, w dodatku jeszcze rodowity Niemiec, przyjęty zostałem w grono współpracowników takiej księgi, jaką była „Sobótka“ — to w takiej mieścinie jak Sambor nie mało narobiło wrzawy, wytwarzając mi zazdrośników i niechętnych, co się zowie. Ale zdobyłem przecież sto abonentów dla „Sobótki“. Do ich grona zaliczył się także stary Hersz Teibels; oświadczył mi bowiem, że nie powinienem go omijać, skoro nie omijam jego współwyznawców, bo on — choć biedny — da te 3 złr. chętnie gwoli córce swojej.

I odtąd liczy się bliższa nasza znajomość. Bywałem bardzo często u Teibelsów; widziałem tam biedę i niedostatek, wyglądające prawie z każdego kąta tej starej rudery, zwanej oberzą; ale widziałem także szczerą chęć kształcenia się i pracowania nad sobą. Od czasu do czasu ożywiła także przejezdna jakaś trupa aktorska polska czy ruska ciszę partykularza, a młoda Ida lubiła i sama występywać na deskach, które świat przedstawiają.

W r. 1876 ogłosił zarząd Muzeum Rapperswyllskiego prenumeratę na album, drugi z rzędu. I tego dzieła zostałem współpracownikiem, tem bardziej, że się okazało pod redakcją Agatona Gillera, zastępującego właściwego redaktora Kraszewskiego a będącego duszą całego wydawnictwa. Gorliwe wspieranie tej książki zbiorowej zjednało mi dużo nieprzyjaciół i kłopotów. Nie dałem się jednak odstraszyć, a ofiarowane mi gratis za moje trudy egzemplarze rozdawałem niebawem między przyjaciółmi. Jeden taki egzemplarz dostał się także Teibelsównie.

Widocznie nie było mi przeznaczone, na wierszach, umieszczonych w „Sobótce“ i „Albumie Rapperswyllskim“ zamknąć moją karjerę literacką, gdyż niebawem znana firma księgarska Gubrynowicza i Schmidta ogłosiła wydawnictwo „Ruchu Literackiego“, który po rozmaitych zmianach w osobie redaktorów, przeszedł w ręce Agatona Gillera i jego przyjaciela Dra Tadeusza Żulińskiego. Niebawem otrzymałem też od Gillera zaproszenie do współudziału także i w tem wydawnictwie. Co do zbierania prenumeraty, nie mogłem tu dużo

zdziałać, gdyż była nieco wygórowaną — to prawda. Ale obiecałem, być czynnym jako współpracownik i dotrzymałem słowa.

Los sprzyjał zamiarom moim i pod innym względem. W kancelarji mego brata, Dra Jakuba Kohna, adwokata w Samborze, pracował wówczas niejaki Uszyński, człowiek, który prochu nie wynalazł. Przyniósł mi rzeczony pisarz kiedyś manuskrypt zaczętej przezeń albo przez jego brata a niedokończonej powieści polskiej. Rzecz, opierająca się na stosunkach lwowskich a wzięta z czasów powstania styczniowego, była nader błaha, wreszcie niedokończona. Ale zręczna ręka mogła jeszcze cały ten fragment przerobić i przekształcić na odpowiedny sposób. Nie poczułem się jednak w sile, aby się podejmować takiego dzieła. Udałem się więc z tym fantem do Teibelsównej. Ta po krótkim namyśle — rozglądnąwszy się w rękopisie — przyrzekła mi, zabrać się do pracy. Poprzednio już udało mi się, nakłonić ją do porzucenia poetycznych próbek niemieckich, po których — sumiennie sądząc — wielkiego sukcesu wróżyć jej nie mogłem. Nie były to wprawdzie rzeczy złe i ze wszystkiem chybione, ale także nie o tak doniosłem znaczeniu, aby się wśród powodzi nowoczesnej niemieckiej liryki ze skutkiem utrzymać mogły. Natomiast zwróciłem jej uwagę usilnie na to, że jeśli się ma talent jaki taki, to jest obowiązkiem świętym, zużytkować go w usługach kraju i w języku kraju, który się zamieszkuje. Dla większej zachęty przyrzekłem jej nawet, że Agaton Giller, redaktor „Ruchu Literackiego“, powieść jej „Zemstę“, po ukończeniu tejże przyjmie do druku.

Obietnica ta dodała jej bodźca: z febryczną gorliwością dokończyła ona powieści, którą rozszerzyła aż na dwie części i za mojem pośrednictwem przysłała Gillerowi. Giller, który niejednego już młodego literata i niejedną młodą literatkę w świat wprowadził, poznał odrazu w tej próbce literackiej niewyrobionego jeszcze ze wszystkiem pióra, znamiona wielkiego talentu i przyrzekł, „Zemstę“ umieścić w swojem piśmie, oraz bezpłatny egzemplarz tegoż pisma przysłać autorce. To było jednak wszystko, co obiecać mógł, ponieważ „Ruch

Literacki“ zbyt twarde przechodzić musiał koleje i warunki bytu zbyt miał utrudnione, aby z prenumeraty coś się pozostać mogło na honorarja dla współpracowników. Ale i to wystarczyło na razie, tem bardziej, że redaktor o tyle był grzecznym i uprzedzającym, że do wiadomości, życzliwie przezeń autorce udzielonej, w dodatku jeszcze swoją fotografię załączył, a był to zaszczyt nielada! Agatona Gillera imię słynęło bowiem wówczas na cały kraj; on był redaktorem „Ruchu Literackiego“, on był jednym z najgłówniejszych współpracowników „Gazety Narodowej“, on miał sławę rzeczoznawcy, który już w świat wprowadził całe szeregi młodych literatów i literatek. To też radość młodej Idy nie znała granic.

Odpisała Gillerowi:

„Czcigodny Panie!

Stokrotne dzięki za nadesłaną mi fotografię i upominki. Dzień, w którym je dostałam, pamiętnym będzie w życiu mojem, gdyż był to dzień prawdziwej uciechy i prawdziwego szczęścia! Dziękuję też za uznanie słabego talentu, o którym dotychczas powątpiewałam; chcę go też godnie użyć i pracować dla dobra Polski, o ile starczą słabe me siły, a gdy Bóg dozwoli widzieć Ją jeszcze, jak niegdyś, potężną i wolną, wówczas przekonanie, żem się i ja do Jej wolności, choć maluczką odrobiną przyczyniła, uczyni mię szczęśliwą i swobodną! A że ta błoga chwila nastąpi, wkrótce nawet nastąpić musi, nie podlega żadnej wątpliwości! — Czyżby w przeciwnym razie tylu serc tak święcie wierzyło i ufało w wygranie sprawiedliwej naszej sprawy? — Nie! Wiara w zmartwychwstanie Ojczyzny naszej stanowi część religii każdego prawego Polaka, a każde dziecię nieodrodne Matki naszej dodaje do „Dziesięciu przykazań boskich“ jeszcze jedenaste:

„Niechaj jedność panuje między Wami, a wspólnemi siły ratujcie uciemiężoną Ojczyznę Waszą!“

Gdzie więc tyle ufności i wiary, taka jedność i wytrwałość, tam dzieło powzięte, skutkiem najpomyślniejszym uwieńczone być musi! —

Powieść moją wkrótce ukończę, za tydzień najdalej ją nadeślę. Serdeczne dzięki za łaskawe jej przyjęcie. O czem nigdy ani marzyć nie śmiałam. uiszczone zostało z łaski Pańskiej. —

Proszę więc przyjąć niekłamaną i dozgonną wdzięczność, którą Panu poświęca

Ida Teibels."

Jeśli z tego listu czytelnicy moi cokolwiek poznają sposób myślenia autorki, to uczucia jej i myśli jeszcze lepiej może się uwydatnią w niewydrukowanym dotąd wierszu jej „Tęsknota Polaka", który odnalazłem w mojej korespondencji i poniżej umieszczam:

TĘSKNOTA POLAKA.

Cóż mi brak jeszcze prócz lubej dziewy?
Prócz ojca mego, niebios mieszkańca?
Czemuż tęsknota ma niema krańca?
Czem' nie ustaną łez mych ulewy? —
Och! nie ustaną, aż srogie blizny,
Aż się zarania bole ojczyzny!

Czuję ja srodze rany mej Matki,
Bolą mię stokroć — bo swojskie łany
Poszły w dzierżawę, bom ja poddany,
Bom obcy sługa wśród własnej chatki!
Ach! tęsknię, tęsknię za czemś nieznanem,
Tęsknię za Polską, za polskim panem!

Sambor, dnia 2. Maja 1877.

Ida Teibels.

W kilka miesięcy właśnie, nim się sprawa przyjęcia „Zemsty" do „Ruchu Literackiego" rozstrzygnąć miała, przybył ze Lwowa drukarz Jan Czaiński do Sambora i założył tam drugą z rzędu drukarnię (pierwsza bowiem powstała tam jeszcze przed dwudziestu laty za inicjatywą Pobudkiewicza. który złe na niej zrobiwszy interesa, do Krakowa się przeniósł).

Jak to u przedsiębiorców takiego rodzaju bywa, nie omieszkiwał p. Czaiński obchodzić miasto i zjednać sobie względy samborskiej inteligencji. Przy tej spo-

sobności zawadził także o mego brata adwokata a na wychodnem o mnie. Zagadnął mię o jakąś robotę dla drukarni; ja nie miałem żadnej. Niedowierzająco wstrząsnął on na to głową: „Jakto! dla „Sobótki“ ściągnąłeś Pan sto abonentów, dla „Rapperswyllskiego albumu“ nie o wiele mniej, a dla samborskiego drukarza to byś Pan nic nie miał? Pan jako literat coś wynaleźć musisz i wynajdziesz.“

Powiem prawdę, że rzecz nie była mi bardzo miłą: bo właśnie skutkiem tej propagandy dla dwóch dzieł polskich, zdobyłem sobie roje petentów niepożądanych, którym zadość uczynić ani nie mogłem, ani nie chciałem. Powstały niesnaski i sprzeczki niemiłe, a jeden z odpalonych, niejaki Marceli Turkawski ze Sambora, odważył się nawet, za odmowną odpowiedź w liście mię besztać, co się wlazło, a w dodatku jeszcze kilka lat później szkalować w Nowym Sączu.

Oświadczyłem otwarcie Czaińskiemu, że nic nie mam dla niego, coby wydrukować można, ale że kiedyś może coś będzie. I z tą odpowiedzią odprawiłem go.

U Teibelsów zaś byłem wówczas bardzo częstym gościem. Widziałem tam nędzę, biedę okropną, która choć i poprzednio nie mała, w latach 1874 do 1876 jeszcze wzrosła, kiedy ojciec Teibelsównej umarł (1876, 1. Sierpnia.) Oberża „pod gwiazdą“ należała bowiem właściwie do Brennerów; wydzierżawioną tylko była staremu Teibelsowi a po jego śmierci wdowie. Nieraz brakowało tam na opłatę bądźto asekuracji, bądź czynszu; to znowu trzeba było potrzeby braci Teibelsównej, Rubina i Monia zaspokoić i o matkę starą się troszczyć, która tyle była biedną, ile w dodatku nieporadną i pozbawioną wszelkiej zdrowej inicjatywy.

Litowałem się młodej Idy, która się mordować i męczyć musiała ponad siły swoje — to w kuchni, to w domu, to po za domem a przecież wśród krępujących ją warunków do niczego doprowadzić nie mogła. Postanowiłem coś uczynić dla niej. I zaledwie, że się „Zemsta“ pojawiła w łamach „Ruchu Literackiego“ — a było to w nrach 19—23, czyli 5. Maja do 2. Czerwca r. 1877 — zamierzyłem ją przedrukować i w osobnej książce ogłosić, połowę dochodu z prenumeraty

przeznaczywszy dla celów dobroczynnych samborskich a połowę dla autorki.

Stało się jednak to, czego nie przewidziałem: „Zemsta“ nie wyszła tak w „Ruchu Literackim“, jak ją niedoświadczona autorka napisała i wydrukowaną widzieć pragnęła. Giller uznał bowiem za stosowne, wyrzucić i zniszczyć całą drugą część a powieść ukończyć pierwszą, której jeszcze w dodatku zakończenie wręcz odmienne i wprost przeciwne temu nadał, jakiem autorka powieść ukończoną widzieć chciała. Jego zakończenie — tak twierdził on stanowczo — było najlepsze, każde inne zepsułoby tylko wrażenie. Że się pod tym względem nie pomylił, to poznała autorka później sama, nie chciała, czy nie mogła jednak tego odrazu pojąć.

Toż były płacze i narzekania ustawiczne, tem bardziej, że miła gawiedź samborska Idę Teibels wyszukanemi drwinkami prześladowała i wystarczyło, że się gdzieś pokazała na rynku, aby studenci katoliccy za nią wołali: „Zemsta chodzi! zemsta chodzi!“ Szkoda, że nie dodali: „po ludziach.“

Wtajemniczyłem Gillera w mój zamiar przedrukowania „Zemsty“ na korzyść autorki. Zacny ten człowiek, nietylko nic nie miał przeciwko temu, ale pochwalił mój zamiar bardzo i przysłał mi nawet niektóre artykuły wierszem i prozą celem wypełnienia książki, któraby się zbyt małą wydała, gdyby się jedynie ograniczyć miano na „Zemście“. Przy tej sposobności odradził jednak najusilniej od ewentualnego uzupełnienia pierwszej części i wydrukowania drugiej, na której według jego zdania tak ja, jak i autorka tylko sparzyć byśmy się mogli.

I w ten sposób powstało pierwsze wydawnictwo samborskie, nader skromne w początkach swoich, nie mogące się równać ani co do rozmiarów, ani co do treści z następnemi: ale mimoto nie chybiło ono swego celu. Nie odbiegnę przeto od prawdy, jeśli stanowczo twierdzić będę musiał, że Ida Teibels była właściwą założycielką pisma; bo chociaż w tym tomiku, zawierającym 7 arkuszów druku czyli 112 stron a kosztującym 1 złr. 20 ct., były artykuły bezsprzecznie cenniejsze od

„Zemsty“, jak np. Rembowskiego artykuł o Kordjanie Juliusza Słowackiego — to przecież publiczność samborska nie bardzo zważała na nie a najciekawszą była na „Zemstę.“

Jako redaktor i wydawca uważałem też za rzecz stosowną, zachęcić publiczność do przedpłaty na dziełko, dobroczynnym celom poświęcone, a uczyniłem to w wierszu wstępnym, stanowiącym niejako program całego mego wydawnictwa. Program ten dotąd po przeszło dwudziestu latach istnienia moich „Roczników Samborskich“ nie został zmieniony; ale ponieważ nakład pierwszego tomiku mego wydawnictwa i tak bardzo skromny (bo obejmujący zaledwie 300 egzemplarzy) dawno już został wyczerpany, a może nie każdemu znaną będzie *pierwsza książka polska*, która się w Samborze pod moją redakcją pojawiła, więc pozwolę sobie przytoczyć tytuł i treść mego wiersza:

GWIAZDA MIŁOSIERDZIA.

Gdy wszystkie gwiazdy, nami kierujące, zgasną
I stopy nasze zewsząd ostre zranią ciernie,
Zostanie jedna gwiazda przeźroczystą, jasną
I blask jej niestłumiony nam przyświeci wiernie.
    Tam gdzie nadziei promyk blask swój traci słaby,
    Gdzie błędnem okiem widzim przepaść i bezdroże,
    Mijając życia rozkosz i ziemskie powaby,
    Przewodzi nam ta gwiazdka w święte imię Boże.
W obliczu śmierci nawet kroczym dalej z wzgardą,
Gdyż gwiazda nas uzbraja na dzieła olbrzymie:
Ta gwiazda nas prowadzi ofiar ścieżką twardą,
A gwiazda miłosierdzia jest tej gwiazdki imię.
    Ni próżnych blasków chluby, ani samolubnych
    Nie pragniem mieć na oku celów i korzyści,
    Uwolńmy się od wpływów niebezpiecznych, zgubnych..
    A gwiazda miłosierdzia cele nasze ziści.
Z miłością, która tuli cały świat do łona,
Z nadzieją, która nie wie, co to strach i trwoga
I z wiarą, która cudów poświęceń dokona,
Przystąpmy więc do dzieła pod opieką Boga.

A jeśli nam się uda, ludzkiej ulżyć męce,
Wspólnemi ofiarami kojąc biednych żale,
Dziękczynnie do Wszechtwórcy wzniósłszy wtedy
[ręce,
Będziemy z wiarą w niego nadal pracowali!

G. Kohn.

Oczekiwania moje nie zostały zawiedzione. Sam Sambor pokrył mi koszta druku, w porównaniu z obecnemi niezmierne; do uzyskania dochodu zaś przyczyniły się inne miasta a w pierwszym rzędzie Lwów. Według wykazu, wydrukowanego na końcu książeczki, miałem z Sambora 110 abonentów. Dochodu czystego było 98 złr. 40 ct., z których połowę, t. zn. 49 złr. 20 ct. otrzymały dwa towarzystwa dobroczynne samborskie, a 49 złr. 20 ct. autorka.

Czy to było dostateczne, aby zatkać ogromne dziury w budżecie jej i jej rodziny — wątpię jak najmocniej o tem . . . Na swoje usprawiedliwienie zaś przytoczę, że na tym interesie prócz osobistej mitręgi nie zarobiłem ani złamanego szeląga a wyrzuty przyjmować musiałem od wszystkich. Ha, cóż robić? trudno wszystkim dogadzać, a ja nigdy nie miałem zwyczaju, osła dźwigać na barkach swoich!

Jeśli Samborzanie pierwszy mój debiut wydawniczy a pierwszy literacki panny Idy Teibels bardzo sobie lekceważyli, to nie tak samo nasi koryfeusze literaccy.

Agaton Giller wyraża się o pierwszem wydawnictwie samborskiem w swoim „Ruchu Literackim" (Nr. 45 z 23go Listopada, r. 1877) w sposób następujący:

„Pan G. Kohn, troskliwie pracujący w Samborze nad rozbudzeniem żywszego ruchu umysłowego, rozpoczął wydawnictwo zbiorowe, które zamienić się może z czasem na stałe, perjodyczne, jeżeli znajdzie dobre przyjęcie u publiczności. Właśnie wyszedł pierwszy tomik, ładnie wydany, na dobrym papierze, p. t.: *Wydawnictwo na cele dobroczynne samborskie. Książka zbiorowa,* wydana nakładem i staraniem G. Kohna. Jest to zbiór poezji i prozy, z małymi wyjątkami przez autorów z Sambora i z jego okolicy pisanemi. Książeczka ta mieści w sobie wiele nazwisk, które po raz

pierwszy w druku się okazują, a są pomiędzy niemi nazwiska ludzi utalentowanych. Treść jest następująca: Z działu poezji: *G. Kohna* następujące wiersze: Gwiazda miłosierdzia, Ostatnia pamiątka, Głos obowiązku, Źródło natchnienia, Pociecha i Prawdziwa wielkość; panny *Idy Teibels* wiersze: Minęło i Zgon matki Polki; *Adolfa Kitschmana* wiersze: Król orzeł, Sierota i Wygnańcy; pani *Tekli Zmorskiej* wiersz: Najbliższym; *Stefana z Opatówka* wiersz: Pasierby; *Jana Rudolpha*: Wiosna; *Maryi z Rusiłowa* wiersze: Ostatni bukiet, Żal za Pokuciem, Marzenie i Po wilji 1872; *Jędrzeja Świętopełka Zawadzkiego*: Do losu; *Jana Brennera* wiersz: Duchy; *Ka. Wys.* wiersz: Ja Słowianom zawsze sprzyjam. Z działu prozy są następujące utwory: Zemsta, powieść przez *Idę Teibels*; Sprawozdanie o uroczystości na cześć Kopernika, przez *Rocha Sawickiego*; Wspomnienie z Szwajcarji, przez *Agatona Gillera*; Kordjan J. Słowackiego, studjum, przez *Bolesława Rembowskiego* i wreszcie Sprawozdanie z czynności G. Kohna. Niektóre z tych utworów wierszem i prozą odznaczają się wdziękiem i zawierają piękne myśli. Skromne zadanie, jakie sobie wydawnictwo naznaczyło, zostało osiągnięte. Książka zbiorowa stała się organem Sambora i w tem leży jej szczególna dla nas zaleta. Nie będziemy oceniali zdolności poetów, którzy pracą swoją wsparli szlachetne zamiary p. Kohna, lecz ograniczymy się wspomnieniem, że są pomiędzy nimi talenta, które kiedyś nie wątpimy, dopracują się ogólnego uznania, to nas zaś cieszy wielce, iż kilka znajdujemy nazwisk starozakonnych pomiędzy pisarzami „Książki zbiorowej.“ Powitawszy wydawnictwo dobrem słowem, wyrażamy życzenie, ażeby się utrzymało jak najdłużej i było bodźcem do literackiej działalności dla Samborzan.“

Podczas, gdy się Giller o wydawnictwie samborskiem w ten sposób wyraża, to jego adlatus Wojnisław Kazimierz Sawicz-Zabłocki wprost nawiązuje korespondencję z Teibelsówną i w „Tarnowianinie“, kalendarzu na rok 1879, którego redaktorem chwilowo został, umieszcza jej wiersz „Modlitwa skazańca“, czy-

niąc sam od siebie w uwadze nader korzystną o autorce wzmiankę.

Ponieważ rzecz ta szerszym kołom zapewne nieznaną będzie, pozwolimy ją sobie na tem miejscu przytoczyć:

MODLITWA SKAZAŃCA.

Wiersz Idy Teibels.

Smutno mi, Boże... Tu w samotności
Z ócz moich płyną strumienie łez;
Ztąd szlę do Ciebie prośbę litości;
Połóż, o Boże, mękom mym kres.
Za cóż ja cierpię? Czyliż jest grzechem,
Czule się troszczyć o Matki los?
Czy — spieszyć, kiedy setnem brzmi echem —
„Dzieci! pomocy!“ — Ojczyzny głos?
Zbrodniąż jest kochać ziemię tę drogą,
Co swojem łonem żywiła nas?
Bronić ją, kiedy krwawą pożogą
Ją niszczy wróg nasz z dziećmi jej wraz?

Gdym czem zgrzeszyła — Ojcze mój w niebie!
Radośnie zniosę wieniec mych mąk,
I chwaląc Ciebie i wielbiąc Ciebie,
Sama cierń wcisnę na skronie — z Twych rąk!
Do stokroć większych skoram katuszy...
Na słup ofiarny położę skroń,
Jeno życzenie spełnij mej duszy:
P o l s c e, o B o ż e, p o d a j s w ą d ł o ń!

Do tego wiersza dodał redaktor następną od siebie uwagę:

„Panna Ida Teibels, młodziuchna autorka ślicznej powieści „Zemsta“, drukowanej w „Ruchu Literackim“, oraz we „Wydawnictwie na cele dobroczynne w Samborze“ pana G. Kohna, jest współwyznawczynią osta-

tniego, t. j. wyznania Mojżeszowego. Sława jej przeszła już po za ocean: w Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki jedno polskie pismo przedrukowuje powieść jej. Obecnie pisze drugą. Panna Ida Teibels to druga Polka Mojżeszowego wyznania, zaczynająca słynąć w polskiej literaturze jako wyborna powieściopisarka. Pierwszą jest pani Malwina Mayersonowa z Lublina, autorka powieści „Dawid“ i „Z ciasnej sfery.“ — Wierszyk ten panny Idy T., napisany na prędce, jako wyraz polskich uczuć u naszych sióstr Izraelitek jest dla nas wszystkich, kochających sprawę narodową Polski synów, tak drogi, że ani chwili nie wahamy się z ogłoszeniem go drukiem, chociaż autorka nie przeznaczała go wcale do druku a tem bardziej dla naszego kalendarza. Jest wymowniejszy od wszystkich debatów o „Kwestji żydowskiej“ w Polsce — sam czytelniku, przyznasz to; nie potrzebujemy więc mówić o tem wcale, podajemy tylko dłoń szczerej przyjaźni naszym siostrom i braciom nowym, takim jak p. Ida, Polakom Starozakonnym.“

Dodamy od siebie, że ta uwaga pod pewnym względem się przeżyła: Panna Teibels nie jest już jedyną prawie autorką żydowską, piszącą po polsku, skoro się w 4 lata później wychrzciła; ale wtedy, gdy Sawicz-Zabłocki te uwagi kreślił, była nią może. Teraz nastało nowe pokolenie, nowe nastały potrzeby; nowi rodzą się autorowie i autorki. Żydowska kwestja, która się wtedy chyba skończy, kiedy i świat kresu swego dobiegnie, coraz nowych szermierzy pióra wywołuje na widownię. Wybitne bardzo stanowisko wśród niemieckich autorek zajmuje Nahida Rémy, rodowita chrześcianka, która przeszła na łono żydowskiej wiary i jest jedną z najgorliwszych obronicielek żydowskich interesów i judaizmu. Z piszących po polsku wymieniamy panią Matyldę Posner-Garfein, pannę Reginę Pniowerównę a szczególnie pannę Anielę Korngutównę, zamieszkałą w Podgórzu pod Krakowem. Jest to potężny, jedyny w swoim rodzaju talent, który wielkie nadzieje na przyszłość rokuje, choć wad rzeczywistych nie jest pozbawiony i chociaż na wszystkie jej zasady i poglądy ślepo pisać się nie możemy.

Sawicz-Zabłocki i później nie zapomniał o Teibelsównie; a w odczycie, zatytułowanym: „Kobieta“ i wydrukowanym w IV. roczniku naszego wydawnictwa (str. 45, w. 8 i dalsze) wyraża się o niej w sposób następujący:

„Eliza Orzeszkowa, Marja Sadowska (Zbigniew), Malwina Mayersonowa z Lublina i młodziuchna Ida Teibels — dwie ostatnie starozakonne Polki, — piszą wyborne powieści.“

Musiała też „Zemsta“ mimo szyderstw, utyskiwań i niezadowolenia czytelników samborskich, mieć rzeczywiste i wielkie zalety, skoro w jednym roku aż *czterech* doczekała się nakładów. Jeden bowiem zrobił Giller w swoim „Ruchu Literackim“, drugi ja, trzeci Władysław Dyniewicz w Chicago dla swojej „Gazety Polskiej“ a czwarty z osobna w książkowym formacie tenże sam nakładca.

Tem wszystkiem jednak nie zadowolniła się panna Teibels; nie kontentna z tego, że tylko pierwszą część „Zemsty“ dotąd widziała w druku, napierała i nalegała na mnie, abym i drugą wydał, a ponieważ Giller w swoim „Ruchu Literackim“ pierwszą część powieści przerobił całkowicie a z drugiej części nawet rękopisu autorce nie zwrócił, lecz takowy zniszczył, więc musiała z pozostałych jej bruljonów a bardziej jeszcze z pamięci całość uzupełnić, ba nawet drugą część z gruntu przerobić, aby ją dopasować do pierwszej. Była to praca, która czasu i namysłu wymagała, a właśnie wtedy, kiedy ogłosiłem przedpłatę na drugi rocznik mego wydawnictwa, Teibelsówna, aby studjów swoich dokończyć i przyszłość sobie zabezpieczyć, zmuszoną była, przenieść się do Lwowa. Przesyłała mi jednak arkuszami materjał, przez nią przygotowany do druku, póki ta druga część „Zemsty“ nie została uzupełnioną. Uczyniłem więc jej życzeniom zadość — z materjalną szkodą dla wydawnictwa a z moralną dla autorki. Na książki zbiorowej drugi rocznik, który równocześnie także zawierał drugą część „Zemsty“ — w Samborze znalazło się już tylko 78 abonentów, a choć nakład nie został powiększony, to trzeba było rocznik bodaj o dwa arkusze rozszerzyć i płacić ogromny haracz drukarzowi, któremu

się zdawało, że „wydawnictwo na cele dobroczynne samborskie“ jest dojną krową, z której wyciągnąć można, co się tylko da. Mimo to nie zbankrutowałem jeszcze na tem wydawnictwie; ale żem nie zbankrutował, to nie mam do zawdzięczenia łasce ówczesnego drukarza samborskiego, lecz jedynie zapobiegliwości i oszczędności mojej.

Wszędzie bowiem, gdzie trzeba było, chodziłem na piechoty, fiakrów chyba używając, gdzie się rozchodziło nietylko o przewiezienie mojej osoby. ale także i pakunków. Na ten sposób zaoszczędziło się *tysiące* reńskich, potrzebnych mi na pilniejsze wydatki. W pierwszych latach istnienia wydawnictwa obliczyłem się tak, aby mnie dzienny pobyt we Lwowie nawet i reńszczaka nie kosztował. Trzydzieści centów dałem za nocleg, śniadanie kosztowało 5 lub co najwięcej 7 centów. Drugiego śniadania z zasady nie jadłem nigdy. Obiad kosztował 23 centów, a jeśli i pieczeń była przy tem 29. Podwieczorek załatwiłem znowu za kilka grajcarów, kolacji, szczególnie mięsnej nie jadłem nigdy, a 1879, t. j. w 3m roku istnienia mego wydawnictwa, w Maju złożyłem pierwsze półtora reńskich jako kapitał zakładowy na przyszłość we lwowskiej kasie oszczędności. Do końca tegoż roku miałem już tamże 11 złr. 85 ct., a końcem Czerwca 1897, t. zn. w 20m roku istnienia mego wydawnictwa kupiłem sobie za swoje oszczędności dom w Zamarstynowie, który mnie 3000 złr. kosztował.

A mówią tu jeszcze, że droga literacka ciężka i że można przy niej na dziada zejść! Można tak w tym zawodzie, jak i w każdym innym zejść na dziada, jeśli się chce w pana zabawić.

Ogłosiłem więc prenumeratę na drugi rocznik, a co mi ubyło z samborskiej prenumeraty, to powetowałem sobie hojnie we Lwowie, Stryju, Drohobyczu i innych miastach. Autorka jednak nie miała już czasu, czekać wyjścia drugiego tomiku mego wydawnictwa. Ubóstwo, walka z życiem, nędza twarda i przerażająca, o której nie mają wyobrażenia te szeregi dziewcząt, nierozumnie rozkapryszonych i rozpieszczonych przez rodziców, te „feministki“ z nieograniczoną żądzą panowania i błyszczenia a nieświadomością rzeczywistych potrzeb i celów życia, — brak szkół wyższych i seminarjów

w Samborze, życie obmierzłe i wstrętne na partykularzu jak Sambor wśród obmów i plotek ludzkich, w które wszystkie partykularze obfitują, choćby liczyły nawet 40.000 mieszkańców — to wszystko skłoniło Idę Teibels do opuszczenia prowincji i do przesiedlenia się do Lwowa.

Myliła się ona przecież, jeśli się w jednym z późniejszych a do mnie wystosowanych listów użala, iż jej lichą usługę wyświadczyłem, wyrywając ją ze spokojnego zacisza domowego, otaczając laurem zawczesnej sławy i skazując na walkę nieustanną ze światem. Gdyby nie właśnie ta interwencja moja, która jej bodźca do pracy dodała — pewno by kilkanaście lat wcześniej umarła, w nędzy ostatniej pogrążona i bez promyków jaśniejszych światła i wiedzy.

Pośpiesznie musiała wszystko wysprzedać: meble, fortepian, jednem słowem, wszystko, co się jeno spieniężyć dało, aby tylko jaką taką zdobyć gotówkę na przesiedlenie do Lwowa, dokąd i matka niebawem za córką podążyła. Tam trzeba było chodzić na wykłady do seminarjum, uczęszczać na kursa, dawać lekcje prywatne, łatać biedę, jak się mogło, aby tylko coś zdobyć na przyszłość, uzyskać jaką taką posadę nauczycielską. Koło jej znajomych rozszerzyło się, horyzont wiedzy również.

Ja zostałem tymczasem w Samborze, o ile interesa wydawnictwa mnie nie powołały do innych miast, a o ile mogłem, to w jej niebytności załatwiłem dla niej rachunki samborskie i popłaciłem drobne długi, gdyż do braci swych Rubina i Monia pod tym względem nie miała zaufania.

W międzyczasie otrzymałem list z Ameryki:

„Chicago, 30. Maja 1878.

Szanowny Panie!

Odebrałem Pańskie dziełko „Książka zbiorowa“, za którą dziękuję. — Posełam 10 egz. „Zemsty“ i proszę o przysłanie drugiej części, którą najprzód drukować będę w Gazecie a potem w książkę, której prześlę 100 egzemplarzy. Jak rownież upraszam o różne prace piśmienne i zarazem o doniesienie ile numerów Gazety

Polskiej mam posełać. Jeśli prace mi nadesłane, będę mógł użytkować do książek, obowiązuję się pewnych egzemplarzy Panu przesyłać.

Z uszanowaniem

W. Dyniewicz.“

Po wyjściu z druku 2go tomiku mego wydawnictwa posłałem Dyniewiczowi egzemplarz; czy korzystał z niego — nie wiem. Ja tymczasem mozolić się musiałem niesłychanie, aby zdobyć dochód; ale udało mi się przecież. O mitrędze mojej i wyrzutach ludzkich wspominać nie ma tu co; ludzie widocznie zapomnieli o tem, że się jeszcze nie wżyłem należycie w zawód redaktorski. Byłem dopiero redaktorem początkującym, a treść książek w porównaniu z obecnemi była z pewnością bardzo nieodpowiedna i bardzo licha. Poniekąd miał nawet słuszność śp. Dr. Tadeusz Żuliński, jeśli twierdził, że rocznik o takiej treści lepiej i skuteczniej mógł być zastępowanym odpisami rzadkiemi a nieznanemi z Ossolińskiej Biblioteki. Ale nie odrazu Kraków został zbudowany. Wzywam wszystkich autorów, na partykularzu zamieszkałych, aby właśnie na tym partykularzu, pozbawieni publicznych bibliotek, pozbawieni kół literackich, pozbawieni wszystkich tych źródeł pomocniczych, jakich nam stolica dostarcza, otoczeni tłumem wymagających a wcale niewyrobionych pod względem literackim arogantów i półgłówków, coś lepszego odemnie wydali, a gorsze stokroć rzeczy widziałem już sam na oczy swoje!

Dochodu z 2go rocznika było przecież na cele dobroczynne 69 złr. 92 ct., a taka sama suma dostała się autorce i została przez nią w drobnych częściach bądźto tytułem zaliczki, bądźto tytułem płacy podniesioną.

Cały szereg listów i korespondencyj, do mnie wyprawianych, świadczy wymownie o tem, jaką twardą walkę z życiem staczać musiała autorka tychże listów, zanim jej się udało, zdać egzamina i zdobyć skromną posadę praktykantki w szkole mieszanej Czackiego we Lwowie. Podczas gdy horyzont jej wiedzy z dniem każdym bardziej się rozszerzał a znajomości przybywało

coraz więcej — to z innej strony czuła się znowu krępowaną bądźto brakiem pieniędzy. bądźto właśnie stosunkami w kołach patrjotycznych z Agatonem Gillerem i innymi. Ściągnęło to bowiem podejrzenie władz na nią a nawet i rodzaj śledztwa policyjnego, z którego jednak Ida Teibels obronną ręką wyszła, bo skończyło się tylko na strachu.

Jak ona mi o swoich, tak ja jej również o moich donosiłem kłopotach. Wymiana zdań była zatem dość ożywioną, szczególnie w r. 1878. Życie nie wyrobiło jeszcze w niej tego doświadczenia, jakie się zazwyczaj tylko z biegiem czasu nabywa. Ztąd też często-gęsto żale nieuzasadnione, objawiające się w jej listach albo wyobrażenia, na któreby się rozumny i doświadczony człowiek nie łatwo zgodził.

I tak, kiedy jej oświadczyłem, że publiczność samborska niekoniecznie zachwycona podziałem powieści na dwie części i czekaniem na drugą część niemal przez cały rok, to autorka odpowiedziała mi na to:

„Co się tyczy tego zawołanego amatora książek, który jednakowoż prenumeratę zerwał, muszę otwarcie powiedzieć, choć nie znam jego osobistości (powinno być: osoby), że bardzo mylny ma pogląd; bo jeśli się nie zważa ani na treść, ani na objętość książki, to tem mniej na to, czy jest tam coś rozdzielonego czy nie. Przyzna mi przecież ów pan, że rozdzielenie nie miało żadnego wpływu co do celów dobroczynnych, a niewinna spekulacja na ciekawość publiczności nie ma w sobie nic zdrożnego.“ —

A kilka wierszów poniżej uprasza mnie znowu autorka, abym od niedbałego dłużnika w Samborze ściągnął 25 złr. za fortepian mu sprzedany, bo jej pieniędzy na gwałt potrzeba.

W ogóle listy te, teraz przezemnie przeglądane, dziwne we mnie wywołują wrażenie. Jest to pstra mieszanina. Raz przebijają się w nich myśli tego rodzaju i w takich wypowiedziane słowach, że godne są myśliciela pierwszorzędnego, osoby z doświadczeniem, wyrobionem walkami życia; to znowu widać poezja unosi autorkę tychże listów w wyższe sfery, iżby się zdawało, że jej skrzydła rosną i latać po niebiosach by chciała; to

znowu widać w listach Teibelsównej zachcianki i pretensje rozkapryszonego dziecka, mającego żal głęboki do świata, do ludzi a tem samem i do mnie — dla tego jedynie, że charaktery ludzkie i stosunki, krępujące człowieka nieraz bardzo dotkliwie, całkowicie przez nią zostały zapoznawane.

I tak żali się ona w liście z 27. Maja 1878: „Pozwól sobie powiedzieć, że gdybym była pozostała nadal w mem ukryciu, gdybyś mię nie był gwałtownie wtargnął w to koło, do którego ja nigdy należeć nie powinnam była — czułabym się teraz daleko szczęśliwszą i spokojniejszą! O! jak ja tęsknię do cichego życia mego, jak chętnie ofiarowałabym połowę życia, gdyby się odstać mogło, co się niestety już stało, gdyby wróciły owe dnie szczęścia cichego, które jak kryształowej czystości strumyk lekko szemrząc po kamykach życia mego płynęły! O! jakże boleśnie, kiedy zawiść i nienawiść tłumu są żywiołem podniecającym twórczej iskierki!! Spytasz, zkąd ta gorycz? Ot świat i ludzie!“

Zdaje mi się, że te żale i narzekania nie są uzasadnione. Już nieśmiertelny piewca Szyller wołał:

„Auch ich war in Arkadien geboren!“

Ale jakże krótko trwa ta Arkadja w piersiach młodziczy! Czyni świat wyłomy w uczuciach najserdeczniejszych, czynią ludzie i życie, a oprzeć się niemożebne, a lepiej zbrojnemu podjąć walkę, aniżeli dać się pochłonąć nieprzyjaznej fali! Coby autorki „Zemsty“ czekało, gdyby talent jej sam w sobie spłonął i nie pojawił się nikt taki, coby na złość zestarzałym przesądom i potwarzy, rękę jej podawał, torując drogę do sławy? Odpowiedź leży na dłoni: była biedną i biedną była cała jej rodzina, a właśnie skutkiem tego w krępujących ją wyrosła stosunkach. Nie mając ani imienia, ani wpływów, zatoczyłaby się coraz głębiej w przepaść społeczną, oznaczoną słowami płomiennemi: śmierć głodowa, hańba dobrowolna, frymarczenie osobą swoją albo samobójstwo przedwczesne. To jest los wszystkich opuszczonych a ubogich!!

Nadmieniłem poprzednio, że policja lwowska z początku niebardzo życzliwem okiem patrzyła na młodą autorkę a obecnie kandydatkę nauczycielską. Uprzedze-

nia te znikły jednak wkrótce. Natomiast cieszyła się Ida Teibels przyjaźnią i szacunkiem warstw, w których bez uprzedzenia umieją cenić pracę i poświęcenie, gdyż poświęceniem było bądź co bądź, jeśli biedna jak ona osoba, groszem krwawo zapracowanym, płaciła długi lekkomyślnego rodzeństwa, utrzymywała matkę starą i pod względem umysłowym nawet cokolwiek niedołężną, a sama też nie zapominała nigdy o tem, co winną była społeczeństwu.

Stefanję Wekslerową, Antoninę Machczyńską, Izę poznała we Lwowie; z Bartusówną nie mogła się już zaznajomić, ponieważ ta właśnie podówczas wyjechała do Warszawy; natomiast złożyła wizytę Gillerowi, który ją nadzwyczajnie życzliwie przyjmował.

Rozmaite wrażenia korzystne i niekorzystne, które z obcowania z ludźmi wyniosła, przebijają się w jej listach. To przemawia tonem nadziei a prawie tryumfu; to znowu czuć w jej listach głębokie a nie ze wszystkiem nieuzasadnione żale, żale do społeczeństwa, żale do rodziny, która ją niemiłosiernie wyzyskiwała, żale i ubolewania nawet w obec matki, która ją nieraz, choć bez złej woli, ale w ograniczeniu ducha na przykre narażała sytuacje, dalej znowu plany na przyszłość, bańki mydlane, zamki na księżycu.

I ja też widziałem się czasami zniewolonym do skarg: brat Teibelsównej Rubin, dawniej roznosiciel listów w Samborze, nieraz dawał mi sposobność do podobnych użalań. Ona go broniła, widocznie jak adwokat od sądu z góry naznaczony dla bronienia przepadłej z kretesem sprawy.

W liście z 13. Lutego 1878 pisze mi ona:

„W liście swoim wspominasz Pan znowu o Rubinie. Szczerze wyznać muszę, że się zupełnie po Panu nie spodziewałam, byś zważał na to i dziwił się podobnym drobnostkom! Wiesz dobrze, o ile rozum mógł oddziaływać na wypowiedzenie coś (powinno być: czegoś) tak głupiego, a kto rozumu nie posiada, czyż można się gniewać za popełnienie jakiego głupstwa?“

To wszystko bardzo ładnie i pięknie, gdyby nie to, że wiem z doświadczenia, iż tacy właśnie ludzie z rozmysłu swojem ograniczeniem jako tarczą się zasła-

niają, jeśli chcą komu dokuczać. Zresztą między ludźmi są natury i usposobienia rozmaite, a niejeden w dumie swojej nie lubi, aby się płaszczono przed nim i mu nadskakiwano, ale tak samo czuje urazę, jeśli w czemkolwiek uszanowaniu mu winnemu uchybią.

Rok 1878, który nam w ówczesnej wystawie lwowskiej dał przedsmak tego, co Kościuszkowska wystawa z roku 1894 ziściła — był świadkiem rozmaitych zmian w konstellacji politycznej i literackiej. Zawieszono ulubiony organ Gillera „Ruch Literacki.“ Długoletni jego redaktor poszedł na wygnanie. Teibelsówna zachowywała życzliwą pamięć i dla pisma i dla redaktora długo, bardzo długo.

Z roku 1879 nader mało mam jej listów. Umieściła jednak kilka drobnych wierszyków w trzecim tomie mego wydawnictwa, który przy rozszerzeniu nakładu z 300 na 500 egzemplarzy, z 9ciu na 12 arkuszów rozszerzony został za równoczesnem podniesieniem ceny z 1 złr. 20 ct. na półtora guldena. Praca zawodowa, przygotowania do egzaminów, lekcje rozmaite — to wszystko naraz wyczerpało siły fizyczne naszej autorki, osłabiło wzrok i tak już osłabiony i kładło tamę wszelkiej obszerniejszej korespondencji.

To też usprawiedliwiając się z powodu długiego a uporczywego milczenia, pisze mi ona pod datą 28. Kwietnia 1879:

„Słuszne są wyrzuty, więc z pokorą je przyjmuję. Przyczyna jednak, że nie piszę, jest ta, że o ile możności wystrzegam się od pisania w ogóle; wzrok mój bowiem tak osłabł, że na trzy kroki od siebie rozeznać nikogo nie mogę. Słabość ta wzroku jest tem niebezpieczniejszą, że żadnego śladu na oku nie widać. Dr. Hawranek jak i Lindner ogromnie mię straszą.“

Skończyło się na tym strachu, gdyż jak wiadomo Teibelsówna, później zamężna Kossowska, nie straciła wzroku, lecz do końca życia swego była czynną bądźto jako nauczycielka, bądź jako redaktorka i pisarka dla wieku młodocianego.

Rok 1880 powoduje nową zmianę w trybie życia Idy Teibels; poznała wówczas na jednej z tych schadzek literackich, na których się gromadzili bez względu

na wiarę i przekonania polityczne lub religijne żydzi i katolicy, — przyszłego swego małżonka, wówczas jeszcze ucznia szkół realnych, przygotowującego się do matury, katolika Zygmunta Kossowskiego. O zmianie losu na lepszy, o założeniu własnego ogniska myślała już dawno, a którażby się kobieta nie zajmowała żywo tą kwestją? Żadnej nie wyjmuję, nawet nie naszych tak bardzo wymagających i niczem niezadowolonych emancypantek i feministek. Żydowskie otoczenie, jakie dawniej miała w Samborze, omal że nie wywołało w niej odrazy; lwowskie było lepsze, i nie wątpimy o tem, że gdyby małą chwilkę czekała a skrzętnie wybierała pomiędzy żydowską inteligencją we Lwowie, znalazłaby niezawodnie męża żyda, odpowiadającego pod każdym względem jej zdolnościom i stanowisku i nie potrzebowałaby sprzeniewierzyć się wierze swoich Ojców.

Ileż to żydówek przechodzi na łono wiary katolickiej li tylko, aby swoją pozycję towarzyską polepszyć a nie dla przekonania, daleko większy procent, aniżeli żydów! A dawniej było to inaczej; dawniej wśród prześladowań średniowiecznych, właśnie nasze kobiety żydówki zachęcały do walki i do odporu mężów, braci, synów swoich; znosiły katownie najrozmaitsze a gorszy jeszcze srom i poniżenie, z siłą bóstwa i majestatem królowej! Teraz zmieniły się czasy i zmieniły się przekonania, czy na korzyść dorastającego plemienia żydowskiego — pozwolimy sobie o tem wątpić. Inne obecnie — niestety pisarki żydówki — poruszają kwestję każdemu prawemu żydowi w najwyższym stopniu wstrętną przejścia na łono katolickiej wiary, z takim spokojem, jakby się rozchodziło o zmianę szaty starej i nieodpowiednej. A ta szata stara, a sposób myślenia Ojców — to nam przyrosło do krwi i kości, i żaden chrzest w dziesiątem pokoleniu nawet tego nie wymaże!

Co Idę Teibels tak silnie do Kossowskiego pociągnąć mogło — to na zawsze pozostanie dla nas psychologiczną zagadką; ale cieszyła się nadzieją złamania zapór, które jej na razie przeszkadzały i wyjścia za mąż za Kossowskiego bodaj i po kilku latach. Że to się odrazu stać nie mogło — rzecz całkiem naturalna. On był studentem bez pozycji, studentem, któ-

rego po ukończeniu nauki jeszcze pobór wojskowy czekał, ona nauczycielką w szkole mieszanej imienia Czackiego, gdzie jej nader mało płacono, oprócz tego w następnym roku miała jeszcze jeden egzamin złożyć dla ustalenia swojej posady.

A jednak roiła złote sny, a jednak łudziła się nadzieją o jakiemś szczęściu, które wśród ustawicznych trosk i kłopotów domowych nie było jej przeznaczone, i wypowiadała nawet myśli te otwarcie, gdzie i kiedy tylko mogła.

I tak pisze ona w wierszu swoim „Wiosna“ (rocznik czwarty mego wydawnictwa, str. 160):

„Z wiosną budzą się anieli,
Roztaczają jasność zórz —
Równość sieje anioł w bieli,
Zgodę drugi z nich nam dzieli
W pełnych pęczach wonnych róż.
I to wszystko kwitnie, rośnie,
Zgubnym chwastom wróży zgon:
Przesąd niknie — i radośnie
Ramię się z ramieniem zrośnie
I wolności wyda plon!
I me serce radość wita,
W niem nadziei promyk tli —
Wiosna uczuć mi zakwita,
Połączenia jutrznia świta . . .
Wiosno! wiosno! witaj mi!“

Och! jakże krótko trwać miało złudzenie, trwać miała ta wiosna, która się niebawem w szarą i brudną przemieniła jesień!

W roczniku czwartym umieściłem także Idy Teibels fantastyczną powiastkę „Król węgiel“, rzecz wziętą z podań legendy żydowskiej a może ostatnią rzecz, wziętą przez autorkę ze świata wierzeń i przekonań Ojców. Rzecz ta w tak misterne tkanki poezji owita, że mnie żywa chęć brała, ją illustrować, i że wykonanie odnośnego rysunku nawet poleciłem memu przyjacielowi Zygmuntowi Sidorowiczowi we Wiedniu, który mi przyrzekł, wykonać rysunek; ale nagła choroba i śmierć jego przeszkodziły wykonaniu zamiaru, a do innego rysownika udać się nie mogłem i nie chciałem.

Usposobienie Idy Teibels zmienne i egzaltowane, to unoszące się w najwyższe sfery poezji, to znowu jak gdyby przytłoczone kamieniem powszedniości i zwątpień, malują najlepiej ustępy z listu, noszącego datę 10go Lutego 1880:

„Pracuję teraz dość wiele — tłumaczę niektóre małe utwory Lenaua — przerabiam podania — a nawet i sama trochę piszę. Liche to wszystko — widzę sama — w porównaniu z utworami Izy i Maryi B . . . Ale cóż — kiedy mi jakaś dziwna niezwyciężona siła gwałtem pióro w rękę wciska, że pisać muszę — często sama nie wiem — co. Nie wiem — czy mię poezje Izy i Maryi B. — które teraz czytałam — tak egzaltowały — dość, że sama siebie nie pojmuję. Ale — choć mi kamieniem coś na sercu cięży — dobrze mi z tem jak człowiekowi, co straszny jakiś ciężar chętnie z sobą nosi, przeczuwając w nim skarb i szczęście swoje.“

A kilka wierszy poniżej:

„Czytając wspomniane poezje uniosłam się z Maryą w smętny świat liryki przecudnej, z Izą w świat woni i śpiewu — tchnący życia rajem. I marzyłam wtedy: O, gdyby też i mnie wolno było stanąć między niemi, gdybym i ja wznieść się mogła do tej wysokości — jakże pięknie uzupełniałybyśmy się nawzajem! Marya o sobie, Iza o świecie a ja o kraju — jakżeż cudnie by to razem brzmiało! Co za sen prześliczny! — Na Boga, przyjacielu, nie wspominaj o tem nikomu; ludzie gotowi mię wyśmiać i jeszcze wyłajać za zarozumiałość, a zresztą — to tylko marzenia — dziecinne mrzonki.“

Takie i tym podobne porywy wstrząsały ustawicznie duszą — co ja mówię duszą! — całym organizmem zdenerwowanym i chorobliwym rozmarzonego dziewczęcia, a w międzyczasie ubóstwo, zaledwie zwodliwą zasłoną przykryte, wyszczerzyło zęby swoje i wołało w przeciwnym Ewanielii sensie: „Nie z samego chleba Bożego żyje człowiek, ale ze strawy ziemskiej! Daj mi jeść i uśpić robaka!“

Rzucała się też młoda Ida na wszystkie strony, aby nietylko dla siebie, ale i dla matki zdobyć tę strawę ziemską, konieczną do utrzymywania ducha w równo-

wadze. A strawa ta nadpłynęła nader skąpo. Już gotową była do jakichbądź prac literackich, do przekładów z obcych autorów, aby tylko zdobyć cokolwiek na życie. A ponieważ właśnie wtedy autor „Anny Oświęcimównej", Mikołaj Bołoz Antoniewicz, poruczył mi przekład na język niemiecki swego dramatu, do czego bezwarunkowo nie czułem się uzdolnionym, więc spróbowałem zdać rzeczoną pracę na Teibelsównę, nie zazdraszczając jej zarobku.

Otrzymałem też od niej następny list w odpowiedzi:

„Łaskawy Panie!

Serdecznie żałuję, żem się nie mogła widzieć z Panem podczas pobytu Jego we Lwowie, gdyż chciałam Pana prosić o egzemplarz „Anny Oświęcimównej". Przeczytawszy raz jeszcze to dzieło — mogłabym osądzić, czy podejmę się tłumaczenia z skutkiem czy też nie. Po przetłumaczeniu pierwszych scen prześlę je Panu, byś je Pan łaskawie autorowi przesłał — wtedy dopiero mogłabym się z samym autorem porozumieć. Rozumie się, gdyby się tłumaczenie udało. Jakże się Panu z wydawnictwem powodzi? Kiedy wyjdzie? Tu się już dość niecierpliwią. Żegnam Pana serdecznem pozdrowieniem.

Życzliwa

Ida Teibels."

$^{23}/_{11}$ 1880.

adres: ul. św. Stanisława l. 1. na dole."

Rzecz się rozbiła z jednej strony o opór i niechęć Antoniewicza, który się odwołał na to, że mnie jednemu dał tę misję i nie chce wiedzieć o innych tłumaczach, z drugiej strony zaś o brak czasu i fizyczną niemożebność tłumaczenia dramatu przez Teibelsównę na podstawie tych warunków, jakie sobie Antoniewicz ułożył.

Rok 1881 prawie na samym początku naraził autorkę na nowe i niespodziewane zawody i straty. Musiała we Lwowie zdać egzamin dla ustalenia się na

posadzie nauczycielskiej. To wszystko bowiem, co dotąd miała, było tylko prowizoryczne i niestałe. Sama bowiem pisała mi w liście de dato 22. Lutego 1881: „Mam się wprawdzie o tyle dobrze, że się nie potrzebuję troszczyć o jutro — jak to przedtem bywało — bo oprócz własnego utrzymania mam około 20 złr. miesięcznie — a to wystarcza matce. Jednakowoż zdarzają się nieprzewidziane wypadki, które mię często w straszny wprawiają ambaras. I tak muszę się teraz już stale zabrać do przygotowania się do egzaminu, więc koniecznie mi jakiejś pomocy potrzeba, bo sama nie podołam. Będę się uczyć u pani Weksler. Ale o to mniej się troszczę, bo postaram się o jaką lekcję, i tą opłacę własną naukę. Większy kłopot — bo nietylko pieniężny — zwalił się teraz na mnie przez niesumienność ludzi, od których nawet mam prawo wdzięczności się domagać.“

Był to rzeczywiście kłopot nielada. Jakaś zbankrutowana kupcowa samborska, której córce Ida dawniej lekcyj udzielała, nie otrzymawszy za to złamanego szeląga, miała jeszcze tyle śmiałości, zaskarzyć ją o dług na 8 złr. 13 ct. (razem z kosztami sądowemi 8 złr. 63 ct.) za towar pobrany, który przecież sama nauczycielce swojej córki dała zamiast płacy. I jak to bywa przy podobnych sprawach brudnych, zaraz mniemany dług odstąpiła swemu bratu, a brat kupcowej wytoczył skargę drobiazgową przed sądem samborskim.

Miałem wówczas tę przyjemność, może po raz pierwszy w życiu swojem jako redaktor stawać w zastępstwie współpracowniczki lwowskiej przed sądem samborskim celem wyrównania zaległości, którą z własnej kieszeni wypłaciłem, licząc ją autorce na karb honorarjum. (Patrz protokół podawczy sądu powiatowego miejsko-delegowanego w Samborze, l. 5059, 1881 i dalszy l. 5175 z dnia 12. Kwietnia 1881.)

Oszczędziłem Teibelsównie interwencją moją bodaj cokolwiek kłopotu, mogła bowiem studja swoje ukończyć.

Tymczasem zbliżyła się stanowcza chwila. Ida Teibels, która tyle żalów (a niezawsze słusznych) miała do świata, sądziła, że skoro się ustali na jakiejś posa-

dzie a wychrzci się i wyjdzie za mąż — to tem jednem słowem już wszystko wypowiedziane. Literatura w kąt, troszczyć się o życie nie trzeba, to, co jest wystarcza. Pomyliła się grubo: aby to wystarczyło, trzeba żyć z obrachowaniem, ze skąpstwem prawie, zwłaszcza, jeśli się ma rodzinę, a talentów, jakie się posiada, zaniechać nie wolno, ani wątpić o nich; potrzeba życia wskazuje nam bowiem dobitnie, że każdy do zawodu przezeń obranego wraca, wracać musi, nieraz zapóźno nawet.

Ale wtedy wątpliwość opanowała znowu jej duszę; po szale chwilowym, po fantastycznym pochodzie wyobraźni wybujałej, która ją myślą w trójkę łączyła z Marją Bartusówną i Izą, przyszła obawa, ażali autorka „Zemsty“ nawet w ogóle godną jest, szczycić się mianem poetki, a jeśli nie jest godną tego miana, to niechże zniknie z horyzontu literatury polskiej, aby nikt nawet nie wiedział, że żyła.

Usposobienie to uwydatnia się w ustępie z listu, noszącego datę 7. Stycznia 1880:

„Gdybyś Pan mógł mi przysłać recenzję „Gazety Narodowej“, prosiłabym bardzo. Wyszczególnienie nazwiska mego między innemi tak szczytnie już znanemi, sprawiło mi ogromną radość, gdyż dowodzi, że nie jestem zupełnie bez talentu. A ja tak często wątpię — tak często nie dowierzam własnym siłom, — że rozpacz mię porywa, gdy czytam nieudolne przekształcenia myśli moich! Ach, jakżeż silnie czuć musieli mistrzowie nasi, kiedy tyle czucia wlać zdołali w twory swe! Ja często myślę, że uczucie mi pierś rozsadzi — a gdy tymczasem je w słowa wylałam — to takie zimne, maluczkie, że aż mię dreszcz przechodzi!“

Jeszcze dobitniej wypowiada te myśli list z 13. Stycznia 1883. Autorka wyraża w tym liście chęć i nieprzepartą wolę swoją wycofania się z życia publicznego i wiru literackiego w zacisze domowe i wypowiada niejako współpracownictwo swoje „Rocznikowi Samborskiemu,“ któremu ostatnią swoją pracę „Żegnam“ przesyła.

Zdania, na początku listu zawarte, zbyt są charakterystyczne, abyśmy je milczeniem ominąć mieli.

Pisze Ida Teibels:

„Łaskawy Panie!

Proszę darować, że dziś dopiero mogę zadosyć uczynić przyrzeczeniu memu, i to nie w zupełności. Przysyłam króciutki wierszyk, który może Pan albo umieścić w swym roczniku, albo odrzucić, wedle upodobania. W razie, gdybyś go umieścił, prosiłabym bardzo, nie podpisywać całego mego nazwiska, tylko początkowe litery. Gdybyś Pan zapytał o powody, dlaczego? to nie wiem, czybym Panu zadowalającą odpowiedź dać mogła, zdaje mi się, że jest rodzaj jakiegoś wstydu, a zarazem pragnienie, zejść z horyzontu literackiego tak cicho, jakem była weszła. Za małem świeciłam światełkiem, nikt go nie spostrzegł, nikt też zgaśnięcia jego nie spostrzeże. Byłabym najszczęśliwszą, gdyby i całe istnienie moje zgasło w pamięci ludzi, znających mię, gdyby zapomniano, czym kiedykolwiek żyła na świecie.“

Zdanie tu wypowiedziane, było błędne; przyszłość wykazała to. Duch nie zasypia na zawsze, nie na zawsze daje się uśmiercić.

W r. 1883 Ida Teibels przeszła na wiarę katolicką. Do chrztu trzymała ją jej nauczycielka Stefania Wekslerowa, również wychrzcianka. Przyjęła Teibelsówna imię Stefanii i wyszła za mąż za Kossowskiego, który wówczas odbywszy już służbę wojskową, małą posadę w Wydziale krajowym otrzymał i dosyć tępo awansował. Żona jego jako katoliczka wystąpiła ze szkoły Czackiego, otrzymała jednak niebawem inną posadę.

Wkrótce pokazało się, że dobrobyt, o jakim marzyła, był zwodny, a długi zamiast się uszczuplać lub zniknąć, wzrosły skutkiem przebytych chorób i przybytku rodziny. Miała pięcioro dziatek, z których jedno umarło, a liczne to rodzeństwo już za życia matki nie mało jej spowodowało kłopotu. Jako nauczycielka, w szkole ciągle zajęta, nie miała czasu, dzieci należycie doglądać; mąż jeszcze mniej go miał, ponieważ jako urzędnik rachunkowy w Wydziale albo tamże pracował, albo jeździł po komisjach.

I widmo nędzy ukazało się na nowo, tem straszniejsze, że to nędza błyszcząca. Pensja, jaką oboje mieli, nie wystarczyła na wyrównywanie długów. Ta, która się wspólnictwa z swoimi braćmi, żydami, wyrzekła była, aby przejść na łono wiary katolickiej i zaślubić chrześcianina, widziała teraz wzgardzonych swoich braci w innej niekoniecznie pożądanej postaci u siebie, w postaci żydów-lichwiarzy.

Wtem zabłysła jej nowa myśl. Proponowano jej objęcie redakcji stanisławowskiego pisma dla dzieci „Światełka“, którego redaktor do Brodów został przeniesiony (1892.) Jak się Kossowska wywiązała z tego zadania — wie o tem świat czytający. A wtedy też okazało się, że obawy co do talentu, jej wrodzonego, były nieuzasadnione. Z trudnościami walcząc, rośnie człowiek w siły, rośnie i talent.

Kossowska, z pisma prawie zupełnie podupadłego, zrobiła organ pierwszorzędny dla dzieci. Ona to całą duszę, całe serce, całe uczucie swoje wlała w każdą niemal szpaltę pisma, rozszerzyła zakres działania „Światełka“, powiększyła liczbę abonentów doborem artykułów znakomitych; wreszcie poznawszy rzeczywiste potrzeby wydawnictwa, połączyła się z Anną Lewicką, wdową po literacie Feliksie Lewickim ze Stanisławowa, która przeniósłszy się do Lwowa, tamże nauczycielką została i pismo dla dzieci pt. „Mały Światek“ założyła.

Obie redakcje zlały się w jedno: „Mały Światek“ z „Światełkiem“, a Kossowska była duszą obydwóch wydawnictw. Tu miała pole dla swojej działalności, dotąd pozostałe odłogiem. Nie bała się też konkurencji dwóch pism o podobnych celach; wiedziała bowiem, gdzie i dokąd dąży.

Nieraz mawiała: „Piszą dla starszych, a świat dziecięcy nie ma właściwego swego organu, a przecież i świat ten nie powinien być zaniedbany.“ Wytworzyła też z „Małego Światka“ organ dla dzieci par excellence. Wszędzie — tak tam, jak i w „Światełku“ figurowały jej artykuły wierszem i prozą bądźto z pełnym podpisem, bądźto z literami początkowemi, bądźto pod pseudonimem Stefana z Sambora.

Sława jej dostała się do niemieckich pism, a ta, która nigdy za życia swego słowa w języku niemieckim nie ogłosiła, figuruje w niemieckiem dziele wśród całej powodzi najgłośniejszych pisarek, które na niwie literatury dziecięcej pracowały.

Wystarczy może, aby jej tendencję zacną i patrjotyczną bliżej określić, jeśli przytoczymy wiersz Stefanii Kossowskiej „Bajki“, umieszczony w „Illustrowanym Kalendarzu Małego Światka“ na rok 1895:

„Płonie ogień na kominku,
Rzuca błyski na pokoje,
A przy matce cicho siedzi
Zasłuchanych dzieci dwoje.
 Ach, ciekawe to są dzieje,
 Które mama synkom prawi,
 Żadna bajka tak nie cieszy,
 Żadna serca tak nie łzawi.
Bo mateczka synkom baje
O Grunwaldzie, Racławicach,
O Kościuszce, o Rejtanie
I rozdartych trzech dzielnicach.“

Na redagowaniu pisma dla dzieci nie skończyła się jednak ze wszystkiem czynność społeczna i obywatelska Kossowskiej. Miała czynny udział w Wystawie lwowskiej z roku 1894, należała do Stowarzyszenia nauczycielek, którego była bibliotekarką, należała do Stowarzyszenia szkoły ludowej; gdzie ona nie była i dokąd nie należała?!

Choroba straszna, przez lekarzy za raka uznana, położyła tamę użytecznej jej czynności: daremnie szukała ulgi w kąpielach zagranicznych: w Francensbadzie (1895), w Aix-les-bains (1897.) Umarła na klinice we Lwowie 7. Stycznia 1898, w 39-m roku życia swego, osierociwszy czworo dziatek: syna i 3 córki. Myśli niedosnute, śpiewy niedośpiewane z nią poszły spać do mogiły!

Sambor, 27. Marca 1898.

G. Kohn.

W MOIM DOMU.

(Z ryciną.)

Witam cię, domku, pracą mą zdobyty,
  Witam was, domu gościnnego ściany!
Tu w ciszy wiejskiej, przed ludźmi ukryty,
Niech przetrwam życia srogie huragany!
Tu wszystko m o j e, dokąd oko sięga:
Jakież to wielkie, choć na pozór małe:
A ducha mego wszechtwórcza potęga
Zda się, że światy ma pod sobą całe!
I władcą jestem tutaj, jestem panem,
Któremu praw swych nikt już nie narzuci,
I wzrosłem w górę pracą mą i stanem,
A duch mój wrogów swawolę ukróci.
Jestem tu panem! precz od mego progu,
Obłudo nędzna, żyjąca obmową!
Bo hasłem mojem: „Wiara w j e d n y m Bogu,
A wrogom wara“, potępienia słowo!

* *
*

Cisza dokoła: ciszę jednostajny
Chyba takt jeden zegaru przerywa,
Co wisi z ściany a w sercu głos tajny
Budzi do czynu i wciąż się odzywa:
„Na schyłku życia, w sile życia prawie
Ty walcz i działaj na złość wrażej sile;
Nad czartem dam ci zwycięztwo na jawie
I upodlenia dam ci przeżyć chwile.
Nie na to Bóg cię obdarzył rozumem,
Nie na to w moc On uzbroił cię ducha,
Byś chadzał ślepo za bezradnym tłumem
I ku podszeptom nędznych skłaniał ucha!



Zdala od zgiełku, od obmowy świata,
Patrzę, jak popod oknem się przechadza
Dziatwa sąsiada: milsza własna chata,
Niźli wór pełny i królewska władza!

G. Kohn, W moim domu.

Ty walcz i działaj i dźwigaj z sromoty,
Z upadku dźwigaj pognębionych tłumy;
Byś bronił prawa, byś wspierał sieroty,
Na to Bóg dał ci rozum nad rozumy!“

*   *
*

Witam cię domku, witam domku miły,
Co mi użyczasz opieki schroniska!
Do walki z życiem Bóg użyczy siły,
I czart od mego odstąpi ogniska.
Nie pragnę świata pochwał i oklasków,
Bylebym z siebie był zadowolony;
Zdala cyrkowych igrzysk, hec i wrzasków
Ojczyste pragnę uprawiać zagony.
Nam światła trzeba! piersiami pełnemi
Witam cię światło, co w me okno wpada,
Ciebie, co świeci na ziemi, dla ziemi
I wołać zda się: „Odszczepieńcom biada!
Biada ćmicielom słów głosu Bożego,
Którzy się zemsty ramienia nie boją,
Biada obłudnym, niegodnym łask Jego,
Biada tym wszystkim, co po ciemku broją!“

*   *
*

Mój dom otwarty: światło pełną strugą
Niech wpada, ściany niech oświeca domu:
Niech pada na mnie, niech mi świeci długo,
Ja wstępu do mnie nie bronię nikomu.
Kto z duszą przyjdzie jak ten dom otwartą,
Kto myślą z ziemi w wyższe wzbił się sfery,
Nad możnych ziemi przyjąć mi go warto:
On znajdzie przyjaźń i głos prawdy szczery!
Ja panem jestem; ja na mem śmiecisku
Królem się czuję, z królem się w zawody
Gotowem puścić, przy własnem ognisku
Myślą fantazyi oświecam ogrody.
Zdala od zgiełku, od obmowy świata,
Patrzę, jak popod oknem się przechadza
Dziatwa sąsiada; milsza własna chata,
Niźli wór pełny i królewska władza!

*   *
*

Mój dom otwarty: w gościnne me progi
Schodźcie się wszyscy, którzy mną nie gardzą:
Kto wierny Panu, niech wejdzie bez trwogi,
A kto mi szczery, rad mu jestem bardzo.
Z starym pogwarzę, młodego zachęcę,
By się do walki przysposobił z wrogiem,
Umysły chętnie zabawię dziecięce,
Bo to świat, dla nas stojący odłogiem.
Ja lubię dzieci; bo ich szczebiot miły
Wspomnień rozlicznych we mnie roje budzi:
U wspomnień moich dziś stojąc mogiły,
Na świat spoglądam, spoglądam na ludzi.
Nie dorównały me dziecinne lata
Tym, w których jako mąż dojrzały słowa
Obecne kreślę, bieg był inny świata
I inna praca i inna ma głowa.
I szło mi życie jak po grudzie twarde;
Ni dzieckiem, ni też nie czułem się mężem,
Zwalczyć musiałem szyderstwo i wzgardę
I z jadowitym pasować się wężem.

* *
*

Słońce na schyłku: wkrótce zmrok osłoni
Ściany spokojne mojego ogniska —
Ja myśl za myślą wysyłam w pogoni,
A każda myśl ma tak ziemi niebliska,
Chociaż przylgnąłem do niej uczuć siłą,
Chociaż do ziemi trup mój wrócić musi.
U kresu życia, stojąc nad mogiłą,
Urosłem w siłę, która czarta zdusi,
I jak ów olbrzym sił swoich zapasy
Uczuł rosnące w objęciach swej matki,
Swej matki-ziemi, tak i ja złe czasy
Przemogę, czując zapas sił tych rzadki.
I mnie już śmierci nie przerazi mara,
Gdyż walczyć będę z siłą niewygasłą;
Bo „Wiara w Bogu, a mym wrogom wara“ —
Takie nad drzwiami wypisałem hasło.

Zamarstynów, ulica Króla Jana III., 12go Listopada 1897.

G. Kohn.

Toż samo po niemiecku:

In meinem Hause.

I.

Sei mir gegrüsst, im Schweisse meiner Hände
Erworb'nes Gut, du traulich Haus, du liebes!
Hier auf dem Land, frei, wo den Blick ich wende,
Spott' ich der Nachrede, des sünd'gen Triebes!
Hier bin ich sicher vor des Lebens Stürmen;
So weit das Aug' reicht, muss mir Alles frohnen,
Und Welten scheint zusammen hier zu thürmen
Des Geistes Schöpfungsmacht auf Wolkenthronen.
Ja, Herr bin ich hier, Niemand unterlegen,
Und Niemand ist hier, der mein Walten hemmet,
Bin Herr durch Arbeit und durch Gottes Segen
Und durch den Geist, der Feindeswillkür dämmet.
Ich bin hier Herr und voll Verachtung schaue
Ich auf den Feind, der Lästerzunge Wüthen;
Denn meine Losung lautet: „Ich vertraue
Auf Gott, es mögen sich die Feinde hüten!“

II.

Still ist's ringsum: es unterbricht die Stille
Der Takt der Pendeluhr bloss im Geheimen,
Und in mir regt sich der Gedanken Fülle.
Und weckt zum Leben, wecket mich aus Träumen:
„Hart an des Lebens Markstein, wenn auch blühend
In deiner Kräfte Fülle kämpf' und ringe,
Des bösen Geistes Macht bewält'ge glühend,
Der Schmach entrücket, muthig vorwärts dringe.
Nicht darum hat dir Gott Verstand gegeben,
Und liess dich gross durch seinen Geist erstehen,
Auf dass du kopflos jenen nach sollst streben,
Die Böses brüten und die Unheil säen!

Du kämpf' und ringe, in den weit'sten Kreisen
Brich du dir Bahn, die Unterdrückten schütze,
Zum Hort des Rechts, zum Anwalte der Waisen
Erkor dich Gott auf seinem Wolkensitze!"

III.

Sei mir gegrüsst nach schwerem Tagewerke,
Du liebes Heim, du Aufenthalt der Freuden!
Zum Kampfe wird mir Gott verleihn die Stärke,
Und Satan selbst muss meine Schwelle meiden!
Nicht kümmert mich der Welten Lob, das schnöde,
So lange noch nicht hin mein Selbstvertrauen:
Fern von der Welt Gewühl, so schaal und öde,
Der Heimat Fluren lasst mich hier bebauen.
Licht ist uns nöthig: drum aus vollem Herzen
Grüss' ich dich Licht, das strahlt in meine Scheiben,
Dich, das uns weckt zum Leben unter Schmerzen;
Und ruft: „Weh' denen, welche Unheil treiben!
Weh' denen, die nicht achtend Gottes Mahnung,
Den Herrn verrathen und im Finstern schleichen,
Unwürdig Gottes und beraubt der Ahnung —
Den Heuchlern wehe, den lebend'gen Leichen!"

IV.

Mein Haus steht offen: Licht in vollen Zügen
Strömt durch die Fenster, die durch es verschönten;
Bestrahle mich, du kannst mir kaum genügen,
Bestrahle meine Gäste, die ersehnten!
In meinem Haus ist jeder mir willkommen,
Der also rein ist, wie des Lichtes Strahlen;
Zum Freund wird gern er von mir angenommen,
Will er mit wahrer Freundschaft meine zahlen!
Hier bin ich Herr; auf dem, der mir zu eigen,
Auf eig'nem Grund und Boden bin ich König,
Nun mag der Hass, die blasse Missgunst schweigen,
Ich bin hier Herr, ich achte ihrer wenig.
Fern von der Welten niedrigem Gewühle,
Entrückt des Schicksals mitleidslosen Schlägen,
Betracht' ich mir der Nachbarkinder Spiele,
Ein König hier, ja! Kön'gen überlegen!

V.

Mein Haus steht offen: die nach mir verlangen,
Sind gern gesehn an meines Hauses Schwelle;
Wer treu dem Herrn, betret' es ohne Bangen,
Und wer es gut meint, komme auf der Stelle.
Mit ältern plaudern, jüngere belehren
Aus meines Lebens Buche will ich gerne,
Auch Kindern mag ich nicht den Zutritt wehren;
Der Kinder Welt, sie steht uns leider ferne,
Und dennoch lieb' ich sie; vergang'ne Jahre
Weckt ihr Geplauder in des Herzens Tiefen.
Heut', wo ich steh' an der Erinn'rung Baare,
Regt der Gefühle Welt sich, welche schliefen:
Ach! anders hat es damals ausgesehen,
Und anders ist die Kindheit mir vergangen,
Ich fühlte andre Freuden, andre Wehen,
Die Welt war anders, anders mein Verlangen.
Bei Kampf und Ringen floh dahin die Jugend;
Nicht mehr ein Kind, noch auch zum Mann geworden,
Hört' ich's Gezisch der Schlange, die die Tugend
Mit ihrem gift'gen Hauche droht', zu morden.

VI.

Zur Neige geht die Sonne; bald umsäumet
Der Abenddämm'rung Friedensstrahl mein Zimmer —
Es hastet in mir der Gedanken Flucht, es träumet
Von Himmelssphären Herz und Sinn nur immer,
Obwohl der Erde angehört in Gänze
Der morsche Leib, den Todesmacht besieget,
An Grabes Rand, an meines Lebens Grenze
Fühl' ich die Kraft, der Satan unterlieget.
Und wie Antäus in der Mutter Erde
Umarmung fühlte seine Kraft gestählet,
So fühl' auch ich bei Noth und bei Beschwerde
Von unverhofften Kräften mich beseelet,
Und mich erschrecket nicht des Todes Wüthen
Und Stand biet' ich der Widersacher Streichen:
„Ich bau' auf Gott, es mag der Feind sich hüten." —
An meiner Thüre steht dies Losungszeichen.

Zamarstynow, am 2. Februar 1898.

Gotthilf Kohn.

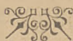
O wschodzie słońca.

Cisza w koło! tam za borem
Blade niebo się rumieni,
Płonie, żarzy się nad dworem
Wśród tęczowych barw odcieni.
    Czerwienieje obłok wkoło
    Blaskiem zorzy i purpury,
    Odzywają się wesoło
    Zewsząd ptasząt ranne chóry.
I strumyczek po dolinie
Raźniej, żwawiej się porusza,
I pieśń serca mego płynie,
A za sercem płynie dusza.
    Płynie, śpiewa o błękicie,
    O różowej, cudnej zorzy,
    W pieśń chce przelać całe życie,
    Całe uczuć tkliwych morze.
Z pieśnią wzlecieć na lazury,
Do promieni jasnych słońca,
Na te złotoskrzydlne chmury
I tam marzyć, śnić bez końca . . .
    O potęgo świetlna, złota!
    Ile w tobie ognia, siły,
    Jak do życia rwie ochota,
    Gdy promienie je olśniły!
Gdy to życie blaskiem zorzy
Słońc porannych oświecone,
Gdy bez czarnych chmur, bez burzy,
Takie miłe, niezmącone!
    O słoneczko jasne, młode!
    Świeć przez dzionek mego życia!
    Daj mi szczęście i swobodę
    Wśród cichego serca bicia!

Użycz skrzydeł, bym z ochotą
Mknęła niemi w świat bez końca,
Daj mi szczerość twoją złotą,
Niezmąconą szczerość słońca.
Daj mi ciepło twych promieni,
Twego nieba myśli wstęgę,
Twych poezję zórz odcieni —
I twą siłę i potęgę!

Rymanów, 31. Października 1896.

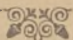
Olga Lissówna.



Śpiewaczce do albumu.

Niezwykłym Ciebie głosem obdarzyły nieba;
Lecz nie sądź, iż Ci w życiu nic więcej nie trzeba . .
Pomnij, że najwdzięczniejszą jest piosnka na świecie,
Którą matka kołysze swe kwilące dziecię . . .

Walenty Ćwik.



Man mengt mir Gift in meinen Lebensbecher.

(Sonett.)

Man mengt mir Gift in meinen Lebensbecher . . .
Weil für das Recht ich mannhaft eingestanden,
Entlarvt die Heuchler und gemacht zu Schanden,
Hallt's laut und drohend: „Kreuzigt den Ver-
[brecher!“
Betrug und Unrecht heischen gleichfalls Rächer,
Die Schmach zu sühnen, welche sie empfanden,
Die Heuchelei, sie wächst in allen Landen
Und das Gefühl des Rechts wird immer schwächer.
Doch du, o Herr, der prüfet Herz und Nieren,
Wirst mich den Sieg des Rechts noch sehen lassen,
Wenn ich ihn auch mit meinem Tod bezahle!
In deinem Namen werd' ich triumphiren,
Und die beschämen, die die Tugend hassen,
Und werde streben, dass dein Licht erstrahle!

Sambor. 14. Jänner 1898.

Gotthilf Kohn.



Toż samo po polsku:

Jad mi wsączają w życia czarę wrogi.

(Sonet.)

Jad mi wsączają w życia czarę wrogi . . .
Żem broniąc prawa swe naraził kości,
Żem z obłudników maskę zdarł świętości,
Toż lament wielki, rwetes powstał srogi!
Obłuda mści się, rzuca w twarz przestrogi,
By jej nie czepiać, nie tknąć jej nicości,
Obłudy coraz więcej wśród nas gości
I coraz mniej w pospólstwie prawdy drogiej.
Lecz Ty, co badasz me wnętrzności, Panie!
Ty dasz zwycięztwo w dłonie niedołężne,
Choć śmiercią je przepłacę i katownią!
Ty dasz mi ujrzyć cnoty zmartwychwstanie,
Potwarców tłumy zgromisz Ty potężne,
Bym nad ich czołem błysnął prawdy głownią!

Sambor, 15. Stycznia 1898.

G. Kohn.



Bibliografia.

---

a) Wydawnictwa dla ludu i młodzieży, oraz książki naukowe.

[Sylwetki polityczne. Przez Romualdę Baudouin de Courtenay. Z pięciu portretami. Kraków, 1897. Nakładem autorki a drukiem W. L. Anczyca i spółki. Mała ósemka. Stron 32. Cena 20 ct.]

Żona znanego literata i polihystora Baudouina de Courtenay skreśla nam w swojej broszurce piórem umiejętnem sylwetki polityczne — biografje nie powiemy — pięciu wybitniejszych mężów politycznych, po części też dowódców obecnej demokracji socjalnej: ks. Stojałowskiego, agitatora Daszyńskiego, chłopa Jakuba Bojki, wreszcie Jana Stapińskiego i Karola Lewakowskiego. Powiedziałbym, że to gawędy literackie — takim to stylem wszystko napisane. Światła dużo, cieni jak najmniej, krytyka prawie jednostronna, szczególnie zmylona co do ks. Stojałowskiego, w którym każdy nieuprzedzony już dzisiaj uzna tylko zręcznego blagiera, coś na kształt kameleona, mieniącego się w wszystkich barwach. Jeszcze najwierniej naszkicowany charakter chłopa Jakuba Bojki jako samouka, dorabiającego się własną pracą uznania i stanowiska w społeczeństwie a pracującego zupełnie bezinteresownie. Przed takimi to ludźmi czołem. Co Daszyński i jemu podobni zdziałali — wiemy: same frazesy, z których owoców jakoś nie widno. Ale gawędki czy pogadanki literackie pani Courtenay gładko są napisane i czytają się z przyjemnością, a to także jest zaletą nielada.

[Kim jest człowiek? odczyt publiczny, wygłoszony przez Dra Wilhelma Holzera. Lwów, 1897. Nakładem autora a drukiem Edmunda Ostruszki. 12. Stronic 8.

Zbyt krótko i niewyczerpująco traktował autor kwestję, kim jest człowiek? Na ten temat można by było o wiele więcej napisać — wybaczamy mu jednak chętnie błąd zwięzłości nie na miejscu, ponieważ odczyt jego widocznie nie był przeznaczony dla grona filozofów i rzeczoznawców, ale dla tłumu, któremu ostatecznie i to wystarcza.

[Franciszek Waligórski. Wszystko dla naszej „świętej". Poezje, serja I. Krosno, 1895. Nakładem autora a drukiem W. Lenika w Krośnie. Mała ósemka. Stron 112.]

Dziwne wrażenie wywołują ci starzy swojemi pracami, ci starzy, którzy już dawno mieliby prawo, iść w emeryturę a jednak nie korzystają z tego prawa, lecz pracują, nie dla chleba, ale dla idei, dla naszej „świętej", ci starzy, którzy się nigdy nie starzeją, podczas gdy młodsza generacja nigdy młodą się nie czuje. Czołem przed tymi dziwnymi starcami, czołem przed ich dziwnym zapałem, tak mało licującym z rzeczywistością!

Do tych niepoprawnych starców idealistów i marzycieli należy także Waligórski jako autor książeczki, przez nas omówionej. On niejako od przeszło 50ciu lat trzymał rękę na pulsie swej ojczyzny, badał przebieg sprawy polskiej w latach 1846m, 1848m, 1864m i później. Książka jego zawiera dużo cennego materjału nie tylko dla poety, ale i dla historyka. A zresztą komu, co tylko zna dzieje naszej literatury poetycznej — nieznane imię Waligórskiego?!

Jeśli nadmienimy, że forma tych wierszów mistrzowska a treść nie byle jaka, bez względu na to, czy autor sięga w głąb zamierzchłych wspomnień z lat 1846, 47 i 48, czy też opiewa powstanie styczniowe, czołem bije przed wystawą Kościuszkowską we Lwowie albo karci bezprawia Moskali w „Pogadankach z Bartoszem", w „Echach rzezi krożańskiej", w „Wiązance serdecznej dla naszych najserdeczniejszych" — to zdaje się, że będzie dosyć i nic ponadto na pochwałę książki dodać nie możemy, chyba to jedno: kupujcie ją, nie dajcie jej się marnować na pułkach księgarskich", ale

„Któż kupi perełki?"

[Tyniec pod względem typograficznym, opisał Seweryn Udziela, członek komisji antropologicznej Aka-

demii umiejętności w Krakowie i delegat Towarzystwa ludoznawczego we Lwowie. W Wieliczce, nakładem autora. Druk J. Litwińskiego, 1897. Mała ósemka. Stronic numerowanych 17.]

Jest to ciekawy zbiór rozmaitych podań i legend, wiążących się ściśle z nazwą i historją Tyńca, wsi historycznej, położonej pod Krakowem. Nie brak tu materjału historycznego a szczególnie ludoznawczego, wykazującego zabobon ciemny mieszkańców tych okolic, wierzących jeszcze i teraz w czarownice, djabły, przebierające się w świnie, strzygonie czyli upiory i tem podobne urojenia fantazji ludu. Dalsza serja podobnych szkiców, zapowiedziana przez autora, choć smutne bardzo światło rzuca na wykształcenie duchowe ludu, również jednak jest pożądana z względów historji oświaty i kultury średniowiecznej.

[Przewodnik życia, według znakomitych autorów i własnego praktycznego doświadczenia opracował Cholewa. Rzeszów, 1897. Nakładem i drukiem J. A. Pelara (H. Czernego) w Rzeszowie. Mała ósemka. Stron numerowanyzh 186, indeksu V. Cena 1 złr.]

Głośny ongiś dworzanin, Knigge, żyjący w drugiej połowie 18-go stulecia, wydał dziełko, znane pod tytułem: „Über den Umgang mit Menschen,“ w którem współziomków swoich poucza, jak postępować powinni, obcując z innymi. Choć ta książka niegdyś uzasadnioną cieszyła się sławą i w Niemczech długo prawie jedynem była dziełem tego rodzaju — to z biegiem czasu niejedna zawarta w tej książce przestroga lub nauka poszła w zapomnienie lub przestarzała się. U nas zaś dzieł podobnego rodzaju zupełnie nie ma. Autor, podpisujący się pseudonimem Cholewy, postarał się zaradzić temu brakowi a uczynił to za pomocą niniejszego podręcznika. Część wzięta z dzieła Kniggego, inna znowu uzupełniona doświadczeniami własnemi polskiego autora, ponieważ nie wszystko, co w Niemczech jest uzasadnione i ma znaczenie swoje, da się tak żywcem przenieść na grunt galicyjski. Jako motto wybrał sobie Cholewa zdanie: „Szczęśliwy, kto chce i umie korzystać z doświadczenia drugich.“ W przedmowie stara się autor cel swego dzieła objaśnić. Niektóre jego wskazówki są nawet bar-

dzo trafne, np.: „Składamy na nerwy jakoby słabość fizyczną to, co jest rozpieszczeniem, słabością charakteru, brakiem hartu, przyczyną wyuzdanej samowoli.“ A dodajmy od siebie: „Kto tak postępuje, kto będąc mężczyzną, dla świętego spokoju wymawia się słabością nerwów, zamiast walczyć i czoło stawiać bezprawiu, ten grzeszy ciężko, a krzywdząc innych swoją uległością, krzywdzi siebie samego.“ Nawet historja powszechna daje nam liczne tego rodzaju przykłady: monarchowie dobroduszni, ale nie samowolni, ulegając co chwila wpływom obcym, dużo więcej złego zdziałali, aniżeli okrutnicy nieokiełzani.

Dzieło Cholewy rozpada się na 3 części a mianowicie zawiera pierwsza część: „ogólne uwagi i rady obchodzenia się z ludźmi,“ druga: „obchodzenie się z ludźmi rozmaitego wieku“ a trzecia: „jak się obchodzić z ludźmi najwyższych sfer towarzyskich.“

W książce Cholewy bardzo wiele mieści się ziarn mądrości, choć na mocy własnego doświadczenia i to dodać muszę, że nie wszystkie te nauki i przestrogi przeprowadzane być mogą co do joty w życiu publicznem. Ale miejmy na względzie, że książka ta dla młodzieży została napisaną, aby jej przyszły wytknąć kierunek, a nie dla dorosłych, którym często-gęsto po drodze życia wręcz przeciwną ścieżką kroczyć wypadło. Niektóre zdania autora dałyby się jednak i teraz jeszcze ze skutkiem zastosowywać, np. zdanie: „Nie promowujmy niezasłużonych krewnych ze szkodą zasłużonych chociaż obcych.“

Język autora miejscami niepoprawny, np. tam, gdzie pisze: „z obydwoma powaśnionemi stronami“ zamiast: „z obydwiema“ (str. 137, w. 8, 9), „awantażowniej“ zamiast: „korzystniej“ (str. 139, w. przedostatni), „jak“ zamiast: „niż“ i t. d., książka zresztą co do zewnętrznej formy, szczególnie okładki, dosyć przyzwoicie się przedstawia.

[Austryackie ustawy podatkowe. Część I. O ogólnym podatku zarobkowym. Ułożył we formie pytań i odpowiedzi Franciszek Kolankowski, ck. starszy inspektor podatkowy. Lwów, 1897. Mała ósemka. Nakładem autora a drukiem Pillera i spółki. Stronic numerowa-

nych 88. Cena 60 ct. Część IV. O podatku osobisto-dochodowym i pensyjnym. Przez tegoż samego. w tej samej formie ułożony. Lwów 1897. Mała ósemka. Nakładem autora a drukiem Pillera i spółki. Stronic numerowanych 119. Cena 80 ct.]

Nowe ustawy podatkowe wywoływały wszędzie moc komentarzy i objaśnień: mimo to szersze warstwy ludu nie mają jeszcze o nich należytego wyobrażenia. Każdy z powołanych komentatorów traktuje rzecz na swój sposób, p. Kolankowski zaś w formie pytań i odpowiedzi. Do tej formy nie przywiązalibyśmy może znaczenia, ani wagi większej, gdyby nie to, że ją liczne przykłady objaśniają, przedstawiając poniekąd obrazowo treść i znaczenie przytoczonych ustępów. Język p. Kolankowskiego jest czysty i wolny od niepotrzebnych domieszek, z obcych języków wziętych.

[Adama Mickiewicza życie i dzieła. W stuletnią rocznicę urodzin nieśmiertelnego wieszcza, dla ludu i młodzieży napisał J. K. Maćkowski. Z 6 rycinami. Inowracław, 1898. Nakładem księgarni Dziennika Kujawskiego i czcionkami drukarni tegoż pisma. Mała ósemka. Stronic 32. Cena 10 ct.]

Rocznicą setna urodzin natchnionego poety i wieszcza narodowego wywoływała najrozmaitsze plany uczczenia go. Sypią się jak z rogu obfitości publikacje, jego pamięci poświęcone, do których i książeczka Maćkowskiego należy. Napisana ona — jak tytuł wskazuje — dla ludu i młodzieży; więc odznacza się wielką jasnością i dokładnością, wyczerpującą prawie każdy szczegół do dna, oraz prostotą stylu. To są zalety dziełka, od których jednak nieprzyjemnie odbija niedbałość wydania, odźwierciedlająca się lichemi illustracjami a jeszcze lichszym papierem i drukiem. Napotkaliśmy nawet podczas czytania na błędy językowe i zwroty niekoniecznie polskie, a jeśli autor raz na str. 13-ej swego dziełka twierdzi, że „Mickiewicz zniósł pierwszy zawód w miłości dość spokojnie, przynajmniej bez objawów rozpaczy“ a potem na str. 15-ej ze zdaniem się wyrywa, że „ciężkim ciosem była dlań wieść, że Maryla zaręczyła się z Wawrzyńcem Puttkamerem“ — to jedno zdanie z drugiem w rażącej pozostaje sprzeczności.

[Wydawnictwo ludowe. Książeczka 178. Reforma podatkowa. Część I. i II. Napisał Franciszek Szymusik, ck. radca skarbu. Stronic numerowanych 62 i 64. Nakładem wydawnictwa dziełek ludowych, pod redakcją Bronisława Sokalskiego a drukiem Szczęsnego Bednarskiego. Lwów, 1897. Cena 15 i 20 ct. w. a.]

Dowodem wielkiej popularności prac p. Szymusika jest to, że jego książeczki o „reformie podatkowej“ figurują w wydawnictwach ludowych, rozchodzących się jak wiadomo w krociach egzemplarzy po kraju. Nowe ustawy podatkowe wprowadziły bowiem wiele zmian w nasze życie społeczne, a jeśli w pewnem niemieckiem piśmie humorystycznem jakiś literat swój dochód osobisty tak nisko podaje, że mu inspektor podatkowy oświadcza, iż go to wcale nie zadawalnia, wobec czego autor mu się odcina: „I mnie tak samo“ — to wobec nowej procedury podatkowej takie wątpliwości same z siebie ustać powinne, ponieważ każdy podatkowiec ma obowiązek, sam się fasjonować i prawo, wnieść zażalenia od podatku, zbyt wysoko wymierzonego. Szymusik objaśnia w swojem dziełku treściwie genezę powstania reformy podatkowej, jakoteż głośne znamiona tejże reformy a czyni to językiem dla ludu zrozumiałym.

[Ustawa z dnia 25. Października 1896. Dz. u. p. Nr. 220 o bezpośrednich podatkach osobistych wraz z rozporządzeniami wykonawczemi. Przełożył i objaśnił Franciszek Szymusik, ck. radca skarbu. Lwów, 1897. Nakładem Jakubowskiego i Zadurowicza a drukiem Pillera i spółki. Zeszyt pierwszy. Mała ósemka. Stronic 210 i 16.]

Nieco odmienną cechę od poprzednich ma ta książka, pisana widocznie nie dla prostego ludu, ale dla wyższej inteligencji. Już sam druk i papier przedstawiają się korzystniej. „Przedmowa“ i „historyczny pogląd na reformę osobistych podatków bezpośrednich w Austrji“ omawiają sprawę reformy podatkowej wyczerpująco, a same ustawy podane są w przekładzie, do którego autor dołączył w formie dodatku objaśnienia swoje.

[Przepisy o uwolnieniu od opłaty pocztowej w ruchu pocztowym wewnątrz Austro-Węgier, oraz w obrocie z zagranicą. Zestawił Bronisław Fruziński, ck. admini-

strator poczty w Łące. Nakładem autora a drukiem Schwarza i Trojana. Sambor, 1897. Mała ósemka. Stronic numerowanych 33.]

Autor musiał się należycie namozolić, zanim mu się udało, wyciągi z rozmaitych pism i rozporządzeń uczynić, na podstawie których on wykazuje, jakie to przesyłki pocztowe są całkowicie lub częściowo wolne od opłaty pocztowej a jakie opłacie owej podlegają. Wobec nieświadomości rzeczonych stosunków pocztowych wśród ludu, szczególnie wiejskiego, nie można Fruzińskiemu odmówić uznania za jego pracę.

[Sędziwy jubilat na tronie Habsburgów. Skreślił dla ludu i młodzieży Izydor Poeche, autor „Żywotów sławnych Polaków i Polek“. Nowy Sącz, 1898. Nakładem i drukiem J. K. Jakubowskiego. Stronic numerowanych 47. Mała ósemka.]

Jest to jedna z tych licznych broszur jubileuszowych, okazujących się z powodu uroczystości 50-cioletnich rządów cesarza. Autor traktuje rzecz stosunkowo dosyć wyczerpująco, nawet z niejaką drobiazgowością. Wydaną została ta broszurka oczywiście dla niższych warstw, czego najlepszy dowód widzimy w ustawicznem objaśnianiu słów i wyrazów, każdemu inteligentnemu czytelnikowi mniej więcej znanych. Druk odznacza się czystością.

b) *Książki mieszanej treści.*

[Jednodniówka Truskawiecka, wydana w Sierpniu 1897. Format mały in quarto. Stronic 8. Litograficznie odbite w zakładzie artystycznym Przyszlaka we Lwowie.]

Jest to w swoim rodzaju osobliwsza „jednodniówka“. Zrodziła ją nie potrzeba publiczna, ani też dobroczynność, starająca się za pomocą takich jednodniówek ulżyć doli ludzkiej, ale prosty kaprys gości kąpielowych, którzy pragnęli widzieć, jak się dzieci ich muzy w sukience nowej przedstawią. A znalazł się wnet i sprytny illustrator w osobie znanego rysownika „Śmigusa“, Brunona, który rozmaite te, czasem artystycznym zmysłom niekoniecznie sprzyjające koncepta ołówkiem swoim u-

wiecznił. Zdaje mi się, że jeden z tych rysunków, a mianowicie tytułowy, widzieliśmy już przedrukowany w „Śmigusie.“ Reszta niekoniecznie kwalifikowała się do reprodukcji, szczególnie ta na str. czwartej, zatytułowana: „Zdrój Józefy.“ To samo mniej więcej da się także powiedzieć i o pracach literackich „jednodniówki“.

Mieszczą się jednak w tej „jednodniówce“ także prace wcale udatne, jakoto: aforyzm ks. Dra Kopycińskiego, aforyzm Dr. Edwarda Krzyżanowskiego, tchnący wielką miłością Ojczyzny, trzeci aforyzm Dra W. S. o zagadkowości i tajemniczości doktorskiej, w którym szanowny syn Eskulapa w złośliwej prawdomowności swojej własnym kolegom nie przepuszcza, wreszcie znakomita i wykończona pod każdym względem „pieśń sezonowa.“

[Stanisław Schnür-Pepłowski. Życie za wolność! (opowieść z przeszłości Galicji.) Lwów, 1897. Nakładem księgarni H. Altenberga a czcionkami drukarni ludowej. Mała ósemka. Stronic numerowanych 136. Cena 1 złr.]

Dziełko rzeczone jest przedrukiem ze „Słowa polskiego“ zaopatrzonem w dwie illustracje i w podobiznę rękopisu Teofila Wiśniowskiego. Ku większej jeszcze ozdobie dzieła przyczynia się barwny styl autora, znanego w szerokich kołach z wielu prac o historycznym i naukowym zakroju.

Postać Teofila Wiśniowskiego jest postacią historyczną; łączy się poniekąd z dziejami Galicji a zwłaszcza Lwowa, wyprzedzającemi rok 1848. To też nie omieszkał autor, nagromadzić w swojej opowieści, co tylko mogło się przyczynić do urozmaicenia obrazu. Widzimy też w książce jego przedstawione nietylko całe życie, całą działalność społeczną i obywatelską straconego skutkiem wyroków okrutnych Metternichowskiej biurokracji, ale widzimy niejako obraz epoki, w której żył i działał i ruch emigracyjny w kraju i zagranicą. Niepospolicie do podnoszenia wartości dzieła, które każdemu prawdziwemu patrjocie gorąco polecamy, przyczyniają się wyjątki nader cenne z korespondencji Wiśniowskiego z rodziną swoją, sprostowanie rozmaitych fałszów historycznych co do osoby i celów Wiśniowskiego i Kapuścińskiego, opis wierszów, napisanych na cześć patrjoty

i uroczystości, rokrocznie w tym samym celu urządzanych a których koroną i uwieńczeniem była uroczystość poświęcenia pomnika Wiśniowskiego we Lwowie, w dniu 31. Lipca 1896 r. w obecności kilkuset osób dokonana.

Sądzimy, że lepiej nie moglibyśmy ocenę dzieła Schnüra-Pepłowskiego zakończyć, aniżeli słowami samego autora, które też poniżej przytaczamy:

„Skromny głaz przypomina ziomkom nazwisko człowieka, który poświęciwszy całe swe życie dla Ojczyzny, dla niej też poniósł śmierć męczeńską z tym spokojem i z tą odwagą, jakie daje poczucie godnie spełnionego obowiązku patrjotycznego. Skromnym i cichym był Wiśniowski przez całe życie, lubo zaufanie rodaków postawiło go na czele walczących o swobody narodowe szermierzy. Choć jednak zwłoki jego spoczęły w bezimiennej mogile, w miejscu, skalanem krwią licznych zbrodniarzy, to jednak wielkość spełnionej przez niego ofiary zmyła hańbiące piętno z tego wzgórza, które dla przyszłych pokoleń pozostanie wzniosłą pamiątką tych czasów, gdy ojcowie nasi poświęcali ochotnie życie za wolność narodu!“

[Zbiór poezyj. Napisał Henryk Stroka, profesor Seminarjum nauczycielskiego męzkiego w Rzeszowie. Rzeszów, 1894. Nakładem autora a drukiem J. A. Pelara (H. Czernego w Rzeszowie. Mała ósemka. Stronic 92.]

Rodzina autora znana ze zdolności poetyckich. Pisał wiersze śp. Henryk, pisze wiersze jego syn Aleksander, pisze wiersze dosyć gładkie także dalszy krewny Wincenty, a zdolności poetyckie Jadwigi ze Zubrzyckich Strokowej znane są dostatecznie światu czytającemu.

Wiersze Henryka Stroki, w książce tej pomieszczone, pochodzą po największej części z lat młodocianych, a bardzo mało stosunkowo jest takich, coby już nowsze zdradziły pochodzenie. Te zaś autor wyłącznie poświęcił swojej żonie. Nie są wszystkie wiersze Henryka Stroki równe sobie co do wartości: wszystkie zaś cechuje szlachetna tendencja miłości Ojczyzny.

Do udalszych zaliczamy następne wiersze: „Orzeł“, „Do tańczących“, „Ja pójdę też“, „Do imionnika pannie L. M.“, „Poranek letni“ i „Zapusty.“

Nie brak jednak w zbiorku także fałszywych rymów, jak „wierna“ i „pełna“, „nieci“ i „skuci“, „ołtarz“ i „sprostasz“ i t. d. a wiersze w rodzaju tego na str. 29.

„A wtem się sypie do lufy proch....
Ognia!... O Jezus Marya!... ginę... och!“
niekoniecznie nadadzą się do upiększenia całości.

[Nauki katechizmu o socjalizmie, zebrał ks. Wojciech Biela na podstawie katechizmu Franciszka Spirago. Nakładem autora a drukiem Schwarza i Trojana w Samborze. Sambor, 1897. Stronic numerowanych 58. Cena 30 ct.]

Idea socjalnej demokracji coraz więcej budzi do życia piszących i rozprawiających o niej pro et contra. Przyznaję otwarcie, że nie jestem jej zwolennikiem i że szczególnie dla Galicji wygłaszanie i szerzenie jej zasad nic dobrego nie wróży. Mamy tu dosyć proletarjatu pijanego, zuchwałego i odciągającego się z rozmysłu od każdej uczciwej pracy. Ci, co nie chcą pracować, myślą już nie o podziale pracy, ale o podziale owoców pracy między siebie. Jeśli takich próżniaków i wichrzycieli ks. Biela w broszurce swojej gani — za złe mu tego brać nie możemy — za złe jednak bierzemy przedstawienie jednostronne szczegółów, na tendencyjnym punkcie widzenia oparte. „Praca maszynowa sprawiła, że wszystek pieniądz przeszedł w ręce fabrykantów, znikając natomiast coraz więcej z rąk reszty ludu. W ten sposób wzrastała z dniem każdym liczba ubogich i niezadowolonych ludzi.“ To wszystko bardzo ładnie i pięknie! A gdziebyśmy się podzieli bez tej maszynowej pracy, której największą korzyść obok taniości tworzy szybkość? Drukarska praca sama jest maszynową; więc mamy jej zaniechać, aby jak to ongi bywało za króla Ćwieka, mozolnie w setkach egzemplarzy za pomocą odpisów to rozszerzyć, co nierównie łatwiej, szybciej i taniej drogą druku osiągnąć możemy? A i nawet tą zdobyczą ducha nie zadawalnia się już czytająca publiczność, lecz dąży usilnie do wykonania pracy drukar-

skiej drogą szybkoprasową (Schnellpressendruck.) Dawniej ubogie dziewczę oczy marnowało nad uszyciem paru koszul lub kołnierzyków; dzisiaj robi to za pomocą maszyny prędzej i łatwiej. Dawniej kolei nie było; więc furmanie i faktorowie zarabiali, a publiczność inteligentna, należąca do innych warstw, traciła na tem, traciła pod każdym względem. Dzisiaj natomiast z każdym dniem więcej setki bałagułów i faktorów tracą na zarobku, a tysiące podróżnych błogosławią nowomodny sposób podróżowania koleją. Takich błędów znajdziemy więcej w dziełku ks. Bieli: nie uchodziło żadną miarą, w czambuł potępiać żydów i robić ich odpowiedzialnymi za wybryki socjalizmu, a przecież autor sam przyznać musi, że aczkolwiek socjalizm fałszywie rozumiany, wiele złego wyrządzał społeczeństwu, to przecież z drugiej strony przyczyniał się także bardzo do wyświecenia niejednej brudnej sprawy i do odkrycia niejednej krzywdy, która się ubogim przez bogatych wyzyskiwaczy działa.

[Michał Dzieduszycki. Mamuty, komedja w pięciu aktach. Lwów, nakładem Jakubowskiego i Zadurowicza a drukiem Wł. Łozińskiego. Mała ósemka. Stronic numerowanych 155.]

Nazwalibyśmy komedję p. hr. Dzieduszyckiego raczej „obrazkiem obyczajowym“, aniżeli komedją. W takich to obrazkach obyczajowych czyli po niemiecku „Sittenbilder“ celował ongiś Iffland, niezrównany pod tym względem; teraz ten rodzaj scenicznego utworu, różniący się wyraźnie od komedji a stanowiący szczebel przejściowy między nią a poważnym dramatem, coraz więcej znika z widowni, coraz mniej ma czytelników i zwolenników. Nie dziwota! publiczność chce się bawić i nie pragnie mentorskiego pouczenia. Nie umniejsza to jednak w niczem wartości podobnych prac a tem samem też pracy Dzieduszyckiego.

Autor jako sam herbowy szlachcic — widocznie doskonale zna szlachtę naszą tak z dobrej, jak i ze złej strony. Mamuty — w prawdziwem tego słowa znaczeniu, to tacy ludzie jak stary hrabia Ignacy Krasnostawski, tegoż żona Teresa i syn Zdzisio, ludzie, o których Krasnostawski ojciec sam się w ten sposób wyraża: „U nas tacy tylko coś znaczą, co *wszystko* umieją, na

wszystkiem się znają, *wszystko* potrafią, a przynajmniej co potrafią wmówić to w drugich" — a dodajmy od siebie: „albo są największymi blagierami i oszustami, albo też największym oszustom najłatwiej na lep idą." A że jabłko niedaleko odpadło od jabłoni, to też trop w trop w ojca wdał się syn Zdzisio, który się otwarcie przyznaje do tego, że „u nas nie chodzi o to, aby coś robić naprawdę, tylko żeby się *wydawało*, że się coś robi. To daje pozycję w świecie, reputację porządnego młodzieńca i pomaga do dobrego ożenienia się." Do kamertonu tych uczuć dostraja się całkowicie hr. Teresa, zresztą kompletne zero. Nie brak też wyzyskiwaczy, jak Złotnicki i Ropicki, nadużywających nieświadomości i zaufania Krasnostawskich ojca i syna. — Jako świetlane postacie w tym obrazku obyczajowym odznaczają się Jadwiga, córka starego Krasnostawskiego i tegoż brat Tadeusz, oraz były pupil Ignacego Krasnostawskiego, Stanisław Zabiełłowski, dla miłości Jadwigi zdolny do największych i najdotkliwszych nawet ofiar. Na brzeg przepaści przez lekkomyślność swoją i niesumienną spekulację Złotnickiego sprowadzony, zawdzięcza stary Krasnostawski wraz z rodziną ocalenie swoje jedynie ofiarności brata Tadeusza i pupila Stanisława. Jadwiga, zdradzona haniebnie przez Złotnickiego, podaje rękę swą do związku dozgonnego Stanisławowi a stary stryj błogosławi im słowami: „Dzieci moje! Trzymajcie się ziemi i bądźcie jej wierni. To matka! Jej zawdzięczamy czem jesteśmy, od niej zależy czem będziemy! Niech was Bóg błogosławi!"

Do wielkich zalet tej pracy należy styl gładki, należy i język wyborowy, a mimoto zrozumiały i łatwy. Nie wolno nam zamilczeć o szlachetnej tendencji tego utworu scenicznego, który jednak według naszego zdania nie jest komedją (bo zbyt mało w nim żywiołu komicznego,) ale raczej obrazkiem obyczajowym lepszego rodzaju.

Mimo to, że ten utwór sceniczny dotąd nie doczekał się wielu przedstawień, co po części i na karb zepsutego smaku publiczności złożyć wypada, poczuwamy się jednak do obowiązku, autora zachęcić do dalszych

prac w tym rodzaju; bo jeśli gdzie, to tutaj jest na miejscu przysłowie: „Noblesse oblige!“

[A. Kallas. Sprężyna życia. Nowela. Nakładem Wł. Poturalskiego w Podgórzu a drukiem Edwarda Ostruszki we Lwowie. Podgórze-Kraków, 1897. Dwunastka. Stronic 145.]

Sprężyna życia! — cóż to za sprężyna! Niejeden może zastanawiałby się głęboko nad tym wyrazem. Może to miłość wszechwładna? może poświęcenie bohaterskie? może genjusz, który trzęsie podstawami porządku społecznego, światy budując i waląc? Nie! to mamona, to ta podła chęć zysku, to uganianie się za złotym cielcem, które sen płoszy z oczu naszych! Tak jest i niestety, że tak jest!

Autorka barwnem piórem opisuje nam w tej noweli, jednej z najlepszych swoich, głęboko obmyślanej i o trafnej charakterystyce, zgubne działania mamony, tej „sprężyny życia.“

Aby ją zdobyć, hrabia S. sprzeniewierza się swojej miłości ku nadobnej Annie Klobaszewskiej; zdobywszy „sprężynę życia“ czyli raczej mamonę zapóźno, widzi się Anna zniewoloną, zrezygnować z miłości swojej i ginie. Działanie „sprężyny życia“ odźwierciedlają także niektóre uboczne figury, jak marszałek powiatowy S., hrabia Warański, baron Wellendorf i t. d.

Język autorki miejscami wysoce poetyczny, myśli wzniosłe i patrjotyczne, że z pomiędzy wielu przytoczę tu tylko jeden ustęp, zawarty na str. 21: „Kobieta może oddać się cała ukochanemu mężczyźnie — utonąć duszą w jego duszy — nie znać innej ambicji, prócz tej, aby stworzyć ukochanemu raj na ziemi! Ale mężczyzna, zapominający w uścisku kobiety o powinnościach względem narodu i ojczyzny, to głupiec, lub co gorsze, łajdak, a takim musiałabym pogardzać.“

Obok dodatnich stron nie brak jednak i ujemnych. Zanadto francuzczyzny, zanadto w ogóle obcych i niepolskich wyrazów w tej noweli, a przecież ona napisana dla polskiej publiczności, a nie dla niemieckiej, francuzkiej lub innej jakiejś.

Za błędne uważamy następne wyrazy:

str. 36, w. 2, 3: czcić ją jako bóstwo swego lepszego *ja*, podczas gdy wystarczyło pisać: czcić ją jako bóstwo;

str. 53, w. 8, 9: admirować jej wdzięki, poczem uśmiechając się kokieteryjnie, zamiast: podziwiać jej wdzięki, poczem uśmiechając się z kokieterją;

str. 53, w. 18, 19: *urękawiczone* rączki — to dziwoląg pisarski, jakiego w życiu swojem nie widziałem;

str. 54, w. 19, 20: kokieteryjnie zaglądając mu w oczy, zamiast: z kokieterją zaglądając mu w oczy;

str. 61, w. 18: modną osobistością, zamiast: modną osobą;

str. 105, w, 2: przemknęło żywe płomię, zamiast: przemknął żywy płomień;

str. 112, w. 3, 4: z ostatnim dniem zapustów, zamiast: z ostatnim dniem zapust;

str. 122, w. przedostatni: modną osobistością, zamiast: modną osobą;

str. 123, w. 3: z holenderską *akuratnością*. Ta akuratność na tem miejscu wygląda *akuratnie* okropnie, a jeśli już obcych wyrazów zupełnie uniknąć trudno, to wolelibyśmy zamiast wątpliwej tej *akuratności* widzieć „holenderską punktualność“ w uszanowaniu języka ojczystego i w zestawieniu należytem słów i zwrotów.

[Ferdynand Gerżabek. Poezje. Mała ósemka. Tarnów, 1896. Nakładem autora a drukiem Józefa Pisza w Tarnowie. Stronic numerowanych 81.]

W książeczce przez nas omówionej, widzimy dużo dobrych chęci, a miejscami także polot poetyczny i fantazję. Cóż, kiedy forma niekoniecznie dopisuje. Uwagi godne są: „Z dziecinnych wspomnień,“ „Z dziecinnych upojeń,“ „Pobudka,“ „Do stroju sokolego,“ „Przy odgłosie dzwonu Zygmunta“ i t. d. Pozwalamy autorowi dla dobrych jego intencyj niejedno, ale radzilibyśmy mu przecie, aby się wystrzegał słów i wyrazów, jak „kniejów“ zamiast „kniei“ i tym podobne, któremi, jakoteż fałszywemi końcówkami roi się formalnie dziełko.

[Władysław Bełza. Miscellanea. Lwów, 1894. Nakładem Jakubowskiego i Zadurowicza, a drukiem E. Winiarza. Mała ósemka. Stronic numerowanych 157. Cena 2 złr. 10 ct.]

W dziełku tem, wydanem gustownie i zaopatrzonem na okładzince portretem autora, odsłania Bełza przed nami nową, nie bardzo znaną stronę swego talentu; przedstawia nam się jako gawędziarz. I rzeczywiście też mają te „Miscellanea“ niepospolitą wartość gawędy literackiej, choć prozą skreślonej. Nie wszystkie z nich są nowe: „Dziwadła literackie“ widzieliśmy już w „Sobótce;“ ale nie szkodzi, to, co dobre, nawet i drugi raz powtarzać. „Książki ze strychu“ i „Dawne prospekty księgarskie“ zajmują się sprawami czysto książkowemi i księgarskiemi; wielce ciekawie przedstawiają się „Dawne prospekty księgarskie“ już z tego powodu, że odźwierciedlają nam wiernie zajęcie dawniejszych księgarzy, którzy bądźto z oszczędności, bądźto dla interesu, z handlem księgarskim łączyli równocześnie aptekarstwo, korzennictwo i Bóg wie, co jeszcze.

Pogadanki literackie o Polu, o Mickiewiczu, o bracie Mickiewicza są nadzwyczajnie ciekawe i zajmujące; dowiadujemy się z nich szczegółów, nie każdemu znanych. Ale nic bez ale! i *tu* znajdziemy ustępy podobnego rodzaju, jak np. ten, „że dumny wieszcz Germanii (Göthe) wcale nieodznaczał się zbytnią uprzejmością“ (Wspomnienie o Wincentym Polu, str. 32.) Kto tak błędnie poinformował p. Bełzę? Prawda, że Göthe nie był bardzo przystępny dla szerokiego tłumu, który wielkich ludzi tylko odwiedza, aby swą ciekawość zaspokajać. Ale od wybranych duchem i on nie odgraniczał się chińskim murem. Kto w to nie uwierzy, niech przeczyta Holteia „Vierzig Jahre.“

W „Powrocie taty“ autor podaje wierny obraz zamiłowania Mickiewicza do świata dziecięcego; „Pogrzeb wieszcza“ opisuje nam ostatnie chwile Adama na tureckiej ziemi, w wygnaniu, podczas gdy „Brat poety“ nieznane szczegóły z życia i nieznany wiersz Franciszka Mickiewicza, brata nieśmiertelnego Adama, nam podaje. Poniekąd do kategorji szkiców literackich należą także „Dziwadła literackie,“ obznajamiające czytelnika z utworami muzy, niekoniecznie pożądanemi przez ogół czytający i myślący. Ale któż kiedykolwiek poradził lub poradzi zarozumiałości ludzkiej? Specjalnie my redaktorowie na ten temat moglibyśmy tomy całe napi-

sać. Jedni żądają od nas, abyśmy ich tekst gołosłownie przedrukowali a może ich jeszcze grzecznie przeprosili za każdą poprawkę gramatyczną lub językową, przez redakcję dokonaną; drudzy czują do nas gorzkie żale, żeśmy ich nie umieścili na samym czele książki, ale gdzieś w środku lub przy końcu; inni znowu myślą, że krzywda im się wielka stała, ponieważ redakcja w ogóle nie mogła i nie chciała korzystać z ich prac, i tak dalej w nieskończoność.

Szereg „Miscellaneów“ zaokrąglają przewybornie rzeczy ze świata legendowego, stare baśnie i podania; część z nich zapewne znana publiczności ;, część jednak zupełnie obca. Humorystyczna postać sługi „Wasilka“ nastręcza autorowi tematu do komicznych wynurzeń a „Gwiazdka,“ zamykająca zbiór „Miscellaneów,“ przenosi cztyelnika wyobraźnią w szczęśliwe te czasy, kiedy jeszcze był dzieckiem i nawspół z innemi dziećmi wyczekiwał swojej gwiazdki Bożego Narodzenia.

[Seweryna Duchińska. Z tułactwa. Serja trzecia. Paryż, 1897. Drukiem Adolfa Reiffa. Mała ósemka. Stronic numerowanych 252.]

Nastały dziwne czasy: młodzi stracili sprężystość i świeżość umysłu, zestarzeli się, co więcej wypierają się nawet przeszłości wielkiej i ziębią wszystek zapał egoizmem swoim. Starzy natomiast odmłodnieli: jak to wybornie w „Lirze“ swojej, stanowiącej niejako poetyczny wstęp do książki, autorka oznacza:

„Już te skargi, te płacze
Na dni twoje tułacze
Nie porusza nas!
Nowe dzwonią nam hasła:
Onej gwiazdy, co zgasła,
Nam zapomnieć czas!“

Widocznie inne zdania wyrobiła sobie jednak autorka, o czem też jej odpowiedź świadczy:

„Polsko! Matko ty nasza,
Zaliż Ciebie przestrasza
Ten złowrogi prąd,
Co twą dziatwę tak ziębi,
Truje serca do głębi . . . .
Zkąd on wieje — zkąd?“

Unosić się jako nad czemś nowem nad pięknościami stylu i pisowni Duchińskiej, znanej wszystkim i nie starzejącej się nigdy — to by znaczyło, sowy do Aten chcieć przenieść. Trzecią serję wierszów i obrazków poetycznych „z tułactwa“ zdobią ponadto jeszcze dwa dłuższe poematy: „Jan z Czarnolasu“ (str. 5.) i „Widzenie“ (str. 27.) „Jan z Czarnolasu“ — to ujęta w poetyczne formy biografia wielkiego piewcy, posiadająca tem większą wartość, że najważniejsze chwile życia i działania jego illustruje odnośnemi ustępami z dzieł Kochanowskiego. W „Widzeniu“ autorka budzi do życia stare historyczne postacie, a więc cienie zdrajców i zaprzedańców, jak Grzymułtowski i Siciński, których jeszcze na śmiertelnem łożu prześladowała klątwa narodu, następnie zaś przeciwstawia im i zgubnej ich działalności mężów wielkich i świętych, jakimi byli Sobieski, Kościuszko, Konarski, ks. Marek, książę Poniatowski, Dąbrowski, twórca legjonów i inni, wykazując, że naród, który takich mężów posiada, jeszcze nie na zagładę wiekuistą skazany.

W ogóle widać tendencję zacną i patrjotyczną w wszystkich pracach, w książce tej zawartych; jak prawdziwa kapłanka Boża i Bożego piękna przemawia Duchińska do serca swoich czytelników i czytelniczek i zwalcza każdem słowem indyferentyzm, który się w przerażający sposób szerzyć zaczyna w sercach naszej młodzieży.

Jest w książce Duchińskiej moc historycznego materjału, obrobionego nader poetycznie i z wielką znajomością rzeczy; tem jednak nie zadowalnia się autorka wcale, opisując nieraz i zdarzenia obecnej chwili. Są to opisy, nie zwykłym stylem i tonem kronikarskim kreślone, ale wysoce poetyczne i natchnione obrazy chwilowe, jak np.: „Trzy okruchy,“ obrazy z Wystawy lwowskiej“ (1894), „Powitanie braci Krakowian“ (1895), „Wisła“ (1895), „Powitanie ziomków we Lwowie“ (1895), „Cześć Deotymie“ (1897) i t. d.

Niezwykłe wrażenie całą swoją treścią wywołuje przedostatni wiersz Duchińskiej: „Do Walentyny.“ Któż ta Walentyna? — zapyta może niejeden. To

sługa Duchińskiej, która jej wiernie 14 lat służyła i jeszcze teraz służy, a którą pani wyszczególnia wierszem swoim. Jakie to miłe wrażenie wywołuje i jak korzystnie odbija od sposobu myślenia naszych nowomodnych pań, które nie umiejąc sobie dobierać stosownych sług, takowe co chwila zmieniają, a myślą jeszcze, że to szczyt „rozumnej i mądrej gospodarki!“ Jeśli fałszywe przysłowie twierdzi, że „każdy sługa, to płatny wróg“ — to jabym znowu twierdził, iż nie ma lepszego przyjaciela od sługi, byleby tylko dobierać go stosownie i nie dać mu nigdy uczuć, iż on sługą jest!

Nie możemy tego sprawozdania skończyć, nie określiwszy jeszcze dobitniej sposobu, w którym Duchińska już nie jako poetka, ale jako nauczycielka i przewodniczka przyszłych pokoleń do zepsutej nowoczesnej młodzieży przemawia:

„Baczność! baczność! złe się szerzy,
Duch-że bliskim już zatrucia?
Kto w policzek nas uderzy,
My w tem widzim znak współczucia?

Matko Polsko! Tyś przetrwała
Krwawe męki — twarde pęta,
Wróg rwał kęsy z Twego ciała,
Z gniazd wypłaszał Twe orlęta.

A Ty krzepka jak za młodu,
Precz odganiasz ćmy złowieszcze,
Bo ci szepce duch narodu,
Żeś Ty Polsko żywa jeszcze.

Czyż się pierś Twa nie rozdarła,
Gdy Twe syny, duchem starcy,
Słyszą Matko, żeś umarła
A nie pluną w twarz potwarcy!

Baczność! Polska dziś bez domu,
W naszej tylko żyje duszy,
Ach! ustrzeżmy ją od sromu,
Biada! kto cześć jej naruszy.

Wśród żywotnych serc płomieni
Ona przetrwa nieskażona,
Lecz gdy serce w grób się zmieni,
Biada synom — Matka skona!“

[Moderne Poesie. Anthologie. 3. Ausgabe. Zbiorek poezyj, wychodzących w Berlinie pod redakcją Pawła Grossmana a nakładem tegoż. Mała ósemka. Stron numerowanych 126. Cena 3 marki.]

I ten tomik poezji nowomodnej, na równi z poprzedzającym, pojawił się w oprawie gustownej, choć nieco skromniejszej, aniżeli poprzednia. Treść także o jedną trzecią część została uszczuploną jako dowód, że poezja mało teraz popłaca. Ubyło też z dawniejszych współpracowników dosyć a przybyli nowi; mimoto liczba ich znacznie mniejsza.

Dział tłumaczeń z polskiego reprezentują wyłącznie Albert Weiss i G. Kohn, pierwszy całym szeregiem erotycznych pieśni, wziętych z Kazimierza Tetmeyera i 3ma utworami poetycznemi Wacława Szymanowskiego, z których szczególnie „Wielkie przedstawienie“ polecenia godne tak co do treści, jak i co do formy. „Sobiesław II. książę czeski“, ballada polska Adama Gorczyńskiego (Jadama z Zatora) tu może po raz pierwszy pojawiła się w druku w przekładzie G. Kohna. Wydawca jednak przez nieuwagę skrzywdził dotkliwie i polskiego autora i tłumacza, pierwszego przez opuszczenie jego imienia, drugiego przez pomyłki drukarskie jak „Zojóra“ zamiast „Zgóra“ i im podobne.

I temu — zarówno jak i poprzedniemu tomowi — zarzucać musimy zbyt wielki brak żywiołu epicznego. Natomiast postarał się p. wydawca bodaj o lepszy i staranniejszy wybór liryki, co się mu częściowo też udało. Niezłe są jego wiersze, wiersze Marji Knorr zdradzają wielkie doświadczenie życiowe; sądzimy też, iżby się nie znalazł taki, coby bez głębokiego wzruszenia przeczytał wiersz Pawła Schäfeneckera: „Spotkanie“ albo nie zastanowił się nad znaczeniem pesymistycznem, ale mimoto z prawdą zgodnem „Myśli w dniu Niebowstąpienia Pańskiego“ Henryka Rollera. Pełne głębokiej filozofii życiowej jest Schäfeneckera „Szczęście,“ rzewne myśli budzi w czytelniku Ottona Forbergera „Święto umarłych“ a jako piękny kwiatek liryczny uważamy Frydryka Uhliga: „Do Dzwonka.“

Ale nie brak i w tym zbiorku plewy literackiej. Za taką uważamy wszystkie prawie wierszydła Smeibidla,

wiersz Hermana Ledegancka: „Czy mnie kochasz?“ a wiersz sztambuchowy Karola Schachtitza, poświęcony jakiejś pannie Emilii Fels — na jakiegoż kaduka został on tu umieszczony? Takie rzeczy kwalifikują się do sztambuchów, a nie do antologij poetycznych!

[Eliza z ks. Ponińskich Augustynowiczowa. Poezje. Wiązanka myśli i uczuć. Lwów, 1894. Nakładem Jakubowskiego i Zadurowicza a czcionkami drukarni „Dziennika Polskiego.“ Mała ósemka. Stron numerowanych 93. Cena 1 złr. 20 ct. Dochód przeznaczony na kolonje wakacyjne dziewcząt.]

Miła ta i pod względem zewnętrznym i wewnętrznym książka wabi całym układem swoim. Poświęcona przez kochającą córkę pamięci ojca, znanego zewsząd z liberalnych dążności śp. starosty tarnowskiego, mecenasa sztuki, w którego dworze w Horyńcu głośna poetka Marja Bartusówna także czasami gościła i była mile widzianym gościem — godnie odpowiada swemu celowi. Wśród powodzi poetów i poetek nowoczesnych, gdy blaga górą i niejeden laury poetyczne zbiera nie wiedzieć na co i za co — z przyjemnością witamy autorkę z łaski Bożej, autorkę jak Augustynowiczową, która nietylko rymy składa, ale głęboko myśli i głęboko i pięknie czuje.

Przekroczyłbym tą oceną rozmiary mego wydawnictwa, gdybym wypisać chciał wszystkie wybitniejsze ustępy, w tych poezjach zawarte. Przytoczę więc tylko niektóre. Oto jest wiersz, zatytułowany: „Do złotej młodzieży,“ godny zaiste książęcego pióra a kończący się zwrotką:

„Wytężaj serce i dłonie,
Nie majęc chwalby na oku;
Niech w szarym tłumie, jak w mroku
Gwiazda — twa praca zapłonie“ —;

oto jest dalej ironją srogą zaprawiony „Bal“: jest „Kwesta,“ opisująca żywo i dosadnie obowiązek miłosierdzia chrześcijańskiego, jak go rozmaite sfery rozmaicie pojmują; jest „Baśń“ o głębokiem znaczeniu symbolicznem, a prześlicznej i niezmiernie trudnej formie wiersza a na same zakończenie wierszyk zatytułowany: „Ciche łzy,“ zdolny niejednemu łzy wyciskać z oczu!

Wydawnictwa Zukerkandla w Złoczowie.
Biblioteka Powszechna.

[Nr. 61, 62. Teofil Szumski. Victoria! Powieść. 16-ka. Stron 167.]

Widzimy w tej powieści pewne duchowe podobieństwo do znanej powieści Rojana: „W świat." Zachodzi jednak ta różnica, że tło nieco odmienne i że nie tak praca fizyczna tryumfuje nad przeszkodami, jak raczej praca duchowa inteligencji nad przesądami kołtunerji lwowskiej. Szumski okazuje się jako wyborny malarz typowy, przedstawiając nam obok szlachetnych postaci takiego Horodzieja, Rotułowskiego, Hajdeburga, takiej Jadwigi, Katarzyny Wiórkiewiczowej, jej córki Anieli, szewcówny Basi Stuk — mieszczanina kołtuna Wiórkiewicza, może niezłego, ale pyszałkowstwem nadętego człowieka, bogatą wdowę Otylską, Letkiewicza a szczególniej plotkarza Filipkiewicza, gotowego całe szczęście domowe rodziny Wiórkiewiczów zburzyć, aby tylko zadość uczynić podłym swoim zachciankom. Każdy pojmie, że rzecz prawidłowo kończyć się musi i rzeczywiście kończy wiktorją postępowych żywiołów i podwójnemi zaślubinami: Andrzeja Horodzieja z Anielą Wiórkiewiczówną i Rotułowskiego z Jadwigą a zamierzonym in spe ślubem Hajdeburga z Basią.

Żeby ta powieść była „zajmującą" według przyjętej u pospólstwa albo może i u wydawcy normy — nie powiem; ale że jest wielce pouczającą, to więcej niż pewne. Z wielu zdań autora, zasługujących na wyszczególnienie, przytaczam gwoli naszych emancypantek i zakochanych szaleńców tylko jedno, kładzione w usta Jadwidze: „Powiedz mi, czemu tak się dzieje, że gdy kobieta w niedorzecznościach, kaprysach, głupstwach chce mieć swoją wolę, ma ją i żaden z panów kochających nie protestuje? Ale skoro okaże swoje zdanie w sprawach ważniejszych, nie wdzierając się nawet w sferę waszą, panów świata, czemu wtedy, jak to jest od pewnego czasu między nami, rozpoczyna się walka? Czemu mężczyzna gotów kochać dalej, ale tylko bezduszne ciało, jeżeli piękne?"

Styl powieści Szumskiego łatwy i zrozumiały dla czytelników, co się też wielce przyczynia do zalet dzieła. Nie możemy jednak i o wadliwościach jego zamilczeć, a składają się na nie rozmaite błędy językowe. Do tych zaliczam następne wyrazy: na str. 25, w. 2 i przedostatni: „majętności“ zamiast: „majątku“; na str. 25, w. 4: „dłużnicy“ zamiast: „wierzyciele“; na str. 35, w. 20: „kilka pokoi“ zamiast: „kilka pokojów“ na str. 83, w. przedostatni: „monotonnie“ zamiast: „jednostajnie“; na str. 136, w. 2, 3: „uczuł się bardziej jeszcze, jakby nie w swojej skórze“ — jest to germanizm: „Er fühlte sich nicht in seiner Haut.“ Stosowniej byłoby: „uczuł się bardziej jeszcze krępowanym“ — wreszcie na str. 148, w. 3: „akuratności“ zamiast: „punktualności“.

[Nr. 63. Wergiliusz. Bukolika (sielanki), w przekładzie Józefa Lipińskiego i zaopatrzony przedmową. 16ka. Stronic 48.]

Przekład ten klasyka rzymskiego, tchnący zaskrzepłą klasycznością Osińskich i Koźmianów, objaśniony ponadto przez autora przedmową o stylu ciężkim i mocno zestarzałym — o tyle tylko zadowolni chyba czytelnika, że mu w owych „bukolikach“ przedstawia obraz wierny obyczajów i zabobonów rzymskich za czas panowania i rządzenia pierwszych cezarów.

[Nr. 66. Byron. Więzień Czyllonu. Przekład Franciszka Morawskiego. 16ka. Stron 31.]

Lord Bajron, ów wielki poeta pesymizmu, jak go słusznie nazwano, w poemacie tym daje nam wyobrażenie cierpień pozbawionego wolności i przykutego do skały więźnia stanu. Przekład dokonany przez Morawskiego, ostatniego adepta klasycyzmu w Polsce, znany w świecie literackim.

[Nro 69, 70. Kazimierz Brodziński. O klasyczności i romantyczności, tudzież uwagi nad duchem poezji polskiej. 16ka. Stron 149.]

Znany każdemu Kazimierz Brodziński, autor „Wiesława“ a skromny zwiastun ery Mickiewiczowskiej, w swojej rozprawie „o klasyczności i romantyczności“; toruje niejako drogę późniejszemu romantycyzmowi i wypowiada reguły, dla poezji nowoczesnej obowiązujące.

Rzecz, dla abiturjentów i przyszłych doktorów filozofii a profesorów literatury niezbędna, dla publiczności bardzo pożyteczna, mimo to, iż niejeden z poglądów Brodzińskiego dziś już może zestarzałym się wyda.

[Nr. 71, 72. Franciszek Grillparcer. Matka rodu Dobratyńskich. Tragedja w pięciu aktach. Przekład Stanisława Starzeńskiego. Wydanie drugie. 16-ka. Stron. 120].

Zacharjasz Werner, Houwald i Müllner, trzej zawołani fantaści niemieccy, stworzyli nowy rodzaj tragedji, w której nie poświęcenie, zasługi lub uczynki zdrożne główną odgrywają rolę, ale ślepe fatum. Rodzaj ten tragedji a raczej tragikomedji, sprzeciwiający się nietylko zasadom religji chrześcijańskiej, ale także zasadom sztuki, słusznie wygwizdany i zohydzony został przez zdolniejszych autorów, na których czele stał hr. Platen. Nie utrzymał się też na scenach niemieckich. Jedna tylko „Ahnfrau" Grillparcera (a dodamy nawiasowo od siebie: najsłabsze jego dzieło), przeżyło anemiczne swoje koleżanki. Sztukę tę przetłumaczył a raczej przerobił na język polski autor, znany pod pseudonimem Stacha z Zamiechowa, który jej też polskie piętno nadać usiłował. Obecne wydanie jest po 43ch latach dopiero drugiem z kolei, najlepszy dowód, że w obec kwestyj piekących i narodowych, które ogół poruszają, tragedje fatalistyczne u nas dawno rację bytu potraciły. Z tem wszystkiem jednak zaprzeczyć się nie da, że język Stanisława Starzeńskiego (Stacha z Zamiechowa) wysoce jest poetyczny i gładki.

[Nr. 75. Władysław Syrokomla. Urodzony Jan Dęboróg, gawęda szlachecka. 16ka. Stron 88.]

Prostym, do serca ludu przemawiającym tonem skreślił nam autor „Margiera" w swoim „Dęborogu" obrazek z życia szlacheckiego ubiegłych stuleci, a mianowicie rodową nienawiść Dęborogów i Brochwiczów, kończącą się skojarzeniem młodej pary: Jana Dęboroga z Zosią Brochwiczówną. Wdzięczność należy się wydawcy za to, iż w taniem wydaniu tę perełkę literatury polskiej przyswoił swemu wydawnictwu, większa aniżeli za niejeden chwast, wzięty z obcych literatur a upiększony niesłusznie imieniem dźwięcznem.

[Nr. 74, 75. Lessing. Natan Mędrzec. Poemat dramatyczny w 5 aktach, w przekładzie Zygmunta Bromberga (Z. Bytkowskiego z Tarnowa.) 16ka. Stron 154.]

Jest to z rozmaitych przekładów „Natana Mędrca“ jedyne w Galicji przez Galicjanina dokonane. Tłumacz, obecnie zaciekły syonista, redagował ongiś „Postęp“ tarnowski, pismo, które się niedługo na widowni publicznej utrzymało. Przekład Bromberga zresztą dość poprawny. Rażą tylko wyrazy, jak: „się“ na początku wiersza, albo „jak“ zamiast „niż.“

Sambor, 12. Marca 1898.

G. Kohn.



Sprawozdanie z czynności moich.

Opóźniony nie z mojej winy 21-szy tom mego wydawictwa oddaję niniejszem w ręce publiczności. Dochodu na cele dobroczynne według wykazu było 30 złr. dla Towarzystwa św. Wincentego à Paulo i tyleż dla Towarzystwa Bursy w Samborze.

Autorów, których prace w obecnym roczniku z powodu braku miejsca, jakoteż znacznego opóźnienia w druku pomieszczone być nie mogły, przepraszam jak najmocniej. Ich prace nie zostały odrzucone, ale będą figurować w następnym roczniku. Do tej kategorji należą panowie Kazimierz Homme, Aleksander Stroka i Franciszek Zwilkoński.

Z braku czasu nawet „Medalografii“ umieścić nie mogłem, która w powiększonym formacie wyjdzie przy następnym roczniku. Natomiast załączam jako nadzwyczajny dodatek swój portret wraz z autografem. wykonany w zakładzie artystycznym Eugeniusza Jurkiewicza w Kołomyi, dla wszystkich czytelników mego pisma.

Sambor, 28. Kwietnia 1898.

G. Kohn,
redaktor i wydawca „Roczników samborskich“



Moja modlitwa.

Nie daj mi Boże! doczekać przy zgonie
Porażki cnoty i tryumfu zbrodni;
Nie daj, by iskrę, co w mem sercu płonie,
Oddechem swoim zgasili niegodni!
Nie daj, o nie daj, by nad łożem śmierci
Pacierz ostatni zmroziła obłuda!
O stłum tę boleść, co w mem łonie wierci,
Pokrzepiaj siły, daj mi ujrzeć cuda!
Ja słońca szukam i rwę się do słońca;
Mnie wstrętne cienie, mnie obłuda razi;
Pozwól, niech ducha wyślę lotem gońca
Do stóp Tych, których ziemski brud nie kazi.
Daj mi wymodlić dla tych, co nie widzą,
Światła u tronu niebieskiej wszechmocy
I zawstydź śmiałków, którzy z Ciebie szydzą,
Ześlij promień, by świecił wśród nocy.
A mnie daj umrzeć po skończonem dziele
Nie jak marzyciel, co gnuśnieje w ciszy;
Jako mąż czynu niech uwieńczę cele,
Które mi wytknął duch boży, duch wyższy;
Nie jako błędny ognik niech się zwlecze,
Niech spłonę w morzu [illegible] płomieni,
Jako duch czysty niech ku niebu zbiegę,
Lśniący jak meteor jasny spośród cieni!

Sambor, 18/10 897

G. Koher

TREŚĆ.



Spis pomyłek.

Str.	*wiersz:*	*zamiast:*	*czytaj:*
79	13, 14	zewnętı zej	zewnętrznej
104	36	mogiłe	mogile
121	17	Z rodzoną	Z wrodzoną
122	1	zamówiona	umówiona
122	ostatni	uprzątać	uprzątnąć
123	5	papiern	papieru
123	33	państwowa... równoupra-wnienie	państwowa i... ró-wnouprawnienie
151	27	Miała	Chciała
152	33	na robotę	za robotą
171	13	kłaczy	klaczy
179	21	z głębi ziemi	z głębi sieni
301	41	typograficznym	topogı aficznym
319	31	majęc	mając

